

JEDEN POKÓJ. PIĘCIORO PODEJRZANYCH.  
TRZY GODZINY NA WYKRYCIE ZABÓJCY

# ZGADNIJ KTO

CHRIS McGEORGE

CHRIS McGEORGE

# ZGADNIJ KTO

przełożył  
Michał Józwiak

 insignis

Tytuł oryginału

*Guess Who*

Copyright © Chris McGeorge 2018

First published in Great Britain in 2018

by Orion, an imprint of The Orion Publishing Group Ltd

Carmelite House, 50 Victoria Embankment

London EC4Y 0DZ

An Hachette UK Company

Przekład

Michał Józwiak

Redakcja

Tomasz Brzozowski, Dominika Rychel

Korekta

Justyna Chareża

Skład

Tomasz Brzozowski

Adaptacja oryginalnej okładki

Design Partners | [designpartners.pl](http://designpartners.pl)

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2018. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-66071-37-7



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)

[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)

[twitter.com/insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media) (@insignis\_media)

[instagram.com/insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media) (@insignis\_media)

Snapchat: [insignis\\_media](#)

Dla mojego dziadka, Johna Boarda

# Postaci

**Morgan Sheppard** – aktor telewizyjny prowadzący program *Detektyw z sąsiedztwa*. Powszechnie znany z nadużywania alkoholu i narkotyków. Niegdyś zdobył rozgłos jako „małoletni detektyw”.

**Amanda Phillips** – kelnerka w kawiarni CoffeeCorps na stacji Waterloo. Każdego klienta traktuje z uśmiechem. Marzy o zostaniu dziennikarką i pracy w branży telewizyjnej. Często określana jako „słodka” i „serdeczna”.

**Ryan Quinn** – sprzątacznik hotelowy. Z trudem wiąże koniec z końcem i pracuje, żeby wesprzeć rodzinę, która przeprowadziła się z Hongkongu do Londynu. Niby jest dumny ze swojej pracy, ale wolałby robić coś innego.

**Constance Ahearn** – sławna aktorka z West Endu. Obecnie gra główną postać w nowym musicalu *Rain on Elmore Street*, wystawianym przez teatr Lyceum. Często postrzegana jako jedna z najwybitniejszych aktywnych zawodowo aktorek teatralnych. Zdobywczyni wielu nagród. Żarliwa katoliczka, co często powoduje tarcia między nią a niepodzielającymi jej poglądów.

**Alan Hughes** – ceniony prawnik. Szybko wspiął się po drabinie kariery, mimo że czarnoskórzy prawnicy stanowią niewielki odsetek londyńskiej palestry. Nigdy się nie poddaje, każdemu udziela porad prawnych, czasami nieproszony. Obecnie zamieszany w bardzo ważną sprawę, która zdefiniuje jego karierę.

**Rhona Michel** – siedemnastoletnia uczennica. Zamknięta w sobie. Lubi słuchać muzyki na swoich dużych fioletowych słuchawkach. Cierpi na poważną klaustrofobię.

**Simon Winter** – psychoterapeuta, z którego usług Morgan Sheppard korzystał przez większą część życia. Dumny ze swojego profesjonalnego podejścia i doskonałych rezultatów. W stosunkowo młodym wieku obronił doktorat z psychologii i od tego czasu prowadzi prywatną praktykę psychoterapeutyczną na przedmieściach.

Zanim udaje mi się wrócić, szkoła pustoszeje. Zawsze kiedy czegoś zapomniałem, mama powtarzała mi, że jestem za bardzo roztrzepany, chociaż ani razu nie wyjaśniła, co ma przez to na myśli. Moje roztrzepanie w każdym razie znów dało o sobie znać. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy tylko zajrzałem do torby, w połowie drogi do domu. Zostawiłem go w pracowni matematycznej. Mój zeszyt. A w nim zadanie domowe na jutro. Wróciłem po niego, bo nie chcę zawieść pana Jefferiesa.

Zależy mi, żeby nie zwracać na siebie uwagi, więc przekradam się pod główne wejście przez boisko. Szkoła po zmierzchu – kiedy uczniowie rozejdą się do domów – ma w sobie coś złowieszczonego. Zwykle jest tu głośno i ruchliwie. Teraz jednak wewnątrz panuje cisza, a dźwięk moich kroków brzmi jak stąpanie słonia i niesie się po korytarzu. Nie zauważam nikogo poza mężczyzną w zielonym kombinezonie, który poleruje podłogę stołówki tą dziwną maszyną. Wygląda, jakby był najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie. Tata mówi, że jeśli nie będę się uczył, też tak skończę. Jest mi żal tego faceta, a potem robi się mi przykro, bo to nieładnie myśleć o innych z politowaniem.

Przyśpieszam kroku i docieram pod pracownię matematyczną. Drzwi są uchylone. Mama wpoila mi zasady dobrego wychowania, więc i tak pukam. Drzwi wydają pisk kojarzący się z mysim i otwierają się szerzej.

Nie zauważam go od razu. Skrzydło drzwi blokuje rozrzucone po podłodze papiery i zeszyty z ćwiczeniami. Rozpoznaję jeden z nich i podnoszę. Mój. Pan Jefferies zebrał je na koniec lekcji.

Zdaję sobie sprawę, że coś jest bardzo nie w porządku i unoszę wzrok w jego stronę. W stronę nauczyciela matematyki, pana Jefferiesa. Mojego nauczyciela matematyki. Mojego przyjaciela. Zwisa pośrodku sali na pasku zaciśniętym wokół szyi. Jego twarz ma dziwny kolor, a wybałuszone oczy nadają mu wygląd postaci z kreskówki.

*Którą nie jest. Jest prawdziwy. A mi zabiera nieprzyzwoicie dużo czasu,  
by zdać sobie sprawę, na co patrzę. O wiele za dużo, by pojąć, że to nie jest  
chory żart.*

*Że mam przed oczami pana Jefferiesa.*

*Który nie żyje.*

*Po chwili zacynam krzyczeć.*



*Dwadzieścia pięć lat później...*

Ostry, pulsujący dźwięk. Wwiercający się w jego mózg. Kiedy skupił na nim uwagę, oddzielił się od tła. Dzwonienie. W głowie albo... gdzieś indziej, w miejscu z pewnością innym niż to.

*Drrryń, drrryń, drrryń.*

*Drrryń, drrryń, drrryń.*

Dźwięk nie był złudzeniem. Dochodził z boku.

Otworzył oczy. Wszystko rozmyte. Ciemno. Co się dzieje? Słyszy ciężki oddech – chwilę dłużej niż powinno zajmuje mu zdanie sobie sprawy, że to jego własny. Zmysły wracają do życia opornie, migają niczym jarzeniówki na szpitalnym korytarzu. A potem, tak, wyczuwa ruch klatki piersiowej, w górę i w dół, i ciąg powietrza w nosie. Czuje, że to chyba za mało. Otwiera usta, żeby zaczerpnąć więcej, i odkrywa, że są piekielnie wyschnięte. Bada językiem ściany więzienia z papieru ściernego.

Zrobiło się cicho? Nie, wciąż dociera do niego *drrryń, drrryń, drrryń*. Przyzwyczał się po prostu. Telefon.

Spróbował poruszyć rękami i odkrył, że nie może. Znajdowały się nad jego głową, a w ich leniwym mrowieniu kryła się groźba nadchodzącego odrętwienia. Wyczuwał wokół obu nadgarstków pierścień zimna, coś chłodnego i mocnego. Metal? Tak, takie miał wrażenie. Metal wokół nadgarstków... kajdanki? Spróbował poruszyć zwiotczalymi dłońmi, żeby wy badać, do czego były przymocowane. Rura albo pręt biegnący wzdłuż

jego pleców. Jest do niego przykuty?

Obie ręce bolały go w łokciach. Wygięły się pod nienaturalnym kątem, kiedy spróbował poruszyć ciałem. Był usadzony plecami do tego... czegoś. Ale na czymś miękkim; odniósł wrażenie, że jego obecny dyskomfort wynika z tego, że trochę się osunął. Pół siedział, pół leżał. Nie była to wygodna pozycja.

Docisnął plecy do pręta, napał na podłogę i odepchnął się w górę. Jedna stopa ślizgała się bezskutecznie (miał na sobie buty do garnituru, powinien o tym pamiętać), ale wystarczyło, żeby trochę się podnieść. Dosunął pośladki do pręta i zdjął ciężar z ramion. Kiedy jego umysł przestał skupiać się na bólu, otaczające go rozmazane kształty zaczęły nabierać ostrości.

Przedmioty po jego lewej stronie – najbliższe – ujawniły się jako pierwsze. Dostrzegł stół – pomiędzy tym, na czym siedział, a białą ścianą. Na blacie, oświetlony przez stojącą obok lampę, czarny cylinder z wyświetlaczem, a na nim czerwone, pulsujące cyfry: 03:00:00. Zegar. Trzecia? Nie – kiedy się przyjrzał, zwrócił uwagę, że czas stoi w miejscu.

Od skupiania wzroku na świetle rozbolały go oczy, przez co zdał sobie sprawę, że w pokoju jest dość ciemno. Odruchowo zamrugał, żeby rozproszyć plamy w polu widzenia, i wpatrzył się w białą ścianę. Wisiał na niej oprawiony obraz. Pole kukurydzy, a za nim w oddali wiejski dom. Ale to nie krajobraz przyciągnął jego uwagę, lecz to, że dom płonął. Jęzory czerwonej farby lizały błękitne niebo, a na pierwszym planie uśmiechał się schematycznie przedstawiony strach na wróble. Im dłużej się w niego wpatrywał, tym silniejsze odnosił wrażenie, że uśmiech stracha na wróble się poszerza.

Coś nieokreślonego w wyglądzie obrazu sprawiło, że poczuł się nieswojo i odwrócił wzrok. Przed sobą miał nogi i stopy – czarne spodnie, czarne buty – wyciągnięte na dużym łóżku. Puchata kołdra zsunęła się, odsłaniając

prześcieradło, które zmiął nogami, kiedy próbował się podnieść. Dookoła leżało kilka rozrzuconych ozdobnych poduszek.

Uniósł wzrok i ukazała mu się znajoma scena. Znajoma dla każdego. Biurko, nieduży płaski telewizor, elektryczny czajnik, misa pełna saszetek z kawą i herbatą, ustawione pionowo menu w skórzanej oprawie. Na końcu dostrzegł telefon. Daleko, poza swoim zasięgiem. Poruszył nieznacznie głową – na lewo od biurka widniało wejście do garderoby, na prawo okno. Przez zasunięte zasłony wsączało się widmo światła.

Widok nie do pomylenia z żadnym innym. Pokój hotelowy. A on był przykuty do łóżka.

I nic się nie zgadzało.

Trzy ostre dźwięki wwiercające się w jego mózg.

*Drrryń, drrryń, drrryń.*

Nic się nie zgadzało.

Nie potrafił powiedzieć, jak długo siedział bez ruchu, przysłuchując się dzwonekowi telefonu. I wieczność, i najkrótszą chwilę. W końcu jednak pojawił się nowy dźwięk. Głos. Kobięcy. Jakby syntetyczny.

– Dzień dobry, panie Sheppard. Witamy w znakomitym hotelu Great. Od sześćdziesięciu lat z dumą zapewniamy wygodę i szeroki wachlarz niepowtarzalnych usług, z których będzie pan mógł skorzystać w obrębie naszego luksusowego budynku. Aby uzyskać informacje na temat menu śniadaniowego, proszę wcisnąć jeden, aby dowiedzieć się więcej o niedawno odnowionej siłowni i salonie spa, proszę wcisnąć dwa, w celu zamówienia usług do pokoju, na przykład wczesnej pobudki, proszę wcisnąć trzy...

Panie Sheppard? Cóż, przynajmniej posłużyli się jego nazwiskiem. Znali jego nazwisko? Czyżby znów...?

– ...aby zasięgnąć informacji na temat występów na żywo w strefie barowej, proszę wcisnąć cztery...

Za dużo wypił? Pozwolił sobie na zbyt wiele? Po dwudziestu latach picia, używania i używania połączonego z piciem zaczął sobie wyobrazać, że pojęcie przesady go nie dotyczy. Ale zdarzyło mu się kilka takich wpadek. Urwanie filmu tak monumentalne, że budził się w miejscu, którego nie poznawał. Rollercoaster fugi dysocjacyjnej, na który sam kupił bilet.

– ... aby zasięgnąć informacji na temat miejscowych atrakcji, rezerwacji

biletów i usług komunikacyjnych, proszę wcisnąć pięć...

Pamiętał jednak uczucia, które towarzyszyły tym sytuacjom. To było coś innego.

Bo...

Wiedział, że nie jest tam. Tam, gdzie był... poprzednio? Gdzie... ostatnie, co pamiętał. Teraz, w pokoju hotelowym, a wtedy... na obrzeżach jego pamięci tańczyła jakaś postać. Kobieta.

Przełknął suchość i potarł językiem zęby. Coś na nich było. Zszarzały, stęchły posmak wina połączonego z czymś chemicznym.

– ... w celu wcześniejszego wymeldowania się, proszę wcisnąć sześć, w celu ponownego odtworzenia listy opcji, proszę wcisnąć siedem.

Coś się nie zgadzało. Nie powinien tu być.

A telefon... telefon zamilkł. Z jakiegoś powodu poczuł się gorzej, nie słysząc głosu kobiety. Czy póki on ją słyszał, ona słyszała jego? *To przecież automat*, skarcił się w myślach. Ale połączenie wciąż mogło być aktywne. Warto spróbować.

– W celu ponownego odtworzenia listy opcji, proszę wcisnąć siedem.

Spróbował znów poruszyć dłońmi, żeby odzyskać w nich czucie. Kilka razy szybko zacisnął pięści. A kiedy poczuł, że w miarę panuje nad swoimi ruchami, napiął plecy i szybkim ruchem nadgarstków uderzył w rurę łańcuchem spinającym kajdanki. Brzęk był głośny, ale najwyraźniej nie dość. *Marnujesz czas. To tylko automat.*

– W celu ponownego odtworzenia listy opcji, proszę wcisnąć siedem.

Rozwarł usta. Wargi miał sklejone tak, jakby nie poruszał nimi od lat. Nie miał pojęcia, co chce powiedzieć, ale i tak spróbował. Z jego gardła wydostało się ochryple stęknienie.

– W celu ponownego odtworzenia listy opcji, proszę wcisnąć siedem.

Cisza.

Jeszcze raz otworzył usta. To, co wydobyło się spomiędzy nich, przypominało słowo „proszę”. *To tylko automat.* Nadal za cicho.

Cisza.

A potem głos w telefonie się zaśmiał. Jednak nie automat.

– Dobra, panie Sheppard, zrobimy tak, jak pan sobie życzy. Ale niedługo będzie pan musiał zacząć się odzywać. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co pan robi.

Co? Nie zdążył przemyśleć słów, które usłyszał, bo wytrącił go z równowagi przerażający dźwięk. Tępy sygnał wolnej linii telefonicznej. Kobieta się rozłączyła.

Spróbował się uspokoić – serce dudniło mu w klatce piersiowej. To się nie działo naprawdę. Nie mogłoby... I może się nie działo. Może to był tylko jakiś zły sen albo nowy rodzaj przykrego tripu. Ostatnio ładował w siebie naprawdę sporo. Ale im dłużej się zastanawiał, tym trudniej mu było w to uwierzyć.

Nie czuł się jak we śnie.

Ktoś przyjdzie. Na pewno. Przecież w hotelu musieli wiedzieć, że tu jest. Ktoś z obsługi musiał go widzieć. No i z pewnością do łóżka nie przykuł się sam, więc...

*Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co pan robi.*

Jaki był sens tej rozmowy? Na tym polegał kłopot z telefonami – mogłeś zasadniczo udawać kogokolwiek chciałeś i nie dało się ocenić, czy kłamiesz. Po co ta kobieta robot do niego dzwoniła? Nie mógł dosięgnąć słuchawki. Czyli to mogła być ona – osoba, która przykuła go kajdankami do łóżka. Która wciągnęła go w jakąś chorą grę. A jeśli nie należała do obsługi, istniała możliwość, że nikt nie przyjdzie go uwolnić.

Nie. To był hotel. Ktoś na pewno się pojawi, prędzej czy później.

Zamknął oczy. Postarał się opanować oddech na tyle, by wsłuchać się

w odgłosy dochodzące spoza pokoju. Odgłos kroków, szum kółek walizki.  
Ale niczego nie słyszał. Panowała cisza.

Tyle że wcale nie.

Zanim usłyszał, poczuł to. Zjeżyły mu się włosy na karku. A chwilę później znów, na granicy słyszenia – odgłos oddechu.

Nie był sam.

Zdał sobie sprawę, że słyszał ten dźwięk od początku; brzmiał po prostu tak naturalnie, że nie zwrócił na niego uwagi. Dopiero kiedy wstrzymał własny oddech, dźwięk stał się wyraźniejszy. Oddychanie. Prawie niesłyszalne – jak oddechy ducha. Ale prawdziwe. Ciche, płytkie, ale prawdziwe.

Im mocniej się koncentrował, tym wyraźniej je słyszał. Wszędzie dookoła. To nie mogła być jedna osoba. Ile? Nie wiedział. Ludzie – liczba mnoga – w tym samym pokoju co on.

Zdawał sobie sprawę, że musi otworzyć oczy, ale te go nie słuchały. Jego mózg usiłował połączyć kropki, których nie było – starał się bezskutecznie odkryć sens w tym, co się działo. Czy to była jakaś szalona akcja marketingowa? Jego agent ostrzegał go przed czymś takim – tablety czasami płaciły za wywołanie skandalu. A co mogło sprzedać się lepiej niż orgia w pokoju hotelowym?

Coś mu jednak nie grało. Naprawdę jakiś brukowiec odważyłby się go porwać i przykuć do łóżka dla głupiego artykułu? To nie było w ich stylu. Poza tym był ubrany. Najnudniejsza orgia wszech czasów.

Wbrew wszystkiemu prawie się roześmiał. Najwyraźniej zaczął wariować. Dodajmy to do długiej listy słabości, z którymi powinien się rozprawić.



Najpierw jednak... zmusił się, żeby ponownie otworzyć oczy. Pokój odwzajemnił spojrzenie. Oddechy nie ucichły. Musiał zobaczyć. Nachylił się w lewo, tak daleko, jak pozwalały mu nadgarstki. Lodowato zimne kajdanki wpiły mu się w skórę, ale postarał się nie myśleć o bólu. Przekrzywił głowę, żeby zajrzeć za krawędź łóżka.

Spodziewał się – miał nadzieję? – nie zobaczyć niczego poza dywanem. Zamiast tego ukazało mu się coś, czego nie potrafił nazwać. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że patrzy na czyjeś plecy – plecy osoby ubranej w szary garnitur, leżącej twarzą do dywanu. Kiedy tylko ta myśl pojawiła się w jego głowie, pośpiesznie się wyprostował, napierając nadgarstkami na rurę, i przesunął się z powrotem na środek łóżka.

Człowiek. Prawdziwy człowiek. Na ziemi, twarzą do podłogi.

Znów cisza – i oddechy. Ale teraz pojawiło się coś jeszcze. Chrobot, jakby myszy gryzące karton.

Zmusił się, żeby wychylić się jak najdalej w prawo i zerknąć za drugą krawędź łóżka. Nikogo tam nie było. Dywan miał kolor zgaszonego fioletu. Przyglądając się skrawkowi podłogi, który widział, zwrócił uwagę na coś innego. Wąskie pasmo czegoś żółtego, ciągnące się w stronę końca łóżka. Wyglądało zbyt delikatnie, żeby mogło być sznurem, a kiedy na nie patrzył, drgnęło. Włosy. To były włosy.

Wrócił na środek łóżka. Włosy? Boże.

Wpatrzył się prosto przed siebie, w czarne lustro ekranu telewizora. Nie widział w nim nic – nawet siebie. Cieszyło go to. Nie chciał wiedzieć, jak żałośnie wygląda. Czerń – nicość – działała na niego uspokajająco. Będzie skupiał wzrok na telewizorze, aż ktoś przyjdzie go uratować. Nie zamierzał przyjmować do wiadomości niczego, co tu się działo.

Niestety zanim skończył to sobie wmawiać, jego wzrok mimowolnie pokierował się ku krawędzi łóżka, gdzie coś się wyłoniło zza jego

wyglancowanych butów. Palec. Potem dwa. A potem cała dłoń chwyciła kołdrę.

Serce zatrzymało mu się w piersi. Szuranie przybrało na sile, podobnie jak oddechy. Odgłosy dochodziły ze wszystkich stron. A teraz...

Budzili się.

Twarz u stóp łóżka. Blondynka, dwadzieścia kilka lat. Wyglądała tak, jak on się czuł – zagubiona i blada, panika w oczach. Najpierw się rozejrzała, nerwowo ruszając głową w obie strony, a potem go zobaczyła i w odruchu zaskoczenia zanurkowała z powrotem za łóżko.

– H... hej – wykrztusił. Głos łamał mu się zupełnie nie tam, gdzie trzeba, przez co zabrzmiało to bardziej jak groźba niż powitanie. Spróbował jeszcze raz. – Hej. – Trochę lepiej.

Dziewczyna pojawiła się z powrotem. Właściwie tylko jej oczy. Na ułamek sekundy jej spojrzenie przywarło do kajdanków i stało się jeszcze bardziej zagubione. Ale przynajmniej wiedziała, że się na nią nie rzuci, dzięki czemu odważyła się wystawić całą głowę.

– Co...? Co się stało? Gdzie jestem? – pytała wątlym, pełnym strachu głosem. – Co mi zrobiłeś?

Spojrzał na nią zdumiony.

– Obudziłem się tutaj tak samo jak ty. – Zabrzęczał kajdankami na potwierdzenie. Zadziałało. Na jej twarzy wykwitło coś nowego: zrozumienie. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, wspólnie przeżywając strach.

Na podłodze wokół dziewczyny coś zaczęło się ruszać, a jej oczy powędrowały w dół. On niczego nie widział. Cokolwiek jednak zobaczyła ona, sprawiło, że zerwała się na nogi i odskoczyła. Zawadziła biodrem o kant

biurka. Menu śniadaniowe spadło na blat, a dziewczyna wydała z siebie stłumiony pisk.

Widział ją teraz lepiej. Dżinsy. Jasnożółta bluza z kapturem. Zwyczajna dziewczyna. Zauważył, że ma coś na wysokości lewej piersi. Jakąś naklejkę.

– Ludzie – powiedziała zszokowanym głosem. – Tu jest więcej ludzi.

– Wiem. – Mówienie przychodziło mu coraz łatwiej, jakby silnik się rozgrzał i zaczął nabierać obrotów. – Ilu?

– Nie wiem... nie widzę...

– Muszę wiedzieć ilu.

Po co? Dlaczego to miało znaczenie? Może dlatego, że każda dodatkowa osoba pogarszała i tak koszmarnej już sytuację?

Na dźwięk tonu, którym to powiedział – jego prawdziwego głosu – coś w niej zaiskrzyło. Wbiła w niego spojrzenie szeroko rozwartych oczu. Znał je. Spotykał się z nim prawie każdego dnia.

– Chwila – powiedziała. – Czy pan nie jest...? Czy ja pana...?

Czy ja pana znam? To tylko wszystko przedłuży. Od początku funkcjonował na obrzeżach sławy – na pierwszy rzut oka zwykle go nie rozpoznawano, ale przy uważniejszym przyjrzeniu się już często tak.

– Pan jest...

– Tak, tak. – Normalnie by się ucieszył. Ale nie teraz. – Ilu?

– O Boże... tu są cztery osoby. Dziewczyna. Dwóch mężczyzn. I kobieta. Nie wiem, czy oni...

– Oddychają?

– Chyba. Ruszają się, w każdym razie ta kobieta i dziewczyna. Nie chcę sprawdzać.

– Nie, nie, musisz dostać się do drzwi, dobrze? – Znow tracił z nią kontakt. Potrząsała głową. Histeria, wróg postępu. Wziął głęboki wdech. – Dalej, zmykaj. I sprowadź pomoc. Wyjdź, proszę, i sprowadź pomoc,

dobrze?

– Co to jest? – spytała, miotając wzrokiem po podłodze. Cieszył się, że tego nie widzi.

– Nie wiem. Ale proszę, idź już. – Prawie błagał. Jak nisko upadł przez te kilka chwil?

*Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co pan robi.*

Dziewczyna starała się nie patrzeć na podłogę. Opuściła jego pole widzenia, kierując się ku przedpokojowi. Musiała widzieć drzwi. Dobrze zgadł, gdzie są. Zresztą to było oczywiste. Wykonała dwa przesadnie zamaszyste ruchy, z boku na bok. Nie musiał widzieć ciał, żeby się domyślić, że je omija. Weszła do przedpokoju i zniknęła mu z widoku.

Znów się wychylił, ciągnąc za kajdanki, tym razem do przodu. Wysunął szyję, ale nie widział dziewczyny. Słyszał, że próbuje otworzyć drzwi, mocuje się z klamką. Słyszał szarpanie. Nie słyszał odgłosu otwierających się drzwi. Dlaczego się nie otwierały?

– Zamknięte – stwierdziła. – Czytnik... świeci na czerwono. Nie mogę...

Inny dźwięk. Inny rodzaj skrobania. Próbowwała otworzyć zamek, ten bębnekowy.

– Nie... nie rusza się. Jest zablokowany.

Jak to możliwe?

– Widzisz może, gdzie mogłaby być karta? Coś na ścianie, wyłącznik prądu?

– Nie, nic nie ma. Tylko...

– Wyjrzyj przez wizjer – doradził. – Może ktoś będzie przechodził. Może... – *Ktoś. Ktokolwiek.*

Sekunda ciszy. A potem:

– Widzę tylko korytarz.

Odgłos uderzeń. Łomotała w drzwi. Nie poddawała się, robiła coraz

większy hałas, aż zaczęło to brzmieć, jakby tłukła pięścią w drzwi.

– Hej! Ktoś nas uwięził! Halo! Nie możemy wyjść!

A przez łomot przebijało się coś, co wyczuł i usłyszał. Inna obecność. Bełkot. Jakby ktoś szeptał w jego prawe ucho. Odwrócił głowę i znalazł się twarzą w twarz ze starą kobietą z długimi, czarnymi włosami. Popatrzyli na siebie, i pożałował, że nie może zatkać uszu, bo zaczęła wrzeszczeć.

Kobieta wydobyła z siebie przeszywający, zgrzytliwy dźwięk, który musiał postawić na nogi całą załogę hotelu, a Sheppard odniósł wrażenie, że zaraz pękną mu bębenki. Staruszka odskoczyła od łóżka i wcisnęła się plecami w jego ślepe pole – narożnik pokoju, do którego miał najbliżej i nie mógł obrócić głowy tak, by go widzieć.

Łomotanie ustało. Był tego prawie pewien, choć dzwoniło mu w uszach. Powiódł wzrokiem w poprzek pokoju, w stronę przedsionka, w którym zniknęła dziewczyna, ale w połowie drogi widok zbił go z tropu. Twarze – dwie nowe twarze. Tak jak mu powiedziała.

Młodsza dziewczyna – młodsza od tej przy drzwiach – u stóp łóżka. Może siedemnastoletnia. Miała na sobie czarny sweter, a na szyi duże fioletowe słuchawki, których kabel znikał w kieszeni jej džinsów. Spróbowała wstać, ale nogi ugięły się pod nią i z powrotem zniknęła z jego pola widzenia.

Młody mężczyzna, odrobinę dalej na lewo, radził sobie lepiej. Powoli odzyskiwał świadomość, a kiedy tylko otworzył oczy, nabrał czujności. Miał na sobie coś w rodzaju dresu, śnieżnobiałego, a na nim, podobnie jak tamta dziewczyna, jakąś naklejkę. Z napisem. Nie do odczytania z tej odległości. Chłopak się rozejrzał, sprawiając przy tym wrażenie nie zagubionego, lecz zdumionego. Kiedy dostrzegł Shepparda, utkwiał w nim wzrok.

Dziewczyna, mężczyzna, kobieta – ilu, powiedziała blondynka? Czworu. Czyli jeszcze jeden. Starszy mężczyzna. Ten, którego widział przy lewej krawędzi łóżka.

Blondynka wyłoniła się z przedsionka. Na twarzy miała minę, która wyrażała załamanie, zaskoczenie i panikę.

Kobieta, która wcześniej wrzeszczała, najwyraźniej ją zauważyła, bo omijając łóżko, wystrzeliła w jej stronę z prędkością nieprzystającą osobie, która przed chwilą odchodziła od zmysłów. Nastolatka zeskoczyła wariatce z drogi i postanowiła schronić się pod biurkiem. Sheppard widział, jak przyciąga kolana do piersi i obejmuje je rękami. Rozsądna próba samoobrony, ale daremna.

Czarnowłosa kobieta chwyciła blondynkę za ramiona i potrząsnęła nią. Nareszcie przestała krzyczeć, ale zaraz zaczęła pytać:

– Co to za miejsce? To są te konsekwencje? Moja kara? Muszę ją ponieść, wytrwać.

Przepchnęła się obok dziewczyny i wbiegła do przedsionka, z którego dobiegło głośne łupnięcie, jakby kobieta w pełnym pędzie zderzyła się z drzwiami.

Blondynka, popchnięta przez furiatkę, straciła równowagę i wpadła na młodego mężczyznę, który się przewrócił. Na coś – czy może na kogoś – nowego. Z czyichś ust dobiegło marudne:

– Ała.

Para odpowiedzialna za zamieszanie zerwała się na nogi i odsunęła od nowego głosu. Sheppard rozpoznał ich język ciała – przepaszający wobec zwierzchnictwa. Wielokrotnie widywał takie osoby. Oboje przeszli na prawą stronę łóżka, jakby Sheppard miał im posłużyć za zaporę chroniącą przed tym, co miało nadejść.

Kiedy blondynka podeszła wystarczająco blisko, Sheppard dojrzał, co



było na jej naklejce. Wyglądało na to, że wszyscy takie mają. Białe, z czerwonym paskiem u góry – korporacje używają takich podczas ćwiczeń wzmacniających więzi między członkami zespołu.

Na czerwonej części wydrukowano: CZEŚĆ. MAM NA IMIĘ...

Poniżej czarnym mazakiem na białym tle ktoś napisał „AMANDA”. Sheppard, przeczytawszy jej imię, odruchowo skierował wzrok w dół na własną klatkę piersiową. Był to pierwszy raz, kiedy przyjrzał się sobie od chwili, gdy się przebudził. Z pewnym zaskoczeniem odkrył, że ma na sobie białą wyjściową koszulę, a na piersi naklejkę.

CZEŚĆ. MAM NA IMIĘ... MORGAN

W jego umyśle rozbrzmiało na nowo: *co do cholery?*

Podniósł z powrotem wzrok. Blondynka, Amanda, też się przyglądała. Najpierw spojrzała na swoją naklejkę, a potem oboje skierowali wzrok na młodego mężczyznę.

CZEŚĆ. MAM NA IMIĘ... RYAN.

– Zgadza się? – spytał Sheppard, wskazując skinieniem głowy jej naklejkę.

– Tak – odpowiedziała. – Skąd wiedzą, jak mam na imię?

– Amanda.

– Tak. Ale wszyscy mówią na mnie Mandy. Mandy Phillips.

– U mnie też. Ryan Quinn – potwierdził mężczyzna ubrany na biało, wskazując palcem na naklejkę na swoim... tak, to na pewno był dres, ale jakiś dziwny.

– Morgan Sheppard – przedstawił się Sheppard, na co Ryan tylko pokiwał głową.

– Wiem, widziałem pana na...

– Jak to możliwe, że te drzwi są zamknięte? – przerwała mu Mandy, dzięki Bogu. – Czy to jest jakieś reality show?

– Co? – odpowiedział Sheppard. Reality show?

*W gruncie rzeczy cały świat to reality show.*

Wbrew wszystkiemu prawie się zaśmiał. Wiedział, co Mandy ma na myśli, i czy nie to samo przyszło do głowy jemu? Ale potem załapał. Pojął, dlaczego się uspokoiła, kiedy go rozpoznała.

– Gdzie kamery? – spytała, rozglądając się.

Sheppard zmarszczył brwi, a Ryan wpatrywał się w dziewczynę, bo nie docierało do niego, o co jej chodzi. Mandy uznała, podobnie jak na początku Sheppard, że to jakiś chwyt marketingowy. Rzecz w tym, że choć jego studio telewizyjne niewątpliwie było siedliskiem zła, nie posunęłoby się do porwania i – najprawdopodobniej – podania środków odurzających.

– Przykro mi, Amando... Mandy... ale nie jesteśmy w żadnym programie. Tak samo jak ty nie mam pojęcia, co się dzieje.

Żyjemy w takich czasach, że można zrobić dowolne szaleństwo i nazwać je reality show. Więc dlaczego nie coś takiego? Ale to się działo naprawdę. Wyczuwał to. A kiedy jego wzrok spotkał się z Mandy, zdał sobie sprawę, że ona w głębi serca też. Dostrzegała prawdę, czy tego chciała, czy nie.

Kącki jej ust powędrowały w dół.

– Nie...

Za chwilę znów straci z nią kontakt. Była mu potrzebna. Ona i Ryan. Nie mógł się ruszyć, a to znaczyło, że musieli zastąpić mu oczy.

– Mandy. Ryan. Zależy mi, żebyście zachowali spokój. I postarajcie się, żeby pozostali też nie panikowali. Chcę, żebyście znaleźli sposób, żeby mnie odpiąć. – Poruszył głową w górę, wskazując kajdanki. Ręce prawie zupełnie mu zdrętwiały, nie miał już z nich żadnego pożytku.

– Klucz – rzuciła Mandy.

– Tak. Klucz. Rozejrzyj się za kluczem.

Raczej nie było szans, żeby po prostu gdzieś leżał. Ktokolwiek skuł go

w kajdanki, miał ku temu powód. Coś sprawiło... Chwila. Nowe pytanie. Ważne. Dlaczego tylko on był skuty? Przykuli do rury sławnego kołesia, ale nikogo więcej?

Mandy wyminęła Ryana i zaczęła szukać. Ryan jednak stał nieruchomo. Wpatrywał się w Shepparda i usiłował rozsypać myśli. Pocieszające było to, że wyglądał na spokojnego.

Czarnowłosa kobieta pojawiła się z powrotem w pokoju i jakby chcąc pokazać Ryanowi, jak powinien się zachowywać, popędziła z powrotem do przedsionka. Odgłos uderzenia ciała o twardą powierzchnię. Zaraz zrobi sobie krzywdę.

– Nie wystarczy, że przeprosiłam?! – zawyła piskliwie. – To jest piekło. Piekło!

Sheppard wiedział, że nie ma racji. Nie piekło. Piekło nie było miejscem. Piekło znajdowało się wewnątrz, głęboko wewnątrz. Odnalazł własne wiele lat temu.

– Piekło. Piekło. Piekło – krzyczała głosem, który przechodził w śpiew. – A wy w nim ze mną. Tak sobie myślę: dlaczego?

Raz jeszcze uderzyła barkiem w drzwi i zaśmiała się szaleńczo. Wariatka. Ktoś zamknął ich w pokoju z osobą chorą psychicznie.

Sheppard skierował wzrok z powrotem na Ryana, który wyraźnie zmagał się z jakąś myślą. Z każdą mijającą chwilą Sheppard coraz bardziej się martwił tym, co może usłyszeć.

– Ryan.

Ryan prawie podskoczył, słysząc swoje imię.

A potem nachylił się i wyszeptał mu do ucha:

– Muszę panu coś powiedzieć.

Odgłos odchrząkiwania. Ryan i Sheppard wymienili spojrzenia – to nie oni. Rozejrzeli się i zobaczyli, jak starszy mężczyzna próbuje wstać, z trudem

podpierając się o ścianę i łóżko. Kiedy wreszcie mu się udało, na jego twarz wypłynęła złość.

– Co tu się, do diabła, dzieje. – Sheppard poczuł, że Ryan odsuwa się o krok. – Czy ktoś może mi powiedzieć? Natychmiast.

Był ubrany po staroświecku, ale elegancko, w szary garnitur i krawat w bladym kolorze. Jego ciemnobrązową skórę pokrywały zmarszczki, znak życiowego doświadczenia, a od podbródka odcinał się trójkątny zarost w kolorze pieprzu. Mężczyzna włosy miał czarne, ewidentnie farbowane, przetykane siwymi pasmami. Jego rysy twarzy naturalnie układały się w grymas, a obrazu dopełniały okrągłe okulary, odrobinę krzywo umieszczone na nosie. Na piersi, nad lewą kieszenią marynarki, też miał naklejkę.

CZEŚĆ. MAM NA IMIĘ... ALAN.

Wszystkie oczy w pokoju skierowały się na niego. Mandy przerwała poszukiwania, żeby mu się przyjrzeć. Nawet nastolatka pod biurkiem wybałuszyła na niego oczy. Było oczywiste, że mają do czynienia z mężczyzną o znacznym autorytecie.

– Obu... obu... – Nawet Sheppard poczuł, że mu ulega. Zwykle mu się to nie zdarzało. Rozmawiał z każdym jak równy z równym. Ale z tej uwłaczającej pozycji...

– Na co się tak gapicie?! – warknął Alan i zerknął w dół. – Co to?! – Zerwał i zmiął naklejkę. Przyglądał dłonią odsłonięty fragment marynarki. – Cholera, do tego nie można nic przyklejać. Zostanie ślad! – Cisnął naklejką w kąt i rozejrzał się jeszcze raz. – No? Co tu się dzieje?

Sheppard postanowił być szczery.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – zakpił Alan. – Nie wiesz? Co za niespodzianka. Co to jest, jakiś nowy program telewizyjny? Jakies badziewie dla Channel 4? Boże...

powiedz przynajmniej, że nie dla Channel 5! Cóż, wygląda na to, że macie w nim sukinsyna, który dobierze się wam do dupy. Jestem prawnikiem, palancie. Znam swoje prawa i prawa wszystkich w tym pokoju. Rozejrzyj się. To pięć gwarantowanych pozwów.

– Powtórzę po raz ostatni – stęknął sfrustrowany Sheppard – nie jesteśmy w programie telewizyjnym.

– Oczywiście – Alan spojrzał w sufit. – Chciałbym już wyjść, mogę? I chcę poznać nazwiska wszystkich odpowiedzialnych za tę ściemę. – Kiedy nie uzyskał odpowiedzi, zrobił krok w stronę Shepparda. – W odróżnieniu od ciebie jestem prawdziwym człowiekiem. Zajmuję się ważnymi rzeczami. Na przykład... – Spojrzał na swój ekskluzywny zegarek. – O Boże, sprawa MacArthura. Muszę być w Southwark przed drugą.

Pozbawione zrozumienia spojrzenie Shepparda jeszcze bardziej go rozsierdziło. Pozostali się nie odzywali, żeby nie ściągnąć na siebie gniewu.

– Najważniejsza sprawa w mojej karierze, a ja siedzę zamknięty w jakimś pokoju. Cóż, kiedy się stąd wydostanę, poznasz karzącą rękę prawa. I nie mówię ani o twoim studio, Sheppard, ani o twojej firmie. Tylko o tobie. O tobie. – Alan wymawiał dobitnie każde słowo, dźgając powietrze palcem.

Różne reakcje na uświadomienie sobie sytuacji: wyparcie, epizod maniackalny, pogodzenie się, złość i – Sheppard dostrzegł kątem oka – zwykłe niezadowolenie. Nastolatka, której naklejki nie potrafił odczytać bez okularów, zdjęła słuchawki ze szyi i założyła je na uszy, nie przestając przyglądać się Alanowi. Na widok tego, jak wsuwa się głębiej pod biurko – jakby najbardziej ze wszystkiego chciała pod nim zniknąć – Sheppard nagle poczuł, że mają wiele wspólnego.

– Przykro mi – powiedział, nie wiedząc właściwie dlaczego.

– Bzdura. Kompletna bzdura.

Alana to jakby rozproszyło, a Sheppard wyczuł obok siebie ruch.

Obejrzał się i zobaczył, że Ryan ruszył do okna. Zdał sobie sprawę, co chce zrobić. Ryan chwycił mocno zasłony i rozsunął je jednym zdecydowanym ruchem.

Nagły blask słońca poraził go w oczy. W pokoju było stosunkowo ciemno, teraz światła było zdecydowanie za dużo. Zamrugał raz, drugi, próbując wymazać z pola widzenia wielokolorowe plamy. Spojrzał na zewnątrz przez okno. Budynki. Wysokie i wąskie. Znajdowali się wysoko nad ziemią. Wieżowce układały się w tło, które było mu dobrze znane. Miał przed oczami centrum Londynu. Tylko dlaczego coś mu się tu nie zgadzało? Dlaczego miał wrażenie, że nic...

A potem sobie przypomniał.

*Cztery godziny wcześniej...*

Wpadli do pokoju, trzymając się w ramionach. Całowała go, głęboko, namiętnie. Dawno nie czuł takiego pożądania. Udało mu się wyciągnąć rękę i wsunąć kartę do drzwi we włącznik prądu. Byli w jego pokoju hotelowym, kilka pięter nad barem, gdzie ją poznał. Pociągnęła go za sobą, a on zatracił się w niej i odpłynął w noc.

– *Pas maintenant, monsieur television.* Nie teraz.

Regularnie się zapominała i zaczynała mówić po francusku, szczególnie kiedy była trochę wstawiona. Wydała mu się przez to jeszcze bardziej seksowna.

Początkowo nie wiedziała, kim jest; ujęło go to. Postawił jej drinka. Przez resztę wieczora googlowała go na telefonie. Chciała wiedzieć, dlaczego co chwilę ktoś chce z nim rozmawiać. Hotelowa sala bankietowa, w której odbywała się premiera wystawy, w miarę upływu czasu się wyludniała, aż w końcu zostali przy barze sami. Próbowali rozmawiać z jej telefonem. Zagraniczna Siri nie rozumiała jego londyńskiego akcentu.

Jego nowa znajoma popchnęła go na łóżko i go dosiadła. Była wygłodniała. Ocierała się o niego, skubiąc jego szyję wargami.

– Uważaj na garnitur – zaśmiał się.

– *Vissez le costume!*

– Ale wiesz, że nie mam pojęcia, co mówisz?

Wyprostowała się i zeszła z niego.

– Masz coś do picia? – spytała.

Wskazał gestem minibar. Był pewien, że co nieco w nim zostało.

Zanurzyła głowę w lodówce i wyciągnęła po jednej małej butelce białego wina i burbona. Znali się od ledwie dwóch godzin, a już wiedziała, co najbardziej lubi. Czy tak wyglądało poznawanie tej jedynej?

– *Avez-vous de la glace?*

– Jeszcze raz – poprosił, śmiejąc się.

– Przepraszam – odparła, przełączając się na właściwy język. – Yyy... masz lód?

Wskazał na biurko, gdzie postawił wiaderko, chociaż dobrze wiedział, że jego zawartość dawno się roztopiła. Jego towarzyszka chwyciła naczynie, zajrzała do środka i uśmiechnęła się.

– W takim razie przyniosę.

Doskoczyła do niego i zaczęła go łapczywie całować. Pozostałości kostek lodu rozpryskiwały się na jego spodnie, ale nie przeszkadzało mu to. Ta kobieta miała w sobie coś wyjątkowego. Coś nowego.

Odsunęła się.

– *Je reviens.* – Po czym wyparowała z pokoju, trzymając wiadro pod pachą i zatrzaskując za sobą drzwi.

– Okej! – zawołał za nią. Wstał z łóżka. – Trzeba było bardziej uważać na francuskim – wymamrotał pod nosem.

Podszedł do lustra i pozbył się muszki, którą wcześniej rozwiązał i przewiesił przez szyję. Zdjął marynarkę i ubrał w nią oparcie krzesła przy biurku. Podszedł bliżej tafli szkła i przyjrzał się swoim oczom. Miesiąc temu ogarnęła go paranoja. Zaczęło się od tego, że musiał część swojego programu poświęcić marskości wątroby. Wątroba potrafi się regenerować. Po solidnie



zakrapianej nocy zabiera się do pracy, żeby wrócić do stanu sprzed ekscesów. Osoby nadużywające alkoholu (na przestrzeni lat) uszkadzają ją jednak tak bardzo, że w końcu organ się poddaje. Obrażenia zaczynają się kumulować. Wczesne objawy obejmują między innymi ból podbrzusza (który, nawet gdyby go miał, stłumiłyby połykane przez niego środki przeciwbólowe). Do późnych objawów należało żółknięcie białek oczu. (Całą wiedzę, którą posiadał, zdobył w internecie, kiedy po nagraniu odcinka zaczęła go zżerać ciekawość). Nigdy nie uważał się za hipochondryka, ale...

*To nie jest hipochondria, jeśli naprawdę coś ci dolega...*

*...wmawia sobie absolutnie każdy hipochondryk.*

Zależało mu po prostu na zdrowiu. Poza tym nic mu nie było. Robił problem z niczego.

– *Je... mappale Sheppard. Mapelle?* – Odsunął się i uśmiechnął do siebie. Pamiętał ze szkoły tylko jedno zdanie. – *Je voudrais un torchon s'il vous plait.* – Znaczyło: „czy mógłbym prosić o ręcznik?”. Niezbyt przydatne. *Merde.*

Podszedł do okna i rozsunął zasłony. Miasto odwzajemniło jego spojrzenie. Uwielbiał przyglądać się widokowi budynków na tle nieba, nieważne gdzie był. W obserwowaniu miasta z góry było coś, co sprawiało, że człowiek czuł się królem świata. Widziało się wszystkie ulice, drogi, alejki i autostrady wykonujące wspólną pracę, tworzące jeden organizm. Nigdy wcześniej nie był w tym mieście. Ale czuł się podobnie jak w innych.

Wieża Eiffla tonęła w świetle reflektorów i pełniła funkcję latarni morskiej, wokół której rozpościerało się wszystko inne. Poprzedniego dnia był na szczycie, żałując sposobu, w jaki podszedł do zabawy w turystę. Jutro miał iść do Luwru z Douglasem (swoim agentem, który zatrzymał się w „miejscu odpowiedniejszym dla osoby z jego wynagrodzeniem”), ale wszystko wskazywało na to, że jego plany ulegną zmianie.

Od południa, po porannym seksie, pewnie będzie po prostu odpoczywał. Może pójdzie popływać. Spędzi dzień przy barze. Może mogłaby mu towarzyszyć.

To były jego pierwsze prawdziwe wakacje od lat. *Detektyw z sąsiedztwa* stał się powszechnie rozpoznawalną marką, ale okupił to wysoką ceną – harmonogram prac na planie był wariacki. Program emitowano we wszystkie dni powszednie. Oznaczało to, że musieli produkować absurdalne ilości materiału i grzebać w równie absurdalnej liczbie żyć. Zdrady, skradzione pieniądze, nieślubne dzieci, małżonkowie pozywający się do sądu o jakieś bzdury, więcej zdrad... Przez sekcję „Prawdziwe życie” jego programu przewinęło się już wszystko, co możliwe. To była zresztą jego ulubiona część. Dzięki niej mógł czasami zrobić coś ciekawego.

Kręcąc pięć odcinków dziennie, trudno było spamiętać poszczególne tematy. Zlewały się w jedno. Imion i nazwisk, rzecz jasna, nie pamiętał wcale. Pewnego razu oglądając telewizję, przypadkowo trafił na *Detektywa z sąsiedztwa* i widząc siebie na ekranie, czuł się, jakby oglądał obcą osobę. Nie pamiętał, że w ogóle był na planie takiego odcinka. Po części dlatego, że było mu to obojętne. I dlatego, że był „przepracowany”. Przepracowany i nieustannie na haju, tak.

To Douglas zaproponował wakacje. Morgan Sheppard będzie miał okazję doładować baterie. Wróci silniejszy i rozsądniejszy. Sheppard nie był do tego przekonany, ale pewnego dnia podsłuchał za kulisami kłótnię Douglasa z dyrektorem programowym ich stacji. Dyrektor twierdził, że Sheppard się wypalił – dawał przy tym mocno do zrozumienia, że – jego zdaniem – przez nadużywanie alkoholu i narkotyków. Oczekiwał, że Morgan weźmie czternaście dni wolnego, wrzuci na luz i wróci „odświeżony”.

Sheppard nie przyznał się Douglasowi, że podsłuchał ich rozmowę. Po prostu się zgodził, po czym wziął się do przekonywania samego siebie, że to

dobry pomysł. Może ostatnimi czasy faktycznie trochę przeginał. Douglas nie posiadał się ze szczęścia – do tego stopnia, że zabrał się z nim (co pewnie planował od początku i dlatego tak go namawiał).

W ten oto sposób pięć dni temu trafił do Paryża. I jak dotąd bawił się świetnie. A od kiedy poznał tę cholernie seksowną kobietę – jeszcze lepiej. *Inna sprawa, że trochę długo jej nie ma.*

Odwrócił się od okna i padł na łóżko. Poprzewracał się trochę, aż ułożył się wygodnie na plecach z głową pomiędzy dwoma poduszkami. Było mu dobrze. Zamknął oczy. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczony. Która była godzina? Nie miał zegarka. Po co mu on, skoro jest na wakacjach? To był czas na relaks. Ale nie chciał spać, kiedy ona wróci. Pewnie zupełnie zrujnowałby atmosferę. A ona była taka seksowna. Minęło nieprzyzwoicie dużo czasu od jego ostatniego razu.

Ale był taki zmęczony. Jego oczy pozostały zamknięte. Dobiegł go kojący dźwięk. Coś jakby syczenie. Wcześniej go nie słyszał, ale może był w tle od początku. Im dłużej słuchał, tym szybciej zapadał się w siebie.

Jego myśli odleciały.

Zniknął.

Jak to możliwe? Jakim cudem w jednej chwili był w Paryżu, a w następnej znalazł się w Londynie? Ta kobieta. Czy to jej sprawka? Nie przeniósł się przecież z pokoju do pokoju, tylko do innego kraju. Przewieźli go nieprzytomnego kilkaset kilometrów? Nie twierdził, że to niemożliwe, ale też nie do końca potrafił uwierzyć, że to się mogło stać. Znalazł się w szarej strefie pomiędzy snem a jawą.

Ile czasu minęło? Jak długo był nieprzytomny? Czerwony pokój, a teraz tu. Ile czasu pomiędzy? Mogła to być ledwie chwila, ale i cała wieczność. Ale... nie. Miał własny sposób orientowania się w takich sprawach.

Ostatniego drinka wypił w czerwonym pokoju z tą kobietą. Czerwony pokój. Wino i burbon. To był ten posmak między zębami. A teraz czuł suchość w gardle i umyśle, ale nie miał tego gryzącego wrażenia, tego delikatnego świądu na obrzeżach tkanki mózgowej – jakby coś tam musowało – które odzywało się, kiedy zapomniał wziąć tabletek. Czyli był już zupełnie trzeźwy, ale wciąż pod wpływem leków. To by dawało co najmniej sześć godzin, ale nie więcej niż dwanaście. W połączeniu z faktem, że za oknem było jasno – świeciło poranne słońce – gdyby musiał zgadywać, stawiałby, że około dziesięciu. Gdzieś mu wyparowało dziesięć godzin.

Oderwał wzrok od panoramy Londynu. W tej samej chwili Alan marudnie stęknął. Szedł w stronę okna.

– Do diabła. Powinienem być po drugiej stronie rzeki.

– Jezu, niech się pan zamknie – stwierdził Ryan.

Alan, zbity z tropu, cofnął się, skrzyżował ręce na piersi i przybrał naburmuszony wyraz twarzy. Ryan w międzyczasie wyjrzał na zewnątrz. Chłonał widok, przeskakując wzrokiem z punktu do punktu.

– Jesteśmy niedaleko Leicester Square. Okno wychodzi na południe. – Obejrzał się na pozostałych, jakby oczekiwał pochwały. Sheppard nic nie powiedział, tylko wpatrywał się w niego, zdumiony szybkością, z jaką to rozgryzł. Ryan odwrócił wzrok z powrotem do okna. – Jesteśmy przy nabrzeżu – powtórzył, jakby chciał to potwierdzić.

Dłoń Ryana powędrowała w stronę klamki.

– Spróbuj otworzyć okno – poradził mimo to Sheppard, przeciągając się.

Okno było przesuwne i wyglądało na jedno z tych, które ze względu na wysokość, na jakiej się znajdowali, uchyli się tylko o kilka centymetrów. Ryan odblokował zatrzask i popchnął klamkę. Nic. Stęknął ze zdziwienia i spróbował jeszcze raz, tym razem napierając całym ciężarem ciała. Nadal nic. Próbował jeszcze kilka razy, aż w końcu dłoń ześlizgnęła mu się z klamki i upadł na podłogę. Alan, zamiast mu pomóc, patrzył, jak chłopak zbiera się z ziemi. Ryan się wyprostował i spróbował po raz ostatni.

– Zablokowane – stwierdził. – Nie chce drgnąć ani o milimetr.

– To spróbujmy tak! – oznajmił Alan i zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, chwycił krzesło, które dziewczyna w słuchawkach wysunęła spod biurka, i z całej siły rzucił nim w szybę.

Mebel odbił się od okna jak od ściany dmuchanego zamku. Alan upadł na ziemię, a krzesło pofrunęło na środek pokoju. Prawie trafiło Mandy, która w ostatniej chwili przerwała przeszukiwanie szuflady biurka i uskoczyła mu z drogi.

Ryan wyciągnął do niego dłoń.

– Nie rozbijesz takiego okna. To jest gruba, nietłukąca się szyba.

Konkretna informacja. Oczy Alana się zwęziły, podobnie jak Shepparda. Bardzo konkretna.

– A nawet jeśli, to co? Chciałeś przez nie wyjść? – spytała Mandy, unosząc wzrok znad szuflad.

Alan postanowił nie korzystać z pomocy Ryana i wstał, podpierając się o biurko.

– Cóż, przepraszam, że próbowałem. Widzę, żeście się tu zadomowili. Zaraz wyjdzie na to, że pani z wariatkowa jest bardziej normalna od was. – Rozejrzał się i wypatrzył Didżejkę. – A ty skąd się tu wzięłaś?

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko wbiła w niego szeroko otwarte oczy. Alan zerknął na jej naklejkę.

– Rhona... i co, to jest twój plan? Zamierzasz tak słuchać muzyki, aż świat się skończy? Jezu, nastolatki są upośledzone.

– Odwal się od niej – zbeształ go Sheppard, pobrzękując kajdankami. Nowy rodzaj bólu i jedno spojrzenie w górę potwierdziły to, co mu się wydawało: nadgarstki miał obtarte do czerwoności, a obręcze kajdanek zaczęły się wgryzać w jego ciało.

– Wiesz co, nawet nie zaczynaj – odgryzł się Alan. – Jesteś jedną wielką porażką. Czytam gazety, wiem o twoich uzależnieniach. Ale to, co się tu odstawia, to jest twoja najgorsza choroba, prawda? Ta żądza bycia w centrum uwagi... No to gratuluję, wszyscy cię oglądają. A jakby tego było mało, udało ci się nas uwięzić ze sobą.

– Naprawdę nie chce mi się więcej powtarzać, że nie wiem, dlaczego tu jesteśmy.

– Gówna prawda. Wy tam w telewizji zawsze jesteście na bieżąco, kiedy się dzieją takie idiotyzmy. To chodzi o sprawę MacArthura? Zawadzam wam, czy coś?

– To nie ma nic wspólnego z jakąś pańską głupią sprawą – odparła Mandy, nie przerywając grzebania w szufladach.

Alan się roześmiał i przeniósł wzrok na Mandy, a potem z powrotem na Shepparda.

– Głupią. Ze wszystkich słów wybrałaś akurat to? Głupią? Czy którekolwiek z was ogląda wiadomości?

– Musimy się opanować – wtrącił się Ryan. – Siedzimy w tym razem. – Położył dłoń na ramieniu Alana, który niezbyt docenił ten gest i uwolnił się od niego wzruszeniem ramion.

– Owszem, ale niektórzy głębiej od pozostałych. – Wskazał ruchem głowy na Shepparda. – Dlaczego tylko ty jesteś przykuty?

Sam sobie zadał to pytanie chwilę przed Alanem.

Sheppard zacisnął zęby, a potem zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

– Nie wiem. – Wściekanie się nic tu nie pomoże.

Mandy skończyła przeszukiwać szuflady, nie znalazła klucza i teraz stała beczynną, a jej twarz robiła się coraz bledsza. Trzymała coś w dłoniach. Kiedy odłożyła znalezisko na łóżko, Sheppard zauważył, że litery na okładce skrzą się w słońcu. Biblia. Jedyny nieodłączny element każdego pokoju hotelowego.

– Muszę... umyć twarz.

Wyglądała, jakby miała zasłabnąć. Słaniając się na nogach, zniknęła z pola widzenia, a Sheppard usłyszał, jak otwierają się kolejne drzwi. Łazienka. Jak to możliwe, że żaden z nich nie wpadł na to, żeby sprawdzić w łazience?

Czarnowłosa kobieta wyłoniła się z przedsionka. Na jej piersi naklejka: CZEŚĆ. MAM NA IMIĘ... CONSTANCE. Sheppard uważnie ją obserwował, zastanawiając się, o czym myśli.

– Chcę przez to powiedzieć, że ten człowiek może być niebezpieczny.

Być może ktoś miał dobry powód, żeby go skuć – tłumaczył Alan. – A poza tym naprawdę, do diabła, muszę się znaleźć po drugiej stronie miasta!

Sheppard nie spuszczał wzroku z Constance. Jej milczenie budziło w nim niepokój. Duże, prawie komicznie wielkie oczy tej kobiety, podkreślone plamami tuszu, które upodabniały ją do pandy, skierowały się na łóżko. Porwała Biblię i przycisnęła ją do piersi.

– Nie będziecie wzywali biblijnych nazw nadaremno – oznajmiła cichym, gardłowym głosem, którego uszy pozostałych prawdopodobnie w ogóle nie zarejestrowały.

Sytuacja Shepparda na jego oczach przeistoczyła się ze złej w tragiczną, a on nawet nie mógł się ruszyć.

– Postarajmy się wszyscy zachować spokój – zasugerował Ryan.

– Nie. Nie starajmy się. Zachowywanie spokoju nic tu nie pomoże – odpowiedział Alan.

– Diabeł. Piekło. Piekło. Piekło. Piekło – oznajmiła Constance. Dziewczyna w słuchawkach przyjrzała się wszystkim po kolei z krzywą miną.

A potem – krzyk. Piskliwy, pełen przerażenia wrzask, który odbijał się od ścian pokoju, aż przeszył serca wszystkich zamkniętych w nim osób.

Sheppard odruchowo zerknął na Constance, ale domyślił się, że to nie ona.

Krzyczała Mandy. Z łazienki.

I w jednej chwili sytuacja przybrała dużo gorszy obrót.



Krzyk sprawiał wrażenie, jakby miał nigdy nie ucichnąć, ale w pewnej chwili dobiegł końca i nastąpiła cisza. Pod pewnym względem była gorsza. Nikt się nie ruszał. Alan i Ryan zamarli w pozycjach, które zajmowali rozmawiając, dziewczyna w słuchawkach wyjrzała nieśmiało spod biurka, a Constance spoglądała w stronę łazienki.

Pierwszym odruchem Shepparda było zerwać się z łóżka, czym sprawił, że kajdanki werznęły się w jego nadgarstki. Zaskomlał z bólu. Miał niemożliwą do opanowania potrzebę ucieczki. Nie należał do mężczyzn, którym było do twarzy z paniką i strachem. Nawet gdy budził się zły zimnym potem, kiedy serce biło mu trzykrotnie szybciej, niż powinno i przechodziło mu przez myśl, że może nareszcie przesadził, w głębi serca był przekonany, że przeżyje. Tu jednak, zamknięty w tym pokoju, bał się – naprawdę się bał.

Rozległ się łomot i Mandy pojawiła się z powrotem w jego polu widzenia. Wycofując się z przedsonka plecami do nich, wpadła na Constance, która odepchnęła ją egoistycznie, jakby przenosiła jakąś chorobę.

Mandy odnalazła wzrokiem Shepparda. Z jej szklistych oczu spływały strumienie łez, a skóra przybrała chorobliwie biały kolor i połyskiwała potem.

– Co? Co się stało? – spytał Sheppard.

Ryan zauważył łzy Mandy wcześniej i podbiegł do niej. Złapał ją akurat w chwili, gdy zaczęła omdlewać.

– Tam jest... w wannie jest... – Ledwo było ją słyszeć.

– Ale co? – spytał Sheppard, nachylając się w jej stronę tak mocno, jak mu pozwalały kajdanki.

– Mężczyzna. Tak myślę... martwy mężczyzna.

Sheppard poczuł się, jakby łóżko załamało się pod nim i zaczął spadać w niekończącą się nicość.

Drwiące prychnięcie. Ku zdziwieniu Shepparda, Alan chichotał pod nosem.

– Martwy mężczyzna. Ciało w wannie. Mamy za sobą ciężkie chwile. Nasze nerwy są na wyczerpaniu. Musimy się opanować. Umysł jest bardzo kruchy.

Podszedł do Mandy i poklepał ją po ramieniu zbywającym gestem udającym próbę podtrzymania na duchu.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– W wannie. Jest mężczyzna. W brązowym garniturze.

– Cóż, może i jest. Skąd wiesz, że nie śpi? Tak jak my przed chwilą?

Mandy zacisnęła szczęki.

– To bardzo proszę tam wejść i zobaczyć samemu.

Alan zmarszczył brwi. Odruchowo poprawił spinę w mankiecie i odchrząknął.

– Dobrze.

Sheppard obserwował Mandy, podczas gdy Alan zniknął za narożnikiem. Dziewczyna szlochała bezgłośnie z twarzą wtuloną w ramię Ryana. Sheppard wierzył jej w stu procentach.

– Alan, nie wchodzi tam!

Ale było za późno. Usłyszał, jak otwierają się drzwi.

Sheppard pozwolił wzrokowi dryfować, żeby skupić się na dźwiękach dochodzących z łazienki. Nie mógł się ruszyć o więcej niż pięć centymetrów, a sytuacja, w której się znajdowali, uległa zmianie. Jego oczy zawędrowały do ekranu telewizora. Zajęło mu kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, co się stało. Telewizor. Był włączony. Kiedy spojrzął na niego poprzednim razem, ekran był czarny. Teraz na ekranie wyświetlały się złote litery ułożone w hotelową mantrę.

Życzymy miłego pobytu!

Bardzo trudny do odczytania krój pisma z zawijasami.

I jeszcze coś w narożniku. Nieduży błękitny pasek z białymi cyframi, podobny do tego, który wyświetlał się po podłączeniu starego magnetowidu. Sheppard musiał mocno wyteńczyć wzrok, żeby odczytać napis. ZAMÓWIONY PROGRAM PAY-PER-VIEW ROZPOCZNIE SIĘ ZA 00:00:57. Odliczanie. Została mniej niż minuta. W jaki sposób telewizor się włączył? I co to za program?

Sheppard otworzył usta, żeby powiedzieć komuś – komukolwiek – co zobaczył. W tej samej chwili jednak otworzyły się drzwi do łazienki i Alan pojawił się z powrotem w pokoju. Na jego twarzy malowały się niemal identyczne emocje co na twarzy Mandy. Zdjął okulary i przetarł je chusteczką wyciągniętą z górnej kieszonki marynarki.

– Wygląda na to, że sytuacja jest trochę poważniejsza, niż myślałem.

Ryan odłączył się od Mandy i ruszył w stronę łazienki.

Alan uniósł dłoń.

– Oszczędź sobie bezsennych nocy, chłopie.

Ryan zastanowił się sekundę i przytaknął.

– Leży twarzą do dołu, więc niewiele zobaczyłem, ale widziałem krew, dużo krwi. W okolicy torsu – powiedział Alan rzeczowym tonem. Sheppard zaczął się zastanawiać, czy w ten sam sposób wypowiadał się na sali

sądowej. – Nikt więcej nie może tam wchodzić. Wierzcie mi, nie chcecie mieć z tym nic wspólnego.

Sheppard nie wiedział, co powiedzieć, więc wymusnęło mu się pytanie:

– Rozpoznał go pan?

Alan natychmiast wbił w niego wzrok.

– A to bardzo ciekawe pytanie.

– Musi być jakiś powód, dla którego tu jesteśmy. Chciałem po prostu...

– Co pan ukrywa, panie Sheppard? Zakładam, że wszyscy już wiedzą, kim pan jest. Zakładam, że to jest jakaś chora gra, w którą zostaliśmy wciągnięci wbrew naszej woli. Ma pan coś do powiedzenia na swoją obronę?

Sheppard spojrzał mu w oczy, balansując pomiędzy wściekłością a strachem. Prawie nie zauważył, że coś się zmieniło na ekranie telewizora.

I pojawił się nowy głos. Nieco stłumiony. Dobiegający z głośników telewizora.

– Nie, tak i tak.

Wszystkie twarze odwróciły się w stronę ekranu. Na nim – sylwetka, ale mózg Shepparda musiał się napracować, żeby rozwiązać zagadkę, czyja. Mężczyzny. Tyle że jego twarz zasłaniała tandetna kolorowa maska w kształcie kreskówkowej głowy konia – dzieciaki zakładały takie czasami w Halloween. Oczy miała wycięte, a zza otworów wyzierały duże, zielone gałki oczne. Efekt był niepokojący, ohydny. Sheppard poczuł, jak przeszywa go dreszcz obrzydzenia i strachu.

Mężczyzna z telewizora się zaśmiał.

– Cieszę się, że się dogadujecie.

– Witam wszystkich – powiedział człowiek z głową konia aksamitnym głosem, któremu kiepskie głośniki telewizora przydały nieobecnego, nadprzyrodzonego wyrazu. – Cześć, Morgan.

Ktoś zaskomlał. Constance – tak mu się wydawało, ale nie był pewien. Całą uwagę skupiał na masce. Nie wiedział dlaczego, ale miał przeczucie, że powinien. Wszyscy w grupie byli w opałach, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że w najgorszej sytuacji znajdował się on sam.

– O co tu chodzi? – spytał Alan i podszedł do telewizora. – Kim jesteś?

To była rozmowa? Czy nagranie?

Człowiek w masce zareagował. Czyli rozmowa.

– Nie znasz mnie, w każdym razie jeszcze nie. Ale ja znam ciebie. Znam was wszystkich. A szczególnie ciebie, Morganie Sheppardzie. Od dłuższego czasu uważnie śledzę twoje osiągnięcia. Trudno tego nie robić.

Oczy skierowane na niego, jak zwykle. Może ten ktoś był fanem? Chorym psychicznie, z obsesją na jego punkcie? Sheppardowi na przestrzeni lat przytrafił się niejeden psychofan. Słyszał też przerażające historie o innych od ludzi z branży.

– Co tu się dzieje? – Sheppard usłyszał własny głos. – Czego chcesz?

Coś tu się nie zgadzało, bardziej niż kiedykolwiek w jego dotychczasowym życiu.

Maska go słyszał. To znaczy, że gdzieś tu jest ukryty mikrofon. Może kamera. Najprawdopodobniej obserwował ich od chwili, gdy się obudzili.

– Ale nisko upadłeś – stwierdził Maska ucieszonym głosem. Chory gnojek, dobrze się bawił. – Jesteś przykuty do łóżka, a twój umysł gorączkowo analizuje wszystkie możliwości, wszystkie potencjalne sposoby, żeby się stąd wydostać. Zaskakuje mnie, że przy twoich instynktach nie odgryzłeś sobie jeszcze dłoni i nie spróbowałeś wybiec przez frontowe drzwi.

Sheppard oklapł. Może nie posunął się do samookaleczenia, ale kilka razy wyrywał się tak mocno, że zdarł sobie skórę na nadgarstkach.

– Co nam zrobiłeś?

Maska go zignorował.

– Widziałeś się kiedyś w lustrze, Morganie Sheppardzie? Przyjrzałeś się kiedykolwiek tej zaćpanej, tępej, żebrzącej o uwagę szmacie, którą się stałeś? Życie pod dyktando kontraktów telewizyjnych i komentarzy na YouTube. Deptanie innych całymi dniami.

– To ty nas tu zamknąłeś? – Chciał odzyskać panowanie nad rozmową. Nie słyszeć nic więcej z tych rzeczy.

– A mimo to niektórzy wciąż nazywają cię detektywem. Po tym wszystkim. Jesteś bękartem z koszmaru Conana Doyle’a. Nie zasługujesz na ten tytuł.

– To ty nas tu zamknąłeś.

*Przestań, proszę. Przestań.*

– Oczywiście, ty idioto. – Głowa konia wygięła się, kiedy mężczyzna przekrzywił szyję. – Widzisz, chcę zobaczyć, czy będziesz potrafił potwierdzić swoją reputację. Mówiąc dokładniej tej, którą tak starannie podtrzymujesz. *Detektyw z sąsiedztwa...* Trochę to aroganckie.

– O czym on mówi? – spytała Mandy, spoglądając niepewnie na Shepparda.

Sheppard jej nie słyszał. Myśli, zbyt wiele myśli, pływających po martwym morzu.

Człowiek za końską maską odchrząknął, chociaż i tak był w centrum uwagi.

– Jak już zapewne się zorientowaliście, zostaliście zameldowani w pokoju hotelowym. W hotelu Great, w centrum Londynu, uściślijmy. Jesteście na czterdziestym trzecim piętrze. Pokój nie jest luksusowy, ale moi ludzie dokonali w nim kilku modyfikacji. Po pierwsze zabezpieczyli drzwi, otwory kanałów wentylacyjnych i okno. Z pokoju nie da się wydostać, chyba że na moje wyraźne pozwolenie. Nie będziecie mogli uciec, póki nie zechcę was wypuścić. W wypadku pożaru, cóż... – przerwał, żeby wydać gardłowy chichot. – Poza tym przeprowadziliśmy drobny remont i wytłumiliśmy cały pokój materiałem dźwiękoszczelnym. Udało się wam już narobić sporo hałasu całym tym krzykiem i waleniem w drzwi, ale możecie być pewni, że nikt go nie słyszał i nikt nie przyjdzie. Nie usłyszy was ani jedna osoba po drugiej stronie, choćbyście wygenerowali najgłośniejszy dźwięk świata. Nie było łatwo umieścić was tutaj. Potrzeba było więcej niż kilku wycieczek z wielkimi skrzyniami. Na szczęście żadne z was się nie obudziło. A teraz obsługa hotelu sądzi, że w tym pokoju odbywa się bardzo ekskluzywna impreza, w dodatku otrzymała polecenie, żeby wam nie przeszkadzać. Jeśli z jakiegokolwiek powodu uda się wam skontaktować z recepcją, odbierze kobieta, którą już chyba słyszeliście.

– Jaka kobieta? – spytał Ryan Shepparda.

Sheppard nie odpowiedział od razu.

– W telefonie... odezwała się jakaś kobieta. Myślałem, że to automat, ale... ona... To ona mnie obudziła.

– Ona pracuje dla mnie. To oczywiste. A teraz zablokowała możliwość wykonywania rozmów telefonicznych przychodzących i wychodzących...

– Mówiła coś o rzeczach, które mają się stać. „Nie mogę się doczekać, co pan teraz zrobi”. Co zrobię? Z czym?

Maska znieruchomiał. Nie umiał odgadnąć jego rysów twarzy, ale wyobraził sobie, że wykrzywia je wyraz pogardy.

– Trochę się dziś zabawimy. Zagramy w morderstwo. Odkryłeś już, że jeden z pozostałych gości opuścił ten padół. Dokładnie mówiąc, został brutalnie zamordowany przez jednego z moich współpracowników. A teraz najlepsze: wspomniany współpracownik – zabójca – znajduje się z tobą w pokoju. Jedna z tych tu osób jest mordercą. Pozostali nie; są tu dla zmyłki, podkręcenia fabuły, myśl o nich, co chcesz.

Co?! Zabójca... mężczyzny w wannie... znajdował się w pokoju?!

– Rozejrzyj się, Morgan. Pięć osób. Pięcioro podejrzanych. Jeden zabójca. Ktoś tu nie jest tym, na kogo wygląda.

Nie tylko Sheppard rzucał wokół siebie nerwowe spojrzenia. Pozostali też. I zaczęli się powoli oddalać od siebie, zajmując pozycje, w których czuli się bezpieczni.

Wiedział, jak to się skończy.

– To teraz słuchaj, Morganie Sheppardzie. Wygląda na to, że zostałeś detektywem... z pokoju. Dam ci trzy godziny. Trzy godziny na rozwiązanie zagadki morderstwa, na odkrycie, kto z pozostałych gości z zimną krwią zabił człowieka.

– Dlaczego to robisz? Dlaczego miałbym brać w tym udział?

*To moja wina. Oni wszyscy są tu przeze mnie.*

Maska znów wydał z siebie ten rechot – cichy i pozbawiony emocji.

– Wiem, Sheppard... Nie masz w zwyczaju robić niczego *pro bono*. Jak się chce, żeby nudny człowiek zrobił coś nienudnego, trzeba mu dać powód. Coś, co go zmotywuje. To co powiesz na to? Kiedy powiem start, rozpocznie się odliczanie. Stoper jest na stoliku nocnym. – Sheppard spojrzał na niego,



po czym wrócił oczami do końskiej głowy. – I nie ma sposobu, by go zatrzymać, zanim odliczy do zera.

Sheppard milczał.

Maska też.

Wreszcie ciszę przełamał głos Mandy.

– A co się stanie, kiedy dojdzie do zera?

– Jeśli Morgan Sheppard nie zidentyfikuje poprawnie mordercy w ciągu trzech godzin, wszyscy umrzecie. I nie tylko wy wszyscy w pokoju. Wszyscy w hotelu. Moi ludzie założyli w budynku ładunki wybuchowe. Wystarczy, że wcisnę przycisk, a hotel Great zamieni się w wielką ruinę.

Rozległy się jęki i krzyki oburzenia. Z czyich ust? Wszystkich? Nie wiedział. Nie znajdował się już w pokoju. Odpłynął gdzieś indziej, w puste miejsce, gdzie nie było nikogo poza nim i mężczyzną w telewizorze.

– W szkołach są teraz wakacje, Morgan. Jak myślisz, ilu turystów jest w tym hotelu? Ile młodych rodzin, ile dzieci, które przyjechały tylko po to, by obejrzeć *Wicked* i przejść się do Hamlejsa pooglądać zabawki? Wszyscy wylecą w powietrze.

– Jesteś chory – stwierdził Alan. – Zdeprawowany.

Maska znów się wykrzywiła.

– Trzy godziny. Jedno morderstwo. Nic trudnego dla naszego zdolnego Shepparda. Właściwie to sprawi mi ulgę, jeśli te kilkaset śmierci nie będzie ciążyło mi na sumieniu. Ale zasady to zasady. Trzeba trzymać się ich tak samo jak obietnic. W przeciwnym razie zapanuje chaos. Inna sprawa, że pewnie w tym wypadku chaos zapanuje niezależnie od wszystkiego.

Naprawdę przydałoby mu się coś do picia. Albo tabletki. Zawsze pomagały, kiedy rzeczywistość stawała się zbyt... realna.

– W szufladzie stolika nocnego masz regulamin. Na wypadek, gdybyś o czymś zapomniał. Ale tak naprawdę to bardzo proste. Trzy godziny. Jeśli

odpowiesz źle, wysadzę budynek. Odmówisz współpracy? Wysadzę budynek. Sprawisz mi za dużo zacho-  
du? Wysadzę budynek. Zrobisz cokolwiek, co mi się nie spodoba... Wysadzę. Budynek. Rozumiesz?

Nagły ruch. Ryan popędził do drzwi. Zniknął za załomem korytarza i po chwili Sheppard usłyszał głośny łomot.

– Wypuść nas! Natychmiast nas wypuść! – krzyczał Ryan.

– Ktoś tu ewidentnie nie słuchał – stwierdził człowiek w masce.

– Hej! Natychmiast nas wypuść. – Dudnienie nie ustawało. – Błagam, czy ktoś mnie słyszy? Wypuść nas. Natychmiast!

Maska wbił oczy przed siebie i kontynuował wypowiedź bezpośrednio do Shepparda.

– Nie możesz prowadzić śledztwa w kajdankach. Wybacz, że cię w ogóle skułem. Rzecz w tym, że jesteś trochę... nieprzewidywalny. To normalne u nałogowca.

To słowo. Nałogowiec. Złe słowo.

– Poza tym pomyślałem, że przydadzą ci się kajdanki.

Ryan pojawił się z powrotem.

– Jesteś szalony – stwierdził Sheppard. – Nienormalny.

– I kto to mówi? – Teraz jeszcze sarkazm? Nie sposób go wychwycić w monotonnym głosie Maski. – Klucz znajduje się w regulaminie, w szafce obok ciebie. Otworzysz nim kajdanki. I będziemy mogli zacząć zabawę.

– Proszę, uwolnij nas. Po prostu nas uwolnij. – Sheppard szarpał kajdankami. Miotał się. W końcu z jego ust wydostało się zasadnicze pytanie: – Kim jesteś?

Maska przyglądał mu się tak długo, że Morgan stracił nadzieję na odpowiedź.

– Dam wam dwie minuty na przygotowanie. Bo mam dobre serce. A potem zaczynamy.

Telewizor wyłączył się.

To się nie działo naprawdę. Nie mogło. A jednak.

Po kolei wszyscy odwrócili się w jego stronę, spoglądając tak, jakby oczekiwali wyjaśnień. Pokój wydał mu się większy niż na początku. Każdy wziął w posiadanie fragment przestrzeni. Porywacz zebrał ich tu, a potem rozczłonkował grupę. Ze wszystkich twarzy wyzierała podejrzliwość.

– Co?

– Nie ro...?

– Ale...?

Ich głosy się zlewały. Nie potrafił się skupić. Musiał. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Kiedy z powrotem rozwarł powieki, zobaczył Ryana idącego po lewej stronie łóżka. Otworzył górną szufladę szafki nocnej i wyciągnął segregator opatrzony napisem ZASADY. Otworzył go i wyciągnął kluczyk. Odłożył segregator na łóżko i wzruszył ramionami, patrząc na Shepparda.

Klucz był tak blisko. I tak daleko.

Sheppard uśmiechnął się do niego smutno, a Ryan sięgnął w stronę jego wykręconych nadgarstków.

– Zaraz, poczekaj chwilę.

Ryan znieruchomiał. *Nie, nie, nie.* Rozejrzał się.

Alan przyglądał się im ze znaną już Sheppardowi krzywą miną.

- Może byłoby najlepiej nie uwalniać tego człowieka?
- Bez jaj! – krzyknął Sheppard.
- Dlaczego? – spytał Ryan.
- Wydaje mi się po prostu – stwierdził Alan – że nie ma powodu, by wierzyć we wszystko, co słyszymy. Co, jeśli to on stoi za tym wszystkim? Co... – rozejrzał się za Mandy. – Ty, blondynka, co wcześniej mówiłaś?
- Co?
- Byłaś zdania, że to jest jakaś ściema, jakaś akcja marketingowa, prawda? Coś się zmieniło?
- Był pan w łazience – odparła Mandy. – Widział pan tego... mężczyznę. Alan wzruszył ramionami.
- Mam na myśli tylko to, że co jeśli jedyna niebezpieczna osoba w tym pokoju jest już w kajdankach?
- Sheppard stęknął. Musiał się uwolnić.
- Ty tak serio? Nie słyszałeś, co powiedział koleś w telewizorze? Musicie mnie natychmiast rozkuć.
- Tylko co potem? To mnie przerasta. Po prostu przerasta.*
- Nic nie musimy – stwierdził Alan. – Jesteśmy tu wyłącznie z twojej winy, nieważne jak na to spojrzeć. Wy w tej telewizji wszyscy jesteście tacy sami. Jeśli ten człowiek w masce nie zmyślał, to znaczy, że tylko ty możesz nas uratować? Boże, miej mnie w opiece!
- A co pańskim zdaniem stanie się za trzy godziny? – powiedział Ryan, odwracając się z powrotem w stronę Shepparda.
- Tak. Użyj klucza. Po prostu mnie rozkuj.*
- Czcze pogroźki – odpowiedział Alan. On naprawdę wierzył w każde słowo, które opuszczało jego usta. – Mamy zaufać mężczyźnie w masce o kształcie końskiej głowy?
- Nic innego nam nie pozostaje – powiedział Sheppard. – Umieścił nas

tu. Nas wszystkich, ale jeśli jesteście tacy jak ja, to za cholere nie chcecie tu być.

– Jez... – zaczęła Constance.

– Przykro mi – kontynuował Sheppard. – Ale skąd mamy wiedzieć, czy blefował?

Ryan mu przytaknął i sięgnął ponownie do kajdanek.

– Ma pan rację.

– Popelniasz bład – ostrzegł go Alan.

*Tak. Dzięki Bogu.*

Ryan przez chwilę męczył się z zamkiem, a przez umysł Shepparda przemknęła przerażająca myśl, że może to nie ten klucz. Może Maska bawi się nimi. Potem jednak rozległ się klik. Zwiotczone ręce Shepparda opadły na materac, a jego ciało osunęło się w dół łóżka. Dał sobie chwilę, po czym usiadł prosto.

Wyciągnął ręce, żeby odzyskać krążenie. Zwrócił uwagę na nadgarstki, które wystawały spod mankietów – otarte do czerwoności, miejscami pokryte zakrzepłą krwią. Paliły przy najdelikatniejszym dotyku.

– Dzięki – powiedział, a Ryan odpowiedział skinięciem głowy.

Spróbował zebrać się z łóżka. Chwilę walczył z kołdrą, wreszcie zsunął nogi na podłogę, ale stanął za szybko. Świat zakręcił się wokół niego. Oparł się ręką o ścianę, żeby nie upaść.

Wnętrze pokoju wróciło do normy. Z tej wysokości wszystko wydawało się mniejsze, ludzie mniej onieśmialający. Dotknął podbródka i wyczuł kłujący zarost, trochę dłuższy, niż pamiętał.

Obserwowali go. Zdawał sobie z tego sprawę. Potrzebował planu.

*Musimy się stąd wydostać.*

Odwrócił się, powoli. Nie chciał, żeby znów zrobiło mu się niedobrze. Stolik nocny. Zegarek. Wciąż pokazujący 03:00:00. Odliczanie się nie

zaczęło. Dwie minuty. Ile minęło? Segregator z etykietą ZASADY na łóżku, tam, gdzie odłożył go Ryan. Duży. Ryan zajrzał tylko na pierwszą stronę. Sheppard sięgnął po niego.

Był ciężki, pełen kartek. Przeczytanie wszystkiego zajęłoby więcej niż trzy godziny.

Zmartwienie wyparowało z jego głowy, kiedy tylko otworzył okładkę. Na pierwszej stronie znajdowały się dwa słowa: SŁUCHAJ KONIA. Dalej – nic. Szybko przekartkował całość. Puste strony, jedna za drugą. Nic. Żadnych więcej zasad. Taki żart. Poza jednym zdaniem na ostatniej stronie.

CHŁOPAK KŁAMAŁ.

Co to miało, do cholery, znaczyć? Sheppard ze złością cisnął segregatorem, który spadł na łóżko, odbił się od materaca i z głuchym łupnięciem wylądował na podłodze.

– Tam nic nie ma. Nic więcej.

Czego się spodziewał?

– Co teraz? – spytał Ryan.

Z powrotem w pokoju. Wszystkie zagubione twarze wpatrzone w niego. Nawet dziewczyna w słuchawkach. Ciekawe, ile słyszała?

Sheppard nie odpowiedział Ryanowi. Przepchnął się obok niego i ruszył w stronę przedpokoju. Stał w wejściu i stwierdził, że przedpokój wygląda tak, jak się spodziewał. Drzwi wejściowe, po prawej otwarta garderoba, w niej puste wieszaki, dodatkowe koce i niewielki sejf, a po lewej kolejne drzwi, które musiały prowadzić do łazienki. *Nie myśl o tym, co się w niej znajduje. Po prostu nie myśl.* Był przekonany, że nie zniesie widoku martwego ciała. Nie zamierzał go oglądać, póki nie musiał.

Zostawił łazienkę na później i podszedł do drzwi wejściowych. W pierwszej kolejności zwrócił uwagę na informacje dotyczące procedury ewakuacji, lokalizacji punktu zbornego na ich piętrze. Na kłamce wisiała

kartka z informacją – do wyboru „nie przeszkadzać” albo „proszę posprzątać pokój”. Chwycił klamkę i odczuł pewną przyjemność, kiedy chłód stali rozszedł się po jego dłoni. Wróciły mu zmysły. Pociągnął. Nic. Pociągnął raz jeszcze. To samo.

Mandy miała rację. Lampka na czytniku kart świeciła się na czerwono. Pytanie, czy można go było przeprogramować? Czy człowiek w masce go zhakował? Sheppard odnalazł wzrokiem drugi czytnik, w który wkładało się kartę, żeby włączyć prąd, ale był pusty. Przyszło mu do głowy, żeby wcisnąć włącznik. Światła się zapaliły. Co? Wyłączył je z powrotem. Nic z tego nie rozumiał.

Spojrzał ponownie na drzwi. Na pewno nie dało się ich wyważyć. To były solidne drzwi przeciwpożarowe, otwierające się do środka. Przeciągnął palcem po krawędzi skrzydła. Odniósł wrażenie, że wyczuwa przeciąg – z korytarza – ale mogło mu się tylko wydawać.

Wyjrzał przez panoramiczny wizjer. Korytarz wyłożony dywanem w stonowanym kolorze, poza tym nic, tylko ciąg drzwi po lewej i prawej. Naprzeciw – drzwi z tabliczką 4402. Zacisnął pięść, ale zatrzymał rękę w pół drogi. Nie było sensu łomotać. Inni już próbowali i nic to nie dało.

W jego myśli wkradła się klaustrofobia. Nieważne, jak duży był pokój, nagle wydał się mu się o wiele za mały. Naprawdę przydałby się łyk czegoś mocniejszego albo jedna czy dwie tabletki. Musi się stąd wydostać. Dlaczego nie może przestać myśleć o minibarze?

Odwrócił się. Wciąż wpatrywały się w niego wszystkie oczy. Z zainteresowaniem. Nikt nie sprawiał wrażenia, jakby mógł pomóc – nawet Alan nie miał nic do powiedzenia. Kiedy Sheppard ruszył w stronę okna, rozstąpili się przed nim. Może mieli nadzieję, że zna drogę ucieczki. Sheppard jednak, choć odwiedził w życiu wiele hoteli, nigdy nie wychodził ani nie wchodził do swojego pokoju inaczej niż przez drzwi.



Oparł dłonie o parapet i omiótł wzrokiem panoramę Londynu. Był słoneczny dzień. Spomiędzy szczytów budynków wyglądało London Eye. Po lewej miał dworzec Waterloo, po prawej Westminster. Znajdowali się na tyle wysoko, że wszystkie te atrakcje turystyczne widać było z jednego okna.

Zastanawiało go, czy nie mogliby wysłać komuś sygnału. Pośrodku naprzeciw hotelu wyrastał budynek, który w dużej mierze przesłaniał słońce. Wyglądał na biurowiec. Sheppard zmrużył oczy, żeby zobaczyć, co widać w jego oknach. Biura były puste – wyglądało na to, że w środku trwa remont. Nikogo tam nie było.

To teraz... właściwie co teraz? Drzwi wejściowe odpadały. Okno nie dało się wybić. Kanały wentylacyjne? Może?

Zerknął na ścianę za łóżkiem. Zajęło mu chwilę, żeby znaleźć kratkę wywietrznika, bo ktoś pomalował ją na kremowy kolor ściany. W końcu jednak ją dojrzał.

Wdrapał się na łóżko i stanął tak pewnie, jak to było możliwe. Miał nadzieję, że się nie przewróci. Jego nadgarstki zaprotestowały, kiedy otarły się o mankiety, ale utrzymał równowagę i podszedł do ściany. Wywietrznik wyglądał na dostatecznie duży, by zmieścić się w nim człowiek. Udało mu się precyzyjnie przecisnąć palce przez kratkę i uchwycić środkowy pręt, ale kiedy pociągnął, ten nawet nie drgnął. Przyjrzał się krawędziom. Przykręcone śrubami o płaskich łbach. Spróbował chwycić kilka z nich, ale nie było mowy, żeby się ruszyły.

Odwrócił się.

– Macie coś w kieszeniach? – spytał. – Jakieś drobne? Monety?

Wszyscy sprawdzili. Każda z osób sprawiała wrażenie zamkniętej we własnym małym świecie. Po kilku sekundach wbili w niego z powrotem wyzute z wyrazu spojrzenia – niczego nie znaleźli.

Stracili do siebie zaufanie. Sheppard wiedział, że na dobre.

– Hej, spróbuj tym – powiedział Ryan i podał mu kluczyk od kajdanek.

Sheppard próbował wcisnąć klucz w rowki śrub, ale był za gruby. Wyślizgiwał się z nich, kiedy próbowało się nim mocniej obracać.

Drzwi, okno, kratka. Nic. Żadnej drogi ucieczki.

Musiało być coś jeszcze – coś, czego nie spróbował – ale poza łomotaniem w ściany nic nie przychodziło mu do głowy. Omiótł wzrokiem wewnątrz pomieszczenia i rzucił klucz Ryanowi. Żadnych innych wyjść. Zwyczajny pokój hotelowy.

Tyle że nie do końca. Przestał być zwyczajny jakiś czas temu. Od chwili, gdy koleś z głową konia rozpoczął swoją grę. Jeśli jednak ich porywacz miał o czymkolwiek pojęcie, powinien wiedzieć, że Sheppard nie był w stanie sprostać jego żądaniom. Od bardzo dawna nie prowadził prawdziwych dochodzeń. Był tylko twarzą programu. Kimś, kto opowiada o rzeczach bez znaczenia, wysnuwając odważne hipotezy dotyczące mało ważnych tematów.

*On chce zobaczyć, jak ponosisz porażkę.*

Co miał teraz zrobić? Zwinąć się w kłębek w narożniku pokoju i przygotować się na śmierć?

Bo zamiast pokoju hotelowego zaczął widzieć wokół siebie coś innego.

Trumnę.

Życie upłynęło mu za szybko. Mrugnięcie oka i znalazł się tu, w tym pokoju. Miał za sobą swoje pięć minut sławy, a teraz, po raz pierwszy, żałował, że ludzie wciąż go rozpoznają. Mimo że nigdy nie pragnął niczego innego. Miał czternaście lat, kiedy poznał swojego agenta. Przez kolejne trzy rodzice starali się trzymać go z dala od światła jupiterów, co tylko podsycało jego głód.

– Hej, młody – usłyszał, kiedy spotkali się pierwszy raz. Dziesiątki lat temu. Ale bardzo niedawno.

Czyżby to była jego wina? Mężczyzny, który miał na imię Douglas, i którego uważał dziś za swojego jedyne prawdziwego przyjaciela? A może to rodzice zawinili? A może on sam?

Douglas zabrał go na lody, upewniwszy się najpierw, czy nie popełnia *faux pas*. Sheppard zapewnił go, że w wieku czternastu lat lody wciąż smakują tak samo dobrze. Ludzie gapili się na nich, na pewno kojarzyli go z telewizji. Wciąż dużo się rozmawiało o tym, co zrobił – to było zajebiste.

– Morgan, czego pragniesz najbardziej na świecie?

– Być sławny.

– Oj, chłopie, już jesteś. To, co zrobiłeś kilka lat temu, to było naprawdę nie do uwierzenia. Chcesz sławy? Nie musisz robić nic więcej. Za to jeśli chcesz pozostać sławny... cóż, w tym mógłbym ci pomóc.

Morgan uśmiechnął się. Jak zawsze.

Minęły lata. Znalazł się tutaj. Pomyślał, że być może już nigdy się nie uśmiechnie. Co mu po sławie? Proszę, niech mu ją odbiorą. Program, książkę, artykuły. *Wszystko, byle tu nie trafić.* Bo teraz będzie znany z zupełnie innego powodu. Ponieważ spowodował śmierć wszystkich tych ludzi.

Użalałby się nad sobą dłużej, ale z transu wyrwało go głośne pikanie. Alarm, gdzieś w pokoju. Sheppard zszedł z łóżka i rozejrzał się za źródłem dźwięku. Na stoliku nocnym. Cylindryczny zegarek z cyfrowym wyświetlaczem zaczął odliczanie. 03:00:00 zmieniło się w 02:59:54. Sześć sekund. I kolejne – już za nimi. Na jego oczach sekundy przelatywały im między palcami. Pikanie ustało. Odliczanie nie.

Trzy godziny na rozpoznanie mordercy.

Sheppard rozejrzał się dookoła. Ryan obserwował go uważnie z niebezpiecznym wyrazem nadziei w oczach. Pewnie kojarzył, że Sheppard często podobnie wyglądał w swoim programie telewizyjnym, ale błędnie wziął jego beznamiętny wyraz twarzy (spowodowany czytaniem z telepromptera) za zamyślenie. Teleprompter od początku był jego najlepszym przyjacielem. Za tekstem wyświetlanym przez tę małą czarną skrzynkę stał cały zespół, faktyczne mózgi programu. Jedna wielka ściema. Ot, cała telewizja.

– Potrafisz to zrobić, prawda? – upewnił się Ryan. – Będziesz umiał nas stąd wydostać?

Za Ryanem nie widział nic poza twarzami pozostałych. I zauważył, że w ich myślach też pojawiła się nadzieja. Nawet Alan jakby odrobinę złagodniał. Najgorsza była Mandy – wyglądała, jakby prawie miała pewność.

*Nie potrafię was uratować. Nie da się stąd wydostać.*

Morderca – jest w tym pokoju.

Żadna z osób nie wyglądała na zdolną do zabójstwa – ale jedna z nich była.

Sheppard spojrzał na swoje dłonie. Nie potrafił już patrzeć na pozostałych. Ręce mu się trzęsły – prawie niezauważalnie, ale jednak – jego ciało i umysł boleśnie pragnęły alkoholu i tabletek. Jego ramiona odpowiadały bólem innego rodzaju. Ale nie ból stanowił największy problem, prawda?

*Nie potrafisz.*

Jego jedyne prawdziwe zwycięstwo miało miejsce dwadzieścia pięć lat temu. Wiele mogło się zdarzyć przez tak długi czas, i tak właśnie było. Musiał jednak przyznać, że niewiele z tego, co robił, miało jakiegokolwiek znaczenie. Czyżby naprawdę zmarnował życie? Przeżył je na pół gwizdka? Może zatem zasługiwał na właśnie taki koniec.

Wrócił myślami do wszystkich podręczników, które kiedyś przeczytał – książek wyjaśniających, jak być detektywem. Większość informacji była zaczerpnięta z seriali telewizyjnych i powieści. Dochodzenie w sprawie o morderstwo było poważną rzeczą. Nie dla jednej osoby. W prawdziwym świecie nie było Sherlocków Holmesów, panien Marple czy Herculesów Poirotów.

*Bohater przybywa na ratunek. Za każdym razem. Bzdura. Ale co, gdyby...*

Gdyby spróbował? Los nie był po jego stronie – trzy godziny, pięcioro podejrzanych, jeden trup. To nie mogło być niemożliwe, prawda? Mało prawdopodobne, że się uda, ale nie niemożliwe.

*To mi się w tobie podoba, Morgan. Świnia z ciebie.* Nareszcie zrozumiał, co Douglas miał na myśli, kiedy to powiedział. Człowiek w masce dawał mu okazję, by stał się kimś więcej, niż samemu udało mu się stać. Szansę, by zostać prawdziwym bohaterem.

Sheppard uniósł wzrok. Nadzieja widoczna na twarzach pozostałych nie

jawiała mu się już niczym choroba, bo sam też ją czuł. Przypomniawszy sobie cytaty z książki, którą czytał dawno temu: „Morderstwo to najstraszniejsza zbrodnia, jaką może popełnić człowiek. Ale przynajmniej zapewnia dobry punkt wyjścia do dochodzenia”. Roześmiał się na te słowa – ale autor miał rację. Musiał to zrobić – pójść do łazienki i stawić czoła temu, co tam na niego czekało.

Przepchnął się obok Ryana i przeszedł do przedpokoju, gdzie skręcił w lewo i stanął pod drzwiami łazienki. Na chwilę przystanął, po czym położył dłoń na klamce i wziął głęboki oddech.

– Co pan robi? – spytała Mandy.

Z pokoju wyciekał czas. Stali wewnątrz klepsydry, wyciągając dłonie z nadzieją, że pochwycą część piasku.

– Zamierzam odkryć, kto popełnił to morderstwo – odparł i przekonał się, że ma jeszcze siłę na ostatni uśmiech.

W porównaniu z mroczną sypialnią w łazience było oślepiająco jasno. Zamykając za sobą drzwi, Sheppard uniósł drugą rękę, żeby osłonić oczy. Rozejrzał się spod łokcia. Jego oczy wciąż oswajały się ze światłem. Dostrzegł marmurową umywalkę, nieskazitelnie biały sedes, ręczniki zawieszony na drabinkowym kaloryferze i dodatkowe ułożone na półce powyżej. Bywał w takich miejscach wcześniej wiele razy, na całym świecie. Dobrze wiedział, że po prawej znajdzie wannę z prysznicem, pojemniki na żel do kąpieli i szampon, przykręcone do ściany. Na razie żadna z tych rzeczy nie była na widoku – wszystko skrywała półprzezroczysta prysznicowa zasłona.

Nie chciał jeszcze myśleć o tym, co było w wannie, więc bezwiednie wpatrzył się w swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Podszedł bliżej i dotknął dłonią twarzy, żeby się upewnić, że dobrze widzi. Wyglądał starzej niż ostatnio. Pod oczami miał ciemnosine worki. Jego włosy były zmatowiałe, a dolną połowę twarzy pokrywały plamy nierównomiernego zarostu. Wokół jego oczu, ust i brwi widniało o wiele więcej zmarszczek, niż pamiętał. Jakiś obcy mężczyzna ubrany w jego twarz.

Oparł dłonie na umywalce i poczuł, że coś zgniata. Spojrzał w dół, na małe kostki mydła i tubki pasty do zębów, ale to nie było to. Uniósł dłoń i odkrył pod nią okulary.

Poczuł ścisk w brzuchu, ale podniósł je i obrócił w dłoniach. Nieważne, z której strony patrzył, nie było mowy o pomyłce – to były jego okulary. Był krótkowidzem i nosił je o wiele rzadziej, niż powinien. Nigdy publicznie. Nigdy. Nikt nie wiedział, że potrzebuje okularów, nawet Douglas.

Uniósł wzrok i spojrzał sobie w oczy.

*Kto to robi?*

Porzucił tę myśl. Nie teraz. Miał zadanie do wykonania. *Po prostu ciesz się, że je masz.* Założył okulary. Zawsze mu się wydawało, że głupio w nich wygląda. Teraz to nie miało znaczenia.

Podwinął rękawy, odsłaniając rany po kajdankach. Nie zdawał sobie sprawy, że wyglądają tak źle – oba nadgarstki były otoczone szkarłatnymi bransoletami o postrzępionych krawędziach.

Puścił wodę i wsunął lewy nadgarstek pod strumień zimnej wody.

– Aaa – stęknął. Piekło. Teraz prawy.

Kiedy skończył, sięgnął po papier toaletowy. Końcówka była złożona w trójkąt, tak jak się spodziewał. Osuszył nadgarstki, pozostawiając na listku czerwone plamy.

Odwrócił się w stronę wanny i wziął głęboki oddech. Nie miał wyboru – musiał to zrobić. Wanna była duża i od zewnątrz idealnie biała poza wąską stróżką cieczy, która ściekała w stronę podłogi, ale zaschła w połowie drogi. Czerwonej cieczy, pasującej do jego nadgarstków. Krwi.

Na zasłonie krwi na szczęście nie było, ale kiedy Sheppard do niej podszedł, dostrzegł prześwitujący złowrogi kształt – czarną masę zniekształconą przez półprzezroczysty plastik.

W jego nos wgrzyźł się ten zapach, nie do pomylenia z żadnym innym – mroczny i metaliczny.

Nie dał sobie czasu, by dopadło go zwątpienie. Chwycił zasłonę. Odliczył w myślach – *raz, dwa, trzy.* Jednym zdecydowanym ruchem odsłonił wannę.



Zapach przybrał na sile, ale Sheppard zmusił się, żeby skierować wzrok w dół. I zobaczył. O Boże. Tłumiąc krzyk, który cisnął mu się do gardła, zrozumiał, dlaczego Mandy tak zareagowała.

W wannie leżał twarzą do dołu mężczyzna w brązowym garniturze. Pozycja wyglądała na niewygodną, ale można by się uwierzyć, że śpi – gdyby nie krew. Mnóstwo krwi. Zebrała się wokół korpusu w kałużę, z której rozpląnęły się i szybko zaschły w kontakcie z chłodnym powietrzem liczne wężyki. Było jej mnóstwo – zbyt dużo. Rozlała się po całym dnie, wywołując złudzenie, jakby mężczyzna kąpał się w szkarłacie.

Tyle krwi. *Skup się na czymś innym.*

Ofiara miała siwe włosy i zaczątki łysiny – z głowy odstawały pod dziwnymi kątami szaro-białe kępki, spod których prześwitywała skóra. Dłonie mężczyzny były ułożone wzdłuż tułowia, upstrzone krwią i pomarszczone. Sheppard wolał nie myśleć o tym, co powinien teraz zrobić – nachylił się i powoli sięgnął do wanny, trzymając się jak najdalej od krwi. Przyłożył palec do lodowato zimnego nadgarstka mężczyzny. Odczekał trzydzieści sekund. Brak tętna. Czy naprawdę spodziewał się czegoś innego?

Starszy mężczyzna. Uśmiercony. Ale jak?

Rana była z przodu. Musiał go odwrócić. Zrobiło mu się niedobrze na samą myśl, ale nie miał wyboru. Niezdarnie osunął się na kolana, podpierając się o krawędź wanny. Kiedy dotknął podłogi, stracił równowagę i jedna z jego dłoni ześlizgnęła się do wanny. Gwałtownie przechylił się do przodu i poczuł chłodną lepkość krwi.

Wyciągnął dłoń z obrzydzeniem i zanim zdążył pomyśleć, wytarł ją o koszulę, zostawiając pas czerwieni w poprzek piersi. Pożałował tego prawie natychmiast, kiedy poczuł zapach unoszący się z plamy i zdał sobie sprawę, że będzie mu towarzyszył do końca.

Odzyskał panowanie nad sobą. Jak się za to zabrać? Sięgnął do wanny

i chwycił mężczyznę po obu stronach tułowia. *Zrób to szybko. Zrób to szybko. Zrób to szybko.*

Jednym szybkim ruchem, odpychając się kolanami, uniósł jedną stronę ciała. Następnie pociągnął. Pozwolił zwłokom osunąć się po wklęsłości wanny i po chwili mężczyzna leżał twarzą do góry.

*Nie patrz na twarz.* Nie potrafił się do tego zmusić. Połowicznie skrzepła krew wydawała mlaskające odgłosy, kiedy ciało układało się w nowej pozycji na dnie wanny.

Skupił się na tułowi mężczyzny, wspominając setki fotografii z miejsc zbrodni, które oglądał w programie. Wyłącznie zdjęcia, żadnych filmów. Wszystkie z przeszłości. Zrobione w odległych miejscach. Nigdy na jego oczach. Nigdy nie musiał dotykać ofiary ani wdychać jej zapachu.

Spod rozpiętej marynarki mężczyzny wyglądała jasnozielona koszula i niebieski krawat. Tak w każdym razie sądził. Oba kolory były przemieszane z czerwienią. Garnitur – zniszczony. Trudno było określić, skąd właściwie wyciekła krew. Było jej za dużo. Ale najwięcej, wydawało mu się, wokół dolnej części tułowia.

Kiedy przyjrzał się bliżej, zauważył, że koszula jest rozerwana. Na dole, po lewej. Nachylił się najniżej, jak pozwalała mu odwaga, i dostrzegł ranę. Właściwie to dwie, dwie głębokie rany bezpośrednio nad paskiem w spodniach. Rozcięcia tak głębokie, że pewnie sięgały jakiegoś narządu wewnętrznego. Może jelit? Sheppard nie miał pojęcia. Proste szczeliny. Wąskie. Rany klute. Może od noża?

Dwie. Ktoś zatopił w tym człowieku nóż, wyciągnął go i pchnął jeszcze raz. Dziab, dziab. Drugi raz dla pewności. Pewnie celował w to samo miejsce. To musiało być naprawdę mocne pchnięcie, skoro wypłynęło tyle krwi.

To tyle. Nic więcej nie mógł założyć. Atak nożem. Czy osoba lepiej

zorientowana dostrzegłaby więcej? Wiedziałyby, kto go zabił? Do której z osób w pokoju to pasowało?

Rozmyślając, powiódł wzrokiem w górę klatki piersiowej mężczyzny. Starego, przykurzonego garnituru. Krawatu klóćącego się z koszulą. Twarzy. Krótkiego siwego zarostu. Zamkniętych oczu. Jego...

Sheppard odskoczył od wanny, uderzył plecami w drabinkę na ręczniki i z głośnym tąpnięciem runął na tyłek. Zabolało go, ale nawet nie zwrócił na to uwagi. Przebierając rękami i nogami niczym przerażone zwierzę, wcisnął się w narożnik za sedesem. Wziął długi paniczny wdech.

*Nie...*

*Dawniej...*

Wyrzucili go u stóp podjazdu jak zepsutą pralkę i odjechali najszybciej, jak się dało. Od jakiegoś czasu nawet nie patrzyli mu w oczy, kiedy do niego mówili, jakby sądzili, że opętały go demony czy coś w tym rodzaju.

Dom był całkiem ładny. Duży. Dobra dzielnica Londynu. Nie ta, w której chciał mieszkać jako dziecko, ale ładna. Spokojna.

Ruszył szutrowym podjazdem, chrzęszcząc jak najgłośniej przy każdym kroku. Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim do nich dotarł. Jakby mężczyzna po drugiej stronie na niego czekał.

Był stary. Pomarszczony. Kasztanowe włosy, chyba farbowane, bo poprzetykane siwymi. Miał serdeczne spojrzenie i zielone oczy obramowane okrągłymi okularami. Wyglądał na jednego z tych mężczyzn, którzy każdego ranka czytają gazetę, burczą na pogodę i emocjonują się, wypełniając zeznanie podatkowe. Ale robił miłe wrażenie. Miły człowiek pasujący do miłego domu pasującego do miłego miejsca. Co za nuda.

– Morgan, tak? – przywitał go, kiedy stanął u progu.

Nie odpowiedział.

– To byli twoi rodzice, w samochodzie? Chciałem z nimi chwilę porozmawiać.

Ależ proszę, niech rozmawia.

– Nieważne, jeszcze będzie okazja.

Mężczyzna spojrział na niego z góry.

– Pan leczy świrów? – spytał Morgan.

Roześmiał się.

– Jestem terapeutą, owszem.

– Powiedzieli, że muszę się leczyć. Taka była umowa.

– Cóż, czasami każdy musi porozmawiać o swoich problemach. Ale nie będę cię do niczego zmuszał. Jeśli nie będziesz chciał czegoś mówić, nie ma sprawy. Po prostu kiedy przeżyje się coś takiego jak ty, czasami dobrze jest mieć możliwość, żeby przeanalizować emocje, które się z tym wiążą.

Morgan wpatrywał się w niego, nic nie mówiąc.

Nieznajomy zatrzęsł się od stłumionego chichotu.

– Ale ze mnie ofiara, nie przedstawiłem się. – Wyciągnął pomarszczoną dłoń. – Nazywam się Simon Winter.

Morgan ją uściskał. Faktura zużytej torebki herbaty, ale i tak nią potrząsnął. Kiedy Simon zaprosił go do środka, wszedł.

*Nie...*

Ile lat temu? Pięć? Sześć? Simon Winter leżał w wannie. Martwy.

Jak to możliwe? Jak to się mogło stać?

Sheppard nie potrafił wziąć oddechu. To nie mógł być on. Po prostu nie mógł. Walcząc z instynktami, podszedł na czworakach do wanny i zajrzał do środka. Simon Winter. Bez dwóch zdań. Na dnie, w kałuży życia, które wyciekło z jego podbrzusza.

Po twarzy Shepparda popłynął strumień łez. Rozmazał mu się wzrok. Wydał z siebie dźwięk, który osoba za drzwiami mogłaby wziąć za charkot umierającego zwierzęcia. *Nie. Nie. Nie. Tylko nie on.* Jak to możliwe – jakim cudem Winter znalazł się tu, w tym pokoju?

Pytania – zbyt wiele pytań – ale przed oczami miał niezbywalny fakt. Simon Winter, jego dawny psychoterapeuta, nie żył. A jego martwe ciało w wannie na pewno było wiadomością. Mężczyzna w masce konia dobrze go znał, na pewno zdawał sobie sprawę, ile Winter dla niego znaczył.

Sheppard nakrył drżącą dłonią usta, spomiędzy których wydostał się kolejny skomlący dźwięk. Winter musiał być przerażony, umierając zupełnie sam. Sheppard zdjął okulary i otarł oczy.

Przyjrzał się Winterowi jeszcze raz. To wiadomość! Wiadomość, która miała uświadomić Sheppardowi, że Maska wiedział o nim naprawdę wiele,

wręcz zbyt wiele. Najpierw ten monolog, potem okulary, o których istnieniu nikt nie wiedział, a teraz Simon Winter, przygotowany specjalnie dla niego.

Potok łez nie ustawał. Nikt nie wiedział, że widywał się z Simonem Winterem przez większą część życia. A jednak. Miał go przed sobą. I Winter prawie na pewno zginął przez Shepparda. Kiedy widzieli się ostatni raz? Jakie słowa wtedy wymienili? Jedyne, co pamiętał, to że nie były miłe.

Simon miał do zagrania rolę. Każda zagadka morderstwa potrzebowała trupa. A każdy trup był punktem wyjścia do nowej zagadki. Czy Winter wciąż by żył, gdyby nie...?

Nie. *Nie możesz myśleć w ten sposób.* Jakby słyszał Wintera. *Jeśli sobie na to pozwolisz, Morgan, niedługo też będziesz martwy jak ja.*

Sheppard zmusił się, żeby pamiętać o upływającym czasie, wytarł załzawione oczy i sięgnął do wanny, żeby przeszukać ciało. Wsunął dłoń do lewej kieszeni spodni, przesiąkniętej krwią. Poczł się tak, jakby wciskał palce w ranę.

Zrobiło mu się niedobrze.

W kieszeni nic nie było, więc wyciągnął dłoń, starając się nie zwracać uwagi na opór stawiany przez lepką, skrzepłą krew.

Prawa kieszeń. Portfel. Wyciągnął go, przejrzał. Nic ciekawego – oysterka, karta kredytowa, jakaś karta lojalnościowa z księgarni. Nic, czego by nie wiedział. Dr Simon Winter, lat sześćdziesiąt pięć.

Wsunął portfel z powrotem i znieruchomiał na chwilę, bo przypomniał sobie coś, czego nie potrafił do końca określić. Kierowany instynktem uniósł dwoma palcami lewą połę marynarki. Wewnętrzna kieszeń. Sięgnął do środka wolną dłonią i wyciągnął to, czego się spodziewał.

Nieduży kieszonkowy notes. Minęło tyle lat, a on wciąż trzymał go w tym samym miejscu. Winter miał w zwyczaju sięgać po niego w trakcie sesji, zapisywać kilka słów i wkładać go z powrotem do kieszeni. Drobne

dziwactwo, które tak rozczulało, ale i frustrowało Shepparda – nie rozumiał, dlaczego Winter upiera się go chować, skoro wiedział, że za kilka minut znów będzie chciał w nim coś zapisać.

Notes praktycznie uniknął zaplamienia krwią, ale był stary i ledwo się trzymał. Nie zastanawiając się, Sheppard go otworzył i przerzucił kilka stron, zakładając że znajdzie niedawne notatki. Odkrył jednak poszarzałe pismo, ewidentnie sprzed wielu lat. Przejrzał spostrzeżenia na temat kilku różnych pacjentów, po czym trafił na stronę, na której znajdowało się jego nazwisko.

Morgan Sheppard. *Chwila*. Nie widzieli się od lat, a Winter miał przy sobie notes – stary jak diabli – pełen zapisków z jednej z ich sesji?

Sheppard zerknął na notatki Wintera, czując się, jakby naruszał jakieś zasady prywatności. Widniała przy nich data 6 czerwca 1997 i dotyczyła odbytej wówczas sesji. Wyglądało na to, że Winter zapisał różne standardowe informacje – nastrój Shepparda, poziom zdenerwowania, co mówił. Miejscami natykał się jednak na słowa podkreślone stanowczą, mocną kreską. Była nimi upstrzona cała strona. „Agresywny”, „maniakalny”, „a na dodatek – absurdalny...”.

Podkreślenia sprawiały wrażenie pozbawionych głębszego sensu. Na przykład w zdaniu: „a na dodatek – absurdalny nowy sen o...” podkreślenie urywało się na słowie „absurdalny”. A przecież chyba ważniejszy był ów „nowy sen” i jego opis... Co zatem miały oznaczać te wyróżnienia? Nieważne, zadawał sobie pytania sprzed dziesięcioleci. Teraz największe znaczenie miało, dlaczego Winter miał przy sobie ten notes? Czyżby to była kolejna wiadomość od mężczyzny w masce konia? Czy Sheppard już zniszczył jakiś materiał dowodowy? Jak mógł ufać, że cokolwiek w tym pokoju jest tym, czym się wydaje? Jak mógł ufać czemukolwiek w ogóle?

Sheppard wsunął notes do własnej kieszeni, bo nie potrafił się skupić, póki wpatrywał się w niego jego martwy terapeuta. Właściwie to ktoś



więcej – Winter był jego przyjacielem. Kiedy nie mógł ufać nikomu, nawet rodzicom. Czy Winter wspominał go miło? Czy może to, co się stało, położyło się cieniem na jego opinii o nim? Bo nie ulegało wątpliwości, że Sheppard potraktował go bardzo egoistycznie. Jak zawsze. Teraz jednak jego twarz nie wyrażała bólu. Przynajmniej tyle.

Sheparda zalała nowa fala łez.

– Przepraszam – wykrztusił łamiącym się głosem.

Sheppard wypadł z łazienki, stracił równowagę i prawie wylądował w garderobie. Obraz Simona Wintera leżącego w wannie nie chciał zniknąć – jakby stał się negatywem wywołanym na siatkówkach jego oczu.

Sheppard. Cała ta zagadka kręciła się wokół niego, jemu tymczasem nie przychodziło do głowy nic poza niemożliwymi pytaniami, na które musiały istnieć nieodgadnione odpowiedzi. Miał mętlik w głowie. W jego myślach wirowały elementy układanki: Winter, krew, blask poranka, Londyn, Paryż, kajdanki, okulary i maska w kształcie głowy konia. Miał trzy godziny, żeby je uporządkować. Nie, mniej niż trzy.

Sheppard przypomniał sobie coś, co jego francuska znajoma powiedziała w czerwonym pokoju. Nazwała go, z przekonaniem, dobrym człowiekiem.

*Dobry człowiek. Ale nie znała go, ani trochę.*

Była w to zamieszana? Miała za zadanie ściągnąć go do tego pokoju? To, co do niej poczuł, było prawdziwe, a w każdym razie na tyle prawdziwe, na ile obecnie było go stać. A ona? Wodziła go za nos? Jeśli tak, to tylko ułatwił jej zadanie – łyknął haczyk jak wygłodniała ryba.

Sheppard zatrzasnął drzwi do łazienki, jakby mógł w ten sposób sprawić, że koszmar się stamtąd nie wydostanie. Nic z tego. Było za późno. Kiedy rozejrzał się po pokoju, zdał sobie sprawę, że jego strach zainfekował pozostałych – wszyscy wyglądali trochę bladziej i apatyczniej.

Constance siedziała na krześle od biurka i przyciskała Biblię do piersi, jakby mogło jej to uratować życie. Didżejka wciąż chowała się pod biurkiem, Alan i Ryan rozmawiali szeptem przy oknie i tylko Mandy spojrzała na niego, kiedy wszedł do pokoju. Czekala, aż wyjdzie.

– Widział go pan?

Jedno z nich zabiło Simona Wintera. Jedna z osób, z którymi tu był.

Czy Winter zginął w wannie? Chyba musiał, skoro było tam tyle krwi. Ale Sheppard nie zauważył śladów walki. Czy to znaczyło, że zabójca też stał w wannie? To nie miało sensu. Krew była w dużej mierze skrzepła – ile czasu musiało minąć, od kiedy wyciekła? Kiedy zginął Winter? Przed czy po porwaniu Shepparda? Nie mógł wiele zrobić, póki nie wiedział, jak zdarzenia rozkładały się w czasie. Brakowało mu punktu odniesienia.

Ktoś się roześmiał. Bezceremonialny chichot. Sheppard i Mandy odwrócili się i zobaczyli, że Constance kręci się na krześle i śmieje.

– Proszę się przymknąć – nakazał jej Sheppard.

Każdy dźwięk, który rozlegał się w pokoju, docierał do wszystkich uszu. Jak w amfiteatrze. Sheppard wychwytał, co mówili Alan i Ryan. Rozważali, co byłoby potrzebne do wybicia okna i czy w jakikolwiek sposób pomogłoby im to uciec. Żadnych tajemnic.

– Mandy – Sheppard zabrał ją na stronę i ściszył głos najbardziej, jak to było możliwe, choć wiedział, że i tak wszyscy go usłyszą. – Wiesz coś o tej kobiecie?

– O niej? – upewniła się Mandy. – Tej szalonej?

– Tak.

Nie spodziewał się wiele, ale Mandy pokiwała głową.

– No... wie pan – odpowiedziała tonem sugerującym, że to rzecz oczywista – ona jest dość sławna. To znaczy, nie jak pan, ale mimo wszystko. Nie był pan na *Rain on Elmore Street*?

Coś mu świtało, ale nic konkretnego.

– To taki musical na West Endzie. Chyba w Lyceum. A to jest Constance Ahearn, ona tam gra główną rolę.

Majaczyło mu, że mijał ten teatr, przyglądał się potężnym markizom i podświetlonemu szyldowi wyłaniającemu się z ciemności, podczas gdy ludzie stali w kolejce zawijającej się za narożnik ulicy. *Rain on Elmore Street*.

Wspomnienie przetykał śmiech Constance. Sheppard zgadywał, że była jedną z wyjątkowo ekspresyjnych aktorek.

– Chciałbym, żebyś się nią zajęła i spróbowała ją uciszyć.

Mandy zmarszczyła brwi.

– Nie wiem...

– Proszę. Muszę pomyśleć.

Mandy odpowiedziała oszczędnym skinięciem głowy, po czym podeszła do Constance i objęła ją ramieniem. Wyszeptała jej coś do ucha. Aktorka przestała się śmiać, wstała i poszła za Mandy na prawą stronę łóżka. Usiadły plecami do pozostałych. Mandy była w tym naprawdę dobra.

– Widział pan ciało?

Sheppard aż podskoczył, zaskoczony głosem Ryana. Obaj mężczyźni skupili na nim swoją uwagę.

– Tak. Musiałem je... musiałem go obejrzeć.

*Nie mówisz im. Dlaczego? Chcesz tego oszczędzić im czy sobie?*

Co chciał w ten sposób osiągnąć? Dać im kolejny powód do niepotrzebnych spekulacji, przez które oddalały się ich szanse na uratowanie życia?

– Wygląda na to, że zginął od pchnięcia nożem. Właściwie od dwóch, w podbrzusze.

Ryan spojrzał na niego.

– Kto to jest?

Długo nie musiał czekać. Wybór – dwie ścieżki, dwie możliwości.

– Nie wiem – odpowiedział. *Boże, miej mnie w opiece.* – Wciąż... wciąż zastanawiam się, jak się za to zabrać.

– Możliwe, że go rozpoznam – stwierdził Ryan.

Słyszając to, Sheppard uniósł brew i w tej samej chwili Alan poklepał Ryana po ramieniu.

Zupełnie jakby przywołał go zapach niesprawiedliwości, Alan stanął pomiędzy Ryanem a Sheppardem.

– Poczekaj, chłopie. Normalnie liczę sobie siedem stów za godzinę, ale tę radę dostaniesz za friko. Nic nie mów. Albo rób, co chcesz, nie jestem twoim ojcem. Ale znajdujemy się w bardzo niestabilnej sytuacji i każde słowo wypowiedziane w tym pokoju będzie traktowane jako mało wiarygodne. Jestem pewien, że pan Sheppard dobrze wie, że nic, co tu usłyszysz, nie będzie mogło posłużyć za dowód w sądzie.

– Chcę po prostu pomóc – odparł Ryan.

– To otwórz okno, to by pomogło.

– W jaki sposób? – spytał Sheppard.

– Musimy skontaktować się ze światem zewnętrznym. Może, jeśli zbijemy okno, ktoś to zobaczy. Zadzwoni po policję.

– Niby kto? Jesteśmy czterdzieści trzy piętra nad ziemią, a w budynku naprzeciwko nie ma żywego ducha.

Alan parsknął.

– To i tak lepiej niż polegać na tobie. Co właściwie robisz?

– Zas... zastanawiam się. – Sheppard miał nadzieję, że zabrzmiało to trochę mniej żałośnie, niż sądził.

– Tak myślałem – odparł Alan z uśmiechem. – Widzisz, znam takich jak ty. Widuję ich co dzień. Różnica polega na tym, że zwykle siedzą

w kajdankach na miejscu dla oskarżonych, a nie przykuci do łóżka. – Pieczenie nadgarstków podkreśliło jego słowa. – Każdy jest w pewnym stopniu kłamcą: wobec świata, innych albo samego siebie. Ale tobie nie wystarczyło być nie do zniesienia w zaciszu domowym, musiałeś iść do telewizji i rozsiewać swoje kłamstwa po całym świecie. Jesteś uosobieniem kpiny, Sheppard. A twoja postać nadętego detektywa nic ci tu nie pomoże. Nie uratujesz nawet samego siebie. Dlaczego ci się wydaje, że będziesz w stanie uratować kogoś jeszcze? Pamiętaj o tym, kiedy odliczanie będzie dobiegało końca. Pamiętaj, że to przez ciebie tu jesteśmy.

Nagle zdał sobie sprawę, że każdy centymetr jego skóry pokrywa śliska, lepka warstwa wilgoci. Było gorzej, niż myślał, bez dwóch zdań. Pocił się. Oddałby wszystko za drinka. Albo pół tabletki. Czuł, że opuszczają go siły, jakby się wykrwawiał.

– Muszę spróbować – powiedział łamiącym się głosem. Bez ostrzeżenia zaszumiało mu w głowie, zapiekły go policzki. To przez zmęczenie, brak sił. Musiał usiąść. Napić się.

– Wiem – stwierdził Alan, który zamajaczył przed nim i przyciągnął go do siebie, żeby wyszeptać mu do ucha: – A obserwowanie, jak miotasz się po tym pokoju jak idiota, węsząc za odpowiedziami, będzie ostatnią przyjemnością, której zaznam w tym smutnym, zasyfialym życiu.

Puścił go. Sheppard zachwiał się i przechylił do tyłu. Jego nogi wydawały się niemożliwie szczupłe, zbyt wątkie, żeby utrzymać go w pozycji pionowej.

Twarze odwróciły się ku niemu.

A potem podłoga wyszła mu na spotkanie.

*Dawniej...*

Wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Było coś fascynującego w przyglądaniu się tej wersji siebie, nieprawdopodobnie wręcz odmłodzonej przez makijaż sceniczny. Zmarszczki wygładzone, wypełnione doliny pod oczami. Wyglądał jak kreskówkowa wersja siebie. Ale w świetle reflektorów na planie będzie prezentował się idealnie. Mężczyzna bez skazy.

Nie zmęczony, znudzony typ, którym czuł się na co dzień.

– Po co tu przyszedłeś, Douglas?

Jego agent siedział w przeciwległym narożniku pokoju i czytał książeczkę, którą każdy uczestnik widowni otrzymywał przed rozpoczęciem zdjęć. Lista zasad. Odrzucił ją na bok.

– Co, nie mogę odwiedzać mojego ulubionego klienta?

Sheppard uśmiechnął się. To było silniejsze od niego.

– Mhm. – Dźwięk, który miał oznaczać: „przejdź do rzeczy”.

– Słuchaj... – zaczął Douglas. Sheppard widział w lustrze, że agent wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Po tym, co powiedziałaś podczas naszej ostatniej rozmowy, chciałem się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Nic mi nie jest.

– Dobra, to super. – Uniesiony kciuk w lustrze. – Bo wiesz, wczoraj gadałeś trochę od rzeczy.

– Nie zamierzam rezygnować, Douglas. To chciałeś usłyszeć?

– Chcę usłyszeć, że jesteś zadowolony – odpowiedział Douglas. – Bo nie wyglądasz.

– Wszystko jest okej.

Za ich plecami otworzyły się drzwi. Dziewczyna z ekipy wsunęła głowę do środka.

– Trzy minuty, panie Sheppard.

Pokiwał głową i dziewczyna zniknęła.

Sheppard wstał i poprawił spinki do mankietów. Douglas podszedł do niego i chwycił go za ramiona.

– Naprawdę masz tu coś wartościowego, Morgan. Zrobiłeś karierę.

Sheppard się uśmiechnął.

– Wiem. – Sięgnął do wnętrza marynarki i wyciągnął piersiówkę. Pociągnął łyk.

– Zuch chłopak – Douglas promieniał. – Jak twój bark? Bierzesz lekarstwa?

– Tak jest, szefie! – potwierdził Sheppard.

– Dobra. To daj im popalić.

Sheppard pokiwał głową, roześmiał się i wyszedł.

Idąc tylnymi korytarzami studia telewizyjnego, czuł się, jakby przemierzał okopy. Mimo to dzielnie odgrywał swoją rolę. Ludzie zatrzymywali się na jego widok, życzyli mu powodzenia. Odpowiadał im uśmiechem. Ale gdzieś głębiej zaprzętały go myśli.

Upił się. Powiedział Douglasowi, że ma dość. Douglas nazwał to chwilą zwątpienia. Nagrywali program dopiero od sześciu miesięcy. Okazał się hitem. Ale go przerastał. Nie tak go sobie wyobrażał. Był zbyt... jakiś. Pozbawiony filtra?

Przewrócił się na schodach, wychodząc z klubu, w którym załatwiali



wszystkie sprawy zawodowe. Paskudnie rozbił sobie bark. Douglas polecił lekarza. Ten zaś przepisał mu tabletki.

Sheppard wyciągnął z kieszeni niedużą buteleczkę i wysypał na dłoń dwie tabletki. Połknął je. Szybko rozpędziły ból. Może trochę zbyt skutecznie.

Dotarł na wyznaczone miejsce za planem. Było ciemno, ale dojrzał dziewczynę z ekipy – miała na głowie słuchawki i trzymała uniesioną dłoń. Za jej plecami – światło. Uśmiechnęła się do niego i zaczęła odliczać na palcach od czterech.

Cztery.

Trzy. Alkohol i tabletki zaczęły działać, pomogły mu ułożyć usta w szeroki uśmiech, który był jego znakiem rozpoznawczym. Od razu poczuł się, jakby robił to całe życie. I będzie robił do śmierci.

Dwa. I to mu odpowiadało, prawda?

Jeden.

Wyszedł na plan sprężystym krokiem. Nie widział nic poza kręgiem światła reflektorów. Gdzieś tam w ciemności czaiła się w milczeniu widownia pełna żądnych krwi fanów, czekających, aż odtańczy ich ulubiony taniec. Kimże jest, by im odmówić?

– Kamera numer jeden – usłyszał głos reżysera w słuchawce.

Skierował wzrok w stronę kamery na wysięgniku, który zamaszystym ruchem umieścił ją nad jego głową.

– Dziś w *Detektywie z sąsiedztwa*: czy królowa list przebojów Maria Bonnevert kręci na boku z frontmanem Red Lions, Mattem Harkfoldem, będąc w ciąży z Chrisem Michaeliem z *Gazu do dechy*? Omówię materiał dowodowy w dalszej części programu. W części „Prawdziwe przestępstwa” zobaczymy policjantów z południa Londynu usiłujących rozwikłać zagadkę niedawnej fali kradzieży. Okazuje się bowiem, że jedynym przedmiotem

zainteresowania złodziei są grzejniki przemysłowe! Miejmy nadzieję, że trop nie zdążył wystygnać... – Przerwa na śmiech. Długi. *Jezu*. – Ale najpierw, w części „Prawdziwe życie”, poznamy Sarę, która ma powody podejrzewać, że Sean, który od pięciu lat jest jej mężem, spotykał się za jej plecami z nianią ich dzieci. Zobaczymy, czy uda się nam rzucić na tę sytuację trochę światła. Nazywam się Morgan Sheppard. Oglądają państwo program *Detektyw z sąsiedztwa*. – Aplauz. Taki, do którego pasowało wyłącznie określenie „dziki”.

Sheppard odsunął się na bok. Z sufitu zjechał ekran, na którym wyświetliła się czołówka, a następnie krótki filmik na temat Sary i Seana. Tylko dla widowni na żywo, rzecz jasna. Dla oglądających w domach technicy przygotowywali inny materiał, fragmenty dokumentalne poprzeplatane ze scenami z planu. Sheppard nie interesował się tym, co pojawiało się na ekranie. Już to widział. Producent wymagał od niego, żeby przed kręceniem odcinka zapoznał się ze wszystkimi materiałami.

Trudno mu było nie dostrzegać, że za każdym razem wyglądały prawie identycznie. Żona, mąż, seks – czasem nie z tą osobą, co trzeba. Jego zespół grzebał trochę w życiu prywatnym bohaterów i informował go, czy koleś jest winny.

Taka w każdym razie była umowa. Tym, co sprawiło, że kiedy się upił, zapragnął rzucić to wszystko w cholerę, było odkrycie, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć werdykt, który mu przekazywano, był zwyczajnym domysłem. Fifty-fifty.

W odróżnieniu od innych podobnych programów, tu nie przeprowadzano badania wykrywaczem kłamstw, bo Sheppard „tego nie potrzebował” ze względu na swoją reputację.

Czy Sean był winny? Karteczki, które Sheppard trzymał w dłoni, twierdziły, że tak.

*Czy Sean jest winny naprawdę?*

Nagranie się skończyło i ekran wrócił pod sufit, odsłaniając rząd krzeseł ustawiony podczas projekcji przez ekipę produkcyjną. Cisza.

*Cóż...*

Spojrzał w stronę widowni. Ciemność, a w niej nierozpoznawalne kształty.

*Wybierz, kim się staniesz.*

– Sheppard! – usłyszał reżysera. – Ogarnij się.

– Dobrze, zacznijmy... – powiedział. – Dobrze. Zaprośmy na plan Sarę. Proszę o gorące brawa. – Uniósł dłoń i dołączyła do niego kobieta.

*Aplauz.*

W uchu reżyser:

– Jezu, Sheppard. Chcesz mnie przyprawić o zawał?

Kobieta usiadła na środkowym krześle. Zapewne tak jej polecono zrobić. Młoda, blada i smutna. Nie stworzona do występów publicznych. Dziewczyna, która pracowała za kulisami świata. Nieśmiało pomachała do widowni.

Sheppard poczekał, aż oklaski ucichną, i siadł obok niej.

– No dobrze, Saro. Powiedz, jak się masz? – zagaił. Rozmawiał z nią, choć w rzeczywistości była to ostatnia rzecz, na którą miał ochotę.

– Dobrze – odparła. Głos cichy i pozbawiony pewności siebie.

– Saro, skontaktowałam się ze mną (z *producentami programu*) i opowiedziałam o swojej sytuacji. Od pewnego czasu prowadzę (*zespół prowadzi*) dochodzenie w tej sprawie. Źle to wygląda. (*Zła to jest wojna, śmierć jest zła – to są bzdury*). Czy mogłabyś opowiedzieć widowni swoją historię własnymi słowami?

Sarah zaczęła mówić, zasadniczo powtarzając wszystko, co przed chwilą widać było na nagraniu. Powtarzanie było jednym z kluczowych elementów

programu – chodziło o to, żeby nikt się nie pogubił, a poza tym w ten sposób scenarzyści mieli mniej do roboty.

– ...i wtedy zażądałam, żeby wyjaśnił te SMS-y...

Już mówi o SMS-ach. Musiał sprawić, żeby to szło wolniej.

– Niewiarygodne – powiedział. – Czyli znalazłaś na jego telefonie SMS-y od tej niani i zażądałaś wyjaśnień?

– No... tak... – odpowiedziała Sarah. Dokładnie tak powiedziała. Przed sekundą.

– A co konkretnie zawierały? – mówił powoli.

Sarah schowała twarz w dłoniach, zasłaniając mikrofon przypięty do kołnierzyka bluzki.

– Wiem, że to przykre. Ale jestem tu z tobą. Wszyscy tutaj chcą ci pomóc... prawda?

Na polecenie faceta trzymającego w uniesionych dłoniach kartkę z instrukcją widownia wydała coś w rodzaju sympatycznego okrzyku. Dokładnie tak, jak ćwiczyli na próbie. Teraz chcieli wiedzieć, co będzie dalej. Z niecierpliwością czekali na rozwój wypadków.

Sarah spojrzała na Shepparda przez łzy.

– Umawiali się na spotkania. W hotelach, barach, gdziekolwiek... w Holiday Inn, Premier Inn, no wie pan, w najtańszych miejscach.

*Cholera*. Musiała wymieniać je z nazwy?

– Zrób z tym porządek, Sheppard – polecił reżyser – żeby nie dobrali się nam do dupy.

– W tanich hotelach w centrum Londynu – poprawił Sheppard. Firmy nie lubiły, kiedy wspominało się o nich w programie. Kwestia negatywnych konotacji. Wystarczyło wymienić nazwę jakiegoś miejsca i ludzie zaczęli kojarzyć je z romansami. – No dobrze, a czy w tych SMS-ach było coś na temat relacji pomiędzy Seanem a tą dziewczyną?

Sarah spojrzała na widownię.

– Pisał, że jest miłością jego życia. – Z widowni doszedł odgłos oburzenia. – Twierdził, że kocha ją bardziej niż kogokolwiek dotychczas i że pewnego dnia razem uciekną i zabiorą dziecko.

Kolejne wyrazy wzburzenia. Papugi naśladujące się nawzajem. Jego pełna uwielbienia publika. Naprawdę tego chciał? Ale zanim ogarnęły go wątpliwości, odezwał się młody chłopak, którym kiedyś był. *Jaja sobie robisz? Całe życie chciałeś właśnie tego. Na to tak ciężko pracowałeś.*

Sheppard spojrział na Sarę. Prawdziwą kobietę, która miała prawdziwe problemy. A on się łudził, że ma dla niej rozwiązanie. Nie ta zgraja idiotów w koszulach za kulisami, tylko on.

Sara wpatrzyła się w niego. W pełni obecnym wzrokiem. *Jest pan osobą, za którą się podaje?*

– SHEPPARD! – ryknął reżyser, sprawiając, że Sheppard aż się zatrząsł. – Do chu...

– Cóż... hmm... – Sheppard zająknął się i powiódł wzrokiem od Sary do widowni i z powrotem. – Brzmi jak skończony idiota, ale nie musicie wierzyć mi na słowo. Zaprosimy go do studia? Panie i panowie? – Widownia rozwrzeszczała się z bezwzględnością godną tłumy planującego lincza.

Sheppard wstał i zdecydowanym krokiem podszedł do krawędzi planu, gdzie stanął plecami do młodego mężczyzny, który wszedł od prawej strony.

Widownia nieubłaganie buczała. Sheppard cierpliwie czekał, aż publiczność się uspokoi, po czym gwałtownie obrócił się na obcasach swoich wypolerowanych spiczastych butów.

Sean wyglądał jak szczeniak, który zabłąkał się na środek autostrady. Usiadł ostrożnie, jakby obawiał się, że krzesło było zaminowane. Miał na sobie niechlujny biały T-shirt i fabrycznie porozdzierane džinsy, w które zapewne ubrała go ekipa produkcyjna. Zza trójkątnego dekoltu wystawał

tatuaż w kształcie węża liżącego jego szyję. Robił wrażenie kogoś, kto powinien onieśmielać, ale w telewizyjnych warunkach wszelka pewność siebie odpłynęła z jego twarzy. Był ogolony, ale mało starannie. Wyglądał na roztrzęsionego. Nie jak po narkotykach, lecz po nieprzespanej nocy. Czy to tylko zdenerwowanie, czy był naprawdę winny?

*Jest winny. Tak ci powiedzieli, prawda?*

Otworzył usta. Leciał na autopilocie.

– Witaj w programie, Sean. – Przerwa, której nie wypełnił aplauz. – Słyszałeś zza kulis, o co oskarża cię Sarah. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

– To nieprawda – odparł Sean. Silny manchesterski akcent. Oczy przeskakujące raz za razem z Shepparda na widownię i z powrotem. – Nigdy w życiu nie zdradziłbym Sary. Mamy dziecko. – Przekręcił się na krześle, żeby spojrzeć na dziewczynę. – Kocham cię. Kocham cię, Saro. Myślałem, że o tym wiesz.

– Nic już nie wiem – stwierdziła Sara. – Byłam głupia, że ci wierzyłam.

*Wiesz, do czego to zmierza... powiedział Morgan w myślach. To twój ulubiony fragment. Nie kłam, że nie.*

Nadszedł czas rozdmuchać sprawę. Tego pragnęła widownia. I on.

– Sean, słuchaj, a co z tymi SMS-ami z twojego telefonu? Sara je znalazła. Ja też je widziałem. – Starannie wypowiadał każde słowo. – Sugerujesz, że Sara kłamie? Albo że ja kłamię?

Sean poruszył się nerwowo.

– Nie.

– To co, planujesz się wykręcić? Może pisałeś te SMS-y do mamy, co?

Śmiechy. Sheppard spojrział na teleprompter. WINNY.

*O tym marzyłem całe życie.* Setki osób na widowni, niewidocznych poza kręgiem światła, a przed telewizorami kolejne setki tysięcy.

– To były wiadomości do Sary – stwierdził Sean, zupełnie bez sensu. Może naprawdę ją zdradzał? Fifty-fifty, prawda? NO, DALEJ.

Sheppard zrobił kilka kroków w jedną, potem w drugą stronę, a na koniec obrócił się do Seana. Podszedł ku niemu.

– Czyli te SMS-y były przeznaczone dla twojej dziewczyny? Pffff... Ale ściemniasz, Sean. Totalnie. Nie możesz ot tak przyjść do tego studio i kłamać mi prosto w twarz. Spójrzaj za mnie. Okłamujesz wszystkich na tej sali. Okłamujesz wszystkich, którzy cię oglądają przed telewizorami.

Sheppard nachylił się nisko nad Seanem, tak że ich twarze prawie się stykały. Widownia lubiła, kiedy to robił. Było w tym coś zwierzęcego. Skupiło się na nim sto par oczu. A gdzieś tam – nieskończoność. *Jak za każdym razem.* – Ale wiesz, co jest najgorsze? Że okłamujesz kobietę siedzącą obok ciebie i narażasz związek, od którego zależy dobro dziecka, w imię jakiegoś głupiego romansu z nianią. Dobrze się zastanów, zanim powiesz cokolwiek więcej, Sean. Pamiętaj, z kim rozmawiasz – *TAK!* – bo teraz masz do czynienia z Morganem Sheppardem, a jemu... – Sheppard uśmiechnął się Seanowi prosto w twarz, po czym się odsunął. Widownia eksplodowała dokładnie w tej chwili, w której powinna. – ...nic nie umyka!

A potem wszystko się zapadło. Plan zniknął – wraz z nim Sean, Sarah.

Został tylko Sheppard ze swoją widownią – uwielbiany. I w tamtej chwili pojął, że nigdy z tego nie zrezygnuje.

Z przyjemnością sprzeda duszę diabłu. Bo nie chce być zbawiony.

Nie wiedział, dokąd się przeniósł, ale udało mu się przekonać samego siebie, że wszystko, co pamiętał, było złym snem. Kiedy więc otworzył oczy i ujrzał twarze pięciu osób uwięzionych z nim w pokoju, poczuł ponownie ucisk w sercu. Grupka nieznajomych, wśród których czuł się już prawie jak w domu – Mandy, Alan, Ryan, Constance i Didżejka. Dziwaczna rodzinka.

Światło było nieznośnie jasne, a organizm boleśnie domagał się wspomagania. Tabletek, alkoholu, najlepiej obu – w przeciwnym razie niedługo zacznie mieć objawy odstawienia. Koszmarne. I stanie się zupełnie bezużyteczny.

Jak długo był nieprzytomny?

Spróbował się podnieść, ale mu się nie udało. Mandy podała mu dłoń. Kiedy ją ujął, dziewczyna pociągnęła go w górę z zaskakującą siłą. Pozostali odsunęli się o krok, jakby przenosił zaraźliwą chorobę.

– Wszystko w porządku? – spytała Mandy.

– Dobrze zgaduję, że żadne z was nie jest lekarzem ani pielęgniarką? – Sheppard potarł się po potylicy. Zaczynała boleć go głowa, szczególnie w miejscu, w które uderzył się, upadając.

Poza Constance, która mamrotała coś pod nosem, wszyscy milczeli.

– Ma pan gorączkę? Proszę usiąść – zakomenderowała w końcu Mandy, gestykulując w stronę łóżka.



Sheppard pokręcił głową.

– Nie ma czasu. Po prostu zemdlałem. Zdarza się.

– Gwiazdorski styl życia, co? – zadrwił Alan.

Sheppard nie znalazł w sobie siły, żeby się odgryźć. Jego ciało się wyłączało... nie, raczej przechodziło w TRYB AWARYJNY.

Gdzie jest? Winter nie żyje, co teraz? Niczego o tych ludziach nie wiedział, ale to musiało się zmienić. Każde z nich z jednakowym prawdopodobieństwem mogło być mordercą Wintera. Pięć osób. Pięcioro podejrzanych. Prawdopodobieństwo jeden do pięciu, że dana osoba jest zabójcą. Instynktownie zakładał, że zabił mężczyznę, ale to nie miało znaczenia – przynajmniej na razie. Nie był ekspertem. Wszyscy byli winni, póki nie udowodni ich niewinności.

*Wciąż im nie powiedziałaś...*

Będzie musiał.

Tożsamość Wintera była jedynym wiarygodnym tropem, który posiadał. Ale mógł to przynajmniej wyjawiać każdemu z osobna, ograniczyć konsekwencje. Może ci ludzie też znali starego psychoterapeutę.

Zerknął w poprzek pokoju na stolik nocny. Segregator z regulaminem zniknął. Rozejrzał się i odkrył, że przegląda go Ryan. Wrócił wzrokiem do stołu. Zegar. Był nieprzytomny prawie pięć minut.

*Stracili pięć minut...*

Kiedy sprawy nabiorą rozpędu, te pięć minut może zdecydować o ich przeżyciu.

Musiał zacząć z nimi rozmawiać. Dopóki nie pozna faktów i nie dowie się, o co tu chodzi, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wszyscy go okłamywali. Może nawet już zaczęli.

W tle wciąż majaczyła mu ta kobieta, spotkanie w czerwonym pokoju. W Paryżu. Jakby istniała możliwość, że ją dostrzeże, jeśli dostatecznie

szybko obróci głowę; że może przenieść się tam z powrotem i odkryć, że to wszystko to zły sen. Ta nadzieja była nie do zniesienia.

Pozostali wrócili do poprzednich zajęć. Alan znów wpatrywał się w okno. Constance mamrotała pod nosem i spoglądała na Biblię. Ryan przeglądał zawartość segregatora. Didżejka przebywała w swoim świecie. Tylko Mandy wciąż spoglądała na niego ze zmartwionym wyrazem twarzy.

Sheppard odciągnął ją na bok, do przedsionka.

– Muszę zacząć przesłuchania. Rozmawiać. Odkryć cokolwiek, co mogłoby mi podpowiedzieć, kto... kto go zabił. Dlaczego się tu znaleźliśmy.

– Przesłuchania?

– Tak. Powinienem je prowadzić na osobności, ale... – Sheppard omiół wzrokiem drzwi do łazienki – to miejsce będzie musiało mi wystarczyć.

– Okej – stwierdziła Mandy.

– Muszę zacząć brać pod uwagę tożsamości, potencjalne motywy, ramy czasowe – wymieniał to, co pamiętał z książek detektywistycznych. – Wszyscy powinni zostać po prawej stronie pokoju. Muszę się postarać, żeby nie słyszeli tych rozmów.

Zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Alan strzygł uszami z drugiego końca, a nawet nie był odwrócony w ich stronę. Wszyscy w pokoju mogli bez trudu zrozumieć każde słowo wypowiedane przez pozostałych – z wyjątkiem tego, co bełkotała Constance.

– Dobrze. To z kim pan chce najpierw porozmawiać?

– Może z tobą?

Mandy spojrzała na niego i uśmiechnęła się tym samym nerwowym uśmiechem, co wszyscy goście jego programu. Uśmiechem, który sprawiał wrażenie, jakby miał coś zatuszować. Bo każdy miał coś, co wolał ukryć przed światłem jupiterów.

Sheppard też się uśmiechnął. I w samej chwili zrozumiał, że naprawdę

spróbuje. Był oszustem – beznadziejną parodią detektywa, właściwie to parodią mężczyzny. Ale zrobi, co w jego mocy, by ich uratować. By uratować niewinnych.

Bo w żaden sposób nie zasłużyli, by spotkało ich coś takiego.

A jeśli zostanie mu trochę czasu, spróbuje nawet uratować siebie.

– Zwykle trzymam się z dala od centrum, chyba że nie mam wyboru. Kiedy człowiek przyjeżdża tu na wakacje, to nie chce oglądać nic innego, prawda? Ale kiedy tylko przeprowadziłam się do Londynu, centrum straciło cały urok. Tyle ludzi biegających we wszystkie strony i sprawiających wrażenie, jakby nie mieli żadnych zajęć poza wchodzeniem ci pod nogi. Nie znoszę tego.

Sheppard wiedział, co miała na myśli. W centrum zawsze panował niedorzeczny ścisk. Pamiętał, że kiedy jako dziecko pierwszy raz wybrał się na Oxford Street, nie wiedział nawet, że na świecie może być tylu ludzi.

– Gdzie wcześniej mieszkałaś?

– W Manchesterze. Było dużo ciszej, mimo że mieszkałam w centrum. Przeniosłam się tu na studia i zostałam na dobre.

– Londyn jest drogi. Jak się utrzymujesz?

– Pracuję jako baristka w kawiarni w Waterloo. Staram się o pracę w telewizji. Ale nie taką jak pan. Studiowałam dziennikarstwo, więc chciałabym wkręcić się za kamerę. Praca z grubsza pozwala mi się utrzymać. Poza tym brat dał mi trochę pieniędzy, no i miałam bogatą ciocię, która mnie lubiła – wyjaśniła Mandy.

Zaakcentowała słowo „miałam” dostatecznie mocno, by Sheppard wychwycił, o co chodziło.

– Mimo to zaczynam cienko pruć i jeśli w najbliższym czasie nic się nie zmieni, będę musiała wrócić na północ. Nie chcę wydać oszczędności do ostatniego grosza. Inna sprawa, że wolałabym nie wracać. Centrum mnie przeraża, ale cichsze części Londynu wprost uwielbiam. Atmosferę, wie pan. To uczucie, że wszystko jest możliwe.

Sheppard pokiwał głową.

– A gdzie mieszkasz?

– W Islington. Wspólne mieszkanie z początkującym aktorem i zawodowym narkomanem. Tylko jeden z nich jest świetny w tym, co robi, i pewnie się pan domyśla który. Nie jest nam łatwo, ale sobie radzimy.

– A dziś? Możesz mi opisać, jak wyglądał twój dzień?

Mandy zastanowiła się chwilę. Zaciekawilo go, czy miała podobne wrażenie, jak on – jakby próbowała odtworzyć sen. Jakby wspomnienia przelatywały jej przez palce.

– Właściwie niczym nie różnił się od innych. Autobus siedemdziesiąt trzy do Waterloo. O jakiejś dużej godzinie, koło ósmej, ale o tej porze roku to wiesz, wrażenie takie, jakbym jechała w środku nocy. CoffeeCorps, w którym pracuję, jest zaraz za wejściem na dworzec. Taki mały, osobny kiosk. Jeśli widział pan ten film z Mattem Damonem, to on koło niego przebiega. Jak on się nazywał?

– Mandy – upomniał ją Sheppard, który cały czas miał przed oczami zegar stojący na stoliku nocnym. Czekalo go duzo pracy.

– Przepraszam. No, to jest taka okropna budka, w której jest strasznie ciasno. Miejsca jest tak naprawdę dla dwóch osób, ale szefowie dopychają nam trzecią przez jakieś przepisy związane z pierwszą pomocą czy coś. W każdym razie było okej, spory ruch, jak zawsze, i dotrwałam do porannej przerwy. Mam taki zwyczaj, że podczas przerwy idę nad rzekę, na South Bank. Bo lubię. Podoba mi się, że tam nie ma aż takiego pośpiechu, ludzie

zawsze popatrzą trochę na rzekę, na Eye, na budynki po drugiej stronie. Mam swoje ulubione miejsce, Nancy's, to jest taka mała, niezależna kawiarnia. Dostrzegam ironię tej sytuacji, ale naprawdę nie znoszę CoffeeCorps. I nie chodzi o to, żebym jakoś wyjątkowo broniła małych przedsiębiorców. Po prostu CoffeeCorps ma niedobłą kawę.

– South Bank jest niedaleko stąd – stwierdził Sheppard, mówiąc bardziej do siebie niż do Mandy.

– No, całkiem niedaleko. Nawet pamiętam, że przyglądałam się budynkowi hotelu Great. Nie przyszłoby mi do głowy, że... – nie dokończyła.

– Zaczęłaś mówić o kawiarni?

– A, przepraszam. Weszłam do środka. Koleś, który ją prowadzi, rozpoznaje mnie już od jakiegoś czasu i wie, co piję, więc zaczął przygotowywać moją kawę. Zawsze mi smutno, że tam jest tak cicho. To jest mała kawiarnia, ale przyjemna. Jest kilka stolików, ale rzadko wszystkie są zajęte. Pamiętam, że widziałam kilka osób, ale nie za dużo. Uznałam, że skoro kawa jeszcze się robi, pójdę do toalety, na tyły. Było gorąco, więc chciałam opłukać twarz. Zamknęłam drzwi, opuściłam deskę i spojrzałam w lustro. Przez ten upał popsuła mi się fryzura. Oparłam torbę o krawędź umywalki, żeby poszukać spinki... i wtedy to się stało.

– To? – spytał Sheppard.

Mandy wpatrzyła się w niego. Odniósł wrażenie, że obraca w myślach to, co chciała powiedzieć, żeby ocenić, czy nie zabrzmiało idiotycznie. Sheppard dobrze ją rozumiał, chociaż nie zrobiłoby mu różnicy, gdyby usłyszał coś naprawdę dziwnego. Na razie i tak nic nie miało sensu.

– Pojawił się jakiś zapach, dziwny. Zaczęłam go wyczuwać i rozejrzałam się dookoła, żeby... nie wiem... może odkryć, skąd dochodzi. Robił się coraz intensywniejszy. Pamiętam, że paliło mnie w nosie. Był jakiś taki...

chemiczny. Nagle wszystko mi się rozmazało. A potem... nie pamiętam, co było dalej, aż się obudziłam i zobaczyłam pana przykutego kajdankami do łóżka.

Sheppard pokiwał głową. Jej historia dokładnie zbiegała się z tym, co sam przeżył. Chemiczny, palący zapach, utrata przytomności.

– To brzmi tak, jakby cię... nas... obezwładnił gazem.

– Pana też? – spytała Mandy.

– Tak. Tylko dlaczego gazem? To trochę bez sensu. Ktokolwiek to zrobił, czekał, aż ktoś skorzysta z tej toalety, i wtedy napuścił do środka gazu? Czy chciał porwać konkretnie ciebie? Ale jeśli tak, to dlaczego nie dosypał ci czegoś do kawy? Obezwładnienie kogoś gazem wymaga mnóstwa zachodu.

– Maska powiedział, że wybrał nas losowo. Może po prostu miałam pecha?

– Może – zgodził się Sheppard. – Ale nie jestem przekonany, czy powiedział nam prawdę. W tej chwili niczego nie możemy być pewni. Dobrze pamiętam, że często bywasz w tej kawiarni?

– Tak. Trzy albo cztery razy w tygodniu, z grubsza o tej samej godzinie, dziesiątej trzydzieści.

– Ktoś wie, że tam chodzisz? Rozpoznałby cię?

– Facet za ladą wie, co zamawiam.

Sheppard westchnął. Gaz w miejscu publicznym. Jak porywacz wyciągnął stamtąd jej ciało? Jak wydostał się ze środka, nie wzbudzając zainteresowania gości kawiarni, nie mówiąc o przechadzających się po South Banku? Podstawił pikapa pod drzwi? To przecież też przyciągnęłoby uwagę. Sheppardowi nic mądrego nie przychodziło do głowy.

– Oboje przeżyliśmy to samo. Zatem wygląda to raczej na plan niż losowy wybór. Możliwe, że wpuścił gaz przez wywietrznik, tak jak w moim wypadku. Myślę, że ktoś wiedział, gdzie będziesz.

Mandy zrobiła zdziwioną minę.

– Ale ja nawet nie wiedziałam, że pójdę do toalety. Nigdy wcześniej z niej nie korzystałam.

Ani trochę tego nie rozumiał.

– Ale zamówiłaś kawę.

– Tak.

– Czy byli tam jacyś inni klienci? Pamiętasz kogokolwiek?

– Tylko kilka osób, mówiłam. Jeden koleś zapadł mi w pamięć.

– Kojarzyłaś go?

– Tego faceta? Nie.

– A jak wyglądał?

– Nie wiem, no. Normalnie?

Mandy porwana. Z miejsca oddalonego o ledwie kilka kilometrów od hotelu Great. Sheppard był już wówczas nieprzytomny. Od poprzedniej nocy. Gdzie w takim razie znajdował się, kiedy porywacz rozprawiał się z Mandy? Przeszedł go dreszcz. Wolał nie wiedzieć.

– Coś zwróciło twoją uwagę?

– Może odrobinę... Ale to może być coś zupełnie bez znaczenia.

– Każdy drobiazg może być ważny.

– Od chwili, gdy weszłam do środka, czułam na sobie czyjś wzrok. Zna pan to uczucie, kiedy człowiek jest przekonany, że ktoś go obserwuje? No, to było właśnie coś takiego. I tak naprawdę nie potrafię powiedzieć, skąd się to brało, póki nie minęłam tego faceta siedzącego przy stoliku, obok którego musiałam przejść, idąc do toalety. Zauważyłam, że praktycznie nie spuszcza ze mnie wzroku. Chyba uśmiechnął się, kiedy na niego spojrzałam, a ja, wie pan, byłam w godzinach pracy, więc automatycznie odpowiedziałam uśmiechem. Ten facet miał w sobie coś obleśnego. Nie wiem, co dokładnie, nie potrafię tego określić. W każdym razie minęłam go, i tyle. Wtedy tak tego



nie odebrałam, ale teraz... koleś był trochę dziwny.

– Potrafisz go opisać?

– Tak jak mówiłam, był... zwyczajny. Yyy... szczupły, żyłasty. Włosy miał brązowe, krótkie. Okulary w cienkich oprawkach. Trochę ciacho, przystojny. Myślę, że z grubsza w pana wieku. W czarnym garniturze z czerwonym krawatem. Wyglądał jak jakiś bankowiec czy ktoś w tym rodzaju.

– Może to nic takiego – stwierdził Sheppard. *A może to było bardzo ważne.* – Mówiłaś, że to była twoja przerwa? Czyli ludzie zauważą, jeśli nie wrócisz?

– No, na sto procent. Zwłaszcza że nie jestem z tych dziewczyn, co się obijają. Nie opuściłam ani jednego dnia w pracy i jestem z tego dumna.

Czyli Mandy oficjalnie zaginęła. Ale nikt nie będzie panikował dlatego, że młoda dziewczyna zniknęła podczas przerwy w pracy. Nikt nie zadzwoni na policję ani nie wyśle zespołu poszukiwawczego, w każdym razie nie na tym etapie. Uznają po prostu, że urwała się z pracy, bo była piękna pogoda.

Mandy doszła do identycznego wniosku.

– Dziewczyny, z którymi byłam na zmianie, zdziwią się pewnie, że zniknęłam, ale myślę, że raczej będą mnie kryły. Lubimy się. Zrobiłabym tak samo.

Czyli żadnych szans na odsiecz. Zresztą nawet gdyby w sprawę zamieszano policję, nie wiedziałyby, gdzie ich szukać.

Sheppard zniżył głos i rozejrzał się po pokoju. Nikt na nich nie patrzył. Ale ilu słuchało?

– Widziałaś ciało, prawda?

Mandy zrozumiała, o co mu chodzi, bo też ściszyła głos.

– Tak. Ale tylko z tyłu. I nie chcę go oglądać jeszcze raz.

– Nie musisz. Ale nawet od tyłu mógł ci kogoś przypominać.

– Nie, nie rozpoznałam go.

Sheppard zmarszczył brwi. Wyciągnął portfel Wintera, odsłonił skrzydełko, za którym zatknięte było jego prawo jazdy i pokazał Mandy.

– A teraz?

Mandy przez dłuższy czas przyglądała się zdjęciu.

– Simon Winter – powiedziała, tak cicho, że prawie nie było jej słychać. – Nie, nie znałam go. Ale...

– Ale co?

– Jedna dziewczyna w mojej pracy nazywa się Abby Winter.

Mózg Shepparda wywrócił się na drugą stronę. Abby Winter. Nie słyszał tego imienia od bardzo dawna. Córka Simona. Sheppard dobrze pamiętał, kiedy zobaczył ją pierwszy raz. Po sesji. Akurat wychodził z gabinetu. Mała dziewczynka. Siedziała na schodach.

„Znam cię” – oznajmiła.

Morgan uśmiechnął się i usiadł obok niej.

– Panie Sheppard?

Abby. Została sierotą. Przez niego.

– Abby... znasz ją choć trochę?

– Jest... lubię ją, ale ona ma jakieś problemy. Wydaje mi się, że chyba jest od czegoś uzależniona. Nie wiem od czego, ale często się trzęsie i wtedy na twarz wychodzi jej taki dziwny pot, taki tłusty. Wie pan, co to może być?

Sheppard przytaknął. Wiedział. Wiedział więcej, niż Mandy mogła podejrzewać. Ale prawie jej nie słuchał. Jego umysł zafiksował się na Abby – dziewczynie, do której żywił kiedyś uczucia. Teraz była narkomanką, zatrudnioną w pracy bez przyszłości. Ile czasu minęło od ich ostatniego spotkania? W jego wspomnieniach była otwartą, wesołą osobą o niesamowitym uśmiechu. A teraz...

– To trochę smutne, wie pan? Ona jest całkiem miła, ale coś ją trapi.

Wydaje mi się, że nasz szef trzyma ją tylko dlatego, że mu jej żal...  
Wszystko w porządku?

Sheppard raz jeszcze pokiwał głową.

– Dobrze – podsumował i zmienił temat – a co z mężczyzną w masce?  
Z człowiekiem o głowie konia? Rozpoznałaś jego głos?

– Nie, w ogóle nie. Chociaż...

– Tak?

– Nie wiem, po prostu... mogę nie mieć racji, ale ta maska z czymś mi się kojarzy.

– Z czymś konkretnym?

– No. Nie wiem, dlaczego, ale wydaje mi się, że już ją gdzieś widziałam... – Poszukała odpowiedzi oczami... i nagle coś wskoczyło na miejsce. – W teatrze. Na przedstawieniu. *Rain on Elmore Street*.

– Musical z Constance Ahearn? – dopytał Sheppard, zaglądając do pokoju. Constance zaszyła się w rogu, plecami do ściany, i milczała. Odnalazła oczami Shepparda, który odwrócił wzrok, spoglądając z powrotem na Mandy. – Jesteś pewna?

– Nie, nie do końca. Byłam na nim jakiś rok temu.

– Dobrze. To teraz chciałbym, żebyś skupiła się na tej kawiarni i ponownie przemyślała wszystko, co zdarzyło się dziś rano. Jeśli przypomnisz sobie jeszcze coś dziwnego albo zastanawiającego, musisz mi natychmiast powiedzieć. Chciałbym też, żebyś pomogła mi utrzymać spokój. Potrzebuję kogoś, na kogo będę mógł liczyć, jeśli ktoś zacznie się awanturować albo panikować.

– Postaram się – odpowiedziała Mandy i ponownie ułożyła usta w ten swój skromny, słodki uśmiech. Prawie za słodki.

Za jej słowami – w cieniu tego, co mówiła – coś się kryło. Sheppardowi wydawało się, że strach, ale może chodziło o coś innego, coś gorszego; jakiś

zamiar?

– Dzięki – Sheppard opamiętał się w końcu. Oczywiście, że nie mógł nikomu ufać, ale jedną z rzeczy, co do których miał stuprocentową pewność, był krzyk Mandy, kiedy zobaczyła ciało. Wyrażał absolutne przerażenie. Musiałaby mieć nie lada talent, żeby przekonująco coś takiego odegrać.

– I co pan teraz zrobi?

Sheppard znów westchnął i odwrócił się w stronę pozostałych.

– Wygląda na to, że teraz będę musiał porozmawiać z panią Ahearn.

Mandy odsunęła się od Shepparda, niezdarnie przeszła na drugą stronę łóżka, mijając Alana i Ryana, po czym usiadła obok Constance. Ta przysunęła się bliżej niej, a Mandy objęła ją ramieniem i wyszeptała jej coś do ucha. Widząc to, i Alan, i Ryan zaczęli wpatrywać się w Shepparda. Zastanawiał się, ile usłyszeli. To było okropne, że musieli siedzieć w takim ścisku. Czuł wysączający się z nich strach.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że słyszymy wszystko, co mówisz? – powiedział Alan.

– Wiem, że to pozostawia trochę do życzenia... – zaczął tłumaczyć Sheppard.

Alan prychnął.

– Trochę do życzenia? Ze wszystkich określeń akurat to przyszło ci do głowy? To jest koszmar na jawie!

Alan ruszył w stronę Shepparda.

– Muszę teraz porozmawiać z panią Ahearn.

– Nie – oznajmił Alan. – Porozmawiasz ze mną.

– Nie.

– Nie, Sheppard. Osobiście uważam, że mam lepsze kwalifikacje od ciebie, żeby prowadzić to śledztwo. Zawodowo ściemniasz i masz beznadziejnie rozdęte ego. A wiesz, co się dzieje z balonem, który się za

mocno nadmucha.

– Usiądź, Alan.

– Porozmawiasz ze mną.

– Tak, po pani Ahearn.

– Nie masz nad nami żadnej władzy – warknął Alan, rozpryskując drobinki śliny. – Maska twierdzi, że to wszystko twoja wina, więc dlaczego w ogóle mielibyśmy z tobą rozmawiać? Równie dobrze mogłeś sam zabić tego człowieka. W gruncie rzeczy brzmi to całkiem logicznie.

W oczach Alana rozjarzyło się coś, czego Sheppard nie potrafił dokładnie nazwać. Słyszał, o czym rozmawiali z Mandy? Czy może rozpoznał ciało?

Sheppard otworzył usta, żeby powiedzieć coś w tym stylu, ale...

– Przestańcie. – Obaj odwrócili się w stronę Ryana, który wstał z segregatorem w dłoniach. – Ja będę następny.

– A to dlaczego? – spytał Alan.

– Bo mam coś do powiedzenia panu Sheppardowi. Coś, co powinienem był powiedzieć wcześniej.

– No to proszę, słuchamy. W tym pokoju nie ma tajemnic – nakazał Alan.

– Słyszałem, o czym pan rozmawiał z Mandy. Muszę panu powiedzieć kilka rzeczy. Może przejdziemy do łazienki?

– Zaraz, zaraz... – wtrącił się Alan.

Sheppard nie potrafił pozbierać myśli. Nie chciał tam wchodzić drugi raz.

– Lepiej zastanów się dobrze, co mówisz, bo zaczynasz brzmieć jak morderca.

– Zamknij się, Alan. Muszę...

– Nie kłamałem. Naprawdę – powiedział szybko Ryan, po czym uniósł segregator otwarty na ostatniej stronie. CHŁOPAK KŁAMAŁ.

– Niech mi ktoś wyjaśni, co tu się dzieje – zażądał Alan.

– Zamknij się, Alan.

– Sam się zamknij, Sheppard. Młody, o co ci chodzi, do jasnej cholery?

– Odwal się wreszcie i daj mi pracować – Sheppard ponownie zaatakował Alana.

– Pracować? Tobie? – Alan się roześmiał.

Potrzebował alkoholu. Tabletek. Środków, by zmusić tego starucha, żeby przestał mu mówić, co ma robić.

– Nie ignoruję cię, prawda? Biorę pod uwagę wszystkie twoje wątpliwości, ale na razie, jeśli nie zauważyłeś, mamy pół godziny za sobą i jeszcze nic nie wymyśliłem. Więc będę działał dalej po swojemu.

Alan zrobił krok w przód.

– Jesteś detektywem tylko dlatego, że ludzie lubią doczepiać innym etykiety. To, co zrobiłeś Bóg wie ile lat temu nie ma najmniejszego znaczenia.

– Słuchajcie... – spróbował wtrącić się Ryan.

– Wiesz, co w tej chwili podejrzewam? Tak sobie myślę, że jedyną osobą, której zależy na utrudnianiu dochodzeniu, jest morderca. Zamordowałeś człowieka, który leży w wannie, Alan?

– Słuchajcie...

– Nie. A ty?

Ryan stanął pomiędzy nimi, a kiedy nie przestali się kłócić, rozepchnął ich rękami i przekrzyzczał ich głosy:

– Ja tu pracuję!

Zadziałało. Cisza.

– A teraz proszę, czy możemy przejść do łazienki?

Sheppard wszedł pierwszy i zasunął zasłone prysznicową. Starął się nie patrzeć, naprawdę, ale Winter wciąż tam leżał. Martwy. Z tym smutnym wyrazem twarzy. Sheppardowi zrobiło się niedobrze. Stał przy umywalce i znów obmył twarz zimną wodą.

Ryan wszedł i niepewnie spojrzął w stronę wanny, po czym skupił wzrok na Sheppardzie.

– No to słucham – powiedział Sheppard.

Tępy ból za oczami. Nieprzyjemne uczucie w gardle. Burczenie w brzuchu. Ręce zaczynały mu się trząść. Dlaczego jeszcze nie zajrzał do minibaru?

– Przepraszam, powinienem był powiedzieć panu wcześniej – wyjaśnił Ryan. – Próbowałem się przyznać już na początku.

Sheppard pamiętał jak przez mgłę.

– Jak się nazywasz?

– Ryan Quinn. Tak jak mówiłem. Nie kłamię.

– I pracujesz w tym hotelu?

– Tak. Sprzątam. Dlatego mam na sobie to ubranie. – Ryan wskazał na swój biały dres. Sheppard przyjrzał się bliżej swojemu rozmówcy. Młody chłopak. Czarne włosy, krótkie. Gładko ogolony, zresztą wyglądał, jakby nie miał szans zapuścić brody. Na oko mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Ale



bardzo wysoki, prawie tak wysoki jak Sheppard. – Nie jest to moja wymarzona praca. Ale robię, co trzeba. Wchodzę do pokojów, sprzątam, ścielę łóżka, wymieniam ręczniki, zaginam końcówki papieru toaletowego w trójkącik.

Sheppardowi przyszło coś do głowy.

– To dlatego tak szybko rozpoznałeś, gdzie jesteśmy. Pomiędzy nabrzeżem a Leicester Square.

Ryan smutno pokiwał głową.

– To naprawdę nie jest coś, co należało przed nami ukrywać – stwierdził Sheppard. – Dlaczego nie pomogłeś, kiedy zastanawialiśmy się, jak uciec?

– Powiedziałem, prawda? Nie ma jak.

Ryan rozmawiający z Alanem przy oknie, przekonujący go, że nie ma sposobu, by uciec z pokoju...

– Dobrze, czyli sprzątasz w hotelu Great?

– Tak. Od mniej więcej roku. Moja rodzina cienko przędzie. Matka i ojciec przenieśli się tu z Hongkongu niedługo przed moimi narodzinami. Prowadzą pralnię chemiczną w Soho, ale to nie wystarcza, żeby się utrzymać. Muszę się dokładać do rachunków. Nienawidzę tej roboty, ale to jedyny sposób, żebyśmy się nie pograżyli. Jestem przydzielony z dwoma innymi chłopakami do czwartego kwadrantu. Mamy trzy piętra, to i dwa poniżej. Na każdym jest trzydzieści pięć pokoi.

– Macie co sprzątać.

– Hotel jest duży, ale nas też jest sporo. Zaczynamy o dziewiątej rano i kończymy o trzeciej po południu. Potem idę sprzątać miejsca ogólnodostępne.

– Czyli sprzątałeś dzisiaj rano?

Ryan wyraźnie drgnął, a jego oczy powędrowały w bok.

– Ryan?

– Tylko niech się pan nie wkurza.

– Ryan, gdzie byłeś rano?

– Widzi pan... – zaczął Ryan, starannie dobierając słowa. – Wydaje mi się, że już sprzątałem ten pokój.

To wyjaśniało, dlaczego nie chciał nic mówić. Prosta sprawa.

– Jezu.

Chłopak uniósł dłonie w obronnym geście.

– To nie tak. W tym pokoju nie było nic dziwnego, kiedy byłem tu wcześniej. Okno było otwarte, drzwi nie były zablokowane, a już na pewno nie widziałem żadnych cholernych zwłok... – Zerknął w stronę wanny. – Wszystko było w porządku. Musi mi pan uwierzyć.

Sheppard nie wiedział, co myśleć, poza tym, że Ryan stał się głównym podejrzanym czy tego chciał, czy nie.

– Sprzątałeś łazienkę?

– Tak – odpowiedział Ryan. – Wszedłem do łazienki, żeby wymienić ręczniki i wyszorować sedes. Do wanny też zaglądałem... i była pusta. Proszę mi wierzyć, nie mam z tym nic wspólnego.

– Opowiedz mi dokładnie, co sprzątnąłeś. – Próbuje sprawić, żeby się potknął, czy mu kibicuje? Sheppard nie był do końca pewien.

– Ręczniki. Sedes. Wannę. Nawet wytarłem resztki wody i wymieniałem pojemnik z żelazem w pompce. Potem przetrąłem lustro. Umyłem podłogę mopem. I zawiesiłem nowy papier toaletowy. To wszystko, przysięgam.

– Moment, skoro sprzątałeś w tym pokoju... to znaczy, że ktoś go wynajmował?

– Tak.

– Kto?

– Nie wiem. Rzadko spotykam gości podczas sprzątnia. Zwykle zdążą wyjść. Rano czasami na kogoś trafię, ale ten pokój jest pod koniec mojego

sektora, więc prawdopodobieństwo, że ktoś będzie w środku, jest niewielkie.

– A czy ta osoba zostawiła po sobie jakieś przedmioty? Cokolwiek, co mogłoby zdradzić jej tożsamość?

Ryan przez chwilę się zastanawiał.

– Nie, było bardzo czysto. Łóżko właściwie wyglądało tak, jakby nikt w nim nie spał. Nie było żadnego bałaganu. Ale obok garderoby stała walizka, więc na pewno ktoś był zameldowany.

– Nie usłyszałeś może przypadkiem nazwiska tego gościa czy coś w tym rodzaju? Nie spotkałeś go na korytarzu?

– No, pewnie tak – stwierdził Ryan.

– Dobrze.

Wiedział, co muszą teraz zrobić. Ryan też. Po to tu weszli, prawda? Nozdrza drażnił zapach krwi unoszący się znad sylwetki prześwitującej przez zasłonę.

– Będę musiał pokazać ci ciało.

Mógł się posłużyć zdjęciem z prawa jazdy Wintera, ale musiał zobaczyć reakcję Ryana na widok zwłok.

*To niemiłe z twojej strony. Może, ale konieczne.*

Ryan wziął głęboki oddech i pokiwał głową.

Sheppard wziął zasłonę w dłoń. Nie chciał tego oglądać drugi raz. Nie chciał być zmuszony patrzeć na twarz Wintera. Ale nie miał wyboru. Pociągnął, zanim mózg zasiał w jego myślach zwątpienie.

Winter leżał w środku. Nasilił się zapach krwi, którym przesiąknięte było powietrze. *Nie patrz w dół. Nie patrz na te litry krwi i...*

Zamiast tego Sheppard popatrzył na Ryana.

Chłopak na zmianę zaciskał i rozluźniał pięści. Technika uspokajająca, niesprawdzająca się w tej sytuacji. Z twarzy Ryana odpłynął kolor, ale choć wyglądał na zszokowanego, nie odwrócił wzroku. Wpatrywał się w ciało,

płytko oddychając.

– Nazywał się Simon Winter – wyjaśnił Sheppard, głosem cichszym niż wcześniej. Ten smród. Boże.

Ryan spojrzał na Shepparda, po czym znów skierował wzrok na zwłoki.

– Tam w pokoju... trudno w to wszystko uwierzyć. Łatwo sobie wmówić, że to jakiś żart. Ale tu... to jest prawdziwe. Biedak.

– Rozpoznajesz go? A jego nazwisko, mówi ci coś? Zatrzymywał się tu? – Sheppard dopytywał się trochę zbyt natarczywie. Widok Simona Wintera sprawiał, że trudno mu było zapanować nad emocjami.

– Nie pa... – Ryan zamilkł w pół słowa. Na czymś się zastanawiał, wpatrując się w twarz Wintera.

Był w rozsypce. Nie było możliwości, żeby kogokolwiek zamordował. Prawda? Skoro tak reagował na...

– Widziałem go – stwierdził Ryan szeptem, który prawie umknął Sheppardowi.

– Co?

– Widziałem już tego człowieka.

– Dziś rano?

Ryan powoli pokręcił głową.

– Nie, nie. Myślę... myślę, że jakiś miesiąc temu.

– Co?

– No, tu, w hotelu. To było dawno. Nie jestem pewien gdzie, bo wszystkie pokoje wyglądają tak samo. Identyczne meble, rozmiary, zawartość. Możliwe, że to było nawet na tym piętrze. – Ryan wyglądał tak, jakby za chwilę miał się zlać zimnym potem.

– Miesiąc temu? – Sheppardowi wydało się bardzo dziwne, że Winter odwiedził ten hotel miesiąc wcześniej, a potem trafił martwy do wanny w jednym z pokoiów, porwany przez szaleńca.

*Chyba że to jeden wielki zbieg okoliczności. Albo porywacz bardzo długo trzymał was w chłodni.*

Cała ta sytuacja miała w sobie coś prawie komicznego. Sheppard czuł, że wzbierają w nim emocje i że zaraz albo się rozpłacze, albo wybuchnie śmiechem.

Ryan nachylił się nad wanną, jakby szukał odpowiedzi.

– Tak, już sobie przypominam.

– Co sobie przypominasz?

– Ten mężczyzna... Winter, tak go pan nazwał? On tu był. I zachowywał się... dziwnie.

– Dziwnie? Czyli jak?

Ryan oderwał wzrok od ciała i spojrzał z powrotem na Shepparda.

– Wyleciało mi to z głowy. To jest hotel, wie pan, codziennie widzi się różne dziwne numery, szczególnie w wykonaniu ludzi, którzy wciąż są w pokojach, kiedy przychodzę posprzątać. Zachowują się tak, jakbym naruszał ich przestrzeń, chociaż wcale nie jest ich.

– A Winter? Co takiego robił?

– To było pod koniec zmiany. Stąd wiem, że to było na tym piętrze, nawet jeśli nie w tym pokoju. Pod pozostałymi numerami wszystko poszło okej, szybciej niż zwykle. Nawet pomyślałem, że może uda mi się wyjść przed czasem. Zapukałem do drzwi, jak zawsze. Ale nikt nie odpowiedział, więc po prostu wszedłem. I wtedy go zobaczyłem. Przechadzał się po pokoju. W dłoni trzymał notes, w którym coś zapisywał. Miał też coś w ręku, coś jasnożółtego. Wyglądał, jakby... wiem, że to głupio brzmi... ale wyglądał, jakby...

– Jakby co?

– Jakby coś mierzył.

Tego Sheppard się nie spodziewał. Co? Mierzył? Dlaczego miałby...?

Zbyt wiele myśli naraz.

– Wydaje mi się, że to była taśma miernicza. A poza tym odliczał kroki, stawiał nogi w tej samej odległości jedna przed drugą i co krok zapisywał coś w tym notesie. Może robił coś innego, przygotowywał się do wystąpienia albo coś planował... ale z przedsonka wyglądało to tak, jakby mierzył pokój.

– Ale po co? – spytał Sheppard, bardziej samego siebie niż Ryana.

– Kiedy tylko mnie zobaczył, rzucił na ziemię notes i ten żółty przedmiot i próbował stanąć tak, żeby je zasłonić. Zachowywał się, jakbym przyłapał go na czymś złym. Przez jakieś pięć sekund. Ale wydawało się, że minęło więcej czasu. Wpatrywaliśmy się w siebie. Nie wiedziałem, jak zareagować. A potem odzyskał panowanie nad sobą, przeprosił i pozwolił mi normalnie posprzątać.

– A co robił, kiedy sprzątałeś?

– Zebrał swoje rzeczy i wyszedł. Więcej go nie widziałem. Ale to na sto procent był on.

Sheppard nie potrafił się powstrzymać przed spojrzeniem na Wintera. Mimowolnie odniósł wrażenie, że za jego smutnym wyrazem twarzy coś się kryje. Co tu się działo?

– Zgłosiłeś to?

– Co niby? Nie umiałbym nawet określić, co zobaczyłem, nie mówiąc o tym, że nie było jakieś wybitnie podejrzanе. Wyleciało mi z głowy, kiedy tylko skończyła się moja zmiana. Dopiero teraz... – Ryanowi załamał się głos. Przyłożył dłoń do ust. Dał sobie kilka sekund. Opuścił rękę. – Przepraszam, ten zapach. I krew.

Sheppard pokiwał głową.

– Mogę... możesz wyjść, jeśli chcesz.

– Nie potrzebuje pan nic więcej?

I tak usłyszał za dużo. Co Winter robił w tym pokoju miesiąc temu? Co

mógłby robić?

– Nie. Ale jeśli cokolwiek więcej przyjdzie ci do głowy, daj mi znać.

Po tym, co usłyszał, nie mógł oderwać oczu od Wintera. Co ukrywał? Drzwi łazienki otworzyły się i zamknęły. Został sam ze swoim dawnym przyjacielem.

Wyjął notes Wintera i znów go przekartkował, nie wiedząc właściwie, w jakim celu. Spojrzał do wanny. Mierzył pokój? Po co mierzyć pokój hotelowy? Chyba że... czy to znaczyło, że Winter był zamieszany w ten plan, jakkolwiek to nazwać? Czyżby wiedział, co się szykowało? Ale w takim razie dlaczego skończył martwy w wannie? Tego przecież na pewno nie planował...

– Coś ty knuł? – spytał na głos.

Winter nie odpowiedział.

Z chwilą, gdy Sheppard wszedł z powrotem do pokoju, zalała go fala nudności. Musiał oprzeć się dłonią o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Zawroty głowy – lodowate, brutalne objawy odstawienia były o krok. Ile to godzin, odkąd wziął ostatnią tabletkę? Jego dłoń trzęsła się niepoohamowanie, głowę ścisnął tępy ból, nosa nie chciał opuścić irytujący zapach, i to swędzenie – na całym ciele. Koktajl okropności – znajome objawy.

– Co ci się znowu stało?

Podniósł wzrok. Alan najwyraźniej na niego czekał. *Super*. Teraz stał bezpośrednio przed nim z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jego głos brzmiał tak, jakby stan Shepparda go nie niepokoił, lecz irytował.

– Nic, wszystko w porządku – odpowiedział Sheppard.

Alan zmierzył go od stóp do głów.

– Nieważne. Nie zamierzam tego przeciągać ani mówić szeptem – odwrócił się do pozostałych, a potem z powrotem ku niemu – bo nie mam nic do ukrycia.

Sheppard spojrzał nad ramieniem Alana w głąb pokoju. Mandy i Constance siedziały plecami do wszystkich. Ryan przechadzał się w tę i z powrotem. Didżejka zaś obserwowała ich wszystkich, ale na uszach wciąż miała słuchawki.

– Słyszałem wszystkie pytania, które zadałeś Mandy... trudno było nie



słyszeć... i zakładam, że o to samo pytałeś Ryana. Streszczę ci więc ze szczegółami wszystko, co mi się przytrafiło. Byłem w biurze, kiedy odurzył mnie ten sam gaz, co pozostałych. Porozmawialiśmy sobie, kiedy byłeś w łazience. Nawet ta szalona Irlandka i typowa do bólu nastolatka raczyły się odezwać i potwierdziły, że je też potraktowano tym gazem. Ja go nie tylko wyczułem, ale widziałem, jak wlatuje przez wywietrznik. Jakiś prawie bezbarwny dym, który bardzo szybko rozprzestrzenił się po pokoju. Pomyślałem, żeby zasłonić kratkę, ale najwyraźniej było już za późno. Nie zdążyłem nawet zawołać o pomoc. Przewróciłem się na ziemię i przyszedłem do siebie tutaj. Tak, jak mówiłem, przygotowywałem się do sprawy MacArthura. To nie przelewki. Jedna z tych spraw, które mogą zrobić z człowieka gwiazdę albo zniszczyć karierę. Moja kariera, rzecz jasna, ma się doskonale od wielu lat, ale zawsze miło dodać kolejny medal do kolekcji.

Sheppard starał się nadażyć.

– To musi być interesujące dla...

Alan natychmiast go przejrzał. Odczytał jego intencje bez najmniejszego wysiłku. Jakim cudem?

– Ach, odnosisz się do tego, że jestem czarny. Tak, Sheppard, jestem czarnoskórym mężczyzną. Cholernie ciężko się napracowałem, żeby osiągnąć swoją obecną pozycję i owszem, musiałem pokonać pewien opór. Wiesz, ilu czarnoskórych prawników jest w Londynie? Jeden przecinek dwa procent. Więc owszem, odpowiadając na twoje pytanie, jest to interesujące doświadczenie.

Sheppard pokiwał głową. Alan nie wyglądał na człowieka, który przejmuje się przeciwnościami losu. Ciekawe, ile miał lat. Zmarszczki pod oczami rozlewały się na policzki. Z kolei te na czole sprawiały wrażenie wyrzeźbionych w skórze i nadawały jego spojrzeniu permanentnie gniewny wyraz, w którym było coś niepokojącego. Pięćdziesiąt kilka? Może bliżej

sześćdziesiątki?

– Oczywiście to wszystko jest bez znaczenia. Bo w tej chwili jestem tu, a to oznacza, że sprawa MacArthura jest przegrana. Wielkie dzięki, tak w ogóle.

Sheppard zmarszczył brwi.

– No cóż. – Nie miał siły się odgryzać.

– Podejrzewam, że chciałbyś się dowiedzieć, co łączy mnie z denatem? – powiedział Alan, wskazując głową drzwi do przedsiionka.

– Słucham?

– Widzisz, wcześniej trochę skłamałem. Rozpoznałem tego człowieka. Wtedy nie było sensu tego tłumaczyć, ale teraz sytuacja się zmieniła. Ze względu na to, jaką pracę wykonuję, poznaję wielu ludzi i staram się jak najlepiej zapamiętywać ich cechy charakterystyczne. Moi koledzy po fachu lubią żartować, że potrafię rozpoznać człowieka po kształcie potylicy, i wychodzi na to, że mają rację. Oczywiście pomogło, że kiedy wczoraj się z nim widziałem, był ubrany w ten sam garnitur: to mnie upewniło, że się nie mylę. Pokazałeś coś Mandy. Zakładam, że jego portfel. W każdym razie nazwisko tego mężczyzny brzmi Simon Winter. Jest psychologiem, który prowadzi prywatny gabinet w domu we wschodniej części Londynu. Terapeutą mojego klienta, Hamisha MacArthura. Winter jest kluczowym świadkiem. Nie mogę zdradzić nic więcej.

Sheppardowi odjęło mowę, co ewidentnie sprawiło Alanowi radość.

– Na pewno zastanawiasz się, dlaczego tak chętnie dzielę się tymi informacjami – oznajmił Alan, nie kryjąc uśmiechu. – Wiesz, ilu klientów próbuje zatajać przede mną fakty, mimo że próbuję im pomóc, bo boją się, co będzie, kiedy pewne sprawy wyjdą na jaw? Nie zamierzam tak robić, bo to żałosne. Ale nie wyobrażaj sobie, że chcę z tobą współpracować. A teraz myślę, że powiedziałem już wszystko, czego dowiedziałbyś się podczas

swojego genialnie zaplanowanego przesłuchania. Mogę wrócić pod okno?

– Poczekaj... – zatrzymał go Sheppard.

Kto normalny zachowuje się tak arogancko w obliczu śmierci? Alan najwyraźniej był kimś, kogo należało się bać, jedną z tych osób, które czują się pewnie, kiedy otacza je chaos. Mimo wszystko jednak...

– Staraj się nadążyć, Sheppard. Tak, znałem Simona Wintera. Ale nigdy nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać – wyjaśnił Alan.

– Bo nie był twoim świadkiem – stwierdził Sheppard.

Alan wykrzywił twarz.

– Nie. Właściwie to cieszyłem się, że będę miał okazję przemaglować tego gnojka w sądzie.

– Na czym polega ta sprawa?

– Nie mogę zdradzać szczegółów sprawy. W mediach pojawiło się wiele spekulacji. Może zadzwoń do recepcji i poproś o gazetę?

Sheppard potarł oczy.

– Skoro Simon Winter leży martwy w wannie, to czy jest do pomyślenia, że osoba odpowiedzialna za porwanie ma związek ze sprawą?

– Oczywiście – odparł Alan. – Dlatego uznałem, że z mojej strony najlepiej będzie ukrywać najmniej, jak to możliwe. Jest prawdopodobne, że to, co nas spotkało, dotyczy sprawy MacArthura.

– Ale mimo to nie chcesz mi o niej opowiedzieć?

– Nie, Sheppard. Nie chcę. Bo wydaje mi się, że mam dużo większe szanse niż ty, by to rozgryźć. Zamierzam zachować to, co wiem, dla siebie, co może ci się nie podobać, ale jest konieczne. Jeśli przez to zaczniesz mieć wobec mnie podejrzenia, to trudno.

Sheppard pokręcił głową.

– Trudno, żebym nie miał. Dziwi cię to?

– To bez znaczenia – stwierdził Alan. – I tak jestem głównym

podejrzany. Chcesz usłyszeć motyw, Sheppard? Bo mam, i to cholernie dobry. Ten facet zatruwał mi życie przez ostatni rok. Nieraz wyobrażałem sobie, jak go wybebeszam albo siekam na milion kawałków. Nie znaczy to, że byłbym zdolny to zrobić. Ale jest dla mnie oczywiste, co tu się dzieje. Człowiek w końskiej masce chce mnie zrobić w to morderstwo, a jeśli dasz się nabrać, zabijesz nasz wszystkich.

– Niezłe ego jak na faceta, który broni się przed zarzutem zabójstwa.

– To nie moje ego jest przedmiotem tej sprawy.

Mnóstwo informacji, podanych prawie na talerzu. Alan przedstawiał wersję wydarzeń, którą morderca z pewnością wolałby ukryć. O ile była prawdziwa. Poza tym faktycznie miał motyw. I dobrze wiedział jak manipulować ludźmi.

– Czyli rozprawa w sprawie MacArthura miała odbyć się dzisiaj?

– Tak. Ale jej szczegóły nie mają tu znaczenia. Nie mają związku z tą... sprawą, chociaż nazywanie tego sprawą jest, nie oszukujmy się, trochę na wyrost.

– Nie mają związku? Czy po prostu nie chcesz mi powiedzieć?

– Jako adwokat jestem prawnie zobowiązany, by zachować pewne kwestie pomiędzy mną a klientem.

– MacArthurem?

– Tak.

Sheppard widział, że Alan nie da się przekonać. Jak mógł konkurować z prawnikiem? Alan na co dzień naprawdę zajmował się tym, co Sheppard tylko udawał.

– Dwie osoby związane ze sprawą znalazły się w tym samym pokoju hotelowym. To nie może być przypadek – powiedział bardziej do siebie niż do Alana. Czyżby był w jakiś sposób powiązany ze sprawą MacArthura? Maska sprawiał wrażenie, jakby wziął się tylko na niego, ale może chciał się

też rozprawić z Alanem?

– Nie.

– Naprawdę potrzebuję więcej informacji, Alan.

Alan się uśmiechnął.

– Jesteś w tym naprawdę beznadziejny, wiesz? – Najwyraźniej wolał umrzeć, niż sprzeniewierzyć się swoim zasadom. Sheppard znał więcej takich osób: honorowych do tego stopnia, że w razie czego rzuciłyby się na własny miecz. Nie należał do nich i nie rozumiał tego sposobu postępowania.

– Zdaję sobie sprawę, Hughes, że jest pan człowiekiem, który odniósł w życiu wielki sukces – powiedział, starannie dobierając słowa. – Dobrze się pan czuje w roli przywódcy stada, w centrum uwagi...

– Błagam, oszczędź mi tej psychoanalizy. Ośmieszasz się.

Sheppard uniósł dłoń.

– Jest pan zwycięzcą. Wywalczył pan sobie miejsce w branży, nie przyjmując do wiadomości żadnej odmowy. Wygrał pan. I naprawdę chce pan, żeby tak to się skończyło? Jeśli Maska ma rację, wszyscy zginiemy.

– Pytasz mnie, czy chcę umrzeć? Oczywiście, że nie. Ale jeśli nie mam wyboru, to przynajmniej chcę umrzeć z godnością.

– Nie chcesz umrzeć. Wydaje ci się, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ale to, ta jedna rzecz, nas łączy. Nie chcesz umrzeć i boisz się. Zupełnie tak, jak wszyscy w tym pokoju. Jak ja. Trzęsę się ze strachu. A przyglądając ci się, dostrzegam, że gdzieś tam w głębi ty też się trzęsiesz. Czy ci się to podoba, czy nie, Hughes, należymy do tego samego rodzaju osób. Do grona facetów, którzy znajdują sobie ciągle nowe zajęcia i zawsze mają na końcu języka chamską odpowiedź, żeby tylko nie myśleć o problemach, które ich trapią. Ale tego problemu nie zamieciemy pod dywan.

– Nie – przyznał Alan.

– Jedna rzecz, do której wciąż wracam myślami, to wyjaśnienie, dlaczego

akurat my. Podejrzewam, że istnieje konkretny powód, ale jeszcze go nie rozgryżłem. Ale ty... ty możesz być kluczem do tej zagadki.

– Ktoś uśpił mnie gazem w moim własnym biurze. Byłem sam. Owszem, być może porwano mnie ze względu na udział w sprawie. Ale moim zdaniem zadajesz nie te pytania, co trzeba, Sheppard. Ja to jedno, ale przede wszystkim powinieneś się zastanawiać, co łączy wszystkich pozostałych.

Alan Hughes, adwokat, który wygodnie dla oskarżyciela zniknął o poranku w dniu procesu. Przy okazji wyparowuje kluczowy świadek.

Te dwa zdarzenia musiały być powiązane. Może człowiek w końskiej masce chciał się dowiedzieć, kto zabił Simona Wintera, a Alan wydał mu się głównym podejrzanym?

Czy za maską krył się Hamish MacArthur? Rzecz w tym, że Sheppard słyszał o nim pierwszy raz w życiu. MacArthur musiałby zaś znać Shepparda aż za dobrze, a poza tym ta hipoteza nie uwzględniała, że Winter mógł być jakoś uwikłany. To było kolejne ważne pytanie – dlaczego Winter trafił do wanny? Czy jego rola nie ograniczała się do bycia ofiarą? Umysł Shepparda krążył w miejscu, zachowując się jak pies goniący własny ogon. Zbyt wiele wątków niedających się powiązać. Dobry pomysł. Choć z drugiej strony – nietrafiony.

– Porwanie sześciu osób. Żeby przygotować morderczą łamigłówkę. – W myślach zadał sobie pytanie: *co nam umyka?*

Był tak mocno skupiony, że zaskoczyło go, kiedy usłyszał odpowiedź.

– Pięć osób. Musimy założyć, że morderca i ofiara byli tu wcześniej – stwierdził Alan.

Ryan. Ryan tu był. Ale ten wyraz twarzy, kiedy zobaczył Wintera... To nie mogło być udawane.

– Myślę, że człowiek w masce konia chciał zabić Simona Wintera i posłużył się w tym celu jednym z nas.

Czyżby Alan postanowił przyłączyć się do gry?

– Dobrze. To co mam zrobić, żeby zidentyfikować mordercę? – spytał Sheppard, zanim zdążył się powstrzymać. Żałosne. Zachowywał się żałośnie.

– Może to tylko kwestia prostoty. Może zabójcą jest ten, kto przedstawi najbanalniejszą historię. Mordercy nie są znani z umiejętności snucia fascynujących opowieści.

– Twoja historia jest całkiem nieskomplikowana.

Alan zachichotał.

– Tak, właściwie masz rację. Ale to wszystko, co mam ci do powiedzenia, Sheppard.

– Okej – odparł.

To musiał być Alan. Nie było innej opcji. Ale miał jeszcze dwie osoby do przesłuchania, a w głowie już kłębiło mu się o wiele za dużo pytań. Zanim na nie odpowie, musi wszystkich poznać.

– Jeśli coś jeszcze przyjdzie ci do głowy, powiedz mi, proszę.

– Tak zrobię – odparł Alan, niezbyt przekonująco.

– Aha, Hughes, skoro byłeś ze mną szczery, odwdziczę ci się tym samym. Jesteś moim głównym podejrzanym.

Prawnik zaśmiał się jeszcze raz. Aroganckie, wyzute z humoru parsknięcie.

– To i ja będę szczery z tobą, Sheppard. Ty jesteś moim. – Uśmiechnął się, a zanim odwrócił się w stronę okna, puścił do niego oko. Był w nim błysk. Ledwie zauważalny. Sugerujący, że o czymś wie.

Shepparda przeszył dreszcz. Ta wyższość. Alan musiał skądś wiedzieć o jego związku z Winterem. Na dodatek Sheppard nie miał pojęcia skąd, co przerażało go bardziej niż wszystko inne.

Jeszcze dwie osoby. Spojrzał na zegar. 02:14:57. Dokąd ten czas uciekał? Jakim cudem minęło już czterdzieści pięć minut?

Odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nikt na niego nie spojrzał, wszystkich pochłaniały ich własne myśli.

– Pani Ahearn?

Constance powoli odwróciła głowę, a kiedy Mandy coś do niej wyszeptwała, podniosła się na nogi. Miała na sobie suknię z lejącej się tkaniny w czarnym kolorze dopasowanym do włosów i o bufiastym kroju, który maskował kształt jej ciała. Wyglądała jak duch, unosząca się nad ziemią, posępnie wyjąca mara. Wciąż ścisnęła hotelową Biblię, a kiedy podeszła bliżej, uwagę Shepparda przyciągnęły jej zbielełe kłykcie. Jej makijaż rozmazał się tak groteskowo, że twarz przypominała paletę malarską pełną zmieszanych kolorów. Widać było, że ma swoje lata, choć czas obszedł się z nią łaskawie.

W pewnej chwili założyła włosy z jednej strony za ucho i Sheppard dostrzegł na jej lewym policzku świeże zadrapanie. Zapewne podrapała się jednym ze swoich długich paznokci pomalowanych bezbarwnym lakierem.

Sheppard zaprowadził ją do przedsionka. Nie miało to większego sensu, ale przynajmniej stwarzało iluzję prywatności. Pozostali na szczęście udawali, że nie podsłuchują.



– Przykro mi, że musimy to robić tutaj. Ale mamy ograniczoną przestrzeń – powiedział Sheppard. Zabranie Constance do łazienki nie wchodziło w grę. I tak było z nią coś nie w porządku. – Może najlepiej będzie, jeśli skupi się pani na mnie. Proszę nie myśleć o pozostałych ani o tym, gdzie jesteśmy.

Constance wpatrzyła się w niego i otworzyła usta. Spodziewał się czegoś na granicy szaleństwa. Głos, który się z nich dobył, okazał się jednak konkretny.

– Dobrze.

Czarne włosy uwolniły się z za ucha i ponownie spłynęły na jej twarz. Jak w jakimś horrorze.

– Muszę zadać pani kilka pytań. Będą to wyłącznie rzeczy, których muszę się dowiedzieć w celu rozwiązania zagadki. Muszę jak najlepiej poznać osoby obecne w pokoju. Nie będę pytał o nic, czego nie muszę wiedzieć. Rozumie pani?

Constance spoglądała na niego jednym odsłoniętym okiem i jednym ukrytym za kurtyną włosów.

– Tak.

– Dobrze. – Od czego zacząć? Nie zastanowił się wcześniej. Skierował wzrok w dół. – Jest pani wierząca?

Constance się roześmiała. Pomyślał, że może zaprzepaścił swoją szansę, ale po chwili usłyszał:

– Tak, panie Sheppard. A w tym momencie jesteśmy w piekle. Odbywamy karę. Nie tylko pan. My wszyscy. Każdy z nas musi odpokutować.

– A za co panią spotkała kara? – spytał Sheppard.

Constance spojrzała na niego groźnie, a potem spuściła wzrok. Więcej wyczucia, Morgan.

– Dobrze, zacznijmy od czegoś prostszego. Pamięta pani, gdzie była, zanim obudziła się tutaj?

– Byłam w... – zastanowiła się Constance. – Chyba w mojej garderobie. – Wysoki głos. Stworzony do śpiewania. I występów.

– W pani garderobie? W teatrze? Z tego, co słyszałem, jest pani gwiazdą jakiejś sztuki?

Chyba ją rozzłościł.

– Musicalu. To jest musical. *Rain on Elmore Street*. Trzy lata. Nie opuściłam ani jednego występu. Jestem na scenie osiem razy w tygodniu.

– A co pani robiła w garderobie dziś rano?

– Ćwiczyłam. Aktor grający główną rolę męską jest na zwolnieniu chorobowym, więc musieliśmy przećwiczyć kilka ról z jego dublerem. Amatorzy, i jeden, i drugi. – Constance zamilkła. Wysunęła nos w przód jak pies. – To jest zapach krwi? Nie chcę tu stać.

– Przepraszam, postaram się pośpieszyć. Czyli była pani sama w swojej garderobie?

– Mam własny pokój, tak, ale człowiek nigdy nie jest naprawdę sam.

– Słucham?

– Jestem medium, panie Sheppard. Jedną z niewielu osób zdolnych dostrzegać dusze, które zagubiły się w drodze do kolejnego życia. Widzę wnętrza innych ludzi. Ich aury.

Sheppard zdusił westchnienie.

– Aha – zadowolili się burknięciem. – Dobrze. – Czyli jednak wariatka. Miał dowód. Duchy i aury.

– Pańska aura bardzo mnie martwi, panie Sheppard. Światło i ciemność mieszają się ze sobą. Proszę mi powiedzieć, uważa się pan za dobrego człowieka?

Shepparda zatkało.

– Co takiego?

– Nie wiem jeszcze, jak rozumieć, to co widzę. Nic więcej.

*Powiedz, uważasz się za dobrego człowieka?*

Jedne z ostatnich słów, jakie usłyszał od Simona Wintera.

– Jest pani katoliczką. Z tego, co widzę, gorliwą. A mimo to wierzy pani w to wszystko? – spytał Sheppard. *Zostaw to pytanie bez odpowiedzi. Zmień temat.*

– Jest w niebie i na ziemi wiele rzeczy, które wykraczają poza ramy pańskiej filozofii – stwierdziła Constance. – Poza tym nie wybrałam dla siebie tej roli. Po prostu tak wyszło.

– Skoro widzi pani barwy wszystkich, nie może pani rozpoznać, kto jest mordercą?

Constance uśmiechnęła się, odsłaniając zęby w sposób, który przywodził na myśl zwierzę.

– To tak nie działa.

– No tak, oczywiście – nie zdążył się powstrzymać.

– Może pan nie wierzyć, ale faktów pan nie zmieni.

Wróćmy do sedna.

– Była pani w garderobie. I co dalej?

– Przygotowywałam się. Głównie ćwiczyłam swoje kwestie. Musieli je trochę przerobić dla dublera. W moim fachu występowanie na scenie jest jak oddychanie. Człowiek postępuje odruchowo. Występ za występem, mijają dni, tygodnie, miesiące. Znałam swoje kwestie na wyrywki, a oni je pozmieniali. Mimo tego, że wiedzieli, jak to na mnie podziała. A wszystko przez tego gnojka i jego pieprzone podejrzenie raka. Nie potrafię nauczyć się nowego tekstu w jeden dzień. Po prostu nie potrafię. I nie zamierzam, panie Sheppard.

– Rozumiem... – spróbował.

– Byłam wściekła. Zagroziłam, że odejdę. Groziłam chyba pięć razy. Ale zostałam. Bo i tak chcą mnie wymienić. Na kogoś młodszego. Więc zostałam. A potem poszłam do garderoby uczyć się nowego tekstu. Jak grzeczna dziewczynka. A potem usłyszałam ten dźwięk. Jakby... syczenie. A potem brzydki zapach.

– No właśnie, zapach. – Sheppard miał trudności ze zrozumieniem bełkotu Constance, ale chwycił się słów, które coś mu mówiły. – Wygląda na to, że wszyscy zostaliśmy odurzeni i przewiezieni tutaj.

Nowe pytania. Czy zabójca też został obezwładniony gazem? Czy udawał? Jeśli to drugie, to kimkolwiek był, musiał umieć dobrze grać. A Constance zdecydowanie była dość nerwowa, by pasować do tego, co wiedzieli już o mordercy. Mogła nawet ukrywać prawdziwe nerwy za fasadą udawanych.

– Tak. Gaz. To ma sens – stwierdziła Constance. – Nie pamiętam nic do momentu... kiedy przebudziłam się tutaj.

– Myśli pani, że jesteśmy w piekle, ale przyznaje, że wciąż żyjemy?

Constance zachichotała. Zabrzmiało to jak gdakanie kury.

– Istnieje więcej niż jedno piekło. To jest piekło na ziemi. Musimy odpokutować.

– I nie zamierza mi pani powiedzieć, za co została pani wymierzona ta pokuta?

– Nie, panie Sheppard. Pytanie, które powinien pan sobie zadać, to jakie grzechy pan ma do odkupienia?

Sheppard poczuł nagle swędzenie, jakby coś wślizgnęło się pod jego skórę. Jak to zrobiła? Jak ominęła wszystkie jego mechanizmy obronne?

– Pani Ahearn...

– Nie, nie chcę tego więcej słuchać. Ktokolwiek leży w łazience, nie zabiłam go. Nawet stojąc tu pod drzwiami, czuję się, jakby miała za chwilę

zwymiotować, to powinno powiedzieć panu wszystko, co musi pan wiedzieć. Dlaczego pan myśli, że byłabym w stanie zabić człowieka? Tylko dlatego, że nie chcę rozmawiać z panem, zupełnie obcą mi osobą, o prywatnych sprawach? – Każde słowo wypowiedane z emfazą. Jakby recytowała Szekspira.

Ślepy zaułek. Sheppard wiedział, że nie zmieni zdania. Była uparta. Wyjął portfel Wintera i poczekał, aż Constance się uspokoi, po czym pokazał jej jego prawo jazdy.

– Rozpoznaje go pani?

Przyjrzała się zdjęciu. Za długo.

– Nie wydaje mi się. Nie zapominam twarzy.

– Nazywał się Simon Winter. Mówi to pani coś?

– Nie słyszałam o nikim takim.

– Jest pani pewna?

– Tak... – Oczy Constance powędrowały z powrotem na prawo jazdy.

Kolejna dłuższa cisza. – Widziałam go.

– Co? Gdzie?

– Próbuję... próbuję sobie przypomnieć – odpowiedziała. Naprawdę się zastanawiała. – Widziałam go w sali barowej po przedstawieniu. Kilka tygodni temu, tak mi się wydaje. Raz w tygodniu chodzę do baru rozdawać autografy. Zwykle jest dużo ludzi. Tamtego dnia też był tłok.

– Co w taki razie sprawiło, że zapamiętała pani Simona Wintera?

– Nie chodzi konkretnie o niego, tylko o mężczyznę, w towarzystwie którego tam był.

– Co?

– Rozmawiali przy barze. Nie wiem, o czym. Było bardzo głośno i ludzie pchali się w moją stronę. Ale od czasu do czasu, kiedy tłum się rozstępował, widziałam ich. Mężczyźni ze zdjęcia towarzyszył młodszy mężczyzna

w garniturze i czerwonym krawacie, w okularach z prostokątnymi oprawkami. Miał najciemniejszą aurę, jaką w życiu widziałam. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. To był zły człowiek, panie Sheppard.

Mężczyzna. Czerwony krawat. Okulary. Ten sam, którego widziała Mandy. Czyżby to był on? Człowiek kryjący się za końską maską?

– Pamięta pani cokolwiek więcej? Słyszała pani, o czym rozmawiali, choćby jedno słowo?

– Nie, ale nie spuszczałam z nich oka. Byli pogrążeni w rozmowie. Sprawiali wrażenie, jakby nie pasowali do tego miejsca. Głównie mówił ten... Winter... a ten zły mężczyzna słuchał. Winter podał coś złemu mężczyźnie. Coś jakby notes albo kieszonkowe wydanie książki. Nie pili, więc zastanowiło mnie, dlaczego w ogóle tam siedzą. Potem na kilka minut moją uwagę rozproszyli ludzie proszący o autografy, a kiedy spoglądałam z powrotem w tamto miejsce, wydało mi się, że już nie zobaczę Wintera i tego mężczyzny. Miałam nadzieję, że ich nie zobaczę. Ale wciąż tam byli. I... – Constance wzięła gwałtowny oddech.

– I co?

– Wpatrywali się prosto we mnie, panie Sheppard. Winter i ten zły człowiek. Prosto we mnie. Jakby wiedzieli, że ich obserwowałam. A oczy tego złego... wyglądały jakby... jakby płonęły, gorzały. Pierwszy raz w życiu widziałam coś takiego. Opanował mnie taki strach... Jak małe dziecko. Ale z jakiegoś powodu nie mogłam się zmusić, żeby odwrócić wzrok. A on cały czas na mnie patrzył. Uwolniłam się dopiero wówczas, kiedy pojawił się mój asystent i odeskortował mnie do garderoby.

Po kręgosłupie Shepparda przeszedł dreszcz. Jeśli mężczyzna był tym, który krył się pod końską maską, opowieść Constance potwierdzała, że Winter był zamieszany. W ten spisek, plan. Winter wiedział. I współpracował z Maską. Ze złym człowiekiem w garniturze. *Przekazał mu notes.* Czy ten

sam, w którym wcześniej coś zapisał na oczach Ryana? Sytuacja zaczynała się rozjaśniać.

– Staralam się nie myśleć o tym mężczyźnie. Zapomnieć o wszystkim. Ale od tych kilku tygodni mam trudności z zasypianiem, bo widzę go, kiedy tylko zamknę oczy.

– Myśli pani, że to on jest odpowiedzialny za to wszystko?

Mężczyzna w garniturze i czerwonym krawacie. „Zły człowiek” Constance. To on najwyraźniej ich wszystkich łączył. Sheppard zaczął się zastanawiać, czy sam widział kogoś, kto pasowałby do tego opisu. Może? Widywał wiele osób w garniturach. Mała szansa, że ktoś taki rzuciłby się mu w oczy. Poza tym rzadko znajdował się w pełni władz umysłowych – zwykle jego postrzeganie było trochę rozmyte. Nie zauważył nikogo szczególnie złowrogiego.

Constance spojrzała na niego smutno z dołu.

– Oczywiście, panie Sheppard. Bo ten mężczyzna nie był zwyczajnie zły. On wiedział o tym, co zrobiłam, i tak samo wie o występkach wszystkich w tym pokoju. Wie, co pan ukrywa. On jest diabłem.

Constance zrobiła kilka kroków w tył. Odsuwała się, a Sheppard stał jak zamurowany. W wersji z opowieści Constance mężczyzna w garniturze faktycznie wydawał się zły. I rozmawiał z Winterem. Constance zajrzała w oczy ich porywaczowi. Nie było innej możliwości.

Sheppard prawie by zapomniał. Ucieszył się z okazji do zmiany tematu.

– A maska, którą miał na sobie? Rozpoznała ją pani? Może ze swojego spektaklu?

– Nie. Nie wyda... a może? W jednej z wersji wykorzystaliśmy maski w kształcie głowy konia podczas sekwencji snu. Czy to ważne?

*Nie mam pojęcia.*

– Nie wiem.

– Mamy dział rekwizytów, który przygotowuje wszystko na miejscu.

– Czyli raczej się nie da kupić takiej maski gdzieś indziej?

– Dlaczego to pana interesuje? Zamknął nas tu Szatan.

– Po prostu... – Nie nasuwała mu się żadna sensowna odpowiedź, ale wiedział, że musi zachować trzeźwy umysł. Przy Constance zbyt łatwo można było odpłynąć. A wtedy przestałby być użyteczny.

– Proszę się pośpieszyć, panie Sheppard. Ten mężczyzna... On się zbliża. On chce pana dopaść – powiedziała Constance i odsunęła się od niego.

Sheppard pozwolił jej odejść. Oddech uwiązał mu w gardle. Złoczyńca, człowiek za maską w kształcie głowy konia. Mężczyzna, który znał go za dobrze. Okulary, jego program, martwy psycholog w wannie. Porywacz wiedział o nim więcej niż on sam.

*On chce pana dopaść.*

Szatan nie istnieje.

Dlaczego w takim razie ta myśl nie dodawała mu otuchy?

Constance wróciła na swoje miejsce na kanapie obok Mandy, podczas gdy Sheppard stał nieruchomo, ogarniając pokój wzrokiem i wsłuchując się w jej słowa, które wciąż dzwoniły mu w uszach.

*Proszę mi powiedzieć, czy uważa się pan za dobrego człowieka?*

Nie miał pojęcia.



Dziewczyna w słuchawkach obserwowała go. Nie przypominał sobie, by choć raz widział, żeby zamrugała oczami, co było trochę niepokojące. Sheppard potrzebował przerwy, chwili, żeby porozmyślać, podobnie jak pozostali. Ale nie mógł sobie na nią pozwolić. Musiał działać.

Wykonał w jej stronę zapraszający gest dłonią.

Na czarnej bluzie z kapturem naklejka: CZEŚĆ. MAM NA IMIĘ... RHONA. Słuchawki, które nosiła, sprawiły, że w myślach od początku nazywał ją Didżejką. Dziewczyna patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym wygrzebała się spod biurka, wstała i ruszyła w jego stronę. Fioletowe słuchawki wciąż ściśle przylegały do jej uszu.

Spojrzeli sobie w oczy. Cisza wytrącała Shepparda z równowagi, aż odważył się odezwać.

– Cześć.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Rhona, tak?

Stała nieruchomo jak posąg.

– Czego słuchasz?

Nic, tylko wpatrywała się w niego. Może nie słyszała, co mówi. Ale dostrzegł coś w jej oczach. Błysk zrozumienia.

– Czego słuchasz? – spróbował jeszcze raz.

Nic.

Sheppard nagle uległ silnej irytacji – skumulowały się w nim wszystkie emocje.

– Dobrze, to będziemy sobie tak stali przez następne dwie godziny. Ciekawe, jak to jest zginąć w eksplozji.

Pożałował tego, zanim skończył mówić. Kiepsko znosił sytuację, w której się znaleźli, ale nic nie usprawiedliwiało odzywiania się w ten sposób do bezbronnego dzieciaka.

Dziewczyna skrzywiła się i otworzyła usta, ale zdecydowała się nic nie mówić. Zamiast tego rozejrzała się wokół, pewnie by sprawdzić, czy nikt z pozostałych nie patrzy, i zsunęła słuchawki z uszu na szyję.

– Jest pan chamski – stwierdziła głosem brzmiącym zaskakująco młodo i łagodniej niż sugerowałyby jej wyraz twarzy. – Nie przepadam za rozmawianiem – dodała. – Słucham Stonesów. *Greatest Hits*. Część druga.

– Stonesów, co? Masz ulubiony kawałek?

– Ludzie zwykle podają *Paint It Black*, ale ja wolę *2000 Light Years From Home*.

Sheppard się uśmiechnął.

– Niekonwencjonalny wybór, ale w obecnej sytuacji popieram cię stu procentowo.

Zły człowiek. Winter. A do tego pokój hotelowy pełen prawdy i kłamstwa. Też czuł się oddalony o dwa tysiące lat świetlnych od domu.

– Nie jesteś trochę za młoda na Stonesów?

– Mam siedemnaście lat – odpowiedziała obronnym tonem. Jakby mówiła to już wcześniej wiele razy. – Mam też gust.

– Bez wątplenia – potwierdził Sheppard. – Rozumiem, że z tego czegoś, na czym słuchasz muzyki, nie można połączyć się z internetem, zadzwonić do kogoś i tak dalej?

Kąciki warg dziewczyny drgnęły. Wyciągnęła z kieszeni bluzy odtwarzacz – staroświeckiego discmana.

– Proszę. Chętnie zobaczę, jak pan próbuje z tego dzwonić. – Dzieciaki w jej wieku zwykle miały iPhone’a czy coś takiego i pewnie nie raz widziała wyraz, który pojawił się na jego twarzy, bo dodała: – Lepsza jakość dźwięku.

Sheppard przeniósł wzrok z urządzenia na dziewczynę.

– Dlaczego ta sytuacja nie wywołuje u ciebie większego lęku? Słyszałaś coś z tego, co tu się działo?

– Słyszałam kolesia w telewizorze. Kiedy pan był jeszcze przykuty do łóżka. Słyszałam, że w wannie jest martwy mężczyzna. Słyszałam, że w pokoju jest zabójca. Wiem to wszystko, ale właściwie nie obchodzi mnie, co ci ludzie mają do powiedzenia. Nie muszę więcej słyszeć. Skoro mam umrzeć, to chcę siedzieć w kącie i słuchać swojej muzyki. Nie znam lepszego sposobu na śmierć. A w każdym razie nie widzę tu lepszej opcji.

– To... – Sheppardowi zabrakło odpowiedniego słowa. Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że jej wyjaśnienie było najrozsądniejszą rzeczą, którą usłyszał, od kiedy się obudził. – To bardzo dorośle z twojej strony – postanowił w końcu powiedzieć.

Twarz Didżejki skrzywiła się na dźwięk słowa „dorośle”.

– Ojciec nauczył mnie, że bym była gotowa na najgorsze. Wszystko inne jest miłą niespodzianką.

– Na pewno jest duszą towarzystwa... – skonstatował Sheppard. – Ale wiesz, że nie mogę ci pozwolić siedzieć w kącie i czekać na śmierć. – *Chociaż brzmi to zachęcająco.* – Jeśli tylko będę potrafił, nie pozwolę nikomu innemu ucierpieć. – *Tak, wmawiaj to sobie.* – Muszę ci więc zadać kilka pytań.

Sheppard znał ten rodzaj dziewczyn. Osoby, które nie miały okazji poznać świata z lepszej strony, więc zakładały, że jego najkoszmarniejsze

elementy są normą. Sam widział w życiu niejedno okropieństwo, ale wiedział też, że dobro istnieje, na przykład to, które zdawało mu się dostrzegać w doktorze Winterze. Nawet jeśli czasami nie wyczuwał tego dobra w sobie.

– Przede wszystkim: pamiętasz, gdzie byłaś, zanim znalazłaś się tutaj?

– W domu – odparła Rhona – w moim pokoju, przy laptopie. Na dole ojciec z kolegami oglądał mecz. Zawsze próbuję zagłuszyć ich kibicowanie muzyką, ale niewiele to daje. Idioci. W każdym razie zamiast głośników zaczęłam używać słuchawek. Sprawdza się trochę lepiej. Potem mecz się skończył i słyszałam, że jak zwykle wychodzą do pubu.

– Mieszkasz z kimś jeszcze?

– Ma pan na myśli kogoś w rodzaju matki? Nie. Nie posiadam.

– Każdy ma matkę.

Przebłysk jego własnej. Koszmarnie nieznośna.

– Była pewna kobieta. Ale nas zostawiła.

– Okej – odpowiedział Sheppard, poddając się. Podrapał się po podbródku. Pragnienie uzyskania odpowiedzi sprawiało, że swędziały go grzbiety dłoni. – Czyli co, po prostu urwał ci się film? A potem obudziłaś się tutaj? Poczułaś może jakiś brzydki zapach?

Przez twarz dziewczyny przemknął błysk zrozumienia.

– Tak. Faktycznie. Poczułam coś dziwnego, chemicznego. A potem wszystko zaczęło mi się rozmazywać przed oczami, no wie pan. Nie mogłam skupić na niczym wzroku. A potem pojawiłam się tutaj.

– Jak wszyscy.

– Tak. Już pamiętam. Ale dlaczego zapomniałam?

– Pewnie przez te prochy. Sprawily, że to wszystko było jak sen.

– Pewnie.

– Chcę, żebyś sobie coś przypomniała: muszę wiedzieć, czy byłaś sama.

– Oczywiście. Przecież byłam w moim pokoju.

– I w domu też nie było nikogo innego?

– Tak – odpowiedziała tonem, jakby mówiła do przedszkolaka.

– Jesteś pewna, że wszyscy wyszli? Znasz ich?

– Tak. Poza moim ojcem byli jego kumple Bill i Matthew. Chociaż właściwie powinnam ich nazywać panem Michael'em i panem Cline'em.

– Dużo o nich wiesz?

– Nie, właściwie niewiele. Ale tata tak, znają się od lat. Pracują w tej samej agencji nieruchomości w Angel.

– Czy któryś z nich nosi okulary?

– Co to za pytanie... Jezuuu... – odpowiedziała. – Nie, żaden.

Głupie, faktycznie. Ci ludzie wydawali się bez znaczenia. Ale nigdy nic nie wiadomo...

Sheppard miał w umyśle konkretny obraz. Zły mężczyzna. Okulary w kwadratowych oprawkach. Czerwony krawat. Klasyczny garnitur. Człowiek z opowieści Constance. Mężczyzna, którego Mandy być może widziała dziś rano. Przecież nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie, prawda?

– W każdy piątek jest to samo. Ojciec z kumplami mają wolne popołudnie. Czy to nie dziwne, że nikt na wysokim stanowisku nie pracuje w piątek po południu? W każdym razie zawsze idą z pracy prosto do naszego domu i oglądają jakiś sport, jest im obojętne jaki, a potem przenoszą się do pubu. Ja w piątki chodzę na zajęcia w college'u, na terapię i potem wracam do domu.

Sheppard zamarł.

– Co?

– No, chodzę na zajęcia w college'u St. Martin's. Robię kurs przygotowawczy ze sztuki i designu.

– Nie, nie, chodzi mi o terapię.

Rhona zwęziła oczy.

– No i? Co w tym złego? Jennifer Lawrence też chodziła na terapię.

– Nie o to mi...

*Zastanów się dwa razy, zanim cokolwiek powiesz.*

– Chodzę głównie ze względu na zadawnione sprawy rodzinne. Poza tym mam klaustrofobię, która już słabła, a przynajmniej tak mi się wydawało... do chwili, gdy ktoś mnie zamknął w pokoju hotelowym z pięcioma innymi osobami i martwym mężczyzną.

To trochę tłumaczyło jej postępowanie – dlatego wcisnęła się pod biurko, zamknęła oczy i nie chciała zdjąć słuchawek.

Postanowił nie naciskać.

– Widziałaś się dziś ze swoim terapeutą?

– Nie. Pojechałam pod jego dom, jak zwykle, ale nikogo nie było. Zdziwiłam się. Doktor Winter jeszcze nigdy nie wystawił mnie do wiatru, więc uznałam, że to musiało być coś poważnego.

– Doktor Winter.

*Oczywiście. To on jest ogniwem, które ich łączy, prawda? Zaskoczony? Dlaczego czuł się zaskoczony?*

– Tak. – Dziewczyna ewidentnie dostrzegła coś w jego twarzy. Może był tak blady, jak mu się wydawało. – Co? – Nie słyszała wcześniej. Słuchała Stonesów. Nie miała pojęcia.

Sheppard wyciągnął drżącą dłońią portfel Wintera i go otworzył. Podsunął dziewczynie pod nos.

– To on?

Rhona przyjrzała się zdjęciu na prawie jazdy. Na jej twarzy odmalowało się zagubienie.

– Tak. Skąd pan...? – przerwała. Jej mózg połączył kropki, o których istnieniu nie chciała wiedzieć. Spojrzała na Shepparda szeroko otwartymi

oczami i zanim zdążył ją chwycić, popędziła do łazienki.

Sheppard rzucił się za nią, zbyt wolno.

Oswoił się już z łazienką, ale jasne oświetlenie i zapach wciąż sprawiały, że zbierało mu się na mdłości. Didżejka odciągnęła zasłonę i zajrzała do wanny. Kiedy zobaczyła leżącego na dnie martwego Wintera, osunęła się na kolana, przytrzymując się kurczowo emaliowanej krawędzi.

– Co...?! – wrzasnęła. – Nie!!!...

Sheppard stał za nią. Nie przychodziła mu do głowy stosowna reakcja.

Rhona nie płakała. Po prostu klęczała i się wpatrywała.

Shepparda opuściło wszelkie podejrzenie, że mogła zamordować Wintera. Podeszedł i usiadł naprzeciw niej... *Tylko nie za blisko. Ta krew...*

Rhona spoglądała na Wintera takim wzrokiem, jakby był dla niej kimś bliskim. Zastępczym ojcem. Sheppard nie spodziewał się, że na jej twarzy zobaczy takie emocje.

Przez chwilę siedzieli bez słowa. Wreszcie Sheppard zrozumiał, że musi nią trochę pokierować.

– Przykro mi – powiedział.

– Kto to zrobił? – spytała.

– Tego zamierzam się dowiedzieć.

– Zabiję go – stwierdziła, a Sheppard jej uwierzył. – Potraktuję go gorzej. Dlaczego ktoś zrobił coś takiego doktorowi Winterowi? On w życiu nikogo nie skrzywdził. Starał się pomagać i nic poza tym.

*Nie zrobił nikomu krzywdy. Miał dobre serce. I był naiwny.*

– Od jak dawna go znałaś?

Rhona niechętnie przeniosła wzrok z Wintera na Shepparda.

– Chodziłam na terapię od pięciu lat.

*Mogliśmy na siebie wpaść.*

– Obrazisz się, jeśli spytam, dlaczego?

– Miałam fobię społeczną. Naprawdę beznadziejną. Dlatego za bardzo się nie udzielam. Radzę sobie dużo lepiej niż kiedyś, ale jeszcze nie pozbyłam się tego do końca. Doktor Winter mi pomógł. Pokazał, jak sobie radzić z atakami. Jest... był... dobrym człowiekiem.

*Powiedz, uważasz się za dobrego człowieka?* Szpikulce bólu przeszywające czaszkę z każdym słowem. Machnął w myślach ręką, żeby się od nich opędzić.

Nagły wyraz zdziwienia na twarzy dziewczyny. Sheppard zdał sobie sprawę, że próbował się naprawdę opędzić. *Weź się w garść.*

– Kiedy widziałaś się z nim po raz ostatni?

Wzrok dziewczyny przeniósł się z powrotem na Wintera.

– Tydzień temu. Normalna sesja. Tłumaczył mi, że już go nie potrzebuję. Ale... to nieprawda. Twierdził, że mi się poprawiło. Ale ja tak nie uważam. Potrzebuję go.

– Czy podczas sesji stało się coś dziwnego? Albo może powiedział coś, co zwróciło twoją uwagę?

*Może coś planował?* Sheppard wciąż nie pojmował, jak to możliwe, że Winter był w to zamieszany.

Rhona nie płakała, ale mimo wszystko przetarła oczy.

– Zakończył sesję przed czasem. Normalnie spotykamy się na godzinę, ale tym razem, mniej więcej w połowie, ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Gabinet jest we frontowej części domu, więc Winter wyjrzał przez okno i od razu się zerwał. Wyjaśnił, że coś się stało i muszę wyjść. Bardzo przeproszał. Obiecał, że w przyszłym tygodniu nadrobimy stracony czas. Nie robiło mi to różnicy. Wyprowadził mnie tylnymi drzwiami, do salonu, a potem zamknął drzwi do gabinetu i usłyszałam, jak otwiera drzwi wejściowe tej nowej osobie. I na tym się skończyło.

– Widziałaś może albo słyszałaś, kto do niego przyszedł?



– Nie, założyłam, że to pewnie jakiś jego kolejny znajomy... – *Nazywał ich znajomymi, bo uważał słowo pacjent za zbyt zimne, zbyt kliniczne, przypominał sobie Sheppard.* – W każdym razie, pomyślałam, może ktoś musiał się z nim niezwłocznie zobaczyć. Tak jak mówię, nie przeszkadzało mi to.

– Ale wciąż byłaś w jego domu? – *Gabinet Wintera ma osobne drzwi wejściowe i wyjściowe. Wiedziałaś o tym?*

– Tak. Zwykle wychodzę przez kuchnię. Od tyłu. Ale... Nie wiem, dlaczego, tym razem zostałam chwilę dłużej. Jego dom sprawia, że czuję się bezpieczna. Poza tym tata myślał, że wrócę później, więc po prostu usiadłam. Wiedziałam, że doktorowi Winterowi to nie będzie przeszkadzało. Byłam tam może dziesięć minut. Siedziałam sobie. A potem...

– Potem co?

– Nie jestem wścibska – powiedziała obronnym tonem. Tak, jak mówią ci, którzy zamierzają w następnym zdaniu powiedzieć coś, co temu bezpośrednio zaprzeczy. – Nie wiem, co mnie opętało. Ale... po mniej więcej dziesięciu minutach drukarka na biurku po przeciwnej stronie pokoju zaczęła wypluwać kartki. Może zadziałał instynkt, nie wiem. Ale wstałam. I podeszłam do niej.

– Co się drukowało?

– Strona za stroną, różne rzeczy. Kupa tekstu. Nie wczytywałam się. Wyglądało tak, jakby Winter odbierał faks. Myślałam, że nigdy się nie skończy, ale w końcu wyszła ostatnia strona... czy może pierwsza... i ją podniosłam. To był jakiś schemat. Pełen kratek, wymiarów, wydaje mi się, że nawet współrzędnych. A potem zajrzałam na drugą stronę. To był akt własności jakiejś ziemi. Pamiętam, że nic z tego nie rozumiałam, zastanawiałam się tylko: po co Winterowi coś takiego? Pomyślałam, że może to jakaś pomyłka, ale na pierwszej stronie, na górnym marginesie, ktoś

napisał odręcznie „DO WINTERA”. I podpisał się „C”. Nic z tego nie rozumiałam.

Sheppard milczał. Schemat. Z wymiarami. Czy mogło chodzić o diagram tego pokoju? Bez dwóch zdań. Winter był w to zamieszany po uszy. Ale ta druga rzecz, o której mówiła? Akt własności ziemi? Jaki to miało związek, do cholery?

– Odłożyłam to, po prostu. Odwróciłam się. I prawie podskoczyłam z zaskoczenia. On za mną stał. Doktor Winter. Musiał usłyszeć drukarkę. Pomyślałam, że jestem w tarapatkach, ale on zareagował tak dziwacznie, że bardziej się nie dało.

– To znaczy?

Didżejka przez chwilę milczała, wpatrując się w swojego martwego terapeutę.

– Zaczął płakać. Naprawdę. Podbiegł do mnie i zaczął coś bełkotać przez łyzy, ale nie rozumiałam, co mówi. Zauważył, co oglądam. A ja zauważyłam, na co patrzy. Jakiś głupi dokument, ale on się zachowywał jak wariat, zaczął powtarzać coś w rodzaju: „o nie, tylko nie ty”. Do mnie. Byłam tak skołowana, że nie wiedziałam, jak zareagować. W końcu chwyciłam torbę i zwiąłam. Najszybciej, jak potrafiłam. A kiedy spojrzałam przez ramię, on stał tam, gdzie go zostawiłam. Szlochał. W końcu osunął się na ziemię. To był ostatni raz, kiedy go widziałam... do teraz.

Dziewczyna przygryzła wargę.

Sheppard nie wiedział, co odpowiedzieć. Wciąż zastanawiał się nad tym, co widziała. Rhona połączyła fakty szybciej od niego.

– To myśli pan, że dlatego tu trafiłam?

Wciąż nie kojarzył.

– Co?

– No, dlatego, że widziałam te papiery. Winter powiedział: „o nie, tylko

nie ty”. Tak jakby chciał mnie ochronić, ale nie mógł. Wybiegłam stamtąd, a powinnam była mu pomóc. Tak jak on zawsze pomagał mnie.

– Na razie nie jestem niczego pewien – stwierdził Sheppard. Ale jej opowieść pasowała do pozostałych. Widziała plany. Constance spojrzała w oczy złemu człowiekowi. Alan zamieszał się w nieodpowiednią sprawę. Ryan nakrył Wintera. Mandy pracowała z jego córką.

Zły mężczyzna wykorzystał Wintera. Najpierw do zdobycia informacji na temat pokoju, w którym się znajdowali, a teraz jako ofiarę w grze w detektywa. Ale kto to zrobił? Kto go zabił? Zakładając, że faktycznie nie stał za tym porywacz we własnej osobie... oznaczało to, że któryś z jego nowych znajomych kłamie.

Sheppard podniósł się na nogi i wyciągnął rękę do Didżejki.

– Chodź, nie ma potrzeby, żebyś na niego wciąż patrzyła. Nikomu to nie pomoże.

Dziewczyna przez chwilę nie reagowała, ale potem chwyciła dłoń Shepparda, który pomógł jej wstać i zasłonił wannę.

– Nie mogę w to uwierzyć – stwierdziła Rhona. Sprawiała wrażenie zagubionej. – Nie wierzę, że on nie żyje.

Poruszając jak we mgle, podryfowała w stronę drzwi.

Odwróciła się jeszcze.

– Boję się. Teraz naprawdę się boję.

I wyszła.

Sheppard po raz kolejny znalazł się sam w łazience. Odwrócił się w stronę lustra i zobaczył, że wygląda o wiele gorzej niż wcześniej. Jego skórę pokrywała jakaś lśniąca wydzielina. Miał śnięte spojrzenie.

Postarał się skoncentrować na swoim odbiciu, ale jego krawędzie były nieostre. Serce biło trzy razy za szybko. W regularnych odstępach czasu przesywały go mrozzące impulsy elektryczności tak intensywne, że mogłyby zasilić samolot pasażerski. Sheppard poczuł, jak wzbiera w nim odruch wymiotny. Rzucił się na kolana przed muszlę klozetową, w ostatniej chwili podniósł deskę i pozbył się zawartości żołądka – cieczy o lekko fioletowym zabarwieniu wymieszanej z niewielkimi kawałkami czegoś, co kiedyś było jedzeniem. Wymiociny paliły go w gardło. Zakasłał, czując, że nadchodzi kolejna fala. Trzy skurcze żołądka i było po wszystkim. Resztki ostatniego posiłku unosiły się na powierzchni wody. Śmierdziały żelazem, kwasem i końcem świata.

Oparł czoło o krawędź muszli i po omacku poszukał przycisku spłuczki. Wcisnął go i wir wymiocin zniknął w czeluściach kanalizacji. Zapach jednak pozostał, wymieszany ze smrodem krwi. Sheppard zamknął oczy i zaczął sobie wyobrazać, jak łatwo byłoby tu zostać, po prostu zasnąć.

Jego gardło ogarnął pożar.

Wykrzesał z siebie siłę, by się podnieść i stanąć z powrotem przy

umywalce. Odkręcił zimną wodę na cały regulator, złączył dłonie i uniósł do warg. Napełnił usta, siorbiąc, i przełknął. Lepiej. Wziął jeszcze kilka łyków, a potem przepłukał wnętrze ust i splunął do umywalki, pozbywając się resztek ohydneho posmaku. Przetawił kran na ciepłą wodę. Po kilku sekundach z miski umywalki zaczęła unosić się para. Sheppard zamknął oczy i przez chwilę cieszył się wrażeniem ciepła rozchodzącego się po twarzy.

Nie potrafił określić, jak długo tak stał, na zmianę popijając zimną wodę i relaksując się w oparach gorącej. Ale był pewien, że za długo. Czuł się lepiej – musiał po prostu zrobić trochę wolnego miejsca w brzuchu. Rzecz w tym, że moment katastrofy i tak zbliżał się nieubłaganie. Potrzebował alkoholu, tabletek albo i tego, i tego. Katastrofa będzie gorsza niż to, co miał w głowie teraz.

Alan. Mandy. Constance. Ryan. I Didżejka. *Jedno z nich nie jest jak pozostałe.* Kto był mordercą? Wszyscy przedstawili przekonujące historie. Wszyscy sprawiali wrażenie, że mówią szczerze. Nikt nie próbował ukrywać, że coś go łączy z Winterem. Między nimi wszystkimi istniały więzi, o których nie wiedzieli.

Alan wciąż wydawał się najbardziej podejrzany. Miał silny motyw, do którego nawet się przyznał. Nie sprawiał jednak wrażenia osoby zdolnej do tak popędliwego czynu. Miał okropny charakter, ale był zbyt inteligentny, by posunąć się do czegoś tak nieracjonalnego i głupiego, jak zabójstwo świadka. Nawet jeśli była to część jakiegoś większego planu...

Mogła to zrobić Constance. Była aktorką, więc przedstawienie wyjaśnień w taki sposób, by w nie uwierzył, to dla niej pestka. Była szalona, wybuchowa. Kto wiedział, do czego jest zdolna? Mógł się założyć, że nie trzeba wiele, by kogoś zabiła. Coś jednak sprawiało, że wniosek ten wydawał mu się zbyt pochopny. Coś, co dostrzegł w jej twarzy, w oczach, kiedy opisywała „złego człowieka”.

Ryan tu pracował – w tym budynku. Mógł być użyteczny dla kogoś planującego coś podobnego. Wiedział o hotelowych pokojach rzeczy, z których nie zdawali sobie sprawy zwykli ludzie, i rozpaczliwie potrzebował pieniędzy dla rodziny. Był wysportowany, prawdopodobnie dość silny. Czy naprawdę tak trudno było sobie wyobrazić, że był odpowiedzialny za to, co ich spotkało?

Pozostawała kwestia Didżejki i Mandy. Nie widział tego. Reakcja Rhony na ciało Wintera... traktowała ich starego terapeutę jak drugiego ojca. Byli przyjaciółmi. A Mandy? W jej wypadku wciąż wracał do tego samego. Do pierwszego razu, kiedy zobaczyła Wintera. Do tego krzyku, gdy weszła do łazienki. Był przejmująco głośny, pełen przerażenia, wyzuty z nadziei. Prawdziwy. Na pewno nie udawała. Na pewno.

*One są najmniej prawdopodobnymi podejrzanymi. Czyli może to je powinienem podejrzewać najbardziej?* Dziwna myśl, ale niedająca się całkowicie odrzucić. W końcu pracował w show-biznesie, a producenci jego programu co rusz stosowali tę taktykę. Przekierowywali podejrzenia na innych uczestników, by widownia przeżyła większe zaskoczenie, kiedy prawda wychodziła na jaw. Może człowiek w masce o tym wiedział. Ale mimo wszystko... Didżejka? Mandy? Naprawdę? Wciąż nie mieściło mu się w głowie, że któraś z nich byłaby zdolna do czegoś takiego.

*A ty... byłbyś zdolny?* Kolejna dziwna myśl, obrzydliwa, ale uzasadniona. W końcu doświadczał częściowego zaniku pamięci. Ale czy zdołaliby zrobić coś takiego? Na dodatek Winterowi?

Winter i zły mężczyzna planowali to od dłuższego czasu. Czy Winter naprawdę aż tak bardzo nienawidził Shepparda? Żeby poświęcić setki niewinnych żyć? Czy to właśnie Sheppard robił innym? Nie zamierzenie. Cokolwiek uczynił... nie chciał. *Może dlatego zabiłeś Wintera? Może odkryłeś, co zaplanował?* Z narastającym w głębi brzucha uczuciem

przerażenia Sheppard zdał sobie sprawę, że nie może wykluczyć samego siebie.

Czy mógł jednak obwiniać o wszystko Wintera? Sheppard wiedział, że jeśli faktycznie zrobił coś, za co Winter tak bardzo go znienawidził, prawdopodobnie dopuścił się tego w pełni świadomie. Dawny Sheppard nie posunąłby się do tego. Dawny Sheppard, który czasami zastanawiał się, czy sprawy nie zaszły za daleko. Dawny Sheppard, który planował zrezygnować z programu. Zrezygnować z uwagi, którą mu poświęcano, i na powrót stać się nikim.

Rzecz w tym, że nie był już tamtym mężczyzną. Rządziła nim psychika chłopca, którym był kiedyś. Chłopca, który ponad wszystko pragnął być w centrum zainteresowania. Który tak bardzo pragnął sławy, że w końcu po nią sięgnął. A potem obiecał sobie, że ludzie już zawsze będą rozpoznawali jego nazwisko.

*Powiedz, czy uważasz się za dobrego człowieka?*

Sprawy potoczyły się za szybko. Alkohol i narkotyki. Oliwiły tryby. Pomagały iść do przodu. Zawsze do przodu. Stał się kimś potwornym. I nie obchodziło go to ani trochę.

Odczuł potężną chęć użalania się nad sobą. Nie mógł na siebie patrzeć. Przekrwione oczy, spocona skóra, pogardliwy wyraz twarzy. Był wrakiem człowieka. Cieniem iluzji, która pojawiała się na ekranach telewizorów. Człowiekiem w masce.

Lustro zachodziło parą. Jego twarz rozpływała się we mgle.

Nie był tym człowiekiem. Nie tutaj, nie w tej przerażającej łazience. Był po prostu zwyczajnym mężczyzną, pełnym pytań bez odpowiedzi. Spędził całe życie na unikach i uskokach. Nie miały się go problemy. Jak to możliwe, że nie przewidział czegoś takiego? Że pewnego dnia mysz mimo starań wpadnie w pułapkę?

Czy wystarczało, że jest mu przykro?

Zakręcił krany. Ostatni kłęb pary uniósł się nad umywalnię i rozpląnął po pomieszczeniu, mieszając się z zapachem krwi i wymiocin.

Sheppard zatrzymał się w drzwiach i spojrzął za siebie. Cień Wintera za zasłoną. Podeszedł i rozsunął ją jeszcze raz.

*Powiedz mi...*

– Nie jestem dobrym człowiekiem, nigdy nie byłem.

Nareszcie mu odpowiedział. Po dwudziestu latach.

Twarz Wintera była zimna – dawała mu znać, że to nie wystarczy.



*Dawniej...*

Kiedy dotarł na miejsce, w Ceglarni panował już niezły ruch. Wysiadł przez tylne drzwi limuzyny i pomachał w stronę długiej kolejki. Czekający na wejście pomachali w odpowiedzi, a kilkoro wydało w jego stronę radosne okrzyki. Zachichotał pod nosem i skinął głową do bramkarza. Potężnie zbudowany mężczyzna uśmiechnął się i odpiął linę.

Sheppard ostrożnie skierował się w dół schodów. Zdążył sporo wypić i wziąć o jedną tabletkę za dużo, przez co w kończynach czuł przyjemną bezwładność, jakby unosiły się w powietrzu. Jego umysł spowijała znajoma miękka wata. Oglądał świat przez chmurę, ale alkohol ściągał go na ziemię. Na tym polegała moc tej kombinacji. Istniał w przestrzeni pomiędzy. W nowej rzeczywistości. Miała ona niestety wadę w porównaniu z rzeczywistością, którą zostawił w domu: trudno mu było w niej chodzić. Idąc po pokrytych dywanem stopniach, zachwiał się tak mocno, że musiał chwycić się poręczy. Jego serce przyśpieszyło. Schody były wrogiem pijanych.

Ostatecznie wygrał walkę z grawitacją i wszedł do głównej sali klubu. Była duża, przestronna i niesamowicie ciemna – jedyne oświetlenie stanowiły błyskające od czasu do czasu lampy stroboskopowe. Znalazł się na fantastycznie zatłoczonym parkiecie otoczonym z trzech stron przez kanapy;

z czwartej znajdował się bar na podwyższeniu. Salę wypełniali ludzie podskakujący w rytm jakiegoś radiowego hitu.

Sheppard uśmiechnął się i zaczął się przeciskać na drugą stronę. Ludzie, którzy go zauważali, rozsuwali się na boki. Niektórzy próbowali z nim rozmawiać albo go chwytać. W odpowiedzi wyłącznie się uśmiechał. Przy tym oświetleniu i tak nikogo nie rozpoznawał, nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Zaczepiający go byli duchami. I prawie był za to wdzięczny. Nie miał teraz czasu dla prawdziwych ludzi.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Szukał strefy dla VIP-ów. Wypatrzył ją obok baru. Za sznurem widniały znajome twarze. Ochroniarz rozpoznał go i się uśmiechnął.

– Panie Sheppard – jego usta wykonały odpowiednie ruchy – miło pana widzieć.

Odpiął sznur i przepuścił go na drugą stronę. Sheppard odwzajemnił uśmiech, a przechodząc, poklepał ochroniarza po plecach i ukradkiem wręczył mu trzy dwudziestodolarowe banknoty.

W klubowym języku znaczyło to: nie przeszkadzać.

Strefa dla VIP-ów znajdowała się nieco na uboczu. Była niewielką podłużną wnęką, która tłumiła muzykę z głównej sali. Dzięki niewielkim żarówkom wpuszczonym w ceglany sufit była lepiej oświetlona. W głównej części pomieszczenia stał krąg wygodnych foteli – większość pusta, ale na pozostałych rozsiadły się osoby, które Sheppard rozpoznawał. Jego rzecznik prasowy, pochłonięty rozmową z dwiema oszłamiającymi kobietami wyglądającymi na bliźniaczki jednojajowe, obok reżyser jego programu wraz z asystentem – obaj o wiele mniej zaabsorbowani – a dalej Douglas Perry, który ewidentnie wyczekiwał pojawienia się Shepparda i popijał dziwnie wyglądający kolorowy drink ozdobiony plastrem pomarańczy i małą różową parasolką.

Na okrągłym stole piętrzyły się dziesiątki pustych szklanek i kieliszków. Na oczach Shepparda przysłała je posprzątać młoda, atrakcyjna kelnerka. Błat ślizgał się od rozlanych alkoholi i Sheppard odniósł wrażenie, że kiedy dziewczyna chwyciła pierwszy kieliszek i przestawiła go na tacę, dostrzegł na jej ustach grymas.

Osunął się na jeden z foteli, zadowolony, że nie musi się dłużej niepokoić, czy uda mu się utrzymać na nogach. Douglas oderwał wzrok od telefonu i wydał z siebie potworny rechot. Z kącika jego ust zwisała słomka. Shepard zaczął się zastanawiać, jak bardzo Douglas zdążył odjechać – agent miał słabość do kokainy i rzadko bywał nie pod jej wpływem. Kilka razy przekonał nawet Shepparda, żeby ten spróbował, ale choć wrażenie nie było nieprzyjemne, Sheppardowi nie przypadły do gustu efekty uboczne. Zdecydowanie wolał swoje tabletki.

– Oto i nasz bohater. A raczej powinienem powiedzieć: człowiek roku.

Słyszając to odważne stwierdzenie, wszyscy zgromadzeni rozejrzeli się wokół i dostrzegli Shepparda. Odwrócili się w jego stronę i obdarzyli uśmiechami oraz oklaskami. Dziewczyny, które rozmawiały z jego rzecznikiem sprawiały wrażenie, jakby chciały się od niego uwolnić i podejść do Shepparda, ale nie wiedziały, jak przerwać rozmowę, nie zachowując się niegrzecznie.

– No dalej, co chcesz? Stawiam.

– Doug, to jest open bar – poinformował go Sheppard, który już zaciągał końcówki słów.

– Dokładnie. Dlatego stawiam – odparł Douglas i roześmiał się głośno. Uniósł dłoń i przywołał kobietę w krótkiej czerwonej sukience. Była ładna, długonoga. Sheppard spokojnie obejrzał ją od stóp do głów, podczas gdy Douglas zamawiał mu burbona, a sobie kolejną obrzydliwie kolorową mieszaninę.

Kiedy dziewczyna zniknęła z pola widzenia, Douglas skierował uwagę z powrotem na Shepparda.

– I co, staruszk, jak się masz? – Douglas zawsze wypowiadał się niczym starszy dżentelmen, który mógł pamiętać czasy wojny. W rzeczywistości miał pięćdziesiąt lat i za grosz kręgosłupa moralnego.

– Pierwsza klasa – odparł Sheppard, wierząc się w fotelu.

Już zaczynał myśleć, czy nie wziąć kolejnej tabletki. Nigdy nie zaspokajały jego głodu w zupełności – nie dawały mu poczucia spełnienia. Albo przebywał po stronie „za dużo”, albo „za mało”. Nie potrafił określić, po której było gorzej.

– Nie obraż się, stary, ale wyglądasz dość marnie.

Sheppard posłał mu uśmiech i w tej samej chwili w łoży pojawiła się z powrotem dziewczyna z jego whiskey. Chwycił szklanekę i połknął jednym haustem. Dreszcz przeszył mu umysł; wyładowanie energii. Od razu lepiej.

– Teraz lepiej?

Odstawił szklanekę na tacę kelnerki i poprosił o powtórkę. Dziewczyna pokiwała głową i wyszła.

– Ha! Cóż, myślę, że zasłużyłeś. Dzięki tobie, i tylko tobie, moje dzieciaki pójdą na studia, wiesz o tym.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Serio, Sheppard, to fantastyczna sprawa. Absolutnie fantastyczna. Twoja oglądalność strzela w górę jak rakietę. Program radzi sobie lepiej niż jakikolwiek inny w historii porannej części ramówki. Widziałeś statystyki? Zoe wysłała ci wyniki oglądalności?

– Widziałem. Wysłała mi.

– Jeszcze jej tu nie widziałem. Jak się zjawi, pokaże ci statystyki.

– Doug – powtórzył Sheppard, śmiejąc się. – Widziałem statystyki.

Douglas przestał gadać i też się roześmiał.

– Przepraszam, stary. To jest po prostu takie fantastyczne. Ty jesteś fantastyczny, cholera. Pamiętasz, kiedy wziąłem cię pod swoje skrzydła? Miałeś...

– Czternaście lat. Wiem. Byłem przy tym.

– ...czternaście lat. W życiu nie spodziewałbym się, że zajdziesz tak daleko. To znaczy, nie chcę się brzydtko wypowiadać o zmarłych, ale Bogu dzięki, że tego nauczyciela matematyki zamordowali akurat wtedy.

Sheppard nie wiedział, co odpowiedzieć. Uśmiechnął się więc. Douglas miał wybitny talent do mówienia wszystkiego w najbardziej nietaktowny z możliwych sposobów. Zdolności tej zawdzięczał między innymi dwie byłe żony i czworo dzieci, które nie mogły na niego patrzeć.

Sheppard poszukał w swoim zamglonym umyśle wspomnień o panu Jefferiesie. Dobrodusznym, tęgawym nauczycielu matematyki, który zawsze chętnie dawał mu wskazówki do zadań domowych. Tym samym, którego znalazł zwisającego z sufitu.

– O czym chciałeś porozmawiać, Doug? – spytał Sheppard, kiedy długonoga kobieta wróciła z kolejnym burbonem dla niego i drinkiem Douglasa.

Tym razem Sheppard podniósł szklankę i przyjrzał się zawartości pod światło. Krystaliczna brązowa ciecz wyglądała zachęcająco, jedwabście. Paliwo jego życia. Pociągnął łyk i powiedział do dziewczyny:

– Zadbaj, żeby nie była pusta, dobrze?

Kelnerka pokiwała głową. Wyglądała na trochę otumanioną, podekscytowaną. Było oczywiste, że jest fanką. Kobiety, które go rozpoznawały, zawsze tak dziwnie trzepały rzęsami. Nie potrafił ocenić, czy był to znak, że chcą się z nim przespać, czy go zamordować, w każdym razie wyglądały zachęcająco niebezpiecznie.

Douglas wziął do ręki swojego nowego drinka.

- Chciałem z tobą porozmawiać o nowych możliwościach.
- Brzmi złowieszczo – odpowiedział Sheppard. Burbon otulał go niczym ciepły koc w chłodny wieczór.
- Otrzymałem z kilku stron zapytania, czy byłbyś zainteresowany napisaniem książki.
- Książki?
- Tak, chodzi o takie coś ze słowami w środku.
- Bardzo śmieszne. A o czym ktoś taki jak ja miałby napisać książkę?
- Właściwie to o czymkolwiek. O czym tylko chcesz. Może być tak interesująca albo tak durna, jak będziesz miał ochotę. Szczerze mówiąc, nie ma to większego znaczenia. Ludzie ją kupią, bo będzie miała na okładce twoje nazwisko. Książki są jak telewizja. Liczy się twarz po drugiej stronie.
- Nie wiem, jak pisze się książkę.
- Będziesz miał pomoc. Kurde, jeśli zechcesz, znajdziemy ludzi, którzy napiszą ją za ciebie. Wystarczy, że się zgodzisz, żeby twoje nazwisko znalazło się na okładce. Co ty na to?
- Sheppard się roześmiał.
- To takie proste, co?
- Pomyśl tylko, o czym mogłaby być ta książka. Detektyw z sąsiedztwa, Morgan Sheppard, opowiada, jak już w wieku jedenastu lat zmagał się z zagadką morderstwa swojego nauczyciela. Boże, Morgan, to jest gwarantowany hit. Wprost stworzony na listę bestsellerów „Timesa”.
- Rzeczywiście, brzmi kusząco – stwierdził Sheppard, bełtając burbonem w szklance. Prawie to widział. Książka za frontową szybą Waterstones. Gustowna, artystyczna okładka, tak... Na tylnej stronie obwoluty jego twarz, uśmiechająca się z tysięcy egzemplarzy. Solidna, gruba pozycja pełna relacji z przygód małego detektywa.
- No i?

– Nieczęsto mówię nie, Doug – odpowiedział Sheppard – więc wydaje mi się, że nie odmówię i teraz.

Douglas prawie zerwał się z fotela.

– Ha! Tak jest, jesteś fantastyczny, Sheppard! Podbijemy świat, ty i ja. Morgan Sheppard będzie na szczycie wszystkich list bestsellerów. Jesteś marką. Zarobimy miliony. Wydawcy ustawiają się do mnie w kolejce, żeby sprzedać mi swoje córki za prawa do pierwszej części.

– Pierwszej części? Nie rozpędzajmy się, Doug.

– „Nie rozpędzajmy się” – przedrzeźniał go Douglas. – Brzmisz jak Sheppard, w którego krwi krąży za mało wódki. Halo – przywołał gestem dłoni kelnerkę i zamówił następną kolejkę.

Resztę nocy spędzili w oparach toksycznych substancji. Rozmawiali jeszcze pewien czas o różnych mało znaczących sprawach, podczas gdy ich stan konsekwentnie się pogarszał. Wielokrotnie niewielkie grupki złożone głównie z dziewcząt podchodziły do sznura oddzielającego łożę VIP-ów i prosiły Shepparda o autograf. Ponoć była to impreza dla pracowników jego studia telewizyjnego, ale nikogo nie rozpoznawał. Douglas nalegał, żeby podpisywał wszystko, co mu podsuwają, a Sheppard nie miał nic przeciwko.

W pewnej chwili muzyka zaczęła grać głośniej, a światła w łoży przygasły. Sheppard ledwo dostrzegał siedzącego przed nim Douglasa i praktycznie go nie słyszał. Próbowali rozmawiać, krzycząc, ale nie mogli się nawzajem zrozumieć. Sheppard poczuł, że będzie musiał przekroczyć niezmierzoną połąć parkietu, żeby znaleźć miejsce umożliwiające oddanie moczu. Zasygnalizował to Douglasowi gestem dłoni, który jego pijany towarzysz jakimś cudem odczytał poprawnie.

Sheppard wstał, czując, jak świat wokół niego faluje. To świat był niestabilny, nie on. On czuł się lepiej niż kiedykolwiek. Małoletni detektyw. Prezenter telewizyjny. A teraz autor książek. Znalazł wyjście z łoży, poklepał

ochroniarza po ramieniu, bardziej żeby się oprzeć niż w przyjacielskim geście. Parkiet wyglądał na większy niż poprzednio. Falował i pulsował, a ludzie zlewali się z sobą na jego oczach; odnosił wrażenie, że patrzy na jednolitą ciemną masę. Pochylił głowę i ruszył pomiędzy nimi.

Jednym z dziwniejszych aspektów sławy jest to, że wszyscy chcą cię dotknąć. To było naprawdę dziwaczne. Ludzie zachowywali się tak, jakby nie zadowalał ich twój widok – musieli się upewnić, że rzeczywiście istniejesz. Przemierzając parkiet, Sheppard doświadczył tego zjawiska z pełną siłą. Ludzie poklepywali go, podawali mu rękę, nawet go obejmowali. A Sheppard był na tyle pijany, że na to pozwalał.

Minęła wieczność, zanim wyswobodził się z tłumu i stanął na wprost wysoko zawieszzonego neonu składającego się z napisu JOHN i strzałki wskazującej w głąb wąskiego korytarza. JOHN? Cóż, uznał, że toaleta to toaleta, i podążył we wskazanym kierunku, gdzie w końcu znalazł to, czego szukał.

Minęło pół godziny, zanim znalazł się z powrotem w strefie dla VIP-ów. Siadając, zwrócił uwagę, że Douglas zdążył się przebić przez trzy kolejne szklanki wielokolorowej brei. Grupy się przemieszały i teraz zaaferowany Douglas rozmawiał z bliźniaczkami, podczas gdy producent i dyrektor odbywali zapalczywą dyskusję. Asystent producenta, Rogers, wyglądał blado... jakby miał za chwilę zemdleć, zwymiotować albo zrobić obie te rzeczy naraz.

Pozostali obejrzelili się w stronę kelnerki, która podeszła do Shepparda z kolejnym burbonem.

– Dziękuję – powiedział Sheppard i bez zastanowienia wypił go do dna. – Poproszę następnego.

Dziewczyna uśmiechnęła się i pokiwała głową.

Douglas się zaśmiał. Wskazał Shepparda gestem dłoni.



– Widzicie, ten koleś naprawdę umie się bawić – powiedział do dziewczyn.

Sheppard odpowiedział uśmiechem.

– Może trochę.

– Wszystko w porządku? Trochę ci to zajęło.

– Ha. Ustalmy, że następnym razem, jak będę chciał się odlać, wyjdę piętnaście minut wcześniej. Wiesz, co teraz byśmy musieli zrobić? Przestać być tacy strasznie trzeźwi.

Douglas się uśmiechnął.

– W takim razie lepiej za to wypiję.

Jak na zawołanie, kelnerka zjawiała się z kolejnym burbonem dla Shepparda. Stracił już rachubę – pamiętał czasy, kiedy pilnował, ile pił. Teraz się nie przejmował. Stuknął się szklanką z Douglasem i dziewczynami i w tej samej chwili Rogersowi, asystentowi reżysera, skończył się film. Uderzył twarzą stół i osunął się na podłogę.

Loża wybuchła nieopanowanym śmiechem.

Sheppard wdrapał się na stół, a kiedy DJ zauważył, że coś się dzieje, muzyka przycichła.

– Za biednego Rogersa! – krzyknął.

Cały klub przyłączył się do niego, skandując trzy razy: „Hip, hip, hurra!”. Połowa obecnych nie miała pewnie pojęcia, z jakiego powodu, ale było to bez znaczenia.

Sheppard pomachał swoim drinkiem, rozlewając go na lewo i prawo, po czym zwałił się z powrotem na fotel.

I wtedy pochłonęła go noc.

Sheppard wypadł z łazienki tak gwałtownie, że zderzył się z Mandy, która stała przy łóżku i wpatrywała się w ścianę. Prawie przewrócili się razem, ale Mandy chwyciła go i pomogła mu złapać równowagę. Zamieszanie przyciągnęło na chwilę wzrok pozostałych, którzy jednak zaraz wrócili do swoich zajęć.

– Co się dzieje? – spytała Mandy. Musiała to dostrzec w jego oczach.

Sheppard otworzył usta, po czym dwa razy się zastanowił. Nie wiedział, co powiedzieć. Był jak ryba usiłująca złapać oddech. Coś w wyznaniu, które złożył Winterowi: „Nie jestem dobrym człowiekiem. Nigdy nie byłem”, podkreśliło wszystko, co się stało. I poczucie, że ów zły mężczyzna znał niedoskonałości Shepparda lepiej niż on sam.

– Co robisz? – spytał.

– Przyglądam się temu obrazowi. Jest naprawdę dziwny, nie sądzi pan? – Kiedy się przebudził, obraz przedstawiający płonący wiejski dom i uśmiechniętego stracha na wróble prawie bezwstydnie przyciągnął jego uwagę, ale później już nie zawracał sobie nim głowy. – Dlaczego, do cholery, coś takiego wisi w pokoju hotelowym?

– Nie wiem – odparł Sheppard. Pamiętał, że pomyślał tak samo.

Mandy uniosła dłoń i przesunęła palcami po farbie pokrywającej obszar domu.

– Smutne, prawda? Lubię sztukę, lubię ją interpretować. Ale ten obraz mnie przeraża. Z jakiegoś powodu po prostu wiem, że wewnątrz tego budynku jest rodzina, palą się dzieci. I jeszcze ten strach, te jego oczy... Przypominają mi oczy tego faceta, którego widziałam w kawiarni.

– Co?

– Wewnątrz na pewno są ludzie, prawda?

– Nie, to drugie. O oczach.

– A... – stwierdziła Mandy i opuściła dłoń. – Coś sobie przypomniałam. Ten mężczyzna, który przyglądał mi się w kawiarni... Wiem już, dlaczego tak wytrącił mnie z równowagi. Chodziło o jego oczy. Wyglądały, jakby planował coś nieprzyjemnego. Jak oczy tego stracha.

Sheppard uniósł wzrok i przyjrzał się obrazowi. Oczy stracha na wróble wyglądały dziwnie ludzko. Kiedy się w nie wpatrywał, sprawiały wrażenie, jakby go śledziły i odwzajemniały spojrzenie. *Nie, to tylko złudzenie.* Ale to się zgadzało z tym, co powiedziała Constance. Mandy spotkała tego samego mężczyznę.

Co oznaczało...

Intensywna fala zawrotów głowy prawie przewróciła Shepparda; oparł się dłonią o ścianę, żeby złapać równowagę.

– Musimy się stąd wydostać.

Z twarzy Mandy odpływały kolory.

– Ale...

*Nie potrafisz.*

– Nie potrafię.

Wszystkie te rozmowy, zmarnowany czas, a powinien był pracować nad tym, co najważniejsze. Jak stąd uciec.

Głos Alana z oddali:

– Dobrze słyszeć, że wreszcie doszedł do tego samego co my.

– Niech się pan przymknie – to Ryan.

Kto kłamał? Ktoś musiał, prawda? Ale wszystkie historie pasowały do siebie. Wszyscy zetknęli się z Winterem albo złym człowiekiem Constance. Wszyscy trafili tu z tego właśnie powodu. W takim razie kto kłamał? Ktoś z większym talentem potrafiłby to określić. Dostrzegłby to po oczach.

Sheppard przeniósł spojrzenie z Mandy na budzik. Zostały niecałe dwie godziny. Za dużo czasu. Jeśli zły człowiek wiedział, że Sheppard nie podoła, dlaczego po prostu go nie zabił? Zamiast umieszczać go tutaj, w poczekalni śmierci.

– Panie Sheppard, co jest? – Znowu Mandy. Tym razem ze strachem w głosie.

Sheppard spojrzał na nią. A potem ją wyminął. Zignorował ponowione pytanie z jej strony.

Nie pozostało mu nic innego. Istniał tylko jeden sposób, by zwalczyć drżenie rąk i bezlitośnie nadciągającą katastrofę. By złagodzić ból zbliżającej się śmierci. Chociaż może to, czego szukał, okaże się puste – może to będzie ostatni okrutny żart ze strony złego mężczyzny.

Sheppard prawie rzucił się na kolana przed telewizor. Pozostali coś do niego mówili. Nie słuchał, nachylił się do poziomu, na którym znajdowały się oczy Didżejki. Miała słuchawki z powrotem na głowie i wróciła na swoje miejsce pod biurkiem. Kiedy na nią zerknął, odwzajemniła spojrzenie. Wodząc dłońmi po szafce pod blatem w poszukiwaniu dźwigni, modlił się, żeby miał rację.

Owszem, w szafce krył się minibar. Sterylne wnętrze oświetlone mrugającą żarówką wyglądało dość nijako na tle jasnego pokoju, ale Sheppard i tak poczuł, jak na jego widok ogarnia go spokój. Dużo gorzej podziałało na niego to, co znalazł w środku.

Minibar był prawie pusty, tak jak się tego obawiał. Wyglądał żałośnie,

tak jak wszystkie opróżnione lodówki. Dwa przedmioty, które znajdowały się w środku, leżały na górnej półce. Miniaturowe butelki, takie, jak rozdawali w samolotach. Jego ulubiona marka burbona.

Właściwie gorzej, niż gdyby nic tam nie znalazł.

Sheppard wziął jedną z butelek – miała rozmiar jego palca wskazującego, może nawet nie. Łyk alkoholu, prawie dwa – ledwie, by poczuć smak.

Jego ulubiona marka; wołał nie myśleć, co to implikowało.

Sheppard wsunął jedną buteleczkę do kieszeni. Wyprostował się i rozejrzał, trzymając drugą.

Alan spoglądał na niego z wyrazem twarzy, w którym zdziwienie łączyło się z obrzydzeniem. Pozostali byli po prostu zdumieni.

– Wydaje mi się, że to słaby moment na chłanie, Sheppard – oznajmił prawnik. Ton tak kwaśny, że mógł rozpuszczać skórę.

– Są dwie butelki, Alan – powiedział Sheppard.

– Wiedziałem. Wiedziałem, że w gazetach pisali prawdę – stwierdził Alan. – Trzęsące się dłonie. Spocony jak świnia. Biorą cię niezłe objawy odstawienia.

Sheppard rzucił się na Alana, chwycił go za kłapy marynarki i popchnął plecami na okno. Alan wydał z siebie wściekłe stęknienie i warknął na Shepparda:

– No i proszę, oto cały nasz bohater.

– Czy możesz choć na dwie sekundy stulić tę durną mordę? – warknął Sheppard. – Są dwie butelki.

Za blisko. Wyczuwał nienawiść bijącą od starszego mężczyzny. Prawie go parzyła.

– Panie Sheppard... – powiedziała Mandy nieswoim głosem.

Utkwiła wzrok we wnętrzu minibaru. Ryan też. Sheppard puścił Alana, który poprawił krawat i otrzepał kłapy marynarki, jakby dłonie, które je

trzymały, były zabrudzone.

Sheppard podszedł z powrotem do minibaru.

Mandy uklękła i sięgnęła do wnętrza lodóweczki. Wyciągnęła nieduże białe pudełko, które leżało na najniższej półce. Nie zauważył go wcześniej, było idealnie dopasowane do wymiarów lodówki i stosownie zakamuflowane. Mandy podała je Sheppardowi.

Wyglądało jak apteczka. Zamiast krzyża miało na wierzchu napis czarnym markerem, tym samym charakterem pisma, co segregator z zasadami gry: „Z pozdrowieniami od personelu hotelu Great”.

Sheppard odwrócił je spodem do góry, ale tam nie było żadnego napisu. W środku coś grzechotało. Pudełko było ciężkie.

Apteczka? Czy chodzi o kolejny nałóg Shepparda? Skoro zły mężczyzna znał jego ulubioną markę burbona, z pewnością wiedział, czego jeszcze było mu trzeba. Może pudełko to prezent?

Sheppard schował drugą buteleczkę burbona do kieszeni, ujął skrzynkę obiema dłońmi i zwolnił blokady kciukami. Wieko uniosło się.

Nie odsłoniło tego, czego chciał. Nie znalazł pod nim jedzenia, wody ani innych środków przetrwania. Nie mógł uwierzyć, co widzi.

– Co tam jest? – spytał Ryan. Zawtórowała mu Mandy.

Sheppard spojrzał na nich, po czym wysypał zawartość pudełka na łóżko. Oczy wszystkich skierowały się ku rozrzuconym przedmiotom. Sześć telefonów komórkowych.

Komórki? Jak to?

Sheppard rozejrzał się po wszystkich – wyglądali na równie zdezorientowanych jak on. Nawet Constance się ożywiła, chociaż nie ruszyła się ze swojego miejsca na łóżku, a Didżejka wystawiła głowę spod biurka.

Sheppard zerknął jeszcze raz na łóżko – nie widział własnego telefonu.

– O co tu chodzi? – zdziwił się Ryan.

Sheppard chwycił pierwszy z brzegu aparat – cienki smartfon – i zastukał w wyświetlacz. Jego oczom ukazała się tapeta przedstawiająca psa w świątecznej czapce z rogami renifera. Ekran prosił o hasło. To nie miało znaczenia. I bez tego Sheppard widział, że nie było zasięgu.

Do kogo chciał dzwonić? Powiadomić policję? Nigdy wcześniej nie dzwonił na policję. Czy to się odbywało tak jak w telewizji?

*Tu numer alarmowy 999. Co się dzieje?*

*Facet w masce wyglądającej jak koński łeb uwięził nas w pokoju hotelowym. Muszę rozwiązać zagadkę morderstwa w ciągu godziny i czterdziestu pięciu minut albo wysadzi cały budynek. Nie! Proszę poczekać, proszę się nie rozłączać!*

Sheppard odłożył telefon na łóżko i usłyszał skomlący odgłos. Rozejrzał się – Didżejka wpatrywała się w smartfona. Uniósł go zdjęciem psa do niej. Pokiwała głową i podał jej go.

– Wszyscy widzicie swoje? – spytał Sheppard, ale nikt się nie poruszył. Wybrał więc model z klapką, który rozświetlił się, kiedy go otworzył. Jednolite niebieskie tło. W starym stylu. A w narożniku ikonka – brak sygnału.

*Operatorzy komórkowi naprawdę czynią dzieło boże.*

Kiedy odłożył telefon, zabrał go Ryan.

– To mój – wyjaśnił, otwierając go.

Alan pojawił się w jego polu widzenia i gwałtownym ruchem chwycił jeden z pozostałych aparatów.

– Nareszcie, będę mógł przekazać Jenkinsowi, żeby zaczął przygotowywać mój raport.

– Może najpierw zadzwońmy na policję, co? – stwierdziła Mandy, zabierając swój telefon. Zwisał z niego jakiś brelok.

Zostały dwa aparaty. Blackberry i smartfon. Ani jeden, ani drugi nie był jego. Wziął smartfona. Trochę starszy od poprzedniego i pęknięty w narożniku. Tapeta – młoda kobieta z dzieckiem w ramionach. W górnym prawym rogu – brak zasięgu.

Chwila.

Trzy telefony bez zasięgu. Kiedy rozejrzał się i zobaczył twarze Alana i Mandy, uznał, że pewnie więcej niż trzy.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Ryan, trzymając aparat wysoko nad głową, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co Sheppard przed chwilą. Mandy też – cokolwiek zwisało z jej telefonu, kołysało się w powietrzu.

– Cholera jasna.

Ze strony Constance dobiegło stęknięcie. Przeżuwała przekleństwo.

– Bóg nie potrzebuje nadajnika komórkowego.

– Weź się przymknij, pieprzona dewotko – splunął Alan.

Sheppard ich zignorował.



– Jakieś pomysły?

Wszystkie twarze pozostały bez wyrazu.

– Nie ma zasięgu – stwierdziła Mandy – ale jesteśmy w centrum Londynu.

– Gnojek na pewno nas jakoś zagłusza – oznajmił Alan. – Blokuję sygnał. Bawi się z nami jak z dziećmi. Robi nam nadzieję tylko po to, żeby ją odebrać.

– O co ci chodzi? – spytał Ryan.

– Widzę to dzień w dzień, chłopie – wyjaśnił Alan. – Tak się postępuje, kiedy chce się kogoś złamać psychicznie.

Constance poruszyła się na łóżku i wykonała dłonią gest w stronę Shepparda. Podał jej smartfona. Wzięła go i wzdrygnęła się, po czym wróciła na poprzednie miejsce.

Został jeden telefon. Blackberry. Jeden z modeli z pełną klawiaturą – każdej literze odpowiadał jeden absurdalnie mały klawisz. Ale do kogo należał?

Wziął go w dłoń i wcisnął losowo wybrany klawisz. Ekran się rozświetlił. Na nim, za szeregiem ikon, widniały dwie twarze. Żona i córka. Bez wątplenia wyglądające na młodsze niż byłyby dziś.

Alkohol i narkotyki zasnuły jego umysł mgłą. Przesłoniły przeszłość. Sprawily, że żył wyłącznie z godziny na godzinę. Utrudniały pamiętanie, ale prawda wciąż gdzieś tam była. Potrzebowała tylko pomocy, żeby wydostać się na światło dzienne. Spojrzał prosto w oczy córki Wintera i to w zupełności wystarczyło. Przypomniał sobie, jak ich skrzywdził. A teraz Winter nie żył i mogli się nigdy nie dowiedzieć. Zasłonił ekran przed oczyma pozostałych, jakby mógł w ten sposób utrzymać w tajemnicy to, czego się dopuścił.

– Yyy... no... – oznajmił, podnosząc wzrok. – Brak zasięgu. – Włożył

telefon do kieszeni, w której trzymał buteleczki burbona.

„Kłamstwa mogą zrujnować człowieka” – powiedział mu kiedyś Winter. Podczas jednej z ich ostatnich sesji. „Mogą sprawić, że zgnije od środka”.

Najwyraźniej w ogóle nie zmądrzał.

Rozeszli się po wszystkich narożnikach pokoju, trzymając uniesione telefony, poszukując chociaż jednego paska zasięgu. Sheppard przyglądał się temu, zdając sobie sprawę z bezcelowości tych działań. Nie zamierzał brać udziału w przedstawieniu.

Alan miał rację. Zły człowiek igrał z nimi, sprawiał, że marnowali czas.

*Na pewno czegoś nie dostrzegasz. Prawda? Musiał istnieć jakiś powód.*

W skrzynce nie było jego telefonu. Czy to coś znaczyło? Czy miał telefon w kieszeni w pokoju w Paryżu? Nie pamiętał.

To może...? Sheppard upewnił się, że wszyscy skupiają wzrok na swoich telefonach i wyjął blackberry Wintera. Nie był zabezpieczony hasłem, więc mógł wybrać, co tylko chciał. Otworzył wiadomości, ale było tam pusto. Musiały zostać usunięte. Przeszukał pozostałe aplikacje, których ikony widniały na ekranie startowym, ale wszędzie odkrywał to samo. Żadnych maili. Żadnych powiadomień. Żadnych notatek.

Aż dotarł do kalendarza. Aktualny dzień zakrywała w całości żółta kolumna. Kolumna, która ciągnęła się w nieskończoność. Według telefonu Winter był zajęty od dziś do... Sheppard postukał w żółte pole, które się rozwinęło i odsłoniło szczegóły. Spotkanie miało trwać od piątej rano dwudziestego piątego października (czyli dziś, a tak przynajmniej sądził) do trzydziestego pierwszego grudnia 2999 roku. Najpóźniejszej daty, jaką dało

się wprowadzić do aplikacji. Spotkanie było opisane dużymi drukowanymi literami jako „4404”. A lokalizacja? Sheppard przewinął w dół i przeczytał: „GH”.

Sheppard pozwolił opaść dłoni trzymającej telefon. 4404. Ten pokój? Pokój, który mierzył Winter. Jeśli to był pokój 4404 (a musiał), to musiał być zlokalizowany w hotelu Great. Wszystko się zgadzało. Co Winter robił ze złym mężczyzną? Co mogło sprawić, że z własnej woli przyszedł do tego pokoju, jeśli wiedział, co się z nim stanie? A może nie wiedział? Spotkanie, które zgodnie z harmonogramem miało trwać do końca 2999 roku. Winter był zajęty do końca świata.

– Panie Sheppard... – podniósł wzrok i zobaczył, że stoi przed nim Mandy. Jak długo gapił się w pustkę? Za plecami Mandy Alan usiłował umieścić telefon wyżej, podskakując. Wyglądało to prawie zabawnie. Prawie. – Nic a nic. Wszędzie zero zasięgu.

– Owszem – stwierdził Sheppard.

– Jak to możliwe? – spytała Mandy, obracając telefon w dłoniach.

– Nie wiem – powiedział bez przekonania. – Może jakiś zagłuszacz, tak jak mówił Alan. Może grzebał w telefonach. – Męczyły go te zgadywanki. To strzelanie na oślep w ciemności. Motyw przewodni wszystkiego, co się dotychczas stało.

– Zagłuszacze tak nie działają – powiedział Ryan, podchodząc do niego. – Chyba że koleś w masce ma zagłuszacz, który obejmuje zasięgiem całe piętro. Ale wtedy ktoś by zwrócił uwagę.

– A co... – zaczęła Mandy.

– Nie mamy na to czasu – przerwał jej Sheppard.

– Wiem – powiedziała Mandy, prawie z uśmiechem. – Pomyślałam tylko, że może chciałby pan to. – Uniosła w dłoni cienki pasek metalu. Sheppard potrzebował chwili, by zdać sobie sprawę, co widzi. Armijny nieśmiertelnik.

To było to coś, co zwisało z jej telefonu. Miał wytłoczone nazwisko PHILLIPS i ciąg cyfr pod spodem.

Sheppard zrobił zdezorientowaną minę.

– Nie jestem pewien, czy...

Ryan wyraźnie nadawał na tej częstotliwości co Mandy. Jego oczy się rozświeciły.

– Moneta to nie jest, ale się nada.

Mandy pokiwała głową.

Sheppard zrozumiał i się uśmiechnął. Prawdziwy uśmiech – bo nareszcie mieli w ręku coś, co mogło im pomóc. Wziął nieśmiertelnik od Mandy i przyjrzał mu się.

– Kanał wentylacyjny.

– Mogę dostać drugą połowę? – spytał Ryan.

– Po co?

Mandy i tak mu go dała. Uniósł go na wysokość głowy. Idealnie pasował do drugiej części.

– Łazienka. Nie jestem hydraulikiem, ale wiem, że istnieje przynajmniej jedna droga ucieczki z tego pokoju. Rury.

Sheppard zdziwił się, że sam o tym nie pomyślał. Co najmniej dwie rzeczy przepływały przez ten pokój. Powietrze w systemie wentylacyjnym. I woda w toalecie.

– Spróbuję odkręcić muszlę od ściany. Może będzie za nią jakiś otwór.

– Dobra – odpowiedział Sheppard, przyglądając się blaszce, którą trzymał w dłoni. A nuż się uda.

– Jest tylko jeden kłopot – wtrąciła się Mandy, studząc nadzieję. – Jak myślicie, co robi Maska, kiedy zauważy, co kombinujecie?

Miała rację. Wystarczyło, że zły mężczyzna wciśnie jeden przycisk i będzie po nich. Sheppard jednak nie znał innego sposobu, by posunąć

sprawy do przodu.

– Nie wydaje mi się, żeby Maska już skończył swoje gierki. Myślę, że nie rozwali wszystkiego, co zaplanował tylko dlatego, że go czymś zdenerwujemy – stwierdził Ryan. Popatrzył na Shepparda i obaj zgodnie pokiwali głowami.

– A co, jeśli nie masz racji? – spytała Mandy.

– Lepsza okazja się nam nie trafi – stwierdził Sheppard.

Mandy zastanowiła się chwilę, nic nie mówiąc. W końcu powoli pokiwała głową.

– Okej.

– Przecisnę się przez kanał wentylacyjny, a Ryan w tym czasie spróbuje znaleźć wyjście przez łazienkę. A ty musisz tu zostać. Potrzebuję cię, żebyś dbała o porządek. Dbaj, żeby Constance nie panikowała, Alan nie zrobił niczego szalonego, a Didżejka... Nieważne. Ufam ci.

– Dobrze – odpowiedziała Mandy. – Poradzi pan sobie?

– Będę musiał – odpowiedział stanowczo Sheppard. – Nie mogę prosić nikogo, żeby zrobił to za mnie.

Mandy pokiwała głową i poszła usiąść z Constance.

Ryan przyglądał się jej. Zwrócił się do Shepparda szeptem:

– W wentylacji łatwiej by było zmieścić się jej. Albo Rhonie.

Sheppard pokręcił głową.

– Rhona ma klaustrofobię, a Mandy nie jest nikomu nic dłużna. To jest moja odpowiedzialność. Nie chcę, żeby czuła się winna, jeśli Maska się wkurzy. Nie chcę, by w razie czego poczuwała się do winy za naszą śmierć.

Ryan przeszedł wzdłuż prawej krawędzi łóżka, a Sheppard podążył za nim, obracając w palcach nieśmiertelnik. Nazwisko PHILLIPS połyskiwało w świetle słońca. Sheppard nie spytał Mandy, do kogo należy nieśmiertelnik, założył, że chodzi o członka rodziny. Postanowił, że dowie się, jeśli... nie, kiedy wróci.

Ryan wyciągnął dłoń w stronę kratki wentylacyjnej, która znajdowała się jedną połową nad łóżkiem, a drugą nad stolikiem, na którym budzik powoli odliczał pozostały czas. Sheppard ominął go spojrzeniem – jeśli ich plan zadziała, odliczanie przestanie mieć znaczenie. Pierwszy raz byli tak blisko ratunku.

– Będzie pan musiał wyjąć ze ściany cały agregat. Za kratką będzie osuszacz powietrza. Ciężki.

– Dużo wiesz na ten temat – stwierdził Sheppard.

Ryan się uśmiechnął.

– Zajmuję się tym, to wiem.

Nawet w tej sytuacji myśli Shepparda krążyły wokół niewygodnych tematów. Szczegółowa znajomość pokoju. Idealne warunki, żeby to wszystko urządzić.

Ale po co? Jaki motyw mógł nim kierować? Jaki motyw miało którekolwiek z nich?

– Dzięki – odpowiedział Sheppard. – Kiedy się stąd wydostaniemy, masz u mnie piwo.

Ryan się zaśmiał, pierwszy raz.

– Kiedy się stąd wydostaniemy, kupi mi pan cały browar. – Ryan poklepał go po ramieniu i się odwrócił. – Zabiorę się do rur.

Sheppard kiwnął głową. Ryan przeszedł do przedpokoju, skręcił za rogiem i otworzył drzwi do łazienki. Zatrzymał się. Zaatakował go zapach. W końcu przemógł się i zniknął w środku, zatrząskując za sobą drzwi.

Sheppard zaczął odkręcać kratkę wentylacyjną. Kiedy usunął oba wkrety, które przytrzymały górną krawędź, poczuł, jak na plastik napiera kryjący się za nim ciężar. Docisnął kratę mocno jedną ręką, żeby nic się nie wysunęło, i zabrał się do odkręcania dolnej pary śrub.

Tymczasem usłyszał Alana, który za jego plecami zrezygnował wreszcie z prób znalezienia zasięgu.

– Cholera jasna, ten pieprzony dzień mnie wykończy.

Sheppard zwolnił i wyprostował się, żeby lepiej słyszeć. Wbił wzrok przed siebie, w kratkę. O czym Alan mógłby chcieć rozmawiać, kiedy mu się zdawało, że Sheppard jest skupiony na czym innym?

Mandy wstała z łóżka. W tej samej chwili, w której Sheppard poczuł, że pierwsza z dolnych śrub się luzuje, usłyszał stłumiony odgłos podeszew butów stąpających po dywanie, a potem ciche westchnienie i przebieranie nogami. Jakby Alan w jakiś sposób zaskoczył Mandy. Może przyciągnął ją bliżej siebie.

– Musimy zacząć myśleć wielotorowo – wyszeptał Alan. Jakby na potwierdzenie podejrzeń Shepparda. Miał wcześniej rację, że w tym pokoju nie dało się odbyć prywatnej rozmowy. Znalazszy się po przeciwnej stronie barykady, Sheppard odkrył, że pozostali naprawdę słyszeli wszystko, o czym rozmawiał podczas swoich przesłuchań.



– Wielotorowo? – spytała Mandy dokładnie takim tonem, jakiego użyłby Sheppard.

Co Alan chciał w ten sposób osiągnąć? Jakkolwiek na to nie patrzeć, wciąż był podejrzanym numer jeden.

– Założę się, że ta gra jest ustawiona – wyszeptał Alan ostrym tonem. – Nie ma rozwiązania, a w każdym razie rozwiązania w tym sensie, o jakim mówił facet w masce.

– Co pan ma przez to na myśli?

– Odwracanie uwagi, Mandy. Najstarszy trik na świecie. Powód, dla którego ludzie wierzą w magię albo że Saddam miał broń chemiczną. Banalna sztuka odwracania uwagi.

– Rozumiem, że wie pan o niej wszystko. Jako prawnik broniący jakichś obłychów?

– Oczywiście. Wykorzystuję ją co rusz. I widzę, że ktoś stosuje ją wobec nas.

Sheppard wyciągnął pierwszy dolny wkręt i krata znów się obruszyła. Czy to normalne, że osuszacz powietrza jest taki ciężki?

Alan kontynuował.

– A jeśli to nie jest jego gra?

– Nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

– Dlaczego to on nami dyryguje? Bo tak powiedział facet z telewizora? Tylko dlatego, że jest gwiazdą?

– Wygłupy – powiedział nowy głos w rozmowie.

Sheppard się rozejrzył. Constance Ahearn patrzyła prosto na niego.

– „W myślach nawet swoich nie złorzecz królowi ani w sypialni swojej nie przeklinaj możnego, bo ptactwo powietrzne zanieśie głos, a to, co skrzydlate, doniesie słowa”.

Sheppard wybałuszył na nią oczy. Skąd to było? Z Biblii. Brzmiało

bardziej jak z *Hobbita*. Ale wybuch Constance przynajmniej sprawił, że konspiracyjka za jego plecami dwójka zamilkła.

– Niechże się pani zamknie, pani Ahearn. No, już, grzeczna szajbuska – powiedział Alan.

Sheppard wrócił wzrokiem do wywietrznika, bo wykręcił ostatnią śrubę. Kratka oddzieliła się od ściany i wystrzeliła wprost na niego, ale kiedy ją złapał, poczuł, że jest za ciężka. Nie potrafił jej utrzymać. Zaparł się nogami i nagle poczuł przy sobie drugą osobę.

Mandy.

Wdrapała się na łóżko i szybko chwyciła kratkę z lewej strony, przejmując na swoje barki część ciężaru. Sheppard uśmiechnął się do niej w podziękowaniu i poprawił chwyt. Wspólnymi siłami wyciągnęli osuszacz powietrza, ostrożnie poruszając nim na boki, po czym odłożyli go na łóżko.

Spoglądając w miejsce, w którym znajdował się wywietrznik, Sheppard zobaczył długi, wąski kanał. Wiódł w ciemność.

– Jesteśmy na końcu korytarza – stwierdził. – W przeciwnym razie na pewno nie ciągnąłby się tak daleko. Będę musiał jakoś znaleźć drogę.

Mandy zajrzała do środka i zmarszczyła brwi.

– Wrócę, zanim się obejrzycie – powiedział Sheppard. – Przy odrobinie szczęścia przyciągnę czyjaś uwagę. Kto wie, może za dziesięć minut będziemy wolni.

– Skoro tak pan twierdzi – odpowiedziała Mandy.

Sheppard przeniósł wzrok z otworu na dziewczynę. Nie miał pojęcia, co się stanie. Ale nie zamierzał o tym wspominać.

– Zadbaj, żeby nikt się nie kłócił, okej? Oni ci ufają.

Mandy pokiwała głową i zeszła z łóżka.

Sheppard zrobił krok w tył i ponownie zajrzał do kanału. Wyciągnął blackberry Wintera i przyjrzał mu się. Nie.

– Czy któreś z was ma telefon z latarką? – spytał i rozejrzał się po zgromadzonych twarzach. Mandy i Alan pokręcili głowami, Ryana nie było, a Constance znów zamknęła się w sobie. Na szczęście błysk w oku Didzejki powiedział mu, że zrozumiała, co mówił.

Nastolatka wysmyknęła się spod biurka, włożyła dłoń głęboko do kieszeni bluzy z kapturem i wyjęła swój telefon. Rzuciła go w jego stronę.

Sheppard go złapał i uśmiechnął się w odpowiedzi. Wydało mu się, że zauważył na jej twarzy rumieniec, zanim wróciła do swojej nory. Atmosfera w pokoju zelżała. Wszyscy sprawiali wrażenie weselszych. Poza Alanem.

Sheppard z pewnością był szczęśliwszy. Miał burbona w kieszeni i chwila wysiłku dzieliła go od wyjścia na wolność. Ten koszmar miał się ku końcowi. Mrozące, bezlitosne skutki odstawienia chwilowo zeszyły na dalszy plan. Coś zaspokoilo potrzebę, która wcześniej sprawiała, że swędziały go grzbiety dłoni. Zelżał ból, który pulsował za jego gałkami ocznymi.

Sheppard włączył latarkę, po raz kolejny zwracając uwagę na psa Didzejki. Bezgłośnie obiecał, że wróci z telefonem w jednym kawałku.

Sięgnął do kanału i zaparł się z obu stron łokciami. Postawił jedną stopę ostrożnie na stoliku nocnym, a drugą na łóżku i podciągnął się do góry.

Potrzebował kilku odepchnięć łokciami, żeby wciągnąć całe ciało do wąskiego tunelu. Nie miał wiele miejsca. Kanał wentylacyjny nie należał do szerokich. Jego barki pocierały o stalowy sufit. Trochę nieporadnie machał nogami. Zastanawiał się, co widzą ci w pokoju. Zapewne wyglądał komicznie. Włożył smartfona Didzejki do kieszeni marynarki. Świecił dostatecznie jasno, by Sheppard widział, co ma przed sobą.

Wyczuł stopami krawędzie otworu. Zostawił pokój za sobą. Pokój, w którym spodziewał się umrzeć. Kiedy się stąd wydostanie, już nigdy nie wynajmie pokoju w hotelu.

Wreszcie nadszedł czas, żeby się wymeldować.

Sheppard pełzł do przodu. Jego kolana zaczęły protestować prawie od razu. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu czuł się niczym szczur w labiryncie – wykonywał upodlające zadania dla satysfakcji człowieka w masce, typu z telewizora, złego mężczyzny. Ale ten labirynt mógł prowadzić na wolność. Może złączył się przeliczył i odkryli coś, o czym nie pomyślał. Sheppard ruszył dalej. Niefortunnie otarł się o sufit kanału i jego plecy odpowiedziały palącym bólem. Na razie jednak nie mógł się tym przejmować, więc zagłuszył cierpienie myślami o ucieczce.

Przebierał rękami i nogami jeszcze pewien czas, a latarka w telefonie, który trzymał w kieszonce marynarki, podskakiwała za każdym razem, gdy wyszarpywał kolejny skrawek drogi. Światło dość szybko odbiło się od pierwszego narożnika, odkrywając przed nim dwie ścieżki – w lewo i prawo. Obie wymagały, by skręcił pod dużym kątem, ale raczej było dość miejsca dla osoby o jego rozmiarach. Sheppard dojrzał do skrzyżowania kanałów, zamknął oczy i zaczął się zastanawiać. Jeśli okno wychodziło na północ (tak przyjął, żeby mieć jakiś kierunek odniesienia), to ściana, do której przylegało łóżko, była skierowana na wschód. Czyli mógł iść albo na północ, albo na południe. Którąkolwiek drogę wybierze, będzie się poruszał dookoła pokoju, zgodnie z obrysem ścian.

Wybrał kierunek północny bez konkretnego powodu i zaczął przeciskać

się przez zakręt. Najpierw wyciągnął ręce przed siebie, potem bez większego trudu skręcił tułów, ale kiedy usiłował wciągnąć nogi, ostry narożnik tunelu wpił się w jego łydki. Na krótką chwilę spanikował i dziko machając rękami, usiłował dokończyć manewr. W końcu mu się udało i wziął głęboki wdech. Nigdy w życiu nie cierpiał na klaustrofobię, ale nigdy też nie był w takiej sytuacji. Odnosił wrażenie, że ściany bardzo, bardzo powoli zaciskają się wokół niego, jakby czekała go śmierć wewnątrz najwolniejszej na świecie prasy do śmieci.

Drugą rzeczą, której nie wziął pod uwagę, był zapach. Nie zapach kanału wentylacyjnego, chociaż pachniał delikatnie gorącym, spalonym powietrzem. Zdecydowanie najsilniejszym zapachem był jego własny – chorobliwa mieszanina intensywnej woni ciała i świeżych wymiotów.

*Detektywi nie śmierdzą.*

Oswoił się z nowym kierunkiem. Wszedł w rytm, garbiąc się jak upośledzony ruchowo pies, poruszając na zmianę łokciami i nogami. Przód, tył, przód, tył.

Latarka w telefonie świeciła jasno, ale nie sięgała zbyt daleko – Sheppard widział tylko dwa, może trzy metry przed sobą. We wnętrzu kanału panowała dziwna atmosfera – aluminium (a może stal?) niosło echo rozmów z najróżniejszych części budynku. Do Shepparda docierały duchy ludzkich głosów, które rozpraszały się, kiedy próbował się na nich skupiać.

*Może po prostu wariujesz.*

Kilka głosów słyszał na pewno. Alan i Mandy i ktoś jeszcze: brzmiał jak Ryan. Dochodziły jakby spod wody, nie dało się rozpoznać poszczególnych słów.

Tunel nachylił się w dół i Sheppard zwrócił uwagę, że porusza się szybciej. Dotarł do kolejnego zakrętu, tym razem nie miał wyboru – droga prowadziła w lewo. Przecisnął się i odkrył, że kanał zauważalnie się zwęża,

zapewne dlatego, że w tym miejscu przechodził pod oknem. Musiał wciągnąć brzuch i przebrnąć przez otwór, miotając się jak ryba. Po drugiej stronie kanał rozszerzał się, choć nieznacznie. Udało mu się zgiąć ręce na tyle, żeby docisnąć dłonie do ścianek i pomóc sobie odpychać się do przodu.

Latarka w telefonie nie przydawała się na tym odcinku, bo była skierowana w dół. Przed nim rozpościerała się ciemność. Nabrał przekonania, że gdzieś w niej, kawałek za granicą jego pola widzenia, coś się kryje. Że coś z niego kpi. Prawie słyszał, że coś się rusza, coś, co nie było nim – wrażenie to nie pozwalało mu przyjąć, że to tylko wytwór jego wyobraźni. Którym to coś, rzecz jasna, było.

*Było... prawda?*

Chwilę później kolejna decyzja. Naprzód czy w lewo? W lewo kontynuowałyby trasę dookoła pokoju, więc zdecydował się pełznąć prosto. Oznaczało to, że będzie się poruszał w stronę sąsiedniego numeru, a co za tym idzie – wyzwolenia.

Zmienił pozycję tak, żeby wyciągnąć telefon Didzejki z kieszeni. Nakierował światło do przodu. Tunel zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a w każdym razie do granicy jego wzroku.

– Morgan – wyszeptał mu ktoś do ucha.

Wzdrygnął się i rąbnął głową o sufit kanału. Ból eksplodował na chwilę, zanim wymieszał się z pozostałymi wrażeniami. Głos. Usłyszał go. Usłyszał go, prawda? Zjeżyły mu się włosy na karku. Ktoś się znajdował bezpośrednio za nim. Musiał tam być!

Uświadomił sobie, że telefon miał kamerę i otworzył aplikację aparatu. Przełączył na przednią kamerę. Znów jego twarz. Nie potrafił się od niej uwolnić. Wyglądał, jakby umierał. Jego skóra, nedorzecznie blada, wyglądała bardziej jak łuski węża niż ludzka powłoka. Włosy sprawiały wrażenie przeredzonych. Oczy w ciepłym świetle latarki wyglądały na

żółte – dotknięte finalną klątwą alkoholików.

*Wydostań się stąd, idź do lekarza. Opowiedz mu historię swojego pijaństwa, ale może nie całą.*

Nic się za nim nie czaiło. Spróbował dla pewności obejrzeć się przez ramię, ale było za ciasno. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się nierealne. Może po prostu usłyszał coś, co rozniosło się echem po tunelu? A może ktoś w pokoju wypowiedział jego imię?

*Nikt nie mówi o tobie Morgan. Od dawna.*

Nikt poza nim. On zwrócił się do niego po imieniu. Mężczyzna w masce.

Sheppard ruszył ponownie przed siebie, dla świętego spokoju nie wyłączając kamery. Od początku jednak nikogo za nim nie było – nie w rzeczywistości. Kiedy w końcu opuścił telefon, jego głowa znajdowała się centymetry od ściany kanału. Kolejny narożnik? Nie, to nie był zakręt ani skrzyżowanie. Ze wszystkich stron otaczały go ściany, a na tej, którą miał przed oczami, coś się znajdowało, coś białego.

Sheppard włączył z powrotem latarkę z tyłu obudowy. Miał przed sobą metalową płytę, do której ktoś przymocował taśmą klejącą kartkę papieru. Sheppard przyjrzał się słowom, które były na niej napisane, i zdusił w sobie odruch, by wymiotować to, co jeszcze miał w brzuchu. Koniec drogi. Powietrze. Nie było dość powietrza. I nie potrafił myśleć o niczym poza słowami na kartce.

TUTAJ BYŁO PRZEJŚCIE  
ALE JUŻ GO NIE MA  
- ☺ C

Sheppard nie ruszał się. Nic więcej nie mógł zrobić. Przesuwał wzrokiem po kartce, czytając w kółko te same słowa. Ślepy zaułek? Jak to możliwe? Zły człowiek zablokował przejście? Wiedział, że spróbują dostać się do kanałów wentylacyjnych. Wiedział od początku. I odpowiednio wszystko zaplanował. Sheppard wyciągnął ręce przed siebie i docisnął dłonie do zimnej blachy. Popchnął. Nic. Ani drgnęła. Tunel był przegrodzony.

Chyba że tędy nigdy nie dało się przedostać. Może porywacz bawił się nim jak kot ofiarą. Może Sheppard się zgubił? Bo chyba nie dało się tak po prostu zablokować szybu wentylacyjnego – sprawić, żeby wyglądało, jakby od zawsze kończył się w tym miejscu? Może w którymś momencie źle skręcił?

Sheppard zaczął pełznąć w tył, włożywszy telefon z powrotem do kieszeni na piersi. Chwilę później dotarł do zakrętu. Tym razem ruszył w lewo. Powinien poruszać się równolegle do zachodniej ściany ich pokoju i wschodniej pokoju obok. Zatrzymał się na chwilę i wyteżył słuch. Nie słyszał nic poza stłumionym mamrotaniem znajomych głosów, co do którego był pewien, że dochodzi z lewej strony. W sąsiednim pokoju panowała cisza.

A co, jeśli nikogo tam nie było? Co, jeśli nie uda mu się zwrócić niczyjej uwagi?

*Będziesz próbował dalej. Aż do skutku.*



To było męczące. Przeciskanie się. W pewnej chwili, gdy podciągnął kolano, żeby odepchnąć się po raz kolejny, poczuł i usłyszał dwie miniaturowe butelki burbona, które miał w kieszeni spodni. To by mu dodało sił – mały zastrzyk energii. Ale nie sądził, że zdołałby po nie sięgnąć, nawet gdyby chciał.

Parł przed siebie, nie przejmując się pochłaniającą go ciemnością ani falami bólu. Kolana, plecy, barki. Całe ciało miał otarte i przeczulone. Nie ustawał, aż uznał, że zbliża się do narożnika pokoju.

I owszem. Miał przed sobą narożnik. Do wyboru lewo, prawo albo w górę – prosto w górę, pionowo. Chwycił telefon pod kątem i poświecił sobie. Uznał, że wspinaczka przekracza jego możliwości, więc popełził w prawo.

Posuwając się wzdłuż nowego odcinka, starał się skupiać uwagę na stłumionych głosach, które słyszał. Wyłącznie po to, by nie myśleć o bólu. Mandy i Alan. Ciekawiło go, o czym rozmawiają, i przypomniał sobie, co słyszał chwilę przed tym, jak wspiął się do kanału. Miał wrażenie, jakby to było całe godziny temu. Szczerze pragnął, żeby to była nieprawda.

Alan niewątpliwie coś knuł i nawet jeśli nie zamordował Simona Wintera, był niebezpieczny. Pozbawiony kręgosłupa moralnego. Przekonany o swojej racji. Potrafiący mówić tak, żeby ludzie go słuchali.

*Przypomina ci kogoś?*

Może dlatego Alan tak go niepokoił. Przez to, jaki był do niego podobny.

Miał nadzieję, że Mandy trzyma go w ryzach.

Mniej więcej minutę później światło latarki otarło się o coś białego. Sheppard wziął telefon w dłoń i zaraz prawie go upuścił. Kolejna kartka, ta sama wiadomość.

TUTAJ BYŁO PRZEJŚCIE  
ALE JUŻ GO NIE MA  
- ☺ C

Jakim cudem? Jak to się mogło zdarzyć? Kolejny ślepy zaułek, odgradzony tak samo, jak poprzedni. Sheppard uważnie przyjrzał się ściankom tunelu, ale nie widział nic, co sugerowałoby, że porywacz (C?) zamontował blokadę. Wszystko wyglądało tak, jakby kanał wentylacyjny po prostu w tym miejscu się kończył. Jak to możliwe? Czyżby znów skręcił w złą stronę? Nie, posuwał się wzdłuż południowej ściany pokoju sąsiadującego z tym, w którym byli uwięzieni. Na pewno. Odtworzył w myślach trasę, którą obrał. Tak, wszystko się zgadzało.

Zabębnił prawą dłonią w ścianę tunelu. Dudnienie rozeszło się echem.

– Halo! Halo! Jest tam kto? Czy ktoś mnie słyszy?

Jedynym głosem, który do niego wrócił, był jego własny. Poza tym cisza. Żadnych odgłosów, które sugerowałyby, że za ściankami kanału ktoś się porusza. Nic. Dokładnie tak, jak się spodziewał – najgorsza z możliwych sytuacji.

– Halo? Jest tam kto? No, proszę! – krzyczał. Próbował przekonać samego siebie, że wciąż ma powody do optymizmu.

Spróbował szczęścia z lewej strony. Od korytarza. Też nic.

Wrócił wzrokiem do wiadomości na kartce papieru. C. Czy C był tym, który mu to robił? Mężczyzną w końskiej masce? Tym, który przewidział, że Sheppard spróbuje uciec przez kanał wentylacyjny? Mężczyzną, który najwyraźniej znał go lepiej niż on sam? Emotka jakby uśmiechnęła się szerzej, a potem puściła do niego oko.

Był pewien, że tak.

Tyle że nie. Wyobraził to sobie. Nie było innej możliwości.

Nagle poczuł, że pętla się zaciska. Uległ wrażeniu, że to wszystko go przerasta. Skutki odstawienia zaczęły wpełzać na swoje miejsca w jego ciele. Jego skóra – każdy jej skrawek – swędziała, jakby biegało po niej tysiące pajaków. Prawie je słyszał, prawie widział oczyma wyobraźni sieci, które przędły. Zamknął oczy. Był taki zmęczony. Najchętniej pozwoliłby im, żeby go pochłonęły.

Zaczął się cofać. Musiał się ruszać. Wydostać się stąd. Jeśli nie uciec, to chociaż wrócić do pokoju. Bo nie zamierzał się poddać. Nie zgadzał się na śmierć w kanale wentylacyjnym.

Trzymał zaciśnięte powieki, aż poczuł, że ciśnienie ustępuje. Kiedy otworzył oczy, ukazała mu się droga w górę. Panikował, ale postanowił jednak z niej skorzystać. Zaparł się i podciągnął nogi przed siebie. Wyciągając ręce w górę, powoli wstał. Jego nogi zawyły z bólu, usiłując utrzymać jego ciężar. Rozejrzał się, aż dostrzegł kolejny zakręt – prowadził w lewo. Oznaczało to, że będzie się posuwał z powrotem w stronę pokoju. Nie robiło mu to już różnicy. Wdrapał się do otworu, podciągając się na rękach i odpychając nogami.

Postarał się wyobrazić sobie, gdzie się znajduje. Musiał być nad pokojem. Nad jego sufitem. A kiedy udało mu się wcisnąć całe ciało do tunelu, popatrzył spokojnie przed siebie i zobaczył światło. Żółte pasma światła.

Zaczął się zastanawiać, czy to kolejny zakręt, ale kiedy podpełzł bliżej, zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z kratką w dolnej ścianie kanału. Było przez nią widać pokój z góry. Pozwalała lepiej słyszeć głosy jego nowych znajomych.

– ...nienormalny.

– Tak? A może jako jedyny z was wszystkich mam mózg?

Sheppard spojrział w dół. Dostrzegł pogniecioną kołdrę i prześcieradło na łóżku. Z pozycji, w której się znajdował, nie był w stanie zobaczyć nic więcej.

– Wysłuchajmy, co ma do powiedzenia, Mandy – mówił Ryan. – Może przynajmniej się zamknie.

– W oczach tego człowieka czai się moc diabła. – Constance. Nie sposób określić, kogo miała na myśli.

– Niechże się pani przymknie – Alan.

Widział ich cienie. Mógł sobie wyobrazić, jak stoją w kręgu i rozmawiają o nim. Alan. Mandy. Ryan. Constance. Może nawet Didżejka.

*Gdy kota nie ma...*

– Słyszeliście, co powiedziałem? – Alan. – Temu człowiekowi nie można ufać.

– On stara się pomóc – powiedziała Mandy.

– Komu? Próbuje uratować samego siebie. Jak myślisz, dlaczego wciąż tu siedzimy, a on hasa sobie po kanałach wentylacyjnych? Nie wiemy nawet, czy zamierza wrócić.

– Oczywiście, że wróci. Gada pan od rzeczy.

– Dobrze, to w takim razie... nie będziemy udawać, że nie słyszeliśmy, co każdy z nas opowiedział mu o sobie, prawda? Każdego z nas łączy coś z Simonem Winterem albo tym facetem w masce konia. Każdego, tylko nie jego. Dlaczego w ogóle nie poruszył z nami tego tematu?

– Nie wiemy, że to facet w masce nas porwał. A czy Sheppard ma obowiązek mówić nam o swoich powiązaniach? Przecież i tak wiemy, kim jest.

– Tak, Mandy – stwierdził Ryan. – Ale ile wiemy, tak naprawdę? Może Alan ma rację. Strasznie naciągana, ale jednak. Nie mamy najmniejszego pojęcia, co się tu dzieje. To może być jakiś dziwaczna ustawka.

– Ten człowiek nie jest detektywem. Nie w rzeczywistym znaczeniu tego słowa. Jest telewizyjnym ściemniaczem. Tacy jak on pragną być w centrum uwagi. A Sheppard to już w ogóle. Nie mam wątpliwości, że zrobiłby wszystko, żeby jego sława wciąż trwała. – Głos Alana.

Westchnienie. Brzmiało jak Mandy.

– Czy wy możecie posłuchać samych siebie? Proszę? Sheppard jest tu uwięziony tak samo, jak my. W tej chwili usiłuje nas stąd wydostać. Dlaczego miałby kogokolwiek zabijać? To bez sensu.

Żołądek Shepparda boleśnie podskoczył. Co? O czym oni rozmawiają!? Jak, do cholery, mogą myśleć, że... Alan. Alan nastawiał ich przeciwko niemu. I wyglądało na to, że przeciągnął już Ryana na swoją stronę.

– Dlaczego pomyśł, że to on zabił Wintera, wydaje ci się dziwniejszy niż ten, że to któreś z nas? Wiem na pewno, że ja tego nie zrobiłem, i nie jestem też przekonany, że zabił go ktoś z pozostałych. Jak pan to ujął wcześniej? Odwracanie uwagi?

Nie, nie, nie. To się nie działo naprawdę. Nie Ryan.

– Dokładnie – stwierdził Alan, nie trując się, żeby ukryć triumf w swoim głosie. – Co, jeśli to nie on jest bohaterem tej zabawy, tylko my?

Sheppard nie chciał tego więcej słuchać. Musiał jak najszybciej wrócić do pokoju. Kanały wentylacyjne okazały się niewypałem – ślepym zaułkiem. A jeśli nie wróci do pokoju, sprawy mogą przybrać o wiele gorszy obrót.

Alan to zrobił. Na pewno. I od początku planował przekonać wszystkich, że to Sheppard jest zabójcą. Ale dlaczego? Co mógł na tym zyskać?

O, i proszę. Kolejne niedociągnięcie całego tego planu. Tak oczywiste, że nie rozumiał, dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Dlaczego morderca w ogóle brał udział w grze? Dlaczego nikt się po prostu nie przyznał? Przecież jeśli Sheppard nie rozwiąże zagadki, zabójca zginie. Owszem, istniała możliwość, że porywacz obiecał mu bezpieczeństwo. Pytanie, jak

miał mu je zapewnić?

To Alan zabił Wintera. Motyw nie miał znaczenia. Prawdopodobnie chodziło o coś związanego z jego superważną sprawą. Ale niekoniecznie. Jeśli Alan był w to zaangażowany od początku, mógł zabić tylko po to, żeby przygotować pole do gry. Sheppard postanowił, że wróci do pokoju i oznajmi, że to Alan jest mordercą.

Zanim się zorientował, dotarł do kolejnego zakrętu. W jego głowie kłębiły się najróżniejsze teorie.

W dół czy w lewo? Ten układ kanałów był bezsensowny. Posuwając się w dół, dotarłby w miejsce, z którego zaczął, a droga w lewo prowadziła trasą wzdłuż wschodniej ściany, którą już raz przemierzył, z tym że teraz byłby wyżej. Nie był pewien, czy dobrze myśli, ale dochodził do wniosku, że kanały wentylacyjne powinny być rozłożone inaczej. Dlaczego żadna odnoga nie prowadziła do któregoś z pozostałych pokoi? Wyglądało na to, że te kilka kanałów, którymi się przeczołgał, stanowiło odrębną całość. Czy każdy pokój miał swój własny system?

Dobrze wiedział, w czym rzecz. Te ślepe zaułki. C, zły mężczyzna, zaburzył prawidłowy układ szybów. Przewidział tę małą wyprawę Shepparda i zaplanował ją dla niego. Prawdopodobnie wszystko było ustawione – odkrycie telefonów, znalezienie czegoś, czym da się odkręcić kratkę wywietrznika. Może wręcz porywacz liczył na to, że Sheppard to zrobi. Że zmarnuje czas.

O Boże, czas. Jak długo już się czołga?

Przed sobą miał trochę szerszy fragment. Tunel skręcał, ale było widać, że się nie kończy. Przesuwał się w tą stronę, aż znalazł się na przestronnym skrzyżowaniu. Przepchnął się na środek i od razu się rozprostował. Światło latarki miotało się po ścianach, aż trafiło na jakiś przedmiot, który leżał pośrodku krzyżówki.

Błysk bieli.

Skupił się na nim i podpełzł bliżej. Było tam coś jeszcze – coś odblaskowego, odbijającego światło. I nagle, kiedy przesuwał się w przód odpowiednio nakierował latarkę, zobaczył. Czerwień. Krew, pobladła i zakrzepła. To był nóż, nóż o szerokiej klindze. Ostry, wyglądał jak jeden z tych do krojenia surowej ryby na plastry albo coś w tym rodzaju. Kiedy tylko go zobaczył, nabrał stuprocentowego przekonania, że to nóż, który uśmiercił Simona Wintera. Nie było innej możliwości. I ktoś ukrył go w kanale wentylacyjnym, bo wiedział, że Sheppard na niego trafi. To była część planu.

W jego umysł wgryzł się nieracjonalny smutek. Nóż leżał w kałuży krwi, która zaschła, skrzepła i wyglądała w tej chwili bardziej jak galareta niż coś, co wypłynęło z człowieka. Obok, nieco zaplamiona szkarłatem, leżała kolejna kartka z wiadomością.

To jest  
NARZĘDZIE ZBRODNI  
- ☺ C

Znów ta uśmiechnięta buźka. I podpis – C. Miał przed sobą nóż, który zabił jego psychologa, nóż, który ktoś wbił w jego podbrzusze, wyciągnął i wbił jeszcze raz. Kto go tu umieścił? Zabójca czy sam C? Może C był zabójcą? Może przecisnął się przez te same kanały co Sheppard, żeby to tu zostawić? C wodził go za nos – od samego początku. A czas uciekał.

*C chce, żeby ci się nie udało. Morderca chce, żeby ci się nie udało. Człowiek w masce chce, żeby ci się nie udało. Chce, żebyś zginął. I chce, żebyś zabił ich wszystkich.*

Musiał zabrać nóż do pokoju. Mógł kryć jakąś poszlakę, ale w tunelu było za ciemno, żeby go starannie obejrzeć. To jeszcze nie był koniec. Ponieważ nie było wyjścia, mógł tylko posuwać się dalej. Przy odrobinie szczęścia okaże się, że spędził w wentylacji mniej czasu, niż mu się wydawało.

Sięgnął przed siebie i dotknął noża. Ostrożnie przeciągnął palcem po klindze. Ostra. Dość ostra, by przebić skórę, mięśnie, narządy wewnętrzne. Wystarczająco ostra, by odebrać życie. Sheppard chwycił drewnianą rękojeść kciukiem i palcem wskazującym, po czym wyciągnął nóż z obrzydliwej kałuży skrzepłej krwi. Starał się nie rejestrować plaskającego odgłosu, który temu towarzyszył. Odłożył narzędzie zbrodni i wytarł resztki Simona Wintera o koszulę na piersi. Natychmiast tego pożałował.

Zaczął ogarniać go wrażenie, że sytuacja go przerasta, i przypomniał sobie o buteleczkach burbona w kieszeni spodni. Uznał, że to doskonały moment. Z pewnym trudem sięgnął do tyłu i wyciągnął alkohol. Butelka była mniejsza, niż zapamiętał. Odkręcił ją i spojrzał na nóż. Przyłożył gwint do ust i przełknął płyn w niecałą sekundę.

Poczucie zbawienia było tak ulotne, że nie miał pewności, czy w ogóle go doświadczył. Na pewno przyćmiło odrobinę ból, ale nie miało szans z wszechogarniającym przygnębieniem. Kiedy Sheppard wchodził do kanału wentylacyjnego, miał nadzieję znaleźć drogę ucieczki.

Teraz zaś wiedział, że jeszcze wiele przed nim.

C na pewno przygotował jeszcze niejedną niespodziankę.

W milczeniu odłożył buteleczkę i podniósł nóż. Przyjrzał się ostatni raz kałuży krwi i stojącej obok buteleczce po burbonie, po czym zaczął się niezdarnie posuwać w stronę pokoju.



Kiedy Sheppard wystawił głowę z otworu w ścianie pokoju, poczuł na twarzy światło słoneczne. Chciał się wydostać z szybu w godny sposób, ale ostatecznie wypadł twarzą na łóżko. Nóż upadł na pościel obok jego głowy, niebezpiecznie blisko oczu.

Zerwał się i usiadł prosto. Alan wpatrywał się w niego z rękami skrzyżowanymi na piersi i twarzą stężałą od skoncentrowanej wściekłości. Po jego lewej i prawej stronie stali Ryan i Constance. Mandy – kawałek dalej, obok Didżejki, na której twarzy malował się niepokój. Obie dziewczyny wpatrywały się nerwowo w nóż, podczas gdy pozostali sprawiali wrażenie, jakby go nie zauważyli.

– Syn marnotrawny powrócił – oznajmił Alan głosem, w którym wciąż rozbrzmiewał triumf.

Sheppard szybko zeskoczył z łóżka na lewą stronę. Uczynił z niego barierę pomiędzy nim a pozostałymi.

Ryan skierował wzrok w dół, na nóż.

– Co to jest?

– Narzędzie zbrodni. Znalazłem je w kanale – wybełkotał Sheppard.

– A znalazł pan wyjście? – spytała Mandy.

– Nie ma wyjścia. Wiedział, że ktoś będzie tam szukał. Zamontował blokady.

Sheppard schylił się po nóż, ale Ryan zerwał się szybciej.

Sheppard zdusił stęknięcie.

– Serio?

– Żadnych nagłych ruchów, detektywie – oznajmił Alan.

Sheppard uniósł dłonie w zde gustowanym gościu.

– Słyszysz, co mówię? Nie ma którejdy uciec. Musisz mi pozwolić zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby nas stąd wydostać. Ten nóż to nowa poszlaka. Jestem coraz bliżej rozwiązania.

– A skąd wiedziałeś, gdzie go szukać? – spytał Alan.

Od strony Constance, która chowała się teraz za Alanem, dobiegł pomruk.

– Nie wiedziałem, gdzie go szukać. Przeciskałem się przez kanały wentylacyjne, żeby nas stąd wydostać. Zresztą niczym więcej się nie zajmuję, od kiedy się tu obudziłem.

Alan się uśmiechnął.

– Zachowałeś się lekkomyślnie, naraziłeś życie wszystkich w tym pokoju. I jeszcze jak się upierałeś, że to ty musisz zwiedzać szyby wentylacyjne. Tylko ty, nikt inny. Widzisz, kiedy cię nie było, coś postanowiliśmy. Bo od samego początku cała ta sytuacja skupia się na tobie. Wielka gwiazda telewizji znalazła sposób, żeby jeszcze bardziej połechtać swoje ego. Cóż, może to wszystko kręci się wokół ciebie bardziej, niż byłem gotów przyznać.

– Nie. Nie – powiedział Sheppard – to ty. Wiem, że to ty. I tego dowiodę.

– Bełkot pijaka i narkomana, śmiecia najgorszego sortu. Nie próbuj teraz mieszać nam w głowach. Zachowaj choć trochę godności...

– Odbiło ci! – Sheppard zaczął panikować. – To jest jakiś absurd. Usiłuję... – głos uwiązł mu w gardle.

Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Zerknął na Mandy. Odwróciła wzrok. Tylko nie ona. Jeśli nawet ona w to wierzyła, to przegrał. Było po

wszystkim. Didżejka, Rhona, mocno zaciskała powieki i siedziała z kwaśną miną.

– Dlaczego poszedłeś po nóż? – kontynuował Alan. – Żeby zarżnąć kogoś następnego? Dźgnąć go w plecy?

– Gdybyś posłuchał sam siebie, zdałbyś sobie sprawę, że gadasz od rzeczy.

Ruszyli w jego stronę. Zacieśniali krąg.

– A mnie się wydaje, że to, co mówię, jak najbardziej ma sens – stwierdził Alan. – Zabiłeś Simona Wintera, prawda? Co takiego mógłby nam zdradzić na twój temat, gdyby wciąż żył?

Ryan okrążył łóżko. Sheppard popatrzył na niego błagalnie.

– Ryan, proszę. Nie mamy na to czasu.

Ryan zrobił skruszoną miną, ale tylko na chwilę.

– On mówi do rzeczy. Od początku zachowuje się pan tajemniczo, coś przed nami ukrywa. Zupełnie nic o panu nie wiemy. Nic konkretnego w każdym razie.

– Postępuję jak detektyw – odpowiedział Sheppard głosem, który przywodził na myśl dziecko w kostiumie. – Nie mogę wszystkim wszystkiego mówić. To tak nie działa. Poza tym zabójca jest wśród nas.

– Owszem – potwierdził Alan. – Jest.

Ryan sięgnął za plecy Shepparda. Zanim zdał sobie sprawę, co chłopak robi, poczuł, że coś zimnego zaciska się wokół jego nadgarstka.

*Nie znowu to.*

*Tylko nie znowu to.*

Ryan przeciągnął wolną rękę Shepparda do tyłu i skuł mu drugi nadgarstek. Nie było sensu się siłować. I tak nie miał dokąd uciec.

– Popełniacie koszmarny błąd – powiedział Sheppard do wszystkich, którzy nie bali się spojrzeć mu w oczy. – Muszę rozwiązać zagadkę tego

morderstwa albo wszyscy zginiemy.

Ryan wyprowadził go zza łóżka – wciąż osłabionego po eskapadzie w kanałach wentylacyjnych – i popchnął od tyłu, zmuszając, żeby szedł przed siebie.

– Już się tym nie martw, Morgan – oznajmił Alan. – Właśnie znalazłem mordercę.

*Morgan.*

Sheppard spojrzał prosto w arogancką twarz Alana.

– Jak mnie nazwałś, sukinsynu?

Ryan popchnął go jeszcze raz. W stronę łazienki.

To się działo za szybko. Ryan dał mu kolejnego kuksańca w plecy i Sheppard niezdarnie poczłapał przed siebie. Zdążył rzucić okiem na zegarek, zanim zniknął mu z pola widzenia.

01:02:43. Odliczał nieubłaganie.

– Nie. Nie możesz mi tego zrobić! – krzyknął. – On tobą manipuluje.

Nie potrafił już walczyć, był zbyt wyczerpany, spragniony, niespełniony. Wykorzystywał wszystkie siły, które mu zostały, żeby nie osunąć się na ziemię. To był koniec. Wszystko skończone. Alan wyprał im mózgi, a do końca została marna godzina.

Ryan go ominął i otworzył drzwi do łazienki. Wskazał głową do środka.

– Proszę nie utrudniać, okej?

– Ryan. – Surowy szept. – To Alan. Alan go zabił. Wiem, że to on. Musisz mi zaufać.

– Nie potrafię już nikomu ufać – stwierdził Ryan, po czym chwycił Shepparda za nadgarstki i wepchnął go do środka. Sheppard potknął się o próg i poleciał na umywalkę. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Ryan patrzy na niego z głupkowatym wyrazem twarzy.

– Nie, żeby to mogło coś zmienić – stwierdził Ryan – ale nie sądziłem, że

to będzie pan.

Zatrzasnął drzwi.

*Dawniej...*

Siedział na dłoniach – nie wiedział, co jeszcze mógłby z nimi zrobić. Rozejrzał się po pokoju. Winter wpatrywał się w niego niczym modliszka w okularach, a Sheppard starał się nie patrzeć mu w oczy. Zostało tylko dwadzieścia minut, a ta sesja odbierała mu wartościowy czas, który mógłby wykorzystać na picie. Znajdował się w odmętach kontrolowanego uzależnienia – dzień bez alkoholu jawił mu się niczym zmarnowana okazja, ale kiedy z jakiegoś powodu musiał, potrafił się powstrzymać.

Winter odchrząknął. Sheppard poświęcił całą uwagę przedmiotom na jego biurku. Miał wrażenie, że przez dwadzieścia lat, kiedy przychodził do tego gabinetu, żaden z bibelotów nie przesunął się nawet o milimetr. Podobnie nieruchoma pozostawała sterta dokumentów i długopis ułożony starannie pośrodku blatu.

Winter ponownie odkaszlnął. Sheppard nareszcie się poddał i zerknął na starzejącego się mężczyznę siedzącego, jak zwykle podczas sesji, na swoim czerwonym fotelu.

– Minęło dwadzieścia pięć minut, Morgan, i jesteś o wiele bardziej zamknięty w sobie niż zwykle.

Nie pytanie, tylko stwierdzenie. Żeby była jasność. Nic, do czego mógłby się ustosunkować – może poza tym, że Winter nazwał go Morganem, choć

bardzo uprzejmie poprosił go, żeby tego nie robił. Wszyscy mówili do niego Sheppard. Przyzwyczał się do tego tak bardzo, że kiedy słyszał swoje imię, potrzebował chwili, żeby zdać sobie sprawę, że ktoś zwraca się do niego.

– Jak idzie w pracy? – spytał Winter.

– W porządku – odparł Sheppard. Zgodnie z prawdą. Program został przedłużony na dwa kolejne sezony, co oznaczało, że pozostanie na antenie jeszcze co najmniej dwa lata, przez kolejne sto dwadzieścia odcinków. Gdyby jakość życia mierzono w ilości nagranych materiału, już dawno by wygrał.

– Oglądam cię, kiedy akurat nie mam klienta. Wczoraj leciał całkiem interesujący odcinek.

– I co sądzisz? – spytał Sheppard.

– Może... może być.

Kłamał. Sheppard nie potrzebował dyplomu z psychologii, żeby to rozpoznać.

– A co konkretnie ci się podoba? – spytał dla zabawy.

Winter przez chwilę wiercił się na fotelu (*blef przejrzany*), ale potem zdał sobie sprawę, co próbował osiągnąć Sheppard, otrząsnął się więc i poprawił okulary.

– Ostatnio dużo pracujesz.

– Dwanaście godzin dziennie. Muszę być na miejscu od rana, na wypadek gdyby potrzebowali mnie na żywo w *Porannej kawie*...

– Chwila, twój program nazywa się *Detektyw z sąsiedztwa*, prawda?

Sheppard westchnął.

– Tak, ale leci po *Porannej kawie*. Czasami prowadzący *Kawy* proszą mnie, żebym powiedział do kamery, wiesz, coś w stylu: w dzisiejszym odcinku *Detektywa z sąsiedztwa*...

– Ale czemu na żywo? Nie mógłbyś nagrać czegoś takiego na zapas?

– Od jakiegoś czasu kłóć się o to z szefami. Twierdzą, że chcą, żebym to robił na żywo, bo wtedy brzmi to bardziej autentycznie. Powiedzmy, że kiedy w *Porannej kawie* pokażą segment o skarpetkach dla kotów, mogę się do tego odnieść. – *Nienawidzę tego. Nienawidzę. Absolutnie nienawidzę.* Sheppard nienawidził *Porannej kawy*. Nienawidził aroganckich prowadzących. Nienawidził tych durnych wstawek na żywo. A co gorsza, ten układ oznaczał, że musiał wstawać dwie godziny wcześniej niż powinien. – Jeśli chodzi o mój program, to zaczynamy kręcić o wpół do jedenastej. Zwykle zasuujemy do ósmej wieczorem, cztery dni w tygodniu, i kręcimy jakieś cztery, czasami pięć odcinków w ciągu dnia.

Winter wyglądał, jakby naprawdę był pod wrażeniem, ale mógł udawać. Na przestrzeni lat Sheppard zrobił się wobec niego podejrzliwy. Winter doskonale rozumiał ludzką psychikę i jak najbardziej był zdolny udawać pozytywne zaskoczenie, żeby niewielkim kosztem wzbudzić w nim reakcję.

– To naprawdę mnóstwo pracy. Skąd bierzesz na to siłę?

*Żrę tabletki garściami jak psychol i popijam je ciecżą, która, gdyby miała kilka procent więcej, mogłaby służyć za rozcieńczalnik.*

– Mam pozytywne nastawienie.

Winter roześmiał się, a potem zamilkł. Odłożył długopis na notes, który zawsze trzymał na kolanach – niezawodny znak, że sprawy miały przybrać poważniejszy obrót.

– Nie będę ściemniał... Trochę się o ciebie martwię, Morgan.

Sheppard zmusił się, żeby nie westchnąć.

– Dobrze jest rzucić się w wir pracy, ale musisz znaleźć równowagę pomiędzy pracą a zajęciami, które pozwalają ci odpocząć. Wyglądasz, jakbyś nie spał od naszego poprzedniego spotkania.

*Spałem, jeśli przerywane pijackie drzemki można nazwać spaniem.* Sheppard przypomniał sobie rozmowę z Douglasem przy piwie. Douglas



wyjaśnił mu, że kiedy się dużo pije, człowiek praktycznie zapomina, co to jest normalny sen i jak to jest być naprawdę przytomnym. Sheppard mógł teraz potwierdzić, że owszem. Dryfował przez życie w półświadomym widzie, przepływał od jednej sceny do drugiej tylko dlatego, że nie miał nic innego do roboty. W ten sposób przynajmniej się nie nudził.

– Chcę się tylko upewnić, że nie robisz sobie krzywdy, biorąc na siebie za dużo. Musisz kiedyś przestać, Morgan. Dlaczego nie poprosisz o trochę czasu dla siebie?

Teraz była kolej Shepparda, żeby się roześmiać.

– Czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie, jak działa telewizja? Co? Nie można wziąć sobie wolnego tylko dlatego, że ma się ochotę. Jestem twarzą jednego z najpopularniejszych porannych programów w kraju. Zarabiam tyle, że mogę się podcierać pieniędzmi. I nawet gdyby nie było innych przeszkód, podpisałem kontrakt na dwa lata. Nie mogę rzucić wszystkiego i wyjechać diabli wiedzą gdzie, żeby się uduchowić.

Winter przesunął się trochę do przodu w fotelu – jak zwykle, kiedy wyczuwał nadciągającą kłótnię.

– Nikt nie twierdzi, że masz się „uduchowić”, Morg...

– Sheppard. Sheppard. Sheppard. Nazywam się Sheppard! – krzyknął i wstał. Ruszył do drzwi. *Dość tego*. Wyciągnął dłoń w stronę klamki.

– Od jakiegoś czasu w ogóle o tym nie rozmawiasz – powiedział Winter zza jego pleców.

Próbował znaleźć siłę woli, żeby objąć klamkę, zmusić nogi, żeby wyniosły go z gabinetu, nakłonić umysł, żeby oddał lejce tabletkom i alkoholowi, żeby nie musiał wracać. Żeby było jak dawniej.

Jego ciało jednak nie słuchało i poczuł, jak odwraca się przodem do Wintera, który wciąż siedział w swoim fotelu. Spojrzał mu w oczy.

– To znaczy?

– Wiesz, o czym mówię – powiedział łagodnie Winter.

Sheppard przeciągnął dłonią po twarzy, śliskiej od potu.

– Czego ty jeszcze ode mnie chcesz? Mam znowu płakać? Krzyczeć? Chcesz, żebym jeszcze raz ze szczegółami przedstawił ci ten koszmar? Nie jestem jakąś pieprzoną zepsutą maszyną ani zagadką do rozwiązania. To się stało naprawdę. Pan Jefferies przytrafił mi się naprawdę. Nie wszystko musi mieć jakieś specjalne kosmiczne znaczenie. Może zrobiłem, co zrobiłem, tak po prostu. Bo tak. Może cała ta twoja psychologia jest głównie warta, bo ludzie postępują spontanicznie. Zrobiłem, co zrobiłem, i teraz z tym żyję. Wyryj to sobie na jakimś pieprzonym kamieniu, bo to się nie zmieni. Podjąłem pewne decyzje i stałem się takim, a nie innym człowiekiem. A życie toczy się dalej. Tak zawsze było, i tak zawsze będzie. – Poczuję, że z jakiegoś powodu do oczu napływają mi łzy. Zakrztusił się, odkaszlnął i na koniec powtórzył: – Zrobiłem, co zrobiłem, bez powodu. Bo tak.

Słyszając to, Winter wstał.

– Rozwiązałeś zagadkę morderstwa. Ująłeś zabójcę.

– Tak – potwierdził Sheppard. – I to było niesamowite, prawda? Ale to nie znaczy, że chcę to co tydzień analizować pod mikroskopem.

– Wydaje mi się po prostu, że wciąż nie zgłębiliśmy... – Winter ruszył w jego stronę. Sheppard zrobił kilka kroków w tył.

– Wiesz co? Zobaczymy się za tydzień – powiedział Sheppard, przekreślił klamkę i otworzył drzwi.

– Mamy jeszcze dziesięć minut – przypomniał mu Winter.

– To je wykorzystaj i wymyśl kilka nowych pytań na następny raz, okej? – Sheppard wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Kiedy znalazł się w przedpokoju, odetchnął. Nie lubił kłócić się z Winterem, ale przez tabletki stał się niecierpliwy i nie potrafił wytrzymać w tym domu. Nie zmieniało to faktu, że Winter nie miał prawa tak go

traktować. Po raz kolejny poruszać z nim tematów, których nigdy w pełni nie zrozumie. Sheppard usiłował to pogrzebać, zapomnieć o całej sprawie. Alkohol i tabletki pomagały – jakby każdej nocy przysypywał trumnę swoich wspomnień kolejną łopatą ziemi. Niedługo wszystkie koszmary zalegną w grobie i uwolni się od nich. A do tego czasu chciał się po prostu dobrze bawić.

Ku jego zaskoczeniu od strony schodów dobiegł nagle odgłos dudniących kroków. Stała przed nim Abby Winter. Sheppard poznał ją po swojej pierwszej sesji z Winterem – wówczas oboje byli dziećmi. Teraz miała jakieś dwadzieścia lat i wyglądała przepięknie. Kiedy go zobaczyła, zarumieniła się.

– Sheppard... Przepraszam... Słyszałam zamykane drzwi i byłam pewna, że już wyszedłeś.

Nie potrafił ocenić, czy wciąż tlił się w nim żal do Wintera za to, co się stało, czy po prostu chciał o wszystkim zapomnieć, ale mimowolnie spytał:

– Lubisz koktajle? Znam miłe miejsce niedaleko stąd, w którym robią fantastyczne koktajle. Chcesz się przejść?

– No... – Abby się zaśmiała, zawstydzona. Wijąc się trochę, odpowiedziała: – Yyy... tak, jasne. Jasne. Bardzo chętnie.

*Jasne. No jasne, że jasne.*

– Super.

– Powiem tylko... – Abby wskazała gestem gabinet Wintera.

– Eee, nie zwracaj mu głowy. Jest zajęty papierami.

Nie przekonało jej to, ale też nie wyglądało, żeby się przejmowała, że ojciec nie będzie wiedział.

– Okej. Daj mi chwilę. – I wróciła na górę.

Sheppard uśmiechnął się do siebie i połknął tabletkę. Usiadł na schodach i czekał. Zapowiadało się świetnie – to na pewno nie był zły pomysł. Nie obchodziło go zresztą, czy popełnił błąd. Abby była piękna, sympatyczna

i nie zamierzał zaciągnąć jej do łóżka. Potrzebował po prostu towarzystwa. Samotne picie w miejscach publicznych nigdy nie sprawiało radości, nawet jemu. Czekał, rytmicznie klepał dłonią w deski schodów. A potem, na wszelki wypadek, wziął jeszcze jedną tabletkę.

Kolejna łopata ziemi posypała się w otchłań.

*Pięć tygodni później...*

Minęło pięć tygodni, od kiedy po raz pierwszy umówił się z Abby. Od tej nocy spędzali czas na mieście prawie codziennie. Nie miał wątpliwości, że Winter o tym wiedział, ale jeśli miał być szczery, nie obchodziło go to. Abby była tego warta – nie spodziewał się, że córka sztywnego psychologa okaże się taka fajna. Była świetnym kompanem, oprowadził ją po najlepszych klubach w Londynie. Potrafiła pić, kilka razy spróbowała nawet jego tabletek. Była super, parła przed siebie pełna młodzieńczej energii, która sprawiała, że Sheppardowi czasami trudno było za nią nadążyć. Sprawiała wrażenie, jakby próbowała się buntować, może przeciwko surowemu, drętmemu, wtrącającemu się we wszystko ojcu (*tylko zgaduję*).

Objął ją drżącym ramieniem i przyciągnął. Pocałowali się. Przytuliła się do niego, grzebiąc w poszukiwaniu kluczy w torebce, którą trzymała w dłoniach złączonych za jego plecami.

– Nie mogę ich znaleźć – powiedziała, odrobinę niewyraźnie. Nie radziła sobie z tym tak dobrze jak on. Jakby na potwierdzenie tej myśli, torebka wyslizgnęła się jej spomiędzy palców i upadła na ziemię. Zawartość rozsypała się po wycieracze opatrzonej powitalnym nadrukiem.

Oboje wybuchli śmiechem. Dopiero po chwili zdali sobie sprawę, że zachowują się zbyt głośno jak na środek nocy. Sheppard uniósł palec do ust, ale bez skutku – ledwo tłumił własny chichot.

Abby nachyliła się i podniosła klucze, które ujawniły się niczym za dotknięciem magicznej różdżki. Zaprezentowała je z miną pełną triumfu,

uśmiechając się w ten swój sposób – uśmiechem, który sprawiał, że Sheppard zapominał o całym złu tego świata, o złu czającym się w ludziach. Była tylko ona. A on chciał z nią być do końca życia.

Podreptała przed siebie, do drzwi. Próbowwała znaleźć otwór w zamku, niezdarnie wodząc kluczem po metalowej powierzchni i zostawiając na niej świeże rysy. W końcu jej się udało.

Jednak zanim zdążyła przekręcić klucz, drzwi się otworzyły bez jej udziału. Sheppard rozwarł usta z podziwu... po czym dostrzegł ojca Abby w szlafroku, stojącego w cieniu przedpokoju z piorunami w oczach, rękami skrzyżowanymi na piersi i wyrazem twarzy, który mógł przemienić wino w ocet. Winter zmierzył wzrokiem najpierw ją, a potem jego.

– Idź na górę, Abby – powiedział.

Abby wydeła usta.

– Ale...

– Idź na górę.

Abby spojrzała przeciągle na Shepparda i wykonała ruch, jakby chciała go przytulić na do widzenia.

– Nie zbliżaj się do niego. Po prostu idź na górę.

Abby minęła ojca i bez słowa zniknęła we wnętrzu. Sheppard słyszał, jak wchodzi po dwa stopnie naraz, a potem trzaska drzwiami.

Spojrzał na Wintera i zaczął się zastanawiać, jak długo czekał, żeby urządzić to przedstawienie. Zastanawiał się, czy mu się to opłaci.

– Simon... – zaczął, przerywając długą ciszę.

– Tylko nie próbuj się spoufalać, smarkaczu! Czy ciebie w ogóle obchodzi, co dzisiaj przeżyłem, czekając, aż moja córka wróci do domu? Zabrałeś ją po sesji, prawda? Dziś po południu. Gdzie, do cholery, byliście przez czternaście godzin?!

Czternaście... to oznaczało, że była...? Zaraz, czyli dzisiejsza

popołudniowa sesja była tak naprawdę... Okej, pogubił się. Postanowił więc powiedzieć:

– A, zajrzeliśmy tu i tam. Wyszła ze mną, bo chciała.

– Ona ma tylko dwadzieścia trzy lata! A ty robisz jej krzywdę!

– Może się nie znam, ale jestem przekonany, że dwudziestolatki mogą robić to, na co mają ochotę... – odpowiedział, zbyt późno zdając sobie sprawę, że ta myśl miała pozostać w jego głowie.

Winter nic nie powiedział, tylko sięgnął do kieszeni szlafroka i wyciągnął dwa małe przedmioty. Uniósł je do światła na rozwartej dłoni.

– Wiesz, co to jest?

Sheppard przyjrzał się, naprawdę usiłując zebrać myśli. Jedno wyglądało na jakąś kapsułkę, a drugie na buteleczkę tabletek. Nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

– Powinienem wiedzieć?

– To jest ketamina. Znalazłem ją w pokoju Abby.

– Środek usypiający dla koni? – odpowiedział błyskawicznie, dumny, że to wie.

– Nie – powiedział Winter. – Ketaminę można stosować do usypiania zwierząt, ale wbrew powszechnemu przekonaniu dużo częściej stosuje się ją u ludzi. – Odruchowy chichot Shepparda zmienił się w czkawkę. Nawet rozwścieczony do granic możliwości Winter nie potrafił przestać gadać jak lekarz. – W tej chwili ważne jest to, że Abby ją brała.

– Ketamina to nie moja działka – odpowiedział Sheppard.

– Nie, ale brałeś i piłeś dziesiątki innych rzeczy. I pokazałeś mojej córce, że istnieje taka możliwość, więc nie dziw się, że w moich oczach jesteś odpowiedzialny za to, co się stało. To życie, które prowadzisz... Ono nie jest dla mojej córki, smarkaczu. Nie życzyłbym go nikomu, więc tym bardziej jej.

Sheppard parsknął.

– Rozumiem.

– Bardzo dobrze.

– Nie, nie – odpowiedział, opierając się o framugę drzwi. – Rozumiem TWÓJ PROBLEM. Na co dzień przesiadujesz w fotelu i kreujesz się na wielkiego znawcę cudzych żyć. I wiesz co, teraz moja kolej. Kochasz swoją córkę. Kochasz ją tak bardzo, że chcesz ją zawinąć w ciepłą kołdrę i trzymać w domu, z dala od złych ludzi, przestępców i czarnych charakterów z bajek Disneya. Nie masz nikogo poza nią. Bo twoja spasała, rozsypująca się żona pojechała do szpitala, z którego wróciła tylko mała Abby.

Gdzieś w głębi czuł, że przekracza pewną granicę.

Winter wydał cichy, świszczący dźwięk, ale potem bardzo długo nic nie mówił. Oczy miał wilgotne. Sheppard poczuł, że traci równowagę pod naporem kolejnego powiewu wiatru i sięgnął w stronę futryny, ale Winter zbił jego dłoń.

– Chyba nie mogę się tobą więcej zajmować, Morgan.

– Co?

Słowa Wintera go zaskoczyły. Były jak cios w brzuch. Ale czego się spodziewał? Winter był jedynym stałym elementem w jego życiu, a on od początku tylko to wykorzystywał. Czy naprawdę wyobrażał sobie, że może powiedzieć coś takiego, jak przed chwilą, i oczekiwać wybaczenia? To nie Winter tu zawinił.

W każdym razie takie wrażenie odniósł następnego dnia rano, kiedy pomiędzy pustymi butelkami walającymi się wokół jego łóżka odkrył fragmentaryczne wspomnienia z nocy. Jednak póki rozmawiali, widział w Winterze wyłącznie tępego zgreba.

– Daj spokój. Naprawdę?! – odpowiedział, głośno krzycząc. – Z powodu Abby? Zdajesz sobie sprawę, jak to debilnie brzmi? Nie chcesz już być moim terapeutą, bo się boisz spuścić córkę ze smyczy? Wydawało mi się, że masz

mi pomagać.

– Nie, miałeś pomóc sobie sam. Ale nie chcesz. Za żadne skarby nie chcesz się zmienić. Jesteś najbardziej upartym chłopakiem, jakiego znam.

– Nie jestem chłopakiem.

– Powinienem był przerwać to lata temu. Nasza relacja stała się napięta i owszem, po części dlatego, że zbliżyłeś się do mojej córki. Jeśli będziemy się dalej spotykać, osobiste uczucia zaczną mi utrudniać wykonywanie pracy.

– Jakie niby osobiste uczucia?

– Zaczęliśmy się spotykać, kiedy miałeś jedenaście lat, Morgan. Znałem cię, zanim poznałeś siebie. Tego przestraszonego chłopca z mojej poczekalni. Zawsze potrafiłem machnąć ręką na to, kim się stałeś, i dostrzec tego chłopaka. Ale teraz...

– Powiedz, co chciałeś powiedzieć – wycedził Sheppard.

– Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę.

Sheppard nie miał pojęcia, czego się spodziewał. Jego ciało zastygło w miejscu i zaczęło mimowolnie drżeć. Winter znaczył dla niego więcej, niż mu się wydawało, więcej niż ojciec. A teraz... nie mógł na niego patrzeć?

– Poczekaj – powiedział Sheppard. Pragnął cofnąć ostatnie dziesięć minut i zrobić wszystko inaczej. Pijana wersja jego osoby nareszcie zaczęła zdawać sobie sprawę ze znaczenia tego, co się działo. – Potrzebuję cię.

– Przykro mi, Morgan, ale nie możesz tu więcej przychodzić. – Winter zaczął zamykać drzwi, ale Sheppard trzasnął w nie otwartą dłonią.

– To nie... nie możesz... – Nie potrafił nawet zebrać myśli.

– Wiesz – Winter przestał napierać na drzwi – trafiła do mnie zupełnie przypadkowo pewna osoba. To był gwóźdź do trumny naszej relacji. Po prostu inny pacjent, od którego usłyszałem, co zrobił mężczyzna o nazwisku Morgan Sheppard. Początkowo nie wierzyłem, nawet nie chciałem o tym słyszeć. Ale z czasem, cóż, to, co usłyszałem, nabrało stuprocentowego



sensu.

– Kto do ciebie trafił?

– Jestem psychologiem, Morgan. Wiem, jak działa ludzki umysł. I zawsze wydawało mi się, że twoje serce coś się skrywa. Dowiedziałem się, co. I nie potrafię już o tym zapomnieć. Dlatego absolutnie nie mogę już z tobą pracować.

Winter ponownie spróbował zamknąć drzwi, ale tym razem Sheppard łupnął w nie pięścią.

– Nie – zaskrzeczał. Nawet pijany Sheppard rozumiał, że jeśli pozwoli tym drzwiom się zamknąć, już nigdy się nie otworzą.

Winter zrobił krok do przodu i zaskakująco silnym ruchem oderwał pięść Shepparda od drzwi, popychając go przy tym w tył.

– Wiesz, co jest najgorsze? – wysyczał. – Nawet nie pamiętasz, prawda? Przez te wszystkie nałogi zgniłeś od środka. Nie pamiętasz nawet, kim naprawdę jesteś. Wiem, że to mechanizm obronny, nie trzeba być lekarzem, żeby to dostrzec. Pijesz i bierzesz te różne świństwa, bo próbujesz uciec przed samym sobą. Przed tym, co zrobiłeś.

– I zamierzasz zostawić mnie na pastwę losu? – powiedział Sheppard. Miał wrażenie, że zaraz osunie się na podłogę.

Twarz Wintera zapłonęła i rzucił się w jego stronę. Sheppard odskoczył w tył i niezdarnie wycofał się po schodach ganku, żeby nie stracić równowagi.

– Wynoś się – nakazał mu Winter. Jego głos brzmiał prawie smutno. – Zanim wezwę policję. – I zamknął drzwi.

Odległość pomiędzy drzwiami a furtką wydała się Sheppardowi o wiele większa niż zapamiętał. Z każdym krokiem stopy ciążyły mu coraz bardziej. To był koniec. Wiedział, że już nigdy tu nie przyjdzie. Na chwilę zapomniał o Abby, bo Winter naprawdę wiele dla niego znaczył, a on z jakiegoś

powodu zupełnie stracił to z oczu. Teraz jednak Winter odwrócił się do niego plecami. Jak wszyscy.

Nie miał ochoty spoglądać za siebie, ale kiedy otwierał furtkę, odruch okazał się silniejszy od niego. Dom stał w ciszy i ciemności, jakby nic się nie zdarzyło. Sheppard znał każdy szczegół jego konstrukcji. Prawie potrafił sobie wyobrazić jedenastoletniego Morgana, stojącego na progu, nerwowo przebierającego nogami. Przychodził tu od zawsze. Ale nie potrafił przypomnieć sobie dlaczego.

Od zawsze i o wiele za krótko.

Co się z nim działo? Czas dookoła niego to przyśpieszał, to zwalniał, wprawiając łazienkę w falujący ruch. Jego wzrok co chwilę przeskakiwał z jednego losowo wybranego przedmiotu na inny. Umysł miotał się od myśli do myśli. Dopadły go pająki.

Jedna myśl – jak długo był tu zamknięty? Czy kiedykolwiek był gdzieś indziej?

Kolejna – nie pamiętał jej imienia, tej z Paryża. Była taka śliczna. Nawet nie wziął od niej numeru. Jak ją odnajdzie? Kiedy stąd...

Ta myśl spowodowała nieopanowany napad śmiechu. Odbijało mu albo może brały go objawy odstawienia. Żeby to naprawić, wystarczyła odrobina odpowiedniego lekarstwa. Nic trudnego. Jedna mała tabletką. Może dwie.

*Częstuj się.*

Powiedział to na głos? W myślach? I tak, i tak?

Chciał się znów roześmiać, ale się powstrzymał. Zamiast tego stanął prosto i spróbował się przeciągnąć. Ręce skrępowane za plecami zdążyły zdrętwieć.

*Tak samo jak wtedy. Kiedy to wszystko się zaczęło.*

Nie miał zwyczaju rozmawiać sam ze sobą. Za każdym razem, gdy próbował, czuł się jak jeden z tych idiotów, którzy w filmach mówią do lustra. Wyłącznie po to, by widownia wiedziała, co robią. Scenariusz tak

beznadziejny, że Sheppard nie potrafił się zmusić, żeby go odegrać, nawet kiedy był sam.

– Sheppard zastanawia się teraz, czy nie umrzeć – powiedział na głos. I roześmiał się jak wariat.

Na zewnątrz coś się działo. W pokoju. Echa. Nie potrafił skupić się na nich dość mocno, by zrozumieć słowa. Miał wrażenie, jakby świat po drugiej stronie nie istniał, w każdym razie nie tak, jak łazienka. Dwie zupełnie odrębne rzeczywistości połączone najwybitniejszym wynalazkiem ludzkości: zwyczajnymi drzwiami.

Zdusił kolejny chichot, ale chwilę później coś usłyszał. Krzyki. Lekko zastrzygł uszami niczym surykatka budząca się z letargu. Ktoś naprawdę głośno krzyczał, dość głośno, by głos przebił się przez mgłę, która otuliła jego umysł.

Alan, przynajmniej tak mu się wydawało. Wciąż nie słyszał, o co mu chodzi.

Ale coś było nie w porządku.

Dźwięk. Koszmarny dźwięk. Jak go w ogóle nazwać? Stękanie, ale także coś głośniejszego, bardziej panicznego, coś pomiędzy zapewnieniem a krzykiem. A potem już sam krzyk. I to nie jeden, ale dwa, kobiece.

Przeraziły go tak bardzo, że odruchowo zerwał się na nogi i uderzył ramieniem o sedes.

*Jeszcze nie przegrałem.*

Nie, nie, nie potrafił. Nie miał siły, żeby kontynuować. To był koniec. Na pewno.

Ale tam w pokoju były Mandy i Rhona.

Naparł dłońmi na podłogę, aż podniósł się na maksymalną wysokość, na którą pozwalały mu skrępowane ręce, po czym spróbował unieść tułów, zapierając się plecami o sedes. O dziwo udało mu się. Zanim osoby, które

wydały okrzyk, zdążyły nabrać powietrza, siedział na klapie. Podniósł się i poczuł, że kołysze mu się głowa. Myślał, że już nie stanie na nogi, a proszę, to wcale nie było takie trudne.

Musiał zepchnąć swój głód na drugi plan. Pozbyć się pajęczyn spowijających umysł.

*Cicho. Żadnych śmiechów.*

Kolejny krzyk. Ta sama osoba. Jedna z nich, w każdym razie. Coś się działo. Podniesione głosy rzucały przekleństwa.

Zatoczył się w ograniczonej przestrzeni, którą dysponował. Co tam się wyprawiało? Dlaczego krzyczeli? Zahaczył skutymi dłońmi o wieszak na ręczniki i uderzył twarzą w ścianę. Jego czoło zatętniło bólem.

Otrząsnął się. Spojrzał na drzwi. Musiał się wydostać. Musiał się dowiedzieć, co się działo. Zrobił kilka niepewnych kroków do przodu, odwrócił się i spróbował wymacać klamkę dłońmi. Kiedy ją chwycił, napał w dół.

Żadnej reakcji. Nie otworzyły się. Zamek można było przekręcić tylko od środka, ale znaleźli sposób, żeby je zablokować.

– Hej! – próbował krzyczeć, ale gardło miał tak wyschnięte, że dźwięk, który wydał, nie był głośniejszy niż szept. Solidnie odkaszlnął i spróbował jeszcze raz. – Hej! – Tym razem lepiej. Ale głosy po drugiej stronie wciąż się przekrzykiwały.

– Hej! Co się dzieje? – spytał i uderzył barkiem w drzwi. Odsunął się i kilka razy w nie kopnął, chwiejąc się na nogach. – Hej!

Łup. Łup. Łup.

Chore poczucie humoru, które nigdy go nie opuszczało, podkreśliło każde z trzech łupnięć odgłosem dzwoniącego telefonu.

– W celu wcześniejszego wymeldowania się, proszę wcisnąć sześć.

– Co wy wyprawiacie?

Jeszcze raz uniósł nogę.

Łup.

Zachowywali się zbyt głośno. Coś było nie tak, i to bardzo. Usłyszał krzyk – młody głos, ale nie Mandy. Uznał, że krzyczała Didżejka. Słyszał, jak Mandy bełkocze coś przez łyzy. Ryan wrzeszczał na kogoś, kazał temu komuś się uspokoić, prosił, żeby... odłożył nóż.

Wtedy Sheppard zdał sobie sprawę, co się stało. Wniósł broń do pokoju, w którym znajdował się zabójca. Alan wykorzystał okazję. Pozostali zapędzili go w kąt i nie miał wyboru.

Kolejne zabójstwo. O nie.

Musiał się wydostać. Dowiedzieć się, co się stało.

Wykorzystując nagły przypływ sił, rzucił się całym ciężarem ciała na drzwi. Uderzał w nie raz za razem, krzycząc: „Hej!”. Po kilku razach zaczęła mu drętwieć prawa ręka, ale to zignorował.

Wreszcie rozmowy po drugiej stronie ucichły i ktoś się poruszył, na tyle blisko drzwi, że wyczuł jego obecność. Ktoś stał po drugiej stronie.

– No dalej! Dalej! – nalegał. Postanowił jeszcze raz zaatakować drzwi barkiem. – No, otwórz!

Odpowiedź nie nadeszła, a cisza za drzwiami trwała tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy osoba, która tam stała, nie wróciła do pokoju. Może mimo tego, że na pewno coś się tam wydarzyło, wciąż uważali go za zabójcę? Może odnosili wrażenie, że zamknięcie Shepparda było najlepszą decyzją, jaką podjęli. *Nie* – pomyślał w końcu – *to tylko przemawia przez ciebie Winter.*

Sheppard zrobił krok w tył i jeszcze raz łupnął w drzwi bokiem ciała. Cisza. A potem... odgłos przekręcanego zamka. Drzwi do łazienki zaczęły się otwierać, bardzo powoli.

Odsunął się i poczekał, aż rozewrą się do końca.

Stał w nich Ryan. Jego twarz była pobladła i miała bardzo niepewny wyraz. Ani trochę nie przypominał buńczucznego szeryfa, którego dopiero co odegrał, wpychając go do łazienki.

– Prze... przepraszam... – powiedział. Nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy. – Myślałem, że to pan... Myślałem... Dałem mu się przekonać. Wie pan... – Ryan obwinał się w tym samym stopniu, w jakim obwinał go Sheppard, i bardzo dobrze. Więcej, w tej chwili Sheppard pragnął, by chłopak obwinił się o wszystko. Bo Alan znów zabił, a Sheppard będzie musiał po nim posprzątać.

Trzeźwy. Czysty. Co za przygnębiająca egzystencja.

Sheppard ruszył w stronę drzwi, ale nie potrafił się zmusić, żeby przyjaźnie spojrzeć na Ryana. Zamiast tego odwrócił się i pokazał mu kajdanki.

– A... – powiedział Ryan, poklepując się po kieszeniach. – Oczywiście.

Kilka sekund później Sheppard miał swobodne ręce. Zabrał kajdanki, a Ryan popatrzył na niego smutno.

– Będą nam potrzebne – oznajmił i ruszył do pokoju.

Kolejna śmierć w pokoju, który nie potrzebował ani jednej. Alan Hughes, morderca. Sheppard wyszedł z łazienki, wyobrażając sobie z coraz większą dokładnością scenę, którą zastanie.

A potem rozejrzał się; wszystko wyglądało inaczej.

Tak jak się spodziewał, Ryan, Mandy i Didżejka stali w bezpiecznej odległości, wstrząśnięci, i starali się nie patrzeć na rujnącą harmonię ciała na dywanie przed telewizorem.

Alan Hughes leżał twarzą do podłogi. Z górnej części jego pleców, mniej więcej z miejsca, w którym znajdowało się serce, wystawał nóż. Wyglądał dość żałośnie, leżąc w ten sposób – jak marna cząstka dawnego siebie. Z rany po obu stronach klingi powoli sączyła się krew.

W stronę okna ciągnął się czerwony ślad. Sheppard podążył wzdłuż niego spojrzeniem, nie dowierzając, kogo miał zastać na jego końcu. Ale na swój dziwny sposób wszystko, co zobaczył, miało sens. Niejako łączyło się w logiczną całość.

Bo w miejscu, w którym kończył się ślad krwi, w sukni pokrytej na piersi szkarłatnymi plamami, stała z szerokim uśmiechem na twarzy Constance Ahearn.



Constance? Jak to możliwe? Z drugiej strony, miało to swój osobliwy sens. Zgadzało się. Nie mógł zwlekać. Rzucił kajdanki Ryanowi, który ruszył w stronę Constance. Sheppard w tym czasie podszedł do Alana i przyłożył palec do jego szyi. Brak tętna. Sprawdził na nadgarstku. Też nic. Alan nie żył. Nóż wystawał spomiędzy jego łopatek. Musiał się prześlizgnąć pomiędzy dwoma żebrami, przebić serce. Barczysty, agresywny prawnik zrobił się o wiele mniej groźny. Kiedy Sheppard uniósł wzrok, zauważył, że Mandy i Rhona obejmują się i próbują się wcisnąć w najodleglejszy narożnik pokoju.

Ryan podjął próbę skrępowania Constance, ale ta zaczęła jęczeć. Sheppard mu pomógł, chwytając aktorkę za jedną z rąk, którymi wywijiała. Z jej ust dobiegał niezrozumiały bełkot, w którym przewijały się słowa Jezus, Bóg i piekło. Czyli to, co zwykle.

– Ziemia obiecana jest pełna zdrajców. Ziemia obiecana jest tu.

Ryanowi udało się zatrzaskać jedną obręcz kajdanków, ale potem coś przyszło mu do głowy.

– Powinniśmy przykuć ją do krzesła.

Sheppard przytaknął, wyciągnął krzesło spod biurka, przytrzymał je, a Ryan zmusił Constance, by usiadła. Wziął w dłoń drugą obręcz kajdanków, a Ryan przełożył prawą rękę Constance przez oparcie krzesła. Przynajmniej

będą mieli pewność, że się nie wyswobodzi. W każdym razie nie bez wysiłku.

Sheppard i Ryan wyprostowali się i odsunęli od Constance, która wbijała w nich swoje ogromne oczy. Można było w nich utonąć; jeszcze niedawno tak myślał, prawda? Teraz wyglądały jak oczy osoby, która się boi, że trafi do więzienia.

– Co się stało? – spytał Sheppard, odwracając się w stronę pozostałych.

Mandy i Rhona nie były w stanie wydusić z siebie odpowiedzi. Ryan na szczęście odchrząknął i zaczął wyjaśniać, ale widać było, że na każdym kroku walczy ze sobą.

– Rozmawialiśmy. I tyle. Po prostu rozmawialiśmy. Nie pilnowaliśmy noża. Powinniśmy byli, ale nikt o tym nie pomyślał. Po tym, jak zamknęliśmy pana w łazience, byliśmy trochę wstrząśnięci. Alan twierdził, że nareszcie rozwiązaliśmy zagadkę. Był stuprocentowo pewny siebie, absolutnie przekonany, że to pan zabił tego człowieka w wannie i że to on, Alan, znalazł odpowiedź na pytanie faceta w masce. W kółko to powtarzał. Zaczął więc krzyczeć w kierunku telewizora i ścian, że mamy zabójcę, że jest nim Morgan Sheppard. Ale nie było żadnej odpowiedzi. Tak, jakby Maska w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Alan stwierdził, że koleś z nas kpi. Zdenerwował się i zaczął krzyczeć głośniej, a na końcu wykrzykiwał jakieś bzdury, wie pan, żeby wyładować złość. Wszyscy wpatrywaliśmy się w niego. Przyznaję, że wcześniej mnie przekonał. Uwierzyłem, że to pan zabił. Ale było mi z tego powodu przykro; za to Alan... on triumfował. W końcu usiadłem na łóżku i zacząłem się wpatrywać w telewizor, to znaczy w ten napis przesuwający się w górę i w dół. ŻYCZYMY UDANEGO POBYTU. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to coś znaczy. W każdym razie Rhona chowała się tam, gdzie zawsze, a Mandy i Constance siedziały po prawej stronie łóżka.

Sheppard spojrział na Mandy, która bez słowa pokiwała głową.

– I przez jakiś czas nic się nie działo. Alan nieco się uspokoił. Wszyscy skupiali się na sobie. Porozmawiałem z Mandy i zrozumiałem, że może trochę pośpieszyłem się z tymi kajdankami i wrzuceniem pana do łazienki. Powiedziałem o tym Alanowi, który, wiadomo, nie zareagował za dobrze. Stanęliśmy wszyscy wokół, żeby jeszcze raz porozmawiać, i wtedy to się stało. Dźgnęła go, wepchnęła mu nóż w plecy, jakby nigdy nic, jakby kroić ciasto. Alan zawył, a potem osunął się na ziemię. Nie żył.

Sheppard westchnął. Alan niezaprzeczalnie zatrawał mu życie, od kiedy tylko się obudził, ale to nie znaczyło, że życzył mu śmierci. Przeniósł wzrok z ciała na Constance, która kołysała się na lewo i prawo, sprawiając wrażenie, jakby czerpała z tego przyjemność. Bawiła się w prywatnym lunaparku.

Sheppard spojrział na ciało, które niegdyś było Alanem Hughesem.

– Musimy go przenieść – powiedział – inaczej tu nie wytrzymamy.

Sheppard przestąpił nad ciałem, żeby zająć pozycję przy nogach, a Ryan wsunął dłonie po pachy Alana. Na trzy dźwignęli go z ziemi. Powoli zanieśli ciało do łazienki, starając się, by krew nie kapiała na dywan. Z grubsza im się udało – do miejsca, w którym leżał, prowadziła tylko cienka strużka. Ryan wszedł do łazienki, popychając drzwi plecami, a Sheppard za nim. Opuścili ciało na podłogę. Kiedy zwolnili chwyt, na białe kafelki wytrysnęła krew.

Dwa martwe ciała. Przestało mu się to wydawać dziwne. Otoczony przez śmierć... Co za dzień.

– Powinniśmy... – zaczął Ryan, wskazując ruchem głowy sterczące narzędzie zbrodni. – ...no, wie pan, wyciągnąć go? Jakoś... nie wiem, wydaje mi się nie w porządku, żeby go tak zostawić.

Sheppard nie miał zbytnej ochoty dotykać noża, ale zdawał sobie sprawę, że Ryan pewnie ma rację. Rzut oka w stronę chłopaka dał mu do

zrozumienia, że Ryan nie zamierza zrobić tego, co zaproponował, więc Sheppard podszedł do ciała.

Nachylił się, biorąc głęboki oddech, i chwycił sterczącą pod kątem prostym do pleców drewnianą rękojeść. Pająki go nie opuszczały, biegały po grzbiecie jego dłoni, ale starał się je ignorować. Przycisnął obie krawędzie rany wolną dłonią, bo pamiętał, że tak robili bohaterowie seriali o szpitalach, które oglądał w sobotnie wieczory. Pociągnął za nóż. Ten jednak nawet nie drgnął. Zaklinował się. Sheppard pociągnął jeszcze raz, mocniej, i tym razem klinga odrobinę się poruszyła. Za trzecim podejściem nóż się wysunął, a z rany trysnęła fontanna świeżej krwi, plamiąc koszulę Shepparda, który nie odsunął się w porę.

Ryan spojrzał na jego pierś, upstrzoną czerwienią Hughesa.

– Ohyda.

– Mocno siedział – stwierdził Sheppard, próbując połączyć w myślach dwie kropki, których związku nie rozumiał, w każdym razie nie od razu. Po chwili jednak dotarło do niego. Rany, które zadano Winterowi, były głębokie, bardzo. Dlatego uznał, że ich sprawcą prawdopodobnie był mężczyzna. Skoro jednak Constance udało się wbić nóż tak głęboko w plecy Alana, nie ulegało wątpliwości, że mogła też zabić Wintera.

– Coś się stało? – zapytał Ryan na widok jego wyrazu twarzy.

– Chyba nic, chociaż nie wiem.

Sheppard podszedł do umywalki, żeby zmyć z siebie krew Alana. Ślady krwi na jego koszuli – krwi Wintera, Alana – zlały się w większą różowawą plamę.

Przyjrzał się nożowi w świetle łazienkowej lampy, po czym włożył klingę pod wodę. Zwrócił uwagę, że Ryan przypatruje mu się z szeroko otwartymi oczami.

– Będę go nosił przy sobie – wyjaśnił Sheppard. – Masz coś przeciwko?

Ryan pokręcił głową.

– Jak długo tu byłem? – spytał Sheppard. – Ile nam zostało?

– Przepraszam, że pana zamknąłem.

– Ile czasu nam zostało?

– Ale Alan był taki...

– Ryan. Ile mamy czasu?

Ryan nie odpowiedział, tylko wyszedł z łazienki i przytrzymał drzwi. Sheppard ruszył do pokoju, ale choć wiedział, że przed tym nie ucieknie, nie potrafił się zmusić, żeby spojrzeć. Wreszcie mu się udało, kiedy zamknął oczy i zwrócił je w stronę zegara. Kiedy rozwarł powieki, strach ścisnął mu żołądek.

Zostało siedemnaście minut.

Kiedy Sheppard wrócił do pokoju, Constance Ahearn nuciła jakąś nieskładną melodię. Skierowała na niego wzrok i uśmiechnęła się. Nie zareagował.

Ledwo zauważył, że Mandy i Didżejka siedzą przytulone na krawędzi łóżka. Ryan wyglądał, jakby nie wiedział, co ze sobą począć. W pokoju nagle zrobiło się dużo przestronniej – ego Alana miało przynajmniej to do siebie, że dobrze wypełniało przestrzeń. Panowała cisza. Mężczyzna z głową konia nie kontaktował się od dłuższego czasu. Byli sami. Sheppard, trójka młodych i zabójczyni. To musiała być ona. Na pewno zabiła też Wintera.

Sheppard podszedł do niej, nachylił się i spojrzał jej prosto w twarz z bardzo bliska, jak w swoim programie. Jakby znajdował się w świetle reflektorów scenicznych, a widownia domagała się krwi.

*A wiesz, dlaczego?*

Bo nic mu nie umyka.

Słyszał widownię za plecami. Krzyczała, sterowana przez jakiegoś chłopaka z ekipy trzymającego tabliczkę z napisem SLOGAN. To złudzenie. Wciąż miał halucynacje. Musiał się bardziej ogarnąć. To nie był dobry moment, żeby tracić panowanie nad sobą.

– Co pani zrobiła? – powiedział do Constance tonem o wiele smutniejszym, niż zamierzał.

Constance natychmiast odwzajemniła jego spojrzenie. W jej oczach pojawiło się prawdziwe szaleństwo. Wcześniej go nie było, prawda? Dostrzegłby je. Uśmiechnęła się.

– Uratowałam was. Uratowałam was wszystkich.

– Co ma pani na myśli? – spytał Sheppard. – Zabiła pani człowieka.

– Był kłamcą. Cudzołożnikiem. Żarłokiem. – Jej ciało napięło się, a kajdanki zagrzechotały o krzesło, kiedy próbowała poruszyć rękami. – W tym ciele nie było ani grama człowieka.

– Skąd pani tyle o nim wie?

– Po prostu wiem.

– Jest pani szalona! – Ryan pojawił się obok Shepparda.

Constance gwałtownie przeniosła na niego wzrok, potem wróciła do Shepparda, który uciszył Ryana gestem dłoni. Był tego samego zdania. Ale szaleńcy nie wiedzą o swoim szaleństwie.

– Czyli uratowała nas pani – podjął rozmowę. – Dlatego, że pani zdaniem Alan zabił Simona Wintera?

Nie mógł zaprzeczyć, że sam tak sądził.

– I tak, i nie.

– Zabiła go pani? Wintera?

Constance wpatrywała się w niego zbyt długo, zanim odpowiedziała:

– Nie.

– Pani jest wierząca. Co zatem z „nie zabijaj”?

– Proszę się nie wywyższać, panie Sheppard. Wiem, co zrobiłam, ale On spojrz na to inaczej. Wybacz mi, kiedy stanę przed bramami Królestwa Niebieskiego. Zesłał kogoś, kto mi podpowiedział, co mam robić.

– O co pani chodzi?

– To było widać. To było widać w jego oczach – oznajmiła Constance, szeroko rozwierając własne. – Czaiło się w nich zło. Dostałam nakaz, żeby

działać. Żeby uratować wszystkich zamkniętych w tym pokoju.

– Kto kazał pani zabić Hughesa?

Constance rozejrzała się wokół, jakby chciała się wymigać od odpowiedzi.

– Pani Ahearn, proszę... – wtrąciła się Mandy. – Niech mu pani po prostu powie.

Constance zerknęła na dziewczynę i trochę się rozluźniła. Sheppard odniósł wrażenie, że ufa Mandy bardziej niż jemu. Nachyliła się w jego stronę na tyle, na ile pozwalały jej kajdanki, i wyszeptała:

– Maria Magdalena.

Sheppard zachichotał i pokiwał głową. Czego się spodziewał?

– Maria Magdalena. Jest pani nienormalna. Zabiła pani człowieka z zimną krwią. Czy to do pani dociera?

– Wyzwoliłam mężczyznę, w którego ciele mieszkał diabeł. Ocaliłam jego duszę. To Maria Magdalena kazała mi go zabić. Powiedziała, żebym wzięła nóż i wbiła mu go w plecy. I że tylko ja będę w stanie to zrobić, bo Duch Święty jest ze mną.

Sheppard poczuł znajomy żar.

Ten sam, który rozpalał jego emocje na planie, tyle że tym razem nie grał. Przepeniała go autentyczna, płomienna wściekłość. Uczucie wolne od wpływu narkotyków i alkoholu. Dawno nie czuł niczego podobnego. Poza strachem, rzecz jasna.

– Zabiła pani człowieka. A to oznacza, że byłaby pani również zdolna zabić Wintera.

– Po co miałabym zabijać Simona Wintera? – spytała Constance urażonym tonem. Jakby nie rozumiała, że nie ma już moralności, której mogłaby bronić.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Może dlatego, że widziała w nim



pani tego swojego złego człowieka. Może dlatego, że był jednym z Czterech Jeźdźców Apokalipsy. Może zajechał pani kiedyś drogę na ścieżce rowerowej? Naprawdę już nie wiem.

– Demony, panie Sheppard. Odbywamy nasz wyrok.

I to sprawiło, że sobie przypomniał. Wybuchy Constance, chwilę po tym, jak się obudził, kiedy biegała po pokoju i rzucała się na ściany. Co wtedy mówiła?

*Moja kara? Muszę ją ponieść, wytrwać.*

*Jestem w piekle. A wy ze mną.*

– Kiedy się obudziliśmy, mówiła pani różne rzeczy... Że musi pani ponieść jakąś karę. Co miała pani na myśli?

– Co takiego?

Sheppard rozejrzał się po pozostałych. Ryan przytakiwał, też to pamiętał.

– Gadała jakieś bzdury, że to, co się tu dzieje, jest karą.

– Nie wiem, o czym mówicie – zaskomlała Constance. Trochę nazbyt ochoczo.

– Kim pani jest, pani Ahearn? Tak naprawdę? Jaką tajemnicę pani ukrywa?

– Wszyscy mamy tajemnice. To nic nie znaczy.

Sheppard westchnął.

– Pierwsza rzecz, którą od pani usłyszałem. Powiedziała pani wtedy, że to jest kara.

Czuł się, jakby działa się to całe życie temu, chociaż minęły tylko dwie godziny.

Jeśli tego nie rozpracuje, to jego życie faktycznie się skończy.

– Moja rodzina jest bardzo katolicka, panie Sheppard.

– Naprawdę? Nie zauważyłem – odpowiedział, przeczuwając, że Constance nie zauważy sarkazmu.

– Moja córka zaszła w ciążę, a potem ją przerwała. Kiedy ją wydziedziczyłam, przeprowadziła się na drugi koniec świata, do Ameryki. Do Kalifornii. Któregoś dnia zadzwonił do mnie jej mąż. Moje maleństwo potrafił pijany kierowca. Zabił i ją, i jej nowe nienarodzone dziecko. Modliłam się o bezpieczeństwo jednego dziecka, a spowodowałam śmierć kolejnego.

Sheppard zmarszczył brwi. Nie chciał być okrutny, ale pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy, brzmiała: „I to wszystko?”. Niewątpliwie była to wstrząsająca historia, ale oczekiwał czegoś bardziej... Trafił na kolejny trop prowadzący donikąd.

– Mówiłam, że nie mam nic wspólnego z pańskim dochodzeniem – stwierdziła Constance.

Była stuknięta, ale nie mógł opędzić się od myśli, że to, co się stało, nie było do końca jej winą. Na pewno cierpiała na poważną chorobę psychiczną, ale w obecnej sytuacji nie miało to znaczenia. Niestety, jeśli niebo i piekło istniały, zapracowała sobie na bilet do tego drugiego.

Sheppard przez chwilę milczał, a potem oznajmił.

– Przykro mi, ale moim zdaniem ma pani z nim tak wiele wspólnego, jak to tylko możliwe. Sądzę, że to pani zabiła Simona Wintera.

Sheppard odwrócił się w stronę środka pokoju i oznajmił podniesionym głosem, podobnie jak wieki temu Alan:

– Constance Ahearn. Zabójcą jest Constance Ahearn.

Odczekał chwilę. Nic. Ryan rozejrzał się dookoła, jakby czegoś się spodziewał, podczas gdy obie dziewczyny tylko wpatrywały się przed siebie, zdziwione. Na pewno dobrze odgadł. To musiała być ona. Czekał na coś, może na jakieś potwierdzenie. Promyk nadziei. Powód, by się nie poddawać, choćby tylko przez kolejne kilka chwil.

Constance Ahearn roześmiała się bełkotliwie.

– Coś nie tak, panie Sheppard.

Sheppard odwrócił się w stronę zegara. Wciąż odliczał. Pięć minut.

Co poszło nie tak? Zabójcą była Constance. To było jedyne wyjaśnienie, które miało logiczny sens. Gra jednak wciąż trwała. Wciąż umierali, sekunda po sekundzie.

– Dlaczego nie podziałało? Jak to możliwe? – dopytywał się Ryan.

To nie koniec. To się nie mogło tak skończyć.

– Może źle do tego podeszliśmy. Może to ona musi coś powiedzieć. – Sheppard przyklęknął na jedno kolano, tak że jego oczy zrównały się z oczami Constance. Wyglądała normalnie, jakby zupełnie nic się nie stało. Uśmiechnęła się do niego i lekko przechyliła głowę w bok, jakby witała się

ze swoim psem.

– Pani coś wie – powiedział Sheppard. – Jestem pewien.

– Wiem i wszystko, i nic – kiedy to mówiła, jej melodyjny głos prawie przeszedł w zaśpiew. – Zależy od tego, jaki rodzaj wszystkiego pana interesuje.

– Zabiła pani człowieka. Bez najmniejszego problemu. Jakby kroїła pani kostkę masła. To nie był pani pierwszy raz. Wiem, że to pani.

– Jak już mówiłam, panie Sheppard, to nie ja zabiłam doktora Wintera. Po co miałabym to robić? Nie mam motywu. – Constance mrugnęła do niego. – Ale wiem, kto jest mordercą.

– Tak jak myślałem – wycedził Sheppard przez zęby. – To dlaczego nic pani nie powiedziała?

– Bo wydając tę osobę, zhańbiłabym ją.

Sheppard zaśmiał się jej prosto w twarz.

– Pani rozumie, że jesteśmy o krok od śmierci, tak? Że kiedy ten licznik osiągnie zero, wszyscy wylecimy w powietrze? Zginiemy w kuli ognia.

Constance uśmiechnęła się.

– To będzie jak wniebowzięcie.

Rozzłoszczony Sheppard wstał i wyczuł, że ktoś znalazł się obok niego. Ryan, w którego oczach płonęła wściekłość.

– Czemu nie chcesz nam powiedzieć, suko? – spytał Ryan, na co Constance też odpowiedziała uśmiechem. Ryan nachylił się do Shepparda.

– Możemy ją zmusić, żeby się przyznała.

– Co masz na myśli? – spytał Sheppard, chociaż miał wrażenie, że wie, o co mu chodzi. Widział to w jego oczach. – Nie, nie możemy...

– Sam pan to powiedział. Jeśli nie odkryjemy prawdy, wszyscy umrzemy. Skrzywdzę ją tylko odrobinę. Złamiemy ją bez trudu.

Sheppard otworzył i zamknął usta – czyżby za szybko przestał

podejrzewać Ryana?

Chłopak minął Constance i stanął za nią. Usiłowała podążać za nim oczami, ale znalazł się w jej ślepych punkcie. Przeniosła nierozumiejący wzrok z powrotem na Shepparda.

– Nie możemy tego zrobić – powiedział Sheppard.

*Czyżby mogli?*

– Właśnie, że możemy – odpowiedział Ryan, schylając się za Constance. – Proszę jej po prostu zadać pytanie.

– Co on robi za moimi plecami? Demon!

Constance spojrzała na Shepparda takim wzrokiem, jakby czytała w nim jak w otwartej księdze. Jakby potrafiła dostrzec wszystkie jego tajemnice, wszystkie złe decyzje, wszystkie nieudane związki. Widziała jego prawdziwe ja schowane za całym tym emocjonalnym śmietnikiem.

Mandy dostrzegła, co zamierzał zrobić Ryan, i podeszła w ich stronę.

– Nie, nie możesz.

– Musimy. Chcemy czy nie. Jeśli tego nie zrobimy, wszyscy zginiemy – odpowiedział Ryan.

Najwyraźniej usprawiedliwił się już przed samym sobą. Pokiwał głową z takim przekonaniem, że Sheppardowi trochę udzieliła się jego ekscytacja.

– Proszę – powiedziała Mandy. – Proszę go powstrzymać.

– Kiedy to wreszcie zrozumiesz, Mandy? – spytał Ryan. – Sheppardowi się nie udało. Nie wie, kto to zrobił, więc odpowiedzialność spada na nas.

– On właśnie na to liczy – odpowiedziała Mandy. – Facet w masce. Nie pozwól mu zmienić cię w kogoś takiego.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział Ryan. – Mówisz tak, bo nie chcesz, żebym robił krzywdę naszej pani Ahearn, czy dlatego, że boisz się, co powie?

Cisza. Ryan przeskakiwał wzrokiem pomiędzy Mandy a Sheppardem.

– Ryan – powiedział Sheppard, kiedy Mandy nerwowo westchnęła – odpuść, to jakiś obłąd.

– Niech pan po prostu zada pytanie.

– Ryan.

– Proszę pytać.

– Muszę... – wydusił Sheppard, nie wiedząc, od czego zacząć, ani co w ogóle chce powiedzieć. Zerknął w stronę Mandy i ponownie przykucnął przed Constance.

– Niech pan tego nie robi – powiedziała Mandy.

Sheppard spojrział na Constance i spróbował smutnego uśmiechu. Odwzajemniła go.

– Pani Ahearn, muszę widzieć, kto zabił Simona Wintera.

Constance spojrziała na niego, potem na Mandy i Didżejkę, spróbowała też znaleźć wzrokiem Ryana, ale nie mogła tak bardzo odwrócić głowy.

– Nie powiem. Ale Bóg nam wybaczy, kiedy znajdziemy się w Królestwie Niebieskim. – Zaskomlała z zaskoczenia i zaczęła się szarpać. – Co ty tam kombinujesz? Nie waż się robić mi krzywdy.

– Ryan – powtórzył Sheppard.

Ryan zniknął za krzesłem. Przez kilka dłuższych chwil nie było go widać, a Sheppard mógł się tylko domyślać, co się dzieje, po emocjach, które wyrażała twarz Constance. Wyglądała na trochę zaniepokojoną, więc pomyślał, że może Ryan chwycił ją za palce. Jej mina nie zmieniała się jednak. Kiedy chwila przeistoczyła się prawie w minutę, zza krzesła – nie z ust Constance – dobył się pełen żalu skowyt.

Ryan wstał. Oczy miał pełne łez.

– Nie potrafię tego zrobić – stwierdził z miną dziecka przyłapanego na podkradaniu żelków. – Nie potrafię. To koniec. Wszyscy zginiemy.

Mandy wydała z siebie urywany oddech, jakby usiłowała powstrzymać

płacz. Siedziała na łóżku zwrócona do nich plecami. Ryan wytarł nos grzbietem dłoni i spojrzał na Shepparda.

– Przepraszam – powiedział i też usiadł.

Sheppard wstał i poświęcił Constance ostatnie, długie spojrzenie. Ich ostatnia nadzieja. Wątpa, ale zawsze jakaś. Teraz rzeczywiście już było po wszystkim. *Prędzej czy później czas się kończy.*

Sheppard podszedł do ściany, przy której stał telewizor, oparł się o nią plecami i się osunął. Kiedy znalazł się na podłodze, dotarło do niego, że istnieje jeszcze jedna możliwość. Zaczął ją rozważać i z każdą chwilą wydawała mu się coraz bardziej logiczna. Poczul przypływ euforii. Rozwiązał zagadkę. To wszystko było takie proste i nareszcie zrozumiał, co się stało.

– Maską! – krzyknął. Jego głos brzmiał prawie radośnie. – Zabójcą jest człowiek w masce!

Odczekał kilka sekund.

Nic się nie stało. Zupełnie nic.

Z trzech minut zrobiły się dwie.

Sheppard przeciągnął wzrokiem po Rynie, Didzejce i Mandy. Za jego plecami Constance zaczęła się z czegoś podśmiewać. Zapewne z nadchodzącej śmierci. Z wyglądu twarzy pozostałych wynikało, że rozmyślali o tym samym.

Musiał spróbować jeszcze raz.

– Constance Ahearn. Zabójcą jest Constance Ahearn.

Znów poczekał. Nic się nie zmieniło. Sekundy ulatywały o wiele za szybko. To był koniec. Naprawdę zginął.

Zresztą, dlaczego nie? I tak był pośmiewiskiem. Nie potrafił ochronić ani siebie, ani pozostałych.

– Rhona Michel – powiedział, odwracając się od niej. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. – Zabójcą jest Rhona Michel.

Kilka sekund oczekiwania znów nie dało żadnego rezultatu.

– Ryan Quinn. Zabójcą jest Ryan Quinn.

Raz, dwa, trzy... nic.

Zostało jedno nazwisko. A to oznaczało, że...

– Amanda Phillips. Zabójcą jest Amanda Phillips.

Raz, dwa, trzy... nic.

Czy naprawdę sądził, że to zadziała? Cóż, miał nadzieję na jakąś odpowiedź. Może chociaż komiczne: „Yyy... nie!”. To by pasowało do stylu



typa w masce.

Skierował wzrok na telewizor. Wciąż wyświetlał ŻYCZYMY UDANEGO POBYTU w odstręczającym kolorze.

Sheppard chwycił go za rogi i wpatrzył się w niego, jakby mógł w ten sposób przyzwać mężczyznę z głową konia.

– Halo. Hej. Muszę z tobą porozmawiać. – Słowa wciąż migotały. – Hej. Ty skurwielu. No dalej. – Żadnej reakcji.

Z jego głębi wezbrała fala frustracji. Błyskawicznym ruchem, nie myśląc, Sheppard zerwał się na nogi i chwycił telewizor. Dźwignął go nad głowę i już miał go cisnąć na podłogę, kiedy w ostatniej sekundzie poczuł dłoń na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył Mandy, która uśmiechała się do niego smutno. Spojrzał na Didżejkę i Ryana, i dostrzegł w ich oczach coś w rodzaju pogodzenia z rzeczywistością.

Sheppard upadł na kolana. Poczuł tarcie dywanu o posiniaczoną skórę. Zegar zaczął odliczać ostatnią minutę. Sheppard spojrzał na sufit, jakby zamierzał prosić o pomoc siłę wyższą, ale zamiast tego powiedział po prostu:

– Morgan Sheppard. Zabójcą jest Morgan Sheppard.

– Czego najbardziej się boisz? – spytał pewnego razu Winter ze swojego ulubionego fotela z wysokim oparciem. Siedział w typowej dla siebie pozycji, z nogą założoną na nogę, okularami nisko na nosie, notatnikiem na kolanach; wyglądał jak stereotypowy terapeuta.

– Zapomnienia – odparł Sheppard, zastanowiwszy się chwilę.

Winter obserwował go przez chwilę, po czym nachylił się w jego stronę.

– Większość ludzi powiedziałaaby, że najbardziej ze wszystkiego boją się śmierci.

– Śmierć jest nieunikniona, bycie zapamiętanym to przywilej.

Winter zdjął okulary i postukał nimi o podłokietnik.

– Ciekawy z ciebie człowiek, Morgan.

Sheppard uśmiechnął się.

– Dziękuję.

Winter odwzajemnił uśmiech, lecz odrobinę za późno.

– Nie jestem pewien, czy to miał być komplement.

Teraz jedynym, co Sheppard mógł zabrać ze sobą do grobu, była świadomość, że nigdy nie zostanie zapomniany. Nieważne, jak to się rozegra, zejdzie z tego świata jako tragiczna postać przetrzymywana jako zakładnik w hotelowym pokoju. Rzecz w tym, że siedząc na podłodze i przyglądając się twarzom osób, które zawiódł, żałował, że nie skończyło się to inaczej. Że ich

nie uratował.

Nic się nie stało, kiedy wypowiedział własne nazwisko. Czy spodziewał się reakcji? Czy w jego zwichrowanym umyśle naprawdę pojawiła się myśl, że mógł zabić Wintera i o tym zapomnieć? Nie, chwycił się, czego popadnie.

Teraz nie zostało mu już nic.

Sheppard oderwał wzrok od swoich dłoni i skierował go na Ryana – młodego mężczyznę zatrudnionego w hotelu, w którym zginie. Wydawał mu się dużo młodszy, niż był w rzeczywistości. Przestraszone dziecko starające się robić dobrą minę do złej gry. Od czasu do czasu wyglądał zza dłoni, którymi zakrywał twarz, jakby się upewniał, że pokój wciąż jest na miejscu. Ryan już nigdy nie zobaczy rodziny; nie wspomże finansowo rodziców, dla których poszedł do tej pracy.

Obok Ryana siedziała Mandy. Blondynka, która wystawiła głowę zza krawędzi materaca chwilę po tym, jak Sheppard się obudził przykuty kajdankami do łóżka. Wyglądała wtedy na zupełnie przerażoną, teraz jednak miała na twarzy stoicką, niemal zrezygnowaną minę. Przez krótki czas, który wspólnie spędzili, Sheppard poznał ją dość dobrze, by wiedzieć, że w obliczu śmierci nie będzie płakać ani krzyczeć. Miała szlachetny charakter i zasady, których się trzymała. Jedną z nich było umrzeć w ciszy.

Rhona siedziała na podłodze, ze słuchawkami zawieszonymi na szyi. Wcisnęła dłonie głęboko w kieszenie bluzy z kapturem i bezgłośnie płakała. Co chwila nerwowym gestem, jakby była wściekła na siebie, że pozwoliła sobie na płacz, ocierała łzy, które w nierównomiernych odstępach czasu ściekały jej po policzkach. Nagle osuszyła twarz, wstała bez słowa i ruszyła w stronę Constance Ahearn. Nie spojrzała nawet na kobietę przykutą do krzesła, tylko skierowała się pod swoje biurko i zajęła pozycję, w której spędziła większą część minionych trzech godzin. Spojrzała Sheppardowi w oczy. W jej własnych była pustka. Chwyciła słuchawki i nałożyła je na

głowę.

Constance Ahearn najwyraźniej wyczerpały się pokłady szaleństwa. Nareszcie ucichła i teraz wpatrywała się w plamę krwi, która widniała na fragmencie sukni przykrywającym jej kolana. Stała się potworem i chyba po raz pierwszy, pomyślał Sheppard, dotarło to do niej. Wiara ostatecznie sprowadziła ją na manowce, pozwoliła jej dokonać czynu, którego najbardziej się obawiała. Sheppard wiedział, że religia nie zawsze tak wpływała na ludzi, ale w wypadku Constance tylko utwierdziła ją w przekonaniu, że dobrze postąpiła. Miejsce kobiety, której największym zmartwieniem była żyjąca gdzieś daleko córka, zajęła morderczyni. Jeśli Bóg istnieje, może pozwoli jej to jakoś zadośćuczynić.

Sheppard przyjrzał się po kolei każdemu ze swoich czterech współlokatorów. Wciąż nie wiedział, kto to zrobił. Może powinien był zaufać intuicji, która od początku podpowiadała mu, że Simona Wintera zabił Alan Hughes i miało to jakiś związek ze sprawą MacArthura. Coś mu jednak nie pasowało. Nie o to tu chodziło, to musiało być coś innego. Bo to nie oni byli najważniejszymi poszlakami. A to, kto zabił Simona Wintera, wcale nie było najważniejszą zagadką.

Zostało trzydzieści sekund, a ile osób ucierpi? Ile dzieci i rodzin spędzało czas w tym hotelu? Ilu ludzi kręciło się wokół budynku? Jakim bilansem ofiar zamknie się finał? Czy będą obwiniać jego? Wszystkie te rodziny, które się dowiedzą, że do wybuchu doszło, ponieważ nie umiał rozwiązać prostej zagadki?

Ta banalna prawda – każdego dnia żył w strachu, że ktoś ją odkryje – była czymś, przed czym uciekał, odkąd sięgał pamięcią.

– Nie jestem detektywem – powiedział do pogrążonego w ciszy pokoju.

Nie odwróciła się ani jedna głowa, nikt nie potwierdził, że go słyszał. Jego słowa zawisły w powietrzu. Epitafium dla koszmaru.

Tego właśnie chciał mężczyzna w końskiej masce, prawda? O to chodziło od samego początku.

Dziesięć sekund. Sheppard po raz pierwszy od dawna pomyślał o swojej matce. Gniła w domu opieki na północy Londynu. Pomyślał o swoim agencie, który pewnie będzie opłakiwał utratę źródła dochodów. To jedyne dwie osoby, które mogłyby za nim tęsknić. Wiadomo, miał też fanów, którzy będą go opłakiwać, ale szybko zainteresują się kimś sławniejszym i ciekawszym. Żywi byli dużo bardziej interesujący od martwych.

Osiem.

– Przykro mi.

Znów nie usłyszał odpowiedzi, ale wiedział, że musiał to powiedzieć. Zawiódł ich. Wszystkich zawiódł. A teraz przez niego zginą.

Siedem.

Hotel Great stanie się wielkim gruzowiskiem.

Sześć.

Śmieszne miejsce na śmierć.

Pięć.

Będzie dochodzenie? Złapią mężczyznę w masce?

Cztery.

Czy też każdy, kto będzie mógł, zatańczy na jego grobie i stwierdzi: „Dobrze mu tak”?

Trzy.

Było mu tak bardzo, bardzo przykro.

Dwa.

*Czasami jedyne, na czym nam zależy, to by ktoś nas dostrzegł* – odezwał się Winter w jego uchu. Kazał mu się zamknąć. Chciał umrzeć w spokoju.

Jeden.

Zamknął oczy. Czy to się stanie szybko? Bezboleśnie?

Zero.

Jedyną odpowiedzią, którą otrzymał, był odgłos wybuchu i przesywające białe światło.

*Rok 1992*

Ciało wisiało pośrodku sali. Dziwny obiekt w dziwnym miejscu, prawie jak widmo czegoś niemożliwego. Nieznacznie poruszało się, kołysało. W pierwszej chwili pomyślał, że to z powodu wiatru, który wpadał przez otwarte okno. Dopiero później zdał sobie sprawę, że pan Jefferies pewnie się miotał i ciało jeszcze nie znieruchomiło.

Stał w drzwiach, niezdolny do ruchu. W sali wszystko było wywrócone do góry nogami: przewracane ławki, rozsypane papiery, krzesła, których nikt nie podniósł. W niczym nie przypominała schludnej klasy, w której dwie godziny temu mieli lekcję matematyki. Na tablicy suchościeralnej wciąż widniało równanie, które rozwiązywali. Wiedział, że jeśli wejdzie do środka, wkroczy w mroczniejszy świat – świat, w którym wolałby się nie znaleźć.

Był bardzo roztrzepany. Mama zawsze mu to powtarzała. Tym razem zapomniał zeszytu, z czego zdał sobie sprawę w połowie drogi do domu. Wiedział, że będzie mu potrzebny. Zapisał w nim zadanie domowe na następny dzień i za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć jego treści.

Kiedy wrócił do szkoły, na korytarzach panowała cisza. W powietrzu unosiło się odległe echo śmiechów i krzyków. Jego koledzy z klasy już dawno wyszli i wyglądało na to, że większość nauczycieli też. Zobaczył po drodze tylko jedną osobę – sprzątacza, który nie wyglądał znajomo i bez

entuzjazmu polerował podłogę. Kiedy go mijął, mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na niego, uśmiechając się smutno, jakby przeproszał, że żyje.

Drzwi do pracowni matematycznej były uchylone. Nie chciał być niegrzeczny, więc zapukał. Nie było żadnej reakcji poza tą, że drzwi skrzypiąc, powoli otworzyły się szerzej.

Pan Jefferies wyglądał prawie komicznie, jakby wisiał na wieszaku; przypominał znoszoną kurtkę odwieszoną do szafy. Jego oczy były bez życia, twarz przybrała bladofioletowy kolor, a ręce zwisały bezwładnie. Część paska okalająca jego szyję była prawie w całości ukryta za podwójnym podbródkiem, przez co nie od razu rzuciła się w oczy. Pasek wykonano ze skóry, która teraz rozciągnęła się, popękała i straciła kolor; był przewieszony przez odsłoniętą rurę biegnącą przy suficie. Tę samą, na którą pan Jefferies zawsze narzekał, ponieważ wydawała syczący odgłos za każdym razem, gdy ktoś spuszczał wodę w toalecie na piętrze. Teraz z niej zwiślał. Pan Jefferies nie żył.

W pewnej chwili zaczął krzyczeć.

Usłyszał za plecami kroki – ktoś biegł, a potem ktoś mocno ścisnął go w ramionach. Nie potrafił oderwać wzroku od sceny, którą miał przed sobą, ale rozpoznał zapach perfum pani Rain i usłyszał swoje imię wypowiedziane jej miękkim głosem.

– Boże, co tu się stało? – spytała.

Nie był w stanie mówić, po prostu wskazał palcem do wnętrza sali.

Widział, jak sylwetka pani Rain odwraca się i spogląda. A po chwili usłyszał jej krzyk.

Następne kilka minut było powodzią kolorów i świateł. Był tak zdezorientowany, że nie wiedział, co się dzieje. Słyszał kolejnych ludzi, którzy wymijali go szybkim krokiem, po czym ktoś go podniósł i w pośpiechu zaniósł do pokoju nauczycielskiego. Kiedy wrócił do siebie,



pani Rain siedziała naprzeciw niego. Uśmiechała się smutno, oczy miała zaczerwienione i pełne łez.

– Chcesz coś do picia?

Zanim zdążył odpowiedzieć, wstała i przeszła do aneksu kuchennego. Kiedy usłyszał odgłos lejącej się wody, spojrzął na swoje ręce. Trzęsły się. Spróbował opanować drżenie, ale nie potrafił.

Pani Rain postawiła przed nim napełnioną szklankę i z powrotem usiadła.

– Wypij. Pomoże ci.

Podniósł szklankę. Kiedy zbliżał ją do ust, woda wewnątrz delikatnie falowała. Wziął łyk – zalała go fala mdłości. Woda była zimna i bardzo rzeczywista. Zachęcająca. Upił jeszcze jeden łyk i ją odstawił.

– Jak się czujesz? Trochę lepiej?

Niemądre pytanie, zresztą z tonu pani Rain wynikało, że zdawała sobie z tego sprawę. Nie wiedział. Nie miał skąd wiedzieć. Język angielski nie posiada dość słów, a w każdym razie on nie znał takich, którymi dałoby się wyjaśnić, co czuł. To nie było sprawiedliwe. Nie miała prawa pytać.

– Proszę, kochanie, możemy porozmawiać? Muszę wiedzieć, jak się czujesz.

– Zos... – Tyle słów, zbyt wiele. Po co ludziom tyle słów? – Zostawiłem zeszyt w pracowni matematycznej.

– To dlatego wróciłeś?

– Tylko po niego pójde i wszystko...

– Nie...

– ...wszystko będzie w porządku.

Zamilkł – jego dziecięcy mózg nie nadążał. Nie potrafił zebrać myśli. Nie potrafił nawet...

– Pan Jefferies... – wydukał.

Tymczasem Pani Rain zaczęła płakać. Nie rozumiał. Nie rozumiał,

dlaczego płacze. Osuszyła oczy rękawem swojego rozpinanego swetra.

– Wiem. Wszystko będzie okej. Wszystko będzie dobrze. Po prostu na razie musisz być dzielny.

Pani Rain obeszła stolik i usiadła obok niego. Objęła go, a on oparł głowę o jej ramię. Po chwili oboje zaczęli bezgłośnie szlochać.

Więcej ludzi dookoła. Zamknął oczy, zacisnął powieki z całej siły, tak jak robili w filmach. Słyszał poruszające się postaci, przeszywające szepty. Pani Rain rozmawiała z dyrektorem. Potem pojawił się odgłos syren, powoli przybliżający się, i kolejna osoba wbiegła do pokoju nauczycielskiego. Poczł, jak chwytają go silne ramiona.

Otworzył oczy. Twarz ojca, bardzo blisko. Ojciec przyciągnął go do siebie i przytulił, co sprawiło, że zaczął płakać jeszcze mocniej.

– Czekałem na ciebie w samochodzie. Zobaczyłem radiowozy. Tak mi przykro.

Ojciec nie wypuszczał go z objęć przez dłuższy czas, tuląc go do swojej piersi tak mocno, że trudno mu było oddychać. Lecz w tamtej chwili tego właśnie potrzebował. Czuł się bezpiecznie, spokojnie. Jak dziecko pocieszane przez ojca. Mimo to gdzieś w zakamarkach jego umysłu zakiełkowała świadomość, że dziecko, które miał w sobie, umarło wraz z panem Jefferiesem. Wisiało obok swojego nauczyciela w pracowni matematycznej.

Ojciec wypuścił go z objęć i spojrzał mu w oczy.

– Powiedz, jak się czujesz? W porządku?

W jasnych oczach ojca widać było cienie – obraz nauczyciela zwisającego z sufitu. Czy od tej chwili będzie widział go zawsze i wszędzie? Życie przerwane o wiele za wcześnie...

– Powiedz coś. – Jego ojciec wyglądał na zaniepokojonego. – Proszę, powiedz coś, Eren.

*Rok 1992*

Następnych kilka dni upłynęło mu trochę jak we mgle. Zanim pozwolono mu wrócić do domu, musiał porozmawiać z policjantami, co pewnie zajęło tylko kilka minut, ale odniósł wrażenie, że przetrzymują go godzinami. Czas płynął inaczej niż zwykle. Kiedy opowiadał o tym, jak znalazł ciało pana Jefferiesa, ojciec bez przerwy mocno trzymał go za rękę. Na tyle, na ile pozwolili mu policjanci, nie wchodził w szczegóły. Nie chciał o tym myśleć. Prawie od razu poczuł, jak jego umysł zamyka się wokół tego wspomnienia niczym poczwarka, żeby ochronić go przed koszmarami kryjącymi się wewnątrz.

Podczas kilku dni zaczęły się rozchodzić informacje o tym, co się stało. George Jefferies nie żył. Powiesił się na własnym pasku w pracowni matematycznej. Policja podała do wiadomości, że pan Jefferies, zdaniem swoich rodziców, był od dłuższego czasu nieszczęśliwy. Eren nigdy nawet nie wziął pod uwagę, że pan Jefferies mógł mieć żyjących rodziców – którzy przyznali również i to, że ich syn miał kłopoty finansowe i był bardzo samotny.

Policjanci odwiedzili Erena i powiedzieli mu to wszystko. Wyjaśnili, że jego nauczyciel odebrał sobie życie, nie zastanawiając się nad tym, że jeden z jego uczniów może to zobaczyć. Powiedzieli, że bardzo im przykro.

Wszyscy przepraszaali.

Przykro nam, że ci się to przytrafiło. Przykro mi, że musiałeś to widzieć. Dyrekcja przeprasza za wszystko i zrozumie, jeśli będziesz potrzebował trochę czasu, żeby dojść do siebie.

Nie rozumiał, dlaczego wszystkim było przykro. Nic mu nie zrobili. Kiedy powiedział o tym ojcu, ten wyjaśnił mu, że ludzie przepraszają, kiedy nie mają pojęcia, co powiedzieć, co było o tyle ironiczne, że to ojciec najczęściej powtarzał, jak bardzo mu przykro.

Przez cały tydzień od zdarzenia ojciec nie pozwalał mu chodzić do szkoły ani oglądać telewizji. Nie chciał, żeby zobaczył coś w wiadomościach. Eren dowiedział się jednak od kolegów, że w telewizji nie pojawiła się ani jedna wzmianka o samobójstwie pana Jefferiesa. Nie było dostatecznie interesujące. Jego serdeczny, mający poczucie humoru nauczyciel matematyki zabił się, a świat miał to gdzieś.

Świat wokół niego zrobił się cichszy. Przestał słyszeć ćwierkanie ptaków w koronach drzew i odgłosy przejeżdżających samochodów. Do jego uszu docierała głównie cisza. Kolory wyblakły. Zniknęła ekscytacja, nadzieja. Po co komu nadzieja, skoro można zwyczajnie umrzeć, w dowolnej chwili, w dowolnym miejscu? Dużo spał. Ojciec w tajemnicy zadzwonił do psychologa, ale Eren wykradł się z pokoju i podsłuchiwał ze schodów. Jedzenie przestało być jadalne.

W środę po zdarzeniu usłyszał stukanie do drzwi. Zamiast wstać i otworzyć, spojrział tylko na zegar. Była czwarta po południu – jakim cudem?

Drzwi otworzyły się, w szczelinie pojawiła się głowa ojca.

– Eren, ktoś do ciebie.

Odwrócił się tyłem do niego.

– I co z tego?

Ojciec zignorował jego reakcję.

– To twój przyjaciel. O, proszę.

Eren odwrócił się i zobaczył, że w drzwiach stoi Morgan. Morgan Sheppard z wielkim uśmiechem na twarzy. Morganowi zwykle udawało się go rozśmieszyć, ale dziś jego uśmiech był ewidentnie wymuszony.

– Zostawię was samych.

Drzwi się zamknęły.

Morgan zrzucił plecak na środek pokoju. Wysypały się z niego podręczniki.

– Jak się czujesz?

– W porządku – odpowiedział Eren, który nigdy nie czuł się gorzej.

– W szkole wszyscy o tobie gadają – oznajmił Morgan. – Jest pełno plotek. Serio znalazłeś pana Jefferiesa w sali do matmy?

Eren przez ułamek sekundy miał przed oczami tamten obraz.

– Tak.

– Mamy teraz zastępstwo. Niezła piła. I chyba nie umie liczyć. A poza tym kicha, bo musimy mieć lekcje w bibliotece. Nikt nie może wchodzić do sali.

– Hmm... – odpowiedział Eren, tak naprawdę nie słuchając.

– Sadie mówi, że sala od matmy jest teraz nawiedzona. Niby dlatego nie wolno nam wchodzić – powiedział Morgan, podnosząc jedną z figurek Erena i siadając na krawędzi łóżka. – Eryk podobno jej powiedział, że wczoraj w nocy siostra Michaela widziała pana Jefferiesa w oknie. Ale mnie się wydaje, że ściemnia, bo chce być w centrum uwagi, bo...

– Bo on nie żyje – stwierdził Eren, wstając.

Morgan pomachał do Erena ręką figurki.

– Ta... – odpowiedział cichym głosem.

– A ty... – zaczął Eren, przesuwając się na pośladkach do krawędzi

łóżka. Usiadł obok Morgana. – A twoim zdaniem, dlaczego to zrobił?

Morgan milczał.

– Co może być tak okropne, żeby chcieć się zabić?

– Może zrobił coś złego – stwierdził Morgan i podał Erenowi figurkę. Był to dyskontowy, pozbawiony jakichkolwiek cech rozpoznawczych superbohater w pelerynie. Miał szeroki, odsłaniający białe zęby uśmiech i umięśnioną sylwetkę.

– Każdy robi czasami coś złego, ale się nie zabijamy.

– Może po prostu było mu za smutno.

Eren rozważył tę możliwość, ale uznał ją za bezsensowną. Pan Jefferies zawsze miał taki dobry humor. Często uśmiechał się i żartował. W jego zachowaniu nie było ani odrobiny smutku. Może po prostu bardzo dobrze go ukrywał.

– Będę za nim tęsknił – stwierdził Morgan. – Jak wszyscy. Był fajny.

– Tak.

– I miał fajne poczucie humoru.

– Tak.

Morgan przez chwilę nic nie mówił, po czym gardłowo zachichotał.

– Pamiętasz, jak pozwolił nam oglądać film zamiast rozwiązywać zadania?

Oczy Erena skupiały się na figurce. W zakamarkach jego umysłu pojawiła się jakaś myśl. Coś go dręczyło. A z każdą chwilą, którą spędzał, wpatrując się w tę durną figurkę, wrażenie się nasilało. Ale nie miał pojęcia, o co chodzi.

– ...albo kiedy całą lekcję opowiadał dowcipy. Pamiętasz ten o wiesz czym?

Oczy Erena powędrowały z twarzy figurki w stronę pasa z gadżetami. Coś...

– A pamiętasz, jak miesiąc temu tak mocno schudł i musiał co chwilę podciągać spodnie? On był naprawdę dobrym nauczycielem. – Morgan spojrzał na Erena i szturchnął go delikatnie w ramię. – Chcesz pograć na nintendo? Przystaniesz o tym rozmyślać.

Eren uniósł wzrok na Morgana. Oczy miał szeroko otwarte.

– Czekaj, co mówiłeś?

Morgan uśmiechnął się.

– Nintendo. Ostatnio naprawdę dobrze mi idzie w *World 2*. – Rozejrzał się po pokoju. – Gdzie się podział twój telewizor?

– Nie, nie... – przerwał mu Eren. – Powtórz to, co mówiłeś wcześniej.

Morgan zrobił zdziwioną minę.

– Co? O panu Jefferiesie? Spodnie mu spadały. Przecież na pewno pamiętasz. Nawet z tego żartowałem.

Eren spojrzał na Morgana, trzymając w dłoni figurkę. Morgan wciąż nie rozumiał, o co chodzi.

– Pamiętam – powiedział Eren. – Zapomniałem, ale teraz już pamiętam. Wszystko pamiętam.

– Co się dzieje, Eren? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Eren zeskoczył z łóżka.

– Okej – przyznał Morgan. – Źle się wyraziłem.

– Będę potrzebował twojej pomocy, Morgan – powiedział Eren, podnosząc plecak kolegi i rzucając go w jego stronę.

Morgan złapał go za rękę.

– Co robisz?

– Muszę się dostać do szkoły – odpowiedział Eren, patrząc Morganowi w oczy.

Gdzieś na dnie jego umysłu zapaliła się lampka. Zalała go powódź wspomnień o panu Jefferiesie. Był szczęśliwy. Serdeczny. Nie był ani

smutny, ani nieszczęśliwy. Na pewno nie zrobił tego, co mu przypisywano.

Do jego świata wróciły dźwięki i kolory. Najczarniejsze myśli, jakie kiedykolwiek miał, rozświetliła odrobina nadziei. Nadziei, że jego wizja świata nie była zupełnie błędna.

Eren zarzucił na ramię plecak i odwrócił się z powrotem do Morgana, który wciąż siedział osłupiały na łóżku.

– Pan Jefferies nie popełnił samobójstwa. Ktoś go zamordował.

Eren rzucił figurkę na ziemię.

Morganowi zajęło dłuższą chwilę, by go dogonić, choć jechał na rowerze, a jego kumpel szedł. Eren tak naprawdę nie wiedział, co zamierza zrobić; maszerował po prostu w stronę szkoły tylnymi uliczkami, które znał jak własną kieszeń.

Morgan zrównał się z nim.

– Co robisz?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Eren zgodnie z prawdą.

– Dlaczego twierdzisz, że ktoś zamordował pana Jefferiesa?

– Bo tak było.

– Eren, on popełnił samobójstwo.

Morgan dotrzymywał mu kroku, trochę jadąc na rowerze, a trochę go prowadząc. Wyszli z uliczki na rozległy teren boiska do piłki nożnej.

– Nieprawda. Nie zabił się. To do niego nie pasuje.

– Eren, zaczynam się ciebie bać.

Eren zatrzymał się bez ostrzeżenia. Morgan ścisnął hamulce i w ostatniej chwili zeskoczył z przewracającego się roweru.

– Chodzi o pasek. Powiesił się na pasku. Widziałem to. Ale pan Jefferies nie miał paska.

– Miał.

– Nie, bo spodnie mu spadały.



Przez twarz Morgana przemknął błysk zrozumienia. Tego samego, które w tej chwili napędzało Erena.

– Ale to było kilka tygodni temu. Mógł w tym czasie go sobie kupić. Pamiętasz, czy miał na sobie pasek tamtego dnia?

Eren próbował się skupić. Nie potrafił sobie przypomnieć. Chodziło o szczegół, którego się zwykle nie zapamiętuje. O coś, co mogło łatwo umknąć uwadze. Erena zastanowiło, czy dorośli mogli popełnić ten sam błąd. Czy taki szczegół mógł się prześlizgnąć przez sito dochodzenia?

– Nie pamiętam – odpowiedział Eren. Morgan sprawiał wrażenie, jakby również nie miał pojęcia. – Ale to nie ma znaczenia, bo wiem, że pan Jefferies tego nie zrobił.

– Skąd? – spytał Morgan.

Eren zastanowił się chwilę. Dobre pytanie. Miał naprawdę silne przeczucie, że pan Jefferies się nie zabił. Wiedział, że musi być coś jeszcze. Jakaś poszlaka, której jak dotąd nie znalazł. Coś, co się wydarzyło, ale nie pasowało do reszty. Nie potrafił jednak określić, o co konkretnie chodzi.

– Musimy odkryć, kto zabił pana Jefferies.

Morgan potarł czoło.

– Eren, ja nawet nie dosięgam do najwyższej półki. Jestem prawie pewien, że nie umiem rozwiązać zagadki morderstwa.

– Jesteśmy mu to winni.

– Nie wiem. Może jeśli naprawdę uważasz, że coś się nie zgadza, powinniśmy pójść na policję.

Eren położył dłoń na ramieniu Morgana. Morgan spojrzał na nią złowieszczo.

– Od kiedy cię znam, opowiadasz, że chcesz być sławny. Może niepotrzebnie grałeś w krykieta, gry wideo i próbowałeś być aktorem. Może masz właśnie okazję, żeby zdobyć sławę? A jeśli naprawdę znajdziemy

zabójcę?

Wystarczyła chwila, by wizja roztaczających się przed nim możliwości sprawiła, że oczy Morgana się rozjarzyły. Od kiedy się znali, Eren uważał, że Morganem łatwo manipulować. Pragnął być z czegoś znany. Nie miało większego znaczenia z czego. Morgan po prostu chciał być kimś.

– Okej – odpowiedział – ale jesteś pewien? A jeśli odkryjemy, że pan Jefferies naprawdę zabił się sam?

Eren ruszył przed siebie.

– Nie zabił się.

Nie było takiej możliwości.

Bo to by oznaczało, że jego wyobrażenie o świecie było błędne. Że wszystko będzie musiało się zmienić. Na pewno pan Jefferies nie popełnił samobójstwa; może nawet lepiej powiedzieć, że nie było mu wolno. Okazało się jasne, że zależy od tego zdrowie psychiczne chłopca, który energicznym krokiem przemierzał szkolne boisko.

Eren i Morgan spędzili resztę popołudnia, krążąc po okolicy. Do szkoły się nie dostali, wszystkie drzwi były zamknięte. Nie wiedzieli też, gdzie indziej mogliby się udać. Eren spacerował w milczeniu, a Morgan pedałowal obok niego. Około szóstej wrócili do domu Erena i jego ojciec zamówił pizzę. Zjedli i pograli na nintendo do godziny, o której Morgan musiał wyjść. Ani jeden, ani drugi nie wspominał już więcej o panu Jefferiesie.

Przez następnych kilka dni nie działo się nic ciekawego. Eren wrócił do szkoły i był zdręczany przez inne dzieci, które chciały poznać wszystkie makabryczne szczegóły. Nauczyciele robili, co mogli, by go chronić, ale Eren mimo wszystko musiał do znudzenia powtarzać tę samą krótką historię, która najwyraźniej zaspokajała potrzeby kolegów. Po niedługim czasie zainteresowanie opadło.

Eren tymczasem nie potrafił wyrzucić z pamięci tego, co widział. Śmierć

pana Jefferiesa ciążyła mu teraz nawet bardziej niż tamtego nieszczęsnego dnia. Dręczyło go, paliło wręcz, coraz silniejsze przeświadczenie, że jego nauczyciel się nie zabił i nie mógł opędzić się od myśli, że przegapił coś oczywistego.

Niecały tydzień później Eren i Morgan po lekcjach bawili się w parku. Był to pierwszy raz sam na sam, od kiedy Eren postawił swoją hipotezę. Morgan chodził, balansując po krótkim, niskim murku – pozostałości po zburzonym domu, który dawniej stał na obrzeżach parku. Eren siedział na trawie i skubał źdźbła.

– Chcesz może pójść do kina? – spytał Morgan, wyciągając ręce na boki, żeby utrzymać równowagę. – Mój kuzyn dostał tam pracę. Jeśli go ładnie poproszę, pozwoli nam wejść na *Wściekłe psy*. Ponoć obcinają komuś ucho i wszystko widać.

Eren go zignorował. Nieprzerwanie skubał trawę. Rozmyślał znów o tamtym dniu. Jak zwykle. W jego wspomnieniach coś było, coś, czego dotychczas nie znalazł.

– Eren. Eren. Eren. Eren. Eren – nie dawał za wygraną Morgan. – Eren. Eren. Eren.

– Co? – odparł Eren, poirytowany.

Morgan się uśmiechnął.

– Co jest? W ogóle nic nie mówisz.

– Bo myślę. O tym, jak znalazłem pana Jefferiesa.

Morgan zeskoczył z murka i padł plecami na trawę, teatralnie rozkładając ręce.

– A ty wciąż o tym? Przecież to było... – Eren prawie widział kółka zębate wirujące w głowie swojego młodego przyjaciela. – To było jakieś dwa tygodnie temu.

Te dwa tygodnie wydawały się Erenowi równie długie, co całe życie,

i jego pamięć zaczynała się rozmywać. Poczwarzka chroniąca wspomnienie zdążyła się już rozsypać. A nie chciał zapomnieć. Wiedział, że to właśnie tam, wewnątrz, znajduje się odpowiedź. Jeszcze nigdy nie miał tak silnego przeczucia.

– Próbuję sobie wszystko przypomnieć – powiedział Eren, wyrywając kolejną kępkę trawy – ale nie idzie mi.

– To może powiedz to na głos? – zaproponował Morgan. – Może to ci pomoże?

Morgan rzadko kiedy wykazywał się inteligencją, ale Eren musiał przyznać, że była to bardzo rozsądna rada.

– Okej – odpowiedział i powodowany jakimś wewnętrznym impulsem stanął na wprost Morgana, jakby szykował się do występu na scenie.

– To zacznij od początku – powiedział Morgan – chyba że możemy dać sobie spokój i po prostu pójść na *Wściekłe psy*.

– Skup się, Morgan.

– A ucho? Pomyśl.

Eren go zignorował.

– Okej, wszystko się zaczęło, kiedy byłem mniej więcej w połowie drogi do domu. Zajrzałem do torby, żeby znaleźć cukierki, które kupiliśmy, i od razu skapowałem, że zostawiłem zeszyt. Na matmie graliśmy z Bennym Mastersonem w kółko i krzyżyk i byłem pewny, że zapomniałem włożyć zeszyt do torby. Nie wiem, czemu. Po prostu widziałem, jak leży na ławce. Nie wiem jak to możliwe, ale ciągle to robię. Ciągle go gdzieś odkładam i zapominam.

– Tak jak wtedy, kiedy zostawiłeś go w oceanarium – zaśmiał się Morgan.

– No, na przykład – odpowiedział Eren, ale tylko po to, by zbyć żart Morgana i kontynuować to, co sam chciał powiedzieć. – W każdym razie

zawróciłem do szkoły. Wewnątrz było cicho. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby tam było tak cicho, nawet kiedy trwają godziny wychowawcze. Nie było nikogo poza dozorcą, którego nie poznałem. Jeździł tą maszyną do polerowania podłogi. Sala pana Jefferiesa była otwarta. Więc wszedłem. I zobaczyłem go. A potem zacząłem krzyczeć... – z jakiegoś powodu Eren nie chciał się przyznać, że krzyknął, a potem wybuchł płaczem, w każdym razie nie Morganowi. – ...i przyszła pani Rain, po niej inni nauczyciele, chociaż nie wiem, kto, bo miałem zamknięte oczy. Poszliśmy do pokoju nauczycielskiego, później pojawił się mój ojciec. A potem musiałem godzinami rozmawiać z policją.

– Hmm... – odparł Morgan, drapiąc się po podbródku, najprawdopodobniej po to, by wyglądać inteligentnie.

– Tak?

– Myślę, że powinieneś się czymś zająć, żeby przestać o tym rozmyślać – podsumował Morgan.

– Niczym nie powinienem! Niczym, poza dojściem do tego, kto zabił pana Jefferiesa! – krzyknął Eren. Na tyle głośno, że kilku chłopaków grających w piłkę po drugiej stronie boiska odwróciło głowy w ich stronę. Morgan przesunął się tak, by zasłonić Erena przed ich oczami.

– Jezu, weź się opanuj. Może po prostu potrzebujesz więcej czasu. Pan Jefferies się zabił. I to było naprawdę smutne. Wszystkim nam go brakuje. To naprawdę porąbane, że akurat ty go znalazłeś. Ale popełnił samobójstwo. I może nie powinieneś mówić wszystkim dookoła, że ktoś go zamordował.

– Wciąż mi nie wierzysz – powiedział Eren, starając się powstrzymać płacz.

– Wierzę, że zobaczyłeś coś porąbanego. I dlatego myślę, że może powinieneś coś zrobić, żeby przestać o tym myśleć. Na przykład zobaczyć coś równie porąbanego. Jak scenę, w której facetowi odcinają ucho.

I wszystko widać.

– Morgan, nie pójdę z tobą do kina – powiedział Eren buńczucznie, odsuwając się od niego. Uważał, że to niesprawiedliwe. Skoro nie potrafił przekonać swojego przyjaciela, że pan Jefferies został zamordowany, to czy miał szansę przekonać kogokolwiek innego? – Czy ty naprawdę nie chcesz wiedzieć, co się stało? Nie czujesz tego?

– Czego? – spytał Morgan.

– On sobie tego nie zrobił. Nie ma takiej możliwości.

– Nie wiem, może i tak. Ale policja na pewno ma rację. Oni nigdy się nie mylą. Tak mówi moja mama.

– A jeśli się mylą? Jeśli zabójca wciąż jest na wolności? Wiem, że coś mi umknęło! – Eren wyrzucił ręce w górę w geście frustracji, rozsiewając wokół siebie chmurę ziemi i trawy.

– Może potrzebujesz takiej maszyny czyszczącej do swojego umysłu. Wiesz, takiej jak używał dozorca. Musisz zmyć te wspomnienia.

– Nie bądź głu... – Eren zamilkł w pół słowa. O to chodziło. To właśnie tego nie dostrzegał. Spojrzał z przejęciem na Morgana.

– Co? – spytał jego kolega.

– Dozorca. Nie rozpoznałem go.

– Ale dozorcą jest Freddy – stwierdził Morgan.

Na dozorcę w ich szkole wszyscy mówili Freddy. Był niewysokim mężczyzną o szurzej twarzy w okularach tak grubych, że wyglądały, jakby ich szkła pochodziły z denek słoików od dzemu. Za dnia często go widywali, jak snuł się po szkole, dokręcając żarówki albo mamrocząc złowrogo na dzieci, które przychodziły w brudnych butach. Szkoły nie było stać na drugiego dozorcę, więc Freddy zawsze miał ręce pełne roboty.

– To nie był Freddy... – Z twarzy Erena odpłynęła krew.

– W takim razie kto? – powiedział powoli Morgan, którego twarz zrobiła

się równie blada, co Erena.

Przez długi czas obaj nic nie mówili.

*Rok 1992*

– No dobrze, ten dozorca... jesteś pewien, że go wcześniej nie widziałeś?

Siedzieli na podłodze w pokoju Erena. Morgan przyglądał się, jak Eren bazgroli na kartce papieru; ojciec Erena oglądał na parterze mecz piłki nożnej. Słyszeli skandowanie kibiców drużyny gospodarzy i okrzyki towarzyszące zdobyciu bramki.

Ojciec Erena był rozczarowany tym, że syna nigdy nie ciągnęło do sportu. Po śmierci matki próbował zainteresować go piłką. Eren widział w tym próbę zbliżenia się do niego. Pojechali razem na kilka meczów, a Eren udawał entuzjazm, kiedy Arsenalowi, któremu kibicował jego ojciec, udawało się zdobyć gola. Po pewnym czasie zbrzydła mu jednak ta gra pozorów i w końcu powiedział ojcu, że piłka zwyczajnie go nie interesuje.

– W ogóle go nie poznałem. Widziałem go w szkole pierwszy raz.

– Jak wyglądał? – spytał Morgan.

– Miał brązowe włosy. Chyba był duży, ale nie gruby, tylko napakowany. Miał na sobie ten brązowy kombinezon i polerował podłogę w korytarzu maszyną.

– A to nie mógł być któryś ze sprzątaczy? Wiesz, jeden z tych, którzy przychodzą, kiedy nas już nie ma w szkole?

Eren zastanowił się przez chwilę. Żałował, że chociaż odrobinę lepiej nie



pamięta tego mężczyzny.

– Pewnie mógł. Ale wyglądał bardziej jak dozorca. I na sto procent nie był Freddym.

Morgan potarł oczy i westchnął.

– No i co z tego wynika?

– Jeśli nie był ani dozorcą, ani sprzątaczem, to co tam robił? – spytał Eren, poniekąd retorycznie.

Znalazł to, znalazł fragment, który nie pasował do reszty obrazu. Po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł tamtego dnia do sali matematycznej, poczuł się szczęśliwy. Udało mu się zbliżyć do odpowiedzi.

Z parteru dotarł dźwięk kolejnej salwy aplauzu i radosny wrzask ojca Erena. Arsenal zdobył gola.

– Czyli twierdzisz, że... – Morgan nie dokończył, ale Eren dokładnie wiedział, o co mu chodzi.

– Tak. Myślę, że to był on. Myślę, że to ten facet zabił pana Jefferies. Myślę, że poszedł do niego do sali i go... i go zabił. Upozorował samobójstwo, żeby uszło mu to na sucho. Potem wyszedł, może usłyszał, że ktoś się zbliża, i musiał wymyślić, jak się zakamufłować. Może zauważył tę maszynę do polerowania podłogi i postanowił udawać dozorcę. A potem, kiedy go minąłem, uciekł. – Eren odłożył długopis, jakby coś postanowił. – Jak uważasz?

Morgan zrobił drwiącą minę.

– Nie wydaje... to znaczy, ma to jakiś sens, jasne. I brzmi jak coś, co faktycznie mogło się zdarzyć. Ale...

– Ale?

– ...ale nie znaczy, że tak było.

Eren kolegował się z Morganem od małego. Poznali się w przedszkolu i od tego czasu trzymali się razem. Ani razu się nie pokłócili. Choć Eren miał

tylko jedenaście lat, mniej więcej wiedział, jak działa ludzka psychika, a Morgana rozumiał chyba lepiej niż ktokolwiek. Jeśli chciał, żeby przyjaciel go wsparł, musiał zaapelować do tej części jego osobowości, która była żądna przygód. Eren zdawał sobie sprawę, że nie będzie spał spokojnie, póki nie odkryje, co się stało panu Jefferiesowi, ale Morgan nie myślał o tym w ten sposób. Był zwyczajnym dzieciakiem, który po prostu chciał, żeby jego życie bardziej przypominało to z filmów.

– Morgan, wyobraź to sobie. Jeśli ktoś naprawdę zamordował pana Jefferiesa, a my odkryjemy, kto to jest... Zdajesz sobie sprawę, jacy bylibyśmy sławni? Dwójka dzieciaków, która złapała niebezpiecznego mężczyznę, mordercę ich nauczyciela. Nikt nie dorastałby nam do pięt. Bylibyśmy lepsi od policji. Bylibyśmy superbohaterami.

Eren wziął figurkę bohatera, która wciąż leżała tam, gdzie rzucił ją tydzień temu, i przesunął, by znalazła się na wprost Morgana.

Morgan spojrział na niego rozjarzonymi oczami. Podniósł figurkę i się uśmiechnął.

– Okej. To co robimy?

– Musimy się upewnić, że ten koleś faktycznie nie był sprzątaczem.

– A jak?

– W szkole mają album ze zdjęciami wszystkich pracowników. Widziałem go kiedyś, mieli go na godzinie wychowawczej. Pewnie trzymają go w pokoju nauczycielskim. Musimy go zdobyć i sprawdzić, czy jest w nim zdjęcie tego kolesia. Na pewno go poznam, jeśli go zobaczę. Z pamięci po prostu nie potrafię go opisać.

– A jeśli jest na zdjęciach? Albo, kurde, jeśli go nie ma? Co wtedy?

– Zastanowimy się, kiedy już będziemy wiedzieć.

Morgan pokiwał głową, nie do końca przekonany.

– No dobra.

– Jeszcze jedno. Musimy to zachować w zupełnej tajemnicy. Tylko ty i ja. Jeśli wyjdzie na jaw, że prowadzimy dochodzenie, może nam grozić niebezpieczeństwo.

Na dźwięk tych słów Morgan rozpromienił się jak szalony. Eren nie miał wątpliwości, że dla jego przyjaciela większe zagrożenie brzmiało o wiele bardziej ekscytująco.

– Okej.

Eren wystawił przed siebie dłoń zaciśniętą w pięść.

– Partnerze... – powiedział głosem jak z westernu.

– Partnerze... – odpowiedział Morgan i przybił z nim zółwika.

Z parteru doszło ich wycie ojca Erena. Gol dla przeciwnej drużyny.

Nazajutrz podczas przerwy Eren i Morgan udali się do sekretariatu, gdzie stanęli twarzą w twarz ze zrzędliwą panną Erthwhile. Panna Erthwhile była stara, pracowała w ich szkole od zarania dziejów i słynęła z nienawiści do dzieci. Spędzała większość czasu w sekretariacie, maczając herbatniki w kawie i mozolnie stukając w klawiaturę komputera. Pełniła też rolę szkolnej pielęgniarki; od kiedy objęła to stanowisko, liczba dzieci przychodzących do gabinetu spadła o ponad połowę. Nikt nie chciał mieć z nią do czynienia.

Eren i Morgan podeszli do biurka ostrożnym krokiem, jakby zbliżali się do potężnego smoka. Wiedzieli, że podobnie jak smoka pannę Erthwhile można było pokonać tylko wówczas, kiedy wykorzystało się jej słabości.

– Dzień dobry – Eren uśmiechnął się promiennie.

Pani Erthwhile skierowała wzrok w dół i przyjrzała się im badawczo. Jej twarz składała się z samych zmarszczek.

– Słucham – powiedziała.

– Zastanawialiśmy się z Morganem, czy ma pani może album ze zdjęciami wszystkich pracowników szkoły?

Panna Erthwhile przyglądała im się przez chwilę swoimi wiewiórczymi oczami.

– Mam go, owszem. A po co wam on?

Eren i Morgan wymienili spojrzenia.

– Mamy takie... eee... zadanie – powiedział Morgan. Wymówki zawsze o wiele szybciej przychodziły mu do głowy. Miał dużo wprawy.

– Na co?

– Na geografię. Przygotujemy mapę miasta. Pani profesor pozwoliła nam wziąć zdjęcia, żeby poprzyczepiać je do mapy. Wie pani, tam, gdzie mieszkają.

We wzroku, który Eren skierował na swojego przyjaciela, było coś graniczącego z podziwem. Musiał przyznać, że Morgan całkiem nieźle z tego wybrnął.

– Hmm... – Pani Erthwhile zastanowiła się, spoglądając na nich pogardliwie. – Pozwolę wam do niego zajrzeć, jeśli przyniesiecie mi pozwolenie od nauczyciela.

Morgan się uśmiechnął.

– Nie za bardzo mamy na to czas, proszę pani. Musimy oddać zadanie jutro i naprawdę zależy nam, żeby zająć się tym teraz.

– Przykro mi, ale nie pokażę wam albumu, póki nie zobaczę pozwolenia – odparła pani Erthwhile, nie próbując nawet kryć satysfakcji z tego, że udało się jej utrudnić komuś dzień. – On nie jest dla dzieci.

Morgan i Eren jeszcze raz wymienili się spojrzeniami. Eren wzruszył ramionami, nie wiedząc, co jeszcze mogliby zrobić. Morgan przystawił usta do jego ucha i wyszeptał:

– Patrz na to. To się nazywa psychologia odwrotna. Widziałem to w takim programie w telewizji.

Morgan wyprostował się i odchrząknął.

Sekretarka przyglądała mu się z pewnym zdziwieniem na twarzy.

– Dobrze, to proszę nam nie dawać albumu – powiedział Morgan pewnym głosem.

Pani Erthwhile zachichotała:

– Nie ma sprawy – i wróciła do bardzo powolnego pisania na komputerze.

Morgan zrobił zdziwioną minę. Nachylił się jeszcze raz w stronę Erena.

– Okej, możliwe, że pomiąłem kilka elementów tej metody.

Chłopacy wyszli z sekretariatu ze spuszczoneymi głowami. Eren musiał dostać ten album w swoje ręce, tylko tak mógł się upewnić, czy mężczyzna, którego widział, nie był zatrudniony w szkole.

Kiedy szli korytarzem, Eren rąbnął pięścią w mijaną szafkę. Natychmiast tego pożałował.

– Ała. Musimy zdobyć ten album.

– Nie ma innego sposobu, żeby to sprawdzić?

– Nie – odparł Eren, rozmasowując dłoń.

– No dobrze – stwierdził Morgan – w takim razie zostaje tylko jedno rozwiązanie.

– Jakie?

– Jeden z nas musi się pochorować.

Podczas lekcji angielskiego Morgan poczuł silny ból skoncentrowany w okolicy brzucha. Nauczycielka popędziła z nim do pokoju pielęgniarskiego, na odchodnym nakazując klasie ponownie przeczytać wstęp *Myszy i ludzi*. Eren poczekał najdłużej, jak potrafił, czyli mniej więcej dwie minuty, po czym wykradł się z sali tylnymi drzwiami.

Na korytarzach panował spokój, który przypominał mu o tamtym koszmarnym dniu, tym razem jednak otaczały go stłumione głosy dobiegające z sal pełnych dzieci. Przedostał się na korytarz skrzydła

administracyjnego, wykorzystując skrót przez boisko. Na dworze minął Gerry'ego, który akurat przycinał krzak, i pozdrowił go skinieniem głowy. Gabinet lekarski sąsiadował z pokojem Erthwhile; Eren słyszał jęki swojego przyjaciela, który albo zbyt entuzjastycznie pozorował ból brzucha, albo był torturowany. Gabinet krył niezbadane tajemnice.

Eren wsunął głowę przez uchylone drzwi sekretariatu. Nikogo nie było. Podszedł do biurka pani Erthwhile i zaczął grzebać. W górnej szufladzie znalazł kilka opakowań cukierków.

Następna była wypchana bez ładu i składu różnymi dokumentami wyglądającymi na wydruki z arkuszy kalkulacyjnych.

Ku jego przerażeniu, ostatnia szuflada była zamknięta na klucz. Zdążył ją pociągnąć trzy czy cztery razy, zanim zauważył, że do prawego górnego rogu jest przyklejona karteczka. „Klucz na monitorze” – nabazgrane łatwo rozpoznawalnym pismem Erthwhile.

Eren zajrzał na wierzch masywnej obudowy monitora, ale klucza nie znalazł. Zamiast niego znajdowała się tam kolejna karteczka, tym razem z napisem KAKTUS.

Eren prawie się roześmiał, kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie zetknął się z wyobrażeniem panny Erthwhile o podwyższonych środkach bezpieczeństwa. Sięgnął na drugą stronę biurka i chwycił niewielką doniczkę z kaktusem, która stała w narożniku blatu. Klucz leżał pod cienką warstwą ziemi.

Eren otworzył szufladę. Znajdowały się w niej sterty albumów – okazałych, pięknie oprawionych, z tłoczonymi literami na okładkach. Większość zawierała zdjęcia roczników, a daty sięgały 1985 roku. Pod nimi wszystkimi znalazł jednak to, czego szukał. Duży, obity w skórę album ozdobiony tłoczonym, złotym napisem PERSONEL.

Eren otworzył okładkę i zaczął kartkować zawartość. Zauważył pannę

Rain, która uśmiechała się do niego, a obok niej – serdeczną twarz pana Jefferiesa. Robił wrażenie pełnego życia. Teraz był martwy. Eren szybko przewrócił stronę i chwilę później dotarł do części poświęconej personelowi sprzątającemu. Tu nie było żadnych uśmiechów, tylko szereg starszych kobiet o srogim wyrazie twarzy, wyraźnie niezadowolonych, że muszą dać się sfotografować. Nie było wśród nich ani jednego mężczyzny. Eren przewrócił stronę i okazało się, że zdjęcia wszystkich sprzątaczek mieszczą się na tej jednej. Mężczyzny, którego zobaczył, na niej nie było. Nie było go w albumie.

Eren się opanował. Postanowił przekartkować całość raz jeszcze i przyjrzeć się wszystkim zdjęciom. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że wręcz pragnął ujrzeć twarz tajemniczego nieznanego w albumie, bo przerażała go ta druga możliwość. Zdjęcia mężczyzny jednak tam nie było.

Eren zatrzasnął album i ukrył głowę w dłoniach. Kim był ten człowiek? Jak to możliwe, że znalazł się w korytarzu akurat wtedy, gdy Eren tamtędy przechodził? Czy to on był mordercą? Eren nie miał więcej poszlak.

Chłopak odłożył album do szuflady, którą z powrotem zamknął, a klucz odłożył do doniczki z kaktusem. Nie wiedział, co dalej. To wszystko było zbyt rzeczywiste.

Uniósł wzrok i omal nie krzyknął z zaskoczenia.

W drzwiach stała, przyglądając mu się, pani Rain.

Zachowała się miło – nie spytała właściwie nawet, co robił. Powiedziała tylko, że wszyscy nauczyciele martwią się o niego, bo odnosi się do nich chłodno i opuścił się w nauce. No tak, przecież spędzał większość czasu, szkicując plany pracowni matematycznej i rozmyślając, jak można było zaaranżować w niej morderstwo, które wyglądałoby na samobójstwo. Nie powiedział jej tego jednak.

– Rozumiem cię, Eren. To jest koszmar. Naprawdę. I nikt nie będzie miał

ci za złe, jeśli jeszcze trochę zostaniesz w domu.

– Nie – powiedział Eren stanowczo – nie mogę siedzieć i nic nie robić. – Miał na myśli swoje dochodzenie, ale pani Rain uznała, że mówi o nauce.

Uśmiechnęła się smutno.

– Jesteś bardzo dzielny i inteligentny, Eren. Bardziej niż większość jedenastolatków. Mógłbyś naprawdę wiele osiągnąć.

Eren uśmiechnął się do niej, starając się nie zwracać uwagi na Morgana, który stał za oknem i robił śmieszne miny.

– Czyli ten tajemniczy facet jest naszym podejrzanym – oznajmił Morgan podczas przerwy obiadowej.

Eren i Morgan skorzystali z ładnej pogody i żeby spokojnie porozmawiać, udali się na drugi koniec boiska, gdzie nikomu nie chciało się chodzić.

– Może. Potencjalnie – odpowiedział Eren, zastanawiając się. Próbował sobie przypomnieć, co stało się tamtego dnia po tym, jak krzyknął. Po tym, jak przerosło go to, co zobaczył. Kto przyszedł się nim zająć?

– Że co?

– Musimy wziąć pod uwagę... inne możliwości.

– Inne możliwości? Niby jakie? Widziałeś tajemniczego koleśa tego samego dnia, w którym zginął pan Jefferies... To chyba wystarczy. To na pewno on.

Morgan wspinał się na płot i zatrzymał się w połowie, kucając niezbyt pewnie na żeliwnej poprzeczce. Erenowi zawsze imponowała energia przyjaciela – Morgan nie potrafił usiedzieć w miejscu.

– Musimy przyjrzeć się każdej możliwości. Nie chcemy popełnić błędu.

– Eren, jeśli policja tego nie rozwikłała, dlaczego uważasz, że nam się uda? Co my właściwie robimy? Nawet jeśli ten koleś zabił pana Jefferiesa albo kogokolwiek innego, nieważne, to co wtedy?



– Wtedy pójdziemy z tym na policję. Nigdy nam nie uwierzą, jeśli nie będziemy mieli konkretnych dowodów. Dokładnie tak, jak mówiłeś, mamy jedenaście lat. Nie dosięgamy nawet do górnej półki.

– Dokładnie tak – stwierdził Morgan, zeskakując z płotu. Mimo nieudanego lądowania wyciągnął ręce na boki, jak gimnastycy pokazywani w telewizji. – Mamy jedenaście lat. Nie rozgryziemy tego.

– Czemu nie? – spytał Eren. – Może będziemy pierwszymi jedenastolatkami, którzy rozwiązali zagadkę morderstwa.

– Brzmi super, Eren. Ale czy to się może udać?

Eren długo się zastanawiał.

– Muszę spróbować.

– Okej, to co teraz?

– Musimy się dostać do pracowni matematycznej.

– Kolejny pokój do odwiedzenia, hmm?

Eren i Morgan zostali w szkole po ostatnim dzwonku. Siedzieli w bibliotece i udawali, że się uczą. Poczekali do piątej, po czym udali się opustoszałymi korytarzami w stronę pracowni matematycznych.

Dotarli pod drzwi sali pana Jefferiesa. Wciąż były oklejone żółtą policyjną taśmą ostrzegawczą.

– Słyszałem dyrektora, jak o tym rozmawiał – powiedział Morgan. – Zostawili taśmę, żeby tam nie wchodzić, ale policja już dawno zrobiła swoje.

Eren pokiwał głową. Wpatrzył się w drzwi i poczuł, że nie może się ruszyć.

Morgan popchnął go delikatnie.

– No chodź, to sala jak każda inna.

– Wiem, po prostu... – Eren zamilkł w pół słowa. Nie wiedział, co po prostu.

Morgan nacisnął klamkę. Drzwi skrzypiąc, same otworzyły się szeroko,

odsłaniając ukrytą za nimi salę lekcyjną w idealnym stanie. Ktoś już posprzątał. Krzesła i ławki stały w idealnie symetrycznym porządku. Wszystko było gotowe do rozpoczęcia lekcji.

Morgan przeszedł pod taśmą i wkroczył do sali. Zatrzymał się na środku, dokładnie pod odsłoniętą rurą, i zerknął do tyłu. Eren obserwował go szeroko otwartymi oczami.

– No chodź – powiedział Morgan, ale widząc przerażoną minę Erena, spojrział w górę. Szybko się przesunął.

Eren pokonał paraliż i zanurkował pod taśmą. Przekraczając próg, poczuł dreszcz; było tak zimno, jak tamtego dnia. Ktoś znów zostawił otwarte okno.

– To czego szukamy? – spytał Morgan, przeglądając porzucony zeszyt ćwiczeń, który podniósł z jednej z ławek.

Eren rozejrzał się wokoło. Sala wyglądała, jakby nic się w niej nie stało. Jakby nikt tu nie zginął. Jakby nigdy nikogo tu nie było, nawet żywego. Nic nie wskazywało, że pan Jefferies kiedykolwiek tu pracował. Biurko oczyszczono ze wszystkich śladów jego osoby.

Eren obszedł je, spodziewając się zobaczyć oprawione zdjęcie psa pana Jefferiesa albo jego wymęczony egzemplarz *Buszującego w zbożu*. Uczniowie często pytali go, dlaczego został nauczycielem matematyki, skoro uwielbiał książki. Eren zapamiętał jego odpowiedź co do słowa.

– Matematyka jest mechaniczna. Można pracować nad swoimi umiejętnościami, aż zostanie się najlepszym matematykiem w historii. Żeby pisać jak Salinger, trzeba mieć pewien dar, taki, którego nie da się nauczyć, i którego niestety nie posiadam.

Nie było jej. Jego książka zniknęła. Od zawsze leżała na końcu blatu, ułożona idealnie równo z krawędzią. A teraz jej nie było. Eren poczuł przemożną potrzebę, by ją odnaleźć. Co mogło spowodować, że ktoś ją zabrał? Dlaczego nie znajdowała się na swoim miejscu?

Eren ze złością otworzył szuflady. Wszystkie były puste. Nic w nich nie zostało. Nic po nim nie zostało. Zatrzasnął je.

– Hej! – ostrzegł Morgan, ruszając w jego stronę. – Musimy uważać, żeby nie robić za dużo hałasu.

Oczy Erena zaczęły wypełniać się łzami. Miał wrażenie, że tym razem ich nie powstrzyma, więc wtulił głowę w rękawy szkolnego swetra.

– Morgan, on zniknął. Pozbyli się go. Wszyscy. Wszyscy dorośli.

– Obróć się, Eren.

– Jakby nigdy nie istniał.

– Eren, za tobą.

– Nie ma go. Nic po nim nie zostało.

– Eren – wyszeptał ostro Morgan. – Coś zostało.

Eren nareszcie usłyszał, co mówi jego przyjaciel i uniósł głowę spomiędzy rękawów. Rozejrzał się.

Mimo że w sali panował idealny porządek, nikt nie przetarł tablicy. Wyglądało na to, że ktokolwiek sprzątał, nie zdołał wymazać ostatniej rzeczy, którą zrobił matematyk. Eren dostrzegł równania, które rozwiązywali podczas lekcji, zawiłe wyjaśnienie twierdzenia Pitagorasa autorstwa pana Jefferiesa, a w prawym górnym rogu jego nazwisko, które napisał podczas pierwszych zajęć z jego klasą i nigdy nie zmazał. Eren spojrzał na nie i uśmiechnął się smutno. Było trochę jak graffiti na cześć zapomnianych.

Stanęli ramię w ramię z Morganem i przyglądali się schematom oraz cyfrom.

– Cholera, nadal tego nie kapuję – stwierdził Morgan i zaczął się śmiać.

Eren też się roześmiał, ale wciąż wodził oczyma po równaniach. W końcu dotarł wzrokiem do lewego dolnego narożnika tablicy, gdzie znajdowała się trzycyfrowa liczba, zapisana niechlujnym pismem pana Jefferiesa.

– Moment – powiedział – co to jest? – Wskazał na cyfry.

391.

– To? – spytał zdziwiony Morgan. – To tylko liczba, Eren.

– Ale nie ma związku z resztą napisów na tablicy. Żadnego.

– To liczba. On był nauczycielem matematyki.

– Pamiętasz, żeby to pisał na lekcji? – spytał Eren, przyglądając się uważniej liczbie na tablicy.

Morgan zachichotał i wyrzucił ręce w górę, wskazując całą tablicę.

– Nie pamiętam, żeby pisał cokolwiek z tego tutaj. Nie uważałem.

– Wydaje mi się, że nie napisał tego na lekcji – powiedział Eren, po czym odsunął się o krok i spojrzał przez ramię w stronę ławki, przy której wtedy siedział. – Poza tym to jest w dolnym narożniku. Nie mogliśmy tego zobaczyć.

– Czyli nie napisał tego na lekcji. A więc już tam było. Albo nie było. Eren, zaczynasz brzmieć trochę jak wariat.

Eren odwrócił się w jego stronę, wściekły.

– A co, jeśli to jest ostatnia wiadomość od pana Jefferiesa?! Co, jeśli to wskazówka podpowiadająca, kto go zamordował?

– Serio? – skwitował to Morgan, znów ostrym szeptem, bo oboje słyszeli, że ktoś przechodzi za drzwiami. Odgłos kroków nie ustał, ale po chwili przestał być słyszalny. – Czyli ostatnie słowa pana Jefferiesa brzmiały „391”? Trzy, dziewięć, jeden. Co to w ogóle znaczy? Nic, Eren. I nikt normalny nie pomyślałby inaczej. Masz obsesję. Musisz się ogarnąć.

– Nie. Nieprawda! – odparł Eren, czując łzy napływające znowu do oczu. – Wszyscy poza mną powinni zacząć mieć obsesję na tym punkcie. Pana Jefferiesa ktoś zabił i ujdzie mu to na sucho.

Morgan przez chwilę milczał, po czym odsunął się od Erena, kręcąc głową.

– Myślałem, że może ci się polepszy, jeśli tu przyjdziemy.

– O co ci chodzi?

– On się zabił, Eren. Pan Jefferies się zabił i zostawił nas wszystkich. On nie wróci. Musimy o nim po prostu zapomnieć. – Morgan zachował kamienną twarz.

Eren wpadł w szal.

– Nie wierzysz mi. Od początku mi nie wierzyłeś. Jesteś jak wszyscy. Jesteś idiotą!

Zanim zdążył się opanować, mocno popchnął Morgana. Jego kolega wpadł plecami na biurko i dopiero po chwili wrócił do siebie.

Morgan podszedł do swojego plecaka, rozpiął go i coś wyjął. Wyciągnął to w stronę Erena.

Zdjęcie. Zdjęcie mężczyzny – sprzątacza, którego Eren widział tamtego dnia na korytarzu.

– To on? – spytał Morgan.

Eren nie potrafił wydusić z siebie ani słowa.

– Widziałem go ostatnio koło sali gimnastycznej. Ma na imię Martin. Jest nowym dozorcą.

Rzucił zdjęciem w Erena. Odbiło się od jego piersi i upadło na ziemię. Mężczyzna wpatrywał się z podłogi w Erena, który nie potrafił oderwać oczu od jego twarzy.

Morgan podniósł plecak i zarzucił go na ramię. Ruszył do drzwi, ale zaraz odwrócił się w stronę Erena i wbił w niego wściekły wzrok.

– Wiesz co, okej, jestem idiotą. Podobnie jak ty. Jesteśmy dziećmi. Wolno nam.

I wyszedł.

Eren osunął się na kolana i wziął zdjęcie do ręki. Przyjrzał się i zaczął płakać. Nie potrafił powiedzieć, ile czasu minęło, zanim przestał.

*Rok 1992*

Dochodzenie, choć nie trwało długo, oficjalnie dobiegło końca. Eren i Morgan trzymali się z dala od siebie. Morgan udawał nawet, że go nie widzi. Eren czuł się tak, jakby zdradził go jedyny przyjaciel. Nikt mu nie wierzył i zaczynał mieć wrażenie, że sam też w sobie powątpiewa. W końcu został bez podejrzanego. Zaczął odnosić wrażenie, że może pan Jefferies był po prostu bardzo smutnym mężczyzną, który nie widział innego sposobu, by sobie pomóc, niż się zabić.

Ostatecznie Eren rzucił się w wir nauki – miał dużo do nadrobienia, bo poświęcił cały wolny czas na dochodzenie, które do niczego nie doprowadziło. Czuł się głupi, śmieszny.

W szkole z nikim nie rozmawiał, tylko obserwował z daleka, jak Morgan wciela w życie nowy pomysł na zdobycie sławy. Założył zespół. Nauczyciele i pozostali uczniowie zachowywali się zupełnie normalnie, jakby nic się nie stało.

Eren bez większych oporów postąpił zgodnie z sugestią dyrekcji i swojego ojca, którzy zgodnie twierdzili, że powinien rozpocząć terapię. Podczas spotkań z psychologiem mówił mu więcej niż komukolwiek, ale ani razu nie poruszył kwestii tego, co jego zdaniem stało się panu Jefferiesowi. W gruncie rzeczy bardzo polubił swojego terapeutę – młodego mężczyznę

o imieniu Simon, który stosował najróżniejsze zabawne sztuczki, żeby nakłonić Eren do poznawania samego siebie. Eren często miło wspominał te spotkania.

Święta Bożego Narodzenia minęły dość zwyczajnie. Eren siedział przy stole z ojcem, rodziną cioci i babcią. Śmiał się i żartował z kuzynami – swoimi rówieśnikami. Morgan wciąż się do niego nie odzywał, z czego Eren zaczynał się cieszyć. Może właśnie nadarzała się okazja, żeby zacząć od zera. Wziął dokładkę indyka i brukselki. Lubił brukselkę.

Pierwsze chwile 1993 roku spędził z ojcem na plaży, jedząc chipsy i obserwując, jak świat budzi się po sylwestrowej nocy. Było przeraźliwie zimno, morze chlupotało łagodnie o aksamitny piasek, a oni spacerowali wzdłuż wybrzeża. Przeszli tak dobre osiem kilometrów.

Pod koniec stycznia Eren zaczął roznosić gazety. Cały miesiąc był mroźny, ale i tak każdego ranka wychodził na śnieg i wykonywał swoją pracę. Na swojej trasie odwiedzał pięćdziesiąt pięć domów. Umiął sobie czas, rozmyślając.

Nie wracał już myślami do tamtej sprawy. Simon powiedział, że umysł ma czarodziejskie zdolności i choć na razie Eren cierpiał, miał nadejść taki dzień, w którym naturalnie przestanie myśleć o panu Jefferiesie.

– Tak po prostu o nim zapomnę? – spytał wtedy.

Niezupełnie, wspomnienie o nim zawsze będzie obecne, ale z praktycznego punktu widzenia na co dzień będzie czuł się tak, jakby zapomniał.

I rzeczywiście, zaczynał odnosić wrażenie, że tak właśnie się stanie. Reszta świata pogodziła się z rzeczywistością, więc dlaczego i on nie miałby tego zrobić? Co mu przeszkadzało pozwolić porannemu słońcu, zarządcemu się tak jaskrawo w styczniowym powietrzu, wymazać przeszłość? Dlatego tak zszokowało go, kiedy w pierwszą sobotę lutego udał się do sklepu z prasą

i usłyszał od pana Perkinsa, że będzie dostarczał do jeszcze jednego domu. Adres był mu dobrze znany. To był dawny dom pana Jefferiesa.

Eren nie zawracał sobie tym zbytnio głowy, przemierzając swoją trasę, ale kiedy skręcił w ulicę, na której znajdował się dom pana Jefferiesa, zaczęły ciążyć mu nogi, a jego krok stał się ospały i niezdarny. Musiał walczyć ze sobą, żeby dotrzeć na miejsce, a kiedy wepchnął zrolowaną gazetę do skrzynki na listy, zatrzymał się na dłuższą chwilę i smutno wpatrzył w dom.

Od strony drzwi dobiegł głośny zgrzyt i gazeta zniknęła po drugiej stronie. Rozległo się szczekanie psa, a po nim głos uciszającej go starszej pani, która otworzyła drzwi, zanim Eren zdążył się odwrócić.

– Dzień dobry – powiedziała w taki sposób, jakby ani trochę nie dziwiło jej, że stoi w śniegu przed jej domem.

– Przepraszam panią – powiedział Eren. – Po... po prostu znałem kogoś, kto mieszkał w tym domu. Był moim nauczycielem.

Stara kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Masz na myśli George'a?

Jej odpowiedź zbiła go z tropu.

– Eee... tak, proszę pani. Przepraszam, że pytam, ale skąd pani go zna?

– Och, dziecko, jestem przecież jego matką! – odpowiedziała staruszka i się roześmiała. W tej samej chwili zza drzwi wyłoniła się głowa cockerspaniela trzymającego w pysku zwiniętą gazetę. – Chodź, biedaku, lepiej wejdź na herbatę. Wyglądasz, jakby śmierć zajrzała ci w oczy.

– Dziękuję pani, ale naprawdę nie mogę. Mam do rozniesienia więcej gazet. – Wskazał głową torbę pełną nedoręczonych zamówień.

Staruszka pokręciła głową.

– Bzdura. Nikomu nie śpieszy się czytać, co nowego złego się stało. Mogą poczekać.

Zanim Eren zorientował się, co się dzieje, staruszka wprowadziła go do



środku. Dziwnie pachniało – nie brzydko, lecz obco – i wszystko wyglądało jak w typowym domu starszej osoby. Wnętrze było niezbyt przestronne, a przez wszystkie pomieszczenia ciągnął się koszmaryny czerwony dywan. Eren dostrzegł maleńką kuchnię odchodząca od salonu, z kredensami zastawionymi stertami różnych naczyń. Salon był równie mały i stało w nim krzesło oraz dwie sofy obite obrzydliwym brązowym materiałem. Eren usadowił się na jednej z nich i odłożył torbę. *Co ja tu robię?*

– No i proszę – powiedziała kobieta. – Czyli herbatkę, tak?

– Nie piję herbaty, proszę pani – odparł Eren przeproszającym tonem.

Kobieta roześmiała się i wyszła do kuchni.

– To zaczniesz – oznajmiła.

Eren rozejrzał się po pokoju. Było mu trudno uwierzyć, że mieszkał tu pan Jefferies. Wszystko wyglądało tak... staro. Wpatrzył się w odbicie swojej twarzy na ekranie niewielkiego telewizora. Cały jego wygląd świadczył o tym, że czuje się niezręcznie. Nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć sobie w oczy, więc spuścił wzrok na stolik do kawy, na którym leżało kilka brukowców i gazeta z częściowo wypełnioną krzyżówką.

Zegar tykał bardzo głośno.

Po kilku minutach starsza pani wróciła, niosąc w mocno trzęsących się dłoniach jedną filiżankę na spodeczku. Podała ją Erenowi. Jasnobrązowy płyn przelał się przez krawędź w chwili, gdy naczynie przechodziło z rąk do rąk, i zebrał się na dnie spodka. Eren uśmiechnął się do gospodyni, która poszła do kuchni po herbatę dla siebie.

– Jak mówiłeś, że się nazywasz? – spytała, kiedy wróciła, po czym powoli opuściła się na fotel.

Usta Erena zadziały szybciej niż mózg.

– Morgan Sheppard – powiedział.

Jeśli ta kobieta jest matką pana Jefferiesa, istniała możliwość, że zna

nazwisko Erena. Prawdopodobieństwo było niewielkie, ale Eren czuł się już dostatecznie niekomfortowo. Nie chciał, żeby wiedziała, że to on znalazł jej martwego syna.

– Morgan. To się nazywa ładne imię. Dobrze słyszałam, że byłeś uczniem George’a? – spytała kobieta, po czym uniosła filiżankę do ust i siorbnęła.

– Tak. Moja klasa miała z nim matematykę. Chcę... chcę tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło.

Kobieta odstawiła filiżankę i uśmiechnęła się do niego.

– Nie możemy zmienić tego, co się stało, kochanie. Nikt nie zawinił, a już na pewno nie ty. Wiem, że znosicie to gorzej niż pozostali. Wy, to znaczy, dzieci. Żebyście musieć przeżywać coś takiego w twoim wieku. Ile masz lat?

– Jedenaście – odpowiedział Eren. Upił łyk z filiżanki, przełknął i natychmiast odstawił naczynie, upominając się w myślach, żeby go więcej nie dotykać. Odkaslnął. – Za dwa miesiące dwanaście.

– Jesteś tylko dzieckiem – stwierdziła kobieta głosem łamiącym się ze smutku. – Jejku, co za koszmar. Ale wszyscy musimy jakoś sobie radzić. Nie zostało nam nic innego.

– Mogę zadać pani pytanie? – spytał Eren.

– Oczywiście. Założę się, że masz ich mnóstwo.

Eren mówił powoli, bardzo starannie dobierając słowa.

– Czy wie... czy wie pani, dlaczego pan Je... George... dlaczego on to zrobił?

Jego rozmówczyni wydeła policzki i znów podniosła filiżankę.

– Tego nikt się nie dowie, kochanie. Na tym polega ta klątwa, klątwa tych, których zostawił. Mogę ci powiedzieć, dlaczego moim zdaniem to zrobił. Sądzę, że po prostu nie widział innego wyjścia. Na świecie istnieją dwa rodzaje ludzi, ale kiedy odkrywamy, do którego rodzaju należymy, zawsze jest za późno.

– Dwa rodzaje ludzi?

– Tak. Wyobraź sobie, że biegniesz przez las. Jest ciemno i nie bardzo się orientujesz, gdzie jesteś. Wiesz tylko tyle, że znajdujesz się z dala od domu, z dala od wszystkich osób, które kochasz. I biegniesz. Biegniesz, bo coś cię goni. Czujesz na plecach oddech najbardziej przerażających, obrzydliwych potworów, jakie kiedykolwiek widziałeś. Więc uciekasz. Biegniesz i biegniesz, bo nie chcesz, żeby cię dopadły. Las zaczyna się przerzedzać i nagle mijasz jego krawędź. Wbiegasz na wzniesienie i odkrywasz, że jesteś na szczycie klifu. Odwracasz się, ale potwory właśnie wychodzą spośród drzew. Zapędziły cię w ślepią uliczkę. Nie masz odwrotu. Spoglądasz w dół. Kilkaset metrów niżej spienione morze obmywa spiczaste skały. Potwory skradają się w twoją stronę powoli, ale są coraz bliżej. Masz dwie oczywiste możliwości: albo się poddasz i pozwolisz potworom zrobić z tobą wszystko, na co mają ochotę, albo skoczysz, oddając się skałom i morzu.

– I pan Jefferies skoczył?

Kobieta wpatrzyła się w niego starymi oczyma i zrobiła taką minę, jakby miała się rozpłakać. Po chwili jednak odzyskała panowanie nad sobą i siorbnęła więcej herbaty.

– Tak. George skoczył. Metaforycznie, rzecz jasna. To była taka przenośnia... Wiesz, co to są przenośnie?

– Tak. Kiedy mówi się coś, mając na myśli coś innego.

– Właśnie. Jesteś mądrym chłopcem. George dobrze cię nauczył.

Eren nie przypominał jej, że pan Jefferies uczył matematyki, a o metaforach dowiedział się od innego nauczyciela.

– George miał swoje potwory?

Kobieta zachichotała, nie było w tym rozbawienia, lecz serdeczność.

– Wszyscy mamy jakieś potwory, kochanie. Nawet ja. Nawet ty. Każdy z nas ucieka przed czymś przez las, chociaż wolimy się nie przyznawać.

Odpowiadając jednak na twoje pytanie, to tak, George'a prześladowały potwory. I po prostu go dogoniły.

– Jakie to były potwory? – Eren zauważył, że staruszka się wzdrygnęła. – Przepraszam, jeśli to niewłaściwe pytanie – dodał szybko – ale chyba zależy mi, żeby się dowiedzieć. Chcę po prostu zrozumieć, dlaczego ktoś może chcieć się zabić.

Matka pana Jefferiesa opadła z powrotem na oparcie krzesła i wpatrzyła się w Erena.

– Zapomniałam, jak to jest mieć jedenaście lat. Żyję osiem razy dłużej od ciebie. Pomyśl o tym. Kiedyś też byłam dociekliwa, ale życie mnie tego oduczyło. Otóż prawda jest taka, że George był zawsze bardzo samotny. Całe życie mieszkał tu ze mną. Tłumaczył, że to ze względu na mnie, że chce mi zapewnić godną starość, ale przy okazji zapomniiał zadbać o siebie. Z nikim się nie związał. Miał zwyczaj powtarzać, że nie potrzebuje drugiej połowy, ale widziałam tę samotność w jego oczach. Zawsze tam była. Uwielbiał swoją pracę. Od małego chciał być nauczycielem. Wkładał w to całe serce. Kiedy wracał do domu, najpierw poprawiał wszystkie prace i sprawdziany, a potem oglądał sport w telewizji. Tak to się zaczęło, rozumiesz. Zaczął obstawiać wyniki meczów. Piłki nożnej, rugby, różnych innych sportów. Nawet krykieta, mimo że nie znał jego zasad. A potem odkrył konie. W pewną niedzielę przeszedł się do bukmachera. To tam wkręcił się w nieodpowiednie towarzystwo i niedługo później zaczął grać o zbyt wysokie stawki. Uzależnienie, kochany, jest jak rak, ale taki szczególny, który ci wmawia, że chcesz go mieć. Próbowałam przemówić George'owi do rozumu, ale uzależnienie miało lepsze argumenty. Pożyczał pieniądze od nieodpowiednich osób, zakładając, że się odbije. Oczywiście nie udało mu się. Wszystko stracił. Zaczęły nas odwiedzać różne kaprawe typy, tu, w tym domu. Wszyscy wyglądali podejrzanie, zupełnie jak bandyci z filmów.

Grozili George'owi, przyciskali go do ściany, a ja nie mogłam mu pomóc. Jeden mężczyzna przychodził wyjątkowo często. Początkowo odnosił się do mnie najuprzejmiej, jak tylko się dało. Pomyślałam nawet, że może jest inny niż pozostali. Ale potem któregoś wieczora przyszedł o bardzo późnej godzinie i słyszałam, jak atakuje George'a w korytarzu. George, rzecz jasna, nawet się nie bronił. Nie jestem głupia, wiedziałam, że musimy coś z tym zrobić, na dobre. Podczas następnej wizyty poprosiłam George'a, żeby usiadł ze mną przy stole i powiedziałam temu mężczyźnie, żeby do nas dołączył i omówił sprawy jak przystało na dorosłego człowieka. Usiadł, ale wyraźnie mu się to nie podobało. George'owi też nie. Powiedziałam więc: Słuchajcie, George, Martin, musicie się dogadać...

Erena zmroziło. Poczuł, jak wzdłuż jego kręgosłupa przebiega dreszcz. Potrzebował chwili, by zrozumieć, dlaczego, ale kiedy skupił myśli, poczuł się tak, jakby spadło mu na głowę kowadło. Kobieta wciąż mówiła, ale przestał ją słyszeć. Co ona powiedziała? Przecież nie mogła...?

– Przepraszam panią – wydusił przez mrowiące usta – może pani powtórzyć, jak ten mężczyzna miał na imię?

– Co? A... Martin. Tak. Miałam go za miłego chłopaka, innego niż pozostali. Okazuje się jednak, że był z nich wszystkich najgorszy.

Erenowi zakręciło się w głowie. Mężczyzna z korytarza. Ten, który czyścił podłogę tą durną maszyną. Ten w stroju dozorca. Nowy dozorca. Martin.

Zdążył wstać, zanim się zorientował, że ma taki zamiar. Matka pana Jefferiesa wciąż mówiła.

– Muszę iść – przerwał jej.

Spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem.

– Dobrze, w takim razie nie zatrzymuję cię. Miło było cię poznać.

Zanim zebrała się z krzesła, Eren wyszedł z pokoju i dotarł na koniec

krótkiego holu.

– Możesz mnie odwiedzać, kiedy tylko chcesz! – zawołała za nim. – Morgan to takie ładne imię!

Chwilę później był już na zewnątrz i wciągał kurtkę, żeby ochronić się przed przenikliwym chłodem.

Udało mu się skręcić z powrotem w ulicę, z której nadszedł, zanim wymiotował na śnieg.

Eren znalazł Morgana w auli podczas przerwy obiadowej. Jego zespół – trójka niepasujących do siebie dzieciaków pozbawionych jakiegokolwiek talentu – był na scenie. Składał się z grubego chłopaka z gitarą i dziewczyny wyglądającej na kujonkę, która siedziała za perkusją. Morgan, rzecz jasna, był frontmanem.

Robili okropny jazgot, dopóki Morgan ich nie uciszył. Podszedł do grubasa trzymającego gitarę palcami przypominającymi serdelki.

– Eric, totalnie fałszowałeś.

– Przepraszam – odpowiedział Eric nosowym głosem.

– Pamiętasz, jak to idzie, prawda?

– Chyba tak.

– Okej. Przykro mi, ale chyba jednak będziesz musiał nauczyć się grać na gitarze.

– Będę musiał?

– No, niestety. Mogłeś wybrać perkusję. Wtedy mógłbyś tłuc, w co popadnie, i byłoby okej. – Morgan przeniósł uwagę na dziewczynę na perkusji i puścił do niej oko. – Super ci idzie, Clarice.

Eren odchrząknął. Morgan i pozostali rozejrzeli się po auli. Morgan skrzywił się, kiedy zobaczył, kto przyszedł, ale Eren podejrzewał, że tak będzie.

Morgan chyba pogodził się z sytuacją, bo klasnął w dłonie i powiedział:

– Dobra, pięć minut przerwy. I żadnych batonów, Eric.

Dziewczyna i grubas ruszyli w stronę kulis, mamrocząc i narzekając, Morgan zaś zeskoczył ze sceny i podszedł do Erena.

– Proszę, pojawił się Eren – skostatował, mierząc go od stóp do głów.

– Tak.

– Podoba ci się mój zespół? To jest moja przepustka na szczyt listy przebojów. Nagramy następny światowy hit. Nazywamy się Przyszłość Pisana Kursywą.

– Przyszłość?

– Nie, Przyszłość Pisana Kursywą – odparł Morgan takim tonem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Jak się chce gdzieś zajść, to trzeba mieć dobrą nazwę. Jak Blur... albo ABBA. Właściwie to nie, może nie ABBA... ani, jak teraz myślę, Blur.

Eren się uśmiechnął i z zaskoczeniem odkrył, że szczerze. Zapomniał, jak bardzo lubił szalone plany Morgana i w ogóle jego charakter.

– Czego chcesz? – spytał Morgan. – Jak widzisz, jestem bardzo zajęty.

– Muszę z tobą pogadać – powiedział Eren i szybko wyjaśnił, czego się dowiedział od matki pana Jefferiesa. Ku jego zdziwieniu Morgan wykazał autentyczne zainteresowanie, aczkolwiek wciąż był sceptycznie nastawiony.

– Wiesz co, Eren, myślałem, że już sobie odpuściłeś.

– Ale musisz przyznać, że to dziwne.

– Martin to popularne imię.

– Ale ten koleś tam był. Tamtego dnia. Ten Martin.

Morgan podrapał się po karku.

– No, chyba masz rację, że to trochę dziwne.

Eren uśmiechnął się.

– Potrzebuję twojej pomocy jeszcze jeden jedyny raz. A potem, jeśli nie mam racji, dam sobie spokój na zawsze. Pogodzę się z tym. Ale najpierw

musimy zrobić jedną rzecz. Ostatnią.

Morgan rozejrzał się po scenie zastawionej sprzętem swojej kapeli, po czym wrócił wzrokiem do Erena.

– Okej.

Plan był prosty: poczekać, aż Martin skończy pracę, i pójść za nim do jego domu, gdzie musiały się znajdować jakieś dowody świadczące o tym, że zabił pana Jefferiesa. Eren nie brał w ogóle pod uwagę, że mogło ich tam nie być. Z pewnością Martin trzymał w domu coś, co wskazywało na jego związek z morderstwem. Eren był przekonany, silniej niż kiedykolwiek, że poznał tożsamość mężczyzny, który zabił, i z pomocą Morgana nareszcie miał okazję go złapać.

Morgan nie był do końca przekonany, ale na myśl o włamaniu do czyjegoś domu bardzo się ożywił. Może trochę za bardzo.

Wieczorem w przeddzień planowanej akcji spotkali się w pokoju Erena. Morgan grał na nintendo, Eren szperał pod łóżkiem.

– Pamiętam, że widziałem je gdzieś tutaj. – Eren szukał pary krótkofalówek, które dostał od cioci na gwiazdkę i prawie natychmiast o nich zapomniał. Teraz uznał, że są nieodzowne dla powodzenia ich misji. Mieli śledzić podejrzanego bez odpowiedniego sprzętu?

– Sprawdziłeś w kredensie? – spytał Morgan, ale nie ruszył się, żeby pomóc przyjacielowi.

– Ta... – odparł Eren, wysuwając się spod łóżka, na które zaraz padł. – Myślę, że mogą być na strychu.

Eren przyglądał się jak Morgan gra w *Mario*, aż usłyszał, że ojciec wychodzi do pubu. Zawsze to robił w czwartek wieczorem, tydzień w tydzień, od kiedy zginęła mama. Punkt ósma.

– Morgan, no... Musisz mi pomóc.

Morgan jęczał całą drogę do garażu; Eren nakłonił go do pomocy przy



wnoszeniu drabiny na piętro. Pięć minut i kilka obowiązkowych siniaków później Eren ustawił drabinę pod drzwiczkami strychowymi i poszedł do pokoju ojca, gdzie w szafce z narzędziami znalazł dwie latarki. Rzucił jedną Morganowi.

– Krótkofalówki powinny być w niebieskiej plastikowej skrzynce.

Morgan uśmiechnął się.

– Się wie, szefie. – Uniósł dłoń i zasalutował.

Eren parsknął śmiechem. Naprawdę stęsknił się za Morganem i tym jego niepodrabialnym gatunkiem niedojrzałości.

Wspiął się na drabinę i napałł dłonią na właz strychu, aż ten ustąpił. Na górze panowała absolutna ciemność, więc Eren skierował do środka snop światła latarki, który wyrzeźbił w czerni kontury kilku kartonowych pudeł stojących najbliżej wejścia. Wyglądało to tak, jakby nie istniały, dopóki ich nie oświetlił. Jednak nie było wśród nich niebieskiego pudełka. Eren spojrzał w dół na Morgana.

– Będę musiał tam wejść. Ty zostań, gdzie jesteś, i trzymaj drabinę.

Morgan roześmiał się.

– Naprawdę sądzisz, że zostanę tutaj, zamiast buszować z tobą na górze?

– To zwyczajny strych.

Morgan nie dał się przekonać i wyszedł za nim na górę. Drabina nie była dość wysoka, by umożliwić Erenowi swobodne wejście na strych, więc musiał się oprzeć łokciami o krawędź włazu i się na nich podciągnąć, co wymagało sporo siły. Potem pomógł wejść Morganowi.

Dwa snopy światła przeczesywały poddasze, podążając za wzrokiem chłopaków. Strych był niesamowicie zagracony – pełen brązowych kartonów do przewodzek poustawianych jeden na drugim. Eren nie miał pojęcia, że mieli z ojcem tyle rzeczy. Podeszedł do jednego ze stosów kartonów, starannie przestępując nad belkami podtrzymującymi sufit.

Morgan odłożył swoją latarkę na stertę przedmiotów, które leżały luzem, po czym podszedł do wielkiego monitora. Postukał w niego palcem.

– To jest telewizor czy monitor komputerowy?

Eren go zignorował. Wziął latarkę w zęby i zaczął rozsuwać kartony tworzące wielką stertę, żeby zobaczyć, co jest za nimi. Kiedy udało mu się za nie zajrzeć, załamał się, bo w końcu dostrzegł niebieskie pudełko – leżało na samym spodzie największego stosu kartonów, jaki kiedykolwiek widział.

W czasie gdy Morgan rozglądał się po zakamarkach, wymachując strumieniem światła latarki na krawędzi pola widzenia przyjaciela, Eren zaczął przekładać kartony, żeby dostać się do sterty, pod którą znajdował się jego cel. Zajęło mu dziesięć minut, zanim wszystko odstawił. Odetchnął, wyczerpany. Obolałe ręce dawały mu przedsmak tego, co będzie czuł następnego dnia rano. Kiedy podniósł wieczko pudełka, jego oczom ukazał się zestaw dwóch krótkofalówek, wciąż zamknięty w pancernym plastikowym kokonie. Eren wziął go w dłonie, oczekując fanfar czy czegoś w tym rodzaju. W końcu bardzo się namęczył. Zamiast tego usłyszał jedno słowo.

– Eren.

Głos Morgana, ale nie taki, jak wcześniej. Zamiast podekscytowania czy entuzjazmu, dało się w nim słyszeć niepokój.

Eren rozejrzał się dookoła, ale nie dostrzegł przyjaciela. Za to w jednym miejscu nad morzem kartonów unosiła się świetlista luna.

– Eren, podejdź tu.

Eren zaczął manewrować między strychowymi rupieciami, niepokojąc się coraz bardziej. Po chwili ujrzał Morgana, który stał na końcu ciemnego zaułka i kierował światło latarki na starą drewnianą skrzynkę.

– No i? – Eren próbował obrócić to w żart.

Morgan spojrzał na niego, po czym wrócił wzrokiem do skrzynki.

Eren też się w nią zapatrzył.

Wyglądała staro i dość lichy. Na przedniej ścianie widniało imię Lilith, namalowane farbą, teraz już odpryskującą i wyblakłą.

– Twoja mama miała tak na imię, prawda? – spytał Morgan.

Eren pokiwał głową. Nigdy wcześniej nie widział tej skrzynki, nie wiedział nawet, że istnieje. Ojciec nie mówił mu o niej – więcej, twierdził, że kiedy się przeprowadzali, zostawił wszystkie rzeczy mamy w starym domu. Ponoć ich widok łamał mu serce. A tymczasem proszę. Skrzynka z imieniem mamy.

Eren przykląkł i przeciągnął dłońmi po wieku. To wystarczyło, by zaczął myśleć o mamie, jej ciepłym dotyku i miękkich objęciach. Głupi kawałek drewna, o którym nawet nie wiedział, sprawił, że poczuł jej bliskość. Przypomniawszy sobie dzień, w którym ich opuściła, jak wyszła z domu – powiedziała, że wróci, ale tak się nie stało. Wiadomo, że nie mogła tego przewidzieć. Skąd miała wiedzieć, że przejeżdżający samochód wypadnie z drogi i w nią uderzy? Powiedzieli im, że umarła prawie natychmiast. Ojciec pocieszał się myślą o „natychmiast”, ale Eren przerażało to „prawie”.

W tej chwili jednak, stojąc w strychowym mroku rozświetlanym jedynie przez latarkę Morgana i jego własną, czuł się dzieckiem bardziej niż kiedykolwiek. Dzieckiem, które chciało do mamy.

Spróbował otworzyć skrzynkę. Bez powodzenia. Omiótł światłem latarki krawędź wieka i znalazł kłódkę. Zamiast dziurki na klucz miała zamek szyfrowy z trzema kółkami opatrzonymi cyframi od zera do dziewięciu. Westchnął.

– Zamknięta – oznajmił, odwracając wzrok od światła i spoglądając tam, gdzie powinna znajdować się twarz Morgana. – Trzycyfrowa liczba.

– Nie możemy po prostu zgadnąć? Albo spróbować wszystkich możliwych kombinacji? – spytał Morgan. Eren wiedział, że próbuje pomóc,

ale nie zmieniało to faktu, że brzmiał jak kompletny głąb.

– Trzy kółka. Dziesięć cyfr na każdym. To razem tysiąc możliwości.

– O rany – Morgan oświetlił na chwilę swoją twarz, żeby pokazać na niej przyjacielowi wyraz podziwu. – Jak to wyliczyłeś?

Eren westchnął.

– Serio? Przecież robiliśmy to dzisiaj rano na matmie.

– Aaa... Wiesz...

– ...nie słuchałem – dokończył za niego Eren. – No, co za niespodzianka. – Pomachał latarką. – Na pewno gdzieś tu leży coś, czym byśmy mogli zerwać kłódkę. – Wstał i podszedł do sterty przedmiotów, której wcześniej przyglądał się Morgan.

– Ale jak ją rozwalimy, to twój tata będzie wiedział, że byliśmy na górze – stwierdził Morgan.

– Mam to gdzieś! – Eren odsunął masywny monitor, żeby sprawdzić, czy nie ma za nim czegoś ostrego i solidnego.

– Może to jest coś, czego nie powinieneś oglądać. Może miał powód, żeby to przed tobą schować.

– Mam to gdzieś – krzyknął wściekle Eren, naskakując na Morgana i kierując światło latarki prosto w jego twarz. Morgan zmrużył oczy. – To jest skrzynka mojej mamy. Jestem jej synem. Mam prawo wiedzieć, co jest w środku.

– Okej, okej – powiedział Morgan, kierując latarkę Erena w dół. – Byłoby łatwiej, gdybyśmy znali ten trzycyfrowy kod. Może twój ojciec gdzieś go zapisał? Ja muszę zapisywać takie rzeczy albo je zapominam.

– Zapisywać? – powtórzył Eren, w którego umyśle coś zaskoczyło.

– No tak, wiesz, hasła do nintendo i takie tam.

Eren rzucił się w stronę skrzynki, uklęknął przy niej jeszcze raz i zaczął grzebać przy kłódkce.

– Poświeć mi tu.

Morgan spełnił jego prośbę.

Eren szybko przekręcił kółka. To nie mogło... To nie mogło się udać. To było bez sensu. Ale nie przychodziła mu do głowy żadna inna trzycyfrowa liczba. Skończył. Kłódka kliknęła i się otworzyła.

Twarz Morgana wyrażała zdziwienie.

– Co do...? Jak to...?

– Pomyśl. Powiedziałeś, że jeśli nie chcesz czegoś zapomnieć, musisz to zapisać. Pamiętasz, jak te kilka miesięcy temu znaleźliśmy pewną trzycyfrową liczbę zapisaną w bardzo dziwnym miejscu?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Właśnie, że masz. 391. Na tablicy. W sali pana Jefferiesa. 391 otworzyło tę kłódkę.

– Co ty gadasz? – zdziwił się Morgan. – Przecież to bez sensu. Dlaczego pan Jefferies miałby mieć u siebie na tablicy szyfr do skrzynki na twoim strychu?

– Nie wiem – odparł Eren, kładąc dłoń na wieku i czując, jak przez plecy przechodzą mu ciarki. – Nie wiem.

Eren klęczał nieruchomo, badając palcami krawędzie wieka. Co tu się dzieje? Jak to w ogóle możliwe? To nie mógł być zbieg okoliczności. Tysiąc możliwych kombinacji i akurat ta okazała się poprawna? Numer zapisany na tablicy przez jego nieżyjącego nauczyciela. Odpowiedzi na wszystkie pytania, które kłębiły się w głowie Erena, musiały znajdować się wewnątrz tej skrzynki i dlatego nie potrafił jej otworzyć.

Odgłos szurania z boku. Morgan usiadł obok niego i też położył dłonie na wieku, po czym zaczął je otwierać. Eren podążył za jego przykładem. W pewnej chwili wieko odskoczyło i skrzynka się otworzyła.

Chłopacy skierowali do środka światło latarek. Niepokoili się, że

skrzynka okaże się pusta, ale niepotrzebnie – mniej więcej do połowy wypełniały ją kartki papieru pospinane w cienkie pliki. Było tam też kilka fotografii uśmiechniętej mamy Erena.

Eren wyciągnął jeden z pakiecików, zdjął z niego spinacz i zaczął powoli przeglądać jego zawartość. Na kartkach były listy od jego matki do ojca. Listy miłosne. Wszystkie zaczynały się od słów „Kochanie” i były podpisane „Twoja Lilith”. Były długie, na całą stronę, a niektóre na dwie albo trzy. Mama pisała, jak bardzo kocha tatę i przypominała szczegóły ich spotkania.

*Pamiętasz tę kawiarnię nad jeziorem? – pisała w jednym z nich. – Karmiliśmy kaczki i jedliśmy ciasto marchewkowe, póki słońce nie schowało się za drzewa. Chyba nikt przed tobą nie dał mi tyle szczęścia. Kiedy jesteśmy razem, moja dusza odpoczywa. Kocham cię tak bardzo, że zapominam o wszelkich smutkach. Dlaczego muszę się z tym kryć? Chowam naszą miłość w skrzynce na strychu. Za szyfr służy mi numer pokoju, w którym spędziliśmy naszą pierwszą noc, pamiętasz? Na pewno.*

Eren się zarumienił i uniósł dłoń do policzka, żeby ukryć to przed Morganem, chociaż w ciemności, która panowała na strychu, taki szczegół był pewnie niedostrzegalny. Poczul się, jakby naruszał granice czyjejś prywatności, ale nie potrafił się powstrzymać. Nigdy nie sądził, że rodziców łączyło tak potężne uczucie, chociaż wszystko wskazywało na to, że kiedyś musiało.

Przetasaował listy i przeczytał następny.

*Kochanie, ileż wnosi do mojej przyziemnej egzystencji zwykła świadomość, że każdego dnia możemy na siebie wpaść. Gdyby nie ty, moje życie byłoby nudne. Wiem, że pewne decyzje, które podjęłam, nie mogą być powodem do dumy, ale dałabym wszystko, żebyśmy mogli być razem. I pewnego dnia będziemy. Będziemy razem na zawsze. Obiecuję, że już niedługo to zrobię.*

Ten wydał mu się dziwny. Co chciała zrobić? Jakie decyzje? Przebiegł wzrokiem resztę listu, ale nie znalazł już nic ciekawego. Wziął kolejny.

*Kochanie, przepraszam. Po prostu potrzebuję więcej czasu. Proszę, musisz dać mi więcej czasu. Utknęłam, utknęłam w tym miejscu i nie wiem, jak się wydostać, ale świadomość, że czekasz na mnie na końcu drogi, da mi siłę, żeby się uwolnić. Już niedługo mu powiem, obiecuję.*

Eren poczuł ścisk w żołądku, choć nie do końca wiedział dlaczego. List wyrażał jakąś dziwną, palącą potrzebę. Tylko o czym pisała jego mama? Przeczytał resztę i dotarł do dolnej krawędzi kartki. Mama podpisała się tak, jak zawsze, ale dodała postscriptum.

*Twoja Lilith. PS. Załączam nasze zdjęcie na odwrocie. Zobacz, jacy jesteśmy szczęśliwi. Bądźmy tacy na zawsze.*

Eren zauważył małą strzałkę narysowaną w narożniku i przewrócił list na drugą stronę. Do górnej krawędzi kartki było przypięte zdjęcie.

To, co zobaczył, zszokowało Erena tak bardzo, że odruchowo wypuścił list z dłoni i zrobił krok do tyłu. Uderzył plecami w stertę kartonów, strącając stojący najwyżej i wywołując małą lawinę pudeł.

Morgan podniósł wzrok znad innej wiązki listów i spojrzał na Erena.

– Co jest?

Eren nie odpowiedział. Był zbyt zajęty przetwarzaniem tego, co zobaczył na zdjęciu. Wszystko zaczęło układać mu się w głowie, mieć sens – po raz pierwszy od bardzo dawna. Po raz pierwszy od kiedykolwiek.

To uczucie, które towarzyszyło mu tamtego okropnego dnia, kiedy znalazł pana Jefferies... Że coś mu umknęło, jakiś ważny szczegół. Podejrzewał dozorcę. Naprawdę sądził, że to on. Ale to nie on zabił, w ogóle nie miał z tym nic wspólnego. Eren spędził ostatnie kilka miesięcy, mając na oku nie tego mężczyznę, co trzeba.

Morgan podniósł list ze zdjęciem i skierował na niego światło latarki.

Jego twarz stężała, po zwyczajowym wyrazie samozadowolenia nie zostało ani śladu.

– O cholera... – zdołał z siebie wydusić. – Ale co z tego wynika?

Oddał list Erenowi. List, który odkrywał prawdę. Zdjęcie zrobione w parku nad stawem. Uśmiechnięta matka, wyglądająca na szczęśliwszą niż kiedykolwiek w domu. Otoczona ramieniem uśmiechniętego pana Jefferiesa.

To było takie proste. Już wiedział, co mu umknęło. Czasami najtrudniej zwrócić uwagę właśnie na coś oczywistego.

Kiedy zdał sobie sprawę, że zapomniał zeszytu, szedł piechotą do domu. Wrócił do szkoły, poszedł do pracowni matematycznej, gdzie znalazł pana Jefferiesa zwisającego z sufitu. Pani Rain zabrała go do pokoju nauczycielskiego, gdzie płakał nie wiadomo jak długo. A potem pojawił się jego ojciec. Powiedział, że czekał na niego na zewnątrz. Ale tamtego dnia ojciec nie odbierał go ze szkoły – Eren wracał piechotą.

391. Skrzynka, w której mama chowała miłość do pana Jefferiesa. Liczba na tablicy była ostatnią wskazówką z jego strony. Jego ostatnią deklaracją – chciał, żeby jego zabójcę spotkała kara.

Po policzkach Erena popłynęły łzy.

Morgan wpatrywał się w niego.

– Eren, o co tu chodzi? – prawie błagał o wyjaśnienie.

Eren otworzył usta, ale wydostał się z nich jedynie żaloszny, zwierzęcy ryk. To było wszystko takie banalne. Takie prawdziwe.

– Sądzę, że to nie Martin zabił pana Jefferiesa – wydusił w końcu, szlochając. – Zrobił to mój ojciec.

\*

– Nadal nie rozumiem – przyznał Morgan, przerywając bardzo długą ciszę. Wciąż byli na strychu.

– Mój ojciec – powtórzył Eren głosem zupełnie wyczerpanym z emocji, jakby



odpowiadał na pytanie na lekcji. – To mój ojciec zabił pana Jefferies.

– Skąd to wiesz?

– Był w szkole tamtego dnia. A nie powinien. To właśnie było to coś, czego nie mogłem sobie przypomnieć. Nie chodziło wcale o dozorcę, tylko kogoś innego, kogo nie powinno być w szkole. O mojego ojca.

– Musi być jakieś inne wyjaśnienie... – usiłował przekonać sam siebie Morgan, wpatrując się w zdjęcie tak, jakby chciał z niego wyczytać jeszcze jedną, nieistniejącą tajemnicę.

– Moja mama zakochała się w panu Jefferiesie, to jest jego skrzynka. Chodzi o szyfr, Morgan, ten numer z tablicy.

– A co to znaczy? Zobacz – powiedział Morgan, unosząc list z przypiętym zdjęciem. – Do zobaczenia dwudziestego czwartego?

Eren nawet nie musiał tego słuchać. Sam się domyślił. Był mądry. Mądrzejszy niż się wszystkim zdawało. Nikt go nie tak naprawdę nie znał; ani pan Jefferies, ani ojciec, ani matka, ani nawet Morgan. On tymczasem widział wszystko jak na dłoni. I był absolutnie przekonany, że to ojciec zabił jego nauczyciela.

– Ojciec opowiedział mi, co się stało. Mama jechała do centrum Londynu na konferencję. Pamiętam to; wiem, że ojciec się zirytował i się pokłócili. Była niedziela, dwudziesty czwarty października.

Eren spojrzał na swojego przyjaciela. Przez łzy napływające do oczu świat, który widział, był wypaczony, porozciągany. Pomyślał, że być może już nigdy nie będzie wyglądał normalnie.

– Nie jechała na konferencję, tylko spotkać się z nim. I to ją zabiło. W drodze do niego potrącił ją samochód.

Eren otarł oczy i pociągnął nosem.

Morgan raz jeszcze spojrzał na zdjęcie, które trzymał w rękach.

– Ale...

Eren nagle się ożywił i zebrał z podłogi wszystkie kartki. Wrzucił je z powrotem do skrzynki i wyrwał list z dłoni Morgana. Przyjrzał się ostatni raz uśmiechniętym twarzom pana Jefferiesa i mamy, po czym dodał go do pozostałych.

Morgan wstał.

– Eren, ja...

– Zamknij się.

– Naprawdę to zrobił?

– Okno było szeroko otwarte. W pracowni matematycznej. Spokojnie mógł się wydostać, okrążyć szkołę niezauważony i poczekać w samochodzie.

– To dlaczego policja nie wpadła na ten trop?

– Nie wiem – Eren nie mógł znieść tonu, jakim to powiedział. Jego głos brzmiał, jakby coś się w nim zepsuło.

– A policja nie powinna wiedzieć wszystkiego?

– Nie wiem. Wszystko im przypasowało. Pan Jefferies był przygnębiony. Miał problemy. Wszystko wskazywało na samobójstwo.

Eren zatrzasnął wieko. Miało to w sobie coś bardziej ostatecznego, niż powinno. Odniósł wrażenie, że w skrzynce znajdował się cały świat, a on go zamyka, wraz z całą winą jego ojca.

Eren założył z powrotem kłódkę i przestawił zamek na losowo wybraną kombinację cyfr. Potem wrócił na dół, poruszając się jak zombie, nie do końca świadom, co właściwie robi.

Zanim się zorientował, znalazł się w swoim pokoju. Odrzucił latarkę i usiadł na podłodze, opierając plecy o łóżko. Ukrył głowę w kolanach i wybuchnął płaczem. Opłakiwał matkę, pana Jefferiesa, ojca i samego siebie.

Kiedy wreszcie uniósł głowę, w pokoju było ciemniej. Słońce zaszło, a Morgan siedział na krześle przy biurku i wpatrywał się w niego.

– Mój ojciec zabił pana Jefferiesa – powiedział Eren. Zabrzmiało to jak

coś pomiędzy stwierdzeniem a pytaniem.

Eren zakrył twarz dłońmi. Objawienie wisiało w powietrzu – czuł to przez skórę. Jego własny ojciec mordercą. Wiedział, że to prawda, ale wypierał tę myśl. Obraz ojca owijającego szyję pana Jefferiesa paskiem, wieszającego go na rurze pośrodku sali, znikającego za oknem. Jego własnego ojca.

– Pomyśl, jacy będziemy sławni – powiedział cicho Morgan.

Eren spojrzał na niego.

– Co takiego?

– No, tylko pomyśl. Twój ojciec. Będziemy sławni, Eren, całe miasto będzie o nas mówiło. Małoletni detektywi.

– Co ty pieprzysz?

– Rozwiązaliśmy zagadkę. O to chodziło, prawda? Żeby odkryć, kto zabił pana Jefferiesa, i zdobyć sławę.

Do Erena w tej chwili dotarło, że pod jego rozpaczą kryje się inne uczucie: płomienna wściekłość.

– Co ty pieprzysz? – wysyczał.

– Kiedy to ujawnimy, będziemy sławni.

– Co z tobą? Zająłem się tym, bo tak należało!

– Aaa... – Morgan wyglądał na autentycznie zdziwionego, jakby wszystko, co dotychczas robili, było zabawą. – Na początku też mi się tak wydawało, ale po świętach? Myślałem, że zajmujesz się tym z tego samego powodu, co ja. – I w tej chwili Eren po raz pierwszy ujrzał prawdziwe oblicze Morgana. Obrzydliwego, próżnego chłopaka, niedojrzałego i nieostrożnego. Zdolnego przyglądać się, jak rozpada się czyjś świat, i widzieć w tym okazję dla siebie. Morgan nie był jego przyjacielem.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – wycedził Eren przez zaciśnięte zęby.

- Jak to?
- Nikt nie może się dowiedzieć, co zrobił mój ojciec.
- Ale Eren...
- Nikt, rozumiesz? Nikt. Moja mama nie żyje. Nie mogę stracić też ojca.
- Ale Eren...

To była ta chwila. Ta, która miała utkwąć Erenowi w głowie na zawsze. Pamiętał, jaki samotny się czuł, jaki mały wobec wszystkiego innego na świecie, jak potężną władzę miała nad nim złość. Pamiętał gorące łzy chlapiące na granatowy materiał jego dżinsów i zostawiające po sobie ciemniejsze plamy, pamiętał dziecienną twarz Morgana. Przede wszystkim jednak zapamiętał następujące cztery słowa, które wydostały się z ust jego zidiociałego kolegi.

- ...ja chcę być sławny.

Wzrok Erena zasnuła krwistoczerwona mgła i rzucił się na swojego byłego przyjaciela. Morgan zeskoczył z krzesła, które odjechało w tył i uderzyło w ścianę. Eren uderzył głową w blat biurka i zawył z bólu.

Morgan, zupełnie osłupiały, przyglądał się z góry, jak Eren wstaje, podpierając się rękami.

- Wynoś się! – powiedział Eren głosem, którego zupełnie nie poznawał. Morgan stał w miejscu.
- Wynoś się! – krzyknął Eren i jeszcze raz rzucił się w jego stronę.

Morgan wybiegł z pokoju i Eren zatrzaskał za nim drzwi. Słyszał, jak pędzi w dół po schodach, a chwilę później jak zatrzaskują się drzwi frontowe.

Eren osunął się na kolana i zaczął szaleńczo, boleśnie zawodzić. Wpełzł do łóżka i nakrył się kołdrą. Dla bezpieczeństwa. Leżał tak nieruchomo, jak potrafił, a kremowa pościel nasiąkała jego łzami.

Pan Jefferies nie żył, a zabił go ojciec Erena. Wszystkie dowody znajdowały się w skrzynce na strychu. Dlaczego to zrobił? Bo uważał go

winnym śmierci mamy Erena? Jak mógł tak postąpić? Jak ktokolwiek mógł? Zabić kogoś? Od kilku miesięcy jego życie przypominało nieustający ciąg pytań.

„Przykro mi, Eren. Naprawdę mi przykro” – powiedział ojciec tamtego dnia. Teraz Eren rozumiał, co miał na myśli.

Ojciec powtarzał to wtedy w kółko. Eren nie miał pojęcia dlaczego, ale teraz, gdy się dowiedział, żałował, że nie może cofnąć czasu. Żałował, że nie dał sobie spokoju z całym tym dochodzeniem. Co chciał właściwie osiągnąć? Ale wiedział, dlaczego się uparł. Chciał dowieść, że jego nauczyciel się nie zabił, że świat nie był aż tak mroczny. Sprawił jednak, że stał się dla niego mroczniejszy niż kiedykolwiek.

Leżąc pod kołdrą, zastanawiał się, jak sobie poradzi. Ciekawiło go, czy gdyby bardzo się postarał, gdyby wykorzystał całą siłę woli, mógłby po prostu umrzeć zatopiony w ciepłe swojego łóżka. Czy gdyby z całego serca chciał umrzeć, mógłby zmusić do tego swoje ciało? Pewnie nie, poza tym był przekonany, że to nie jego przeznaczenie.

Nie mógł się poddać. Nieważne, jak słaby się czuł, musiał znaleźć w sobie siłę, żeby ukryć przed wszystkimi, w szczególności przed ojcem, to, co odkrył. To, co już wiedział, postanowił zepchnąć w głąb mózgu – zamknąć za jakimiś drzwiami i wyrzucić klucz. Zmusić się, żeby zapomnieć. Jego ojciec wciąż był ojcem, nie było innej możliwości. Musiał nim być, jeśli Eren miał przetrwać.

Eren leżał pod kołdrą dłużej, niż wydawało mu się, że wytrzyma. W miarę upływu czasu jego oddech stał się bardziej miarowy, łzy płynęły coraz wolniej. Wpatrywał się w swoje dłonie, wyobrażając sobie, jak owijają pasem szyję pana Jefferiesa, jak przywiązują go do rury wystającej z sufitu. Po chwili zaczął myśleć o mamie. Przypomniał sobie, jaka była serdeczna dla George'a, jak szczęśliwą wydawała się na ich wspólnym zdjęciu.

Wspomnienie jej twarzy dało mu dość spokoju ducha, by odpłynął w płytki sen.

A około pierwszej w nocy usłyszał, jak otwierają się i zatrzasują drzwi wejściowe. Wrócił jego ojciec.

Śniły mu się okropne rzeczy. Koszmary tak przekonujące, że wydawało mu się, że w głowie wyją mu syreny. Ale kiedy otworzył oczy, wciąż je słyszał. Usiadł, pozwolił kołdrze zsunąć się z niego i zwrócił uwagę, że w pokoju jest jasno. Słońce wpadało przez okno i raziło go w oczy. Zerwał się na nogi, żeby wyrzucić na zewnątrz, i natychmiast poczuł, jak strach ściska mu żołądek.

Scena za oknem była nie do zniesienia. Dwa radiowozy zaparkowane przy krawężniku – dwóch rozmawiających policjantów, każdy przy swoim samochodzie. Po drugiej stronie ulicy sąsiedzi Erena wyglądali przez okna i obserwowali. Starsi państwo mieszkający dokładnie naprzeciw stali w drzwiach swojego domu, nawet nie próbując kryć ciekawości.

Może chodziło o coś niezwiązanego z ich sprawą. Może to był tylko zbieg okoliczności. Kiedy jednak obaj policjanci schylili się, żeby wyłączyć sygnalizację, Eren zrozumiał, że istniał tylko jeden powód ich obecności. Wiedzieli. Chwilę później podążyli podjazdem w stronę ich domu.

Eren wpadł w panikę, ale nie potrafił się ruszyć. Nie wiedział, co się dzieje. Jego myśli wciąż jeszcze otulała mgła snu, ale zdawał sobie sprawę, że ojciec jest w tarapatkach.

Obserwował przez okno, jak para policjantów podchodzi do ich drzwi. Usłyszał, jak się otwierają. Głos ojca. A potem krzyki. Mieli go. Skuli go w kajdanki. Co tam się działo? Skuli go i próbował się wyrwać, ale jeden z policjantów obalił go na trawnik i przydusił do ziemi.

Więcej sąsiadów wyszło przed domy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Chciał krzyczeć, żeby się wynosili, żeby tego nie oglądali. Ale wciąż był

sparaliżowany. Stał w oknie.

Drugi policjant zniknął, a po chwili Eren usłyszał go w domu. Co się działo? Jak... dlaczego? Skąd wiedzieli? Jak to odkryli?

Kiedy do uszu Erena dobiegł głos drugiego policjanta, który stopień po stopniu wchodził na górę, otrzymał absolutnie wyczerpującą i jasną w przekazie odpowiedź. Dwa słowa. Jedno nazwisko.

Morgan Sheppard.

Sheppard wciągnął i wydmuchnął powietrze. Ciekawe. Nie powinno być takiej możliwości. Bo nie żył. Kiedy jest się martwym, oddychanie ustaje, tak to działa. A z pewnością był martwy. Wyleciał w powietrze.

Chociaż, musiał przyznać, ani trochę nie bolało. Umieranie, znaczy się. A miało, prawda? Musiało. A nie bolało.

Kiedy się nad tym zastanowić, huk wybuchu też miał w sobie coś dziwnego, jakby metaliczny pogłos. Jak odtwarzany przez głośnik dźwięk.

Otworzył oczy. Pokój był na swoim miejscu. Wyglądał jak na początku. Mandy, Didżejka, Ryan i Constance też byli na miejscu i sprawiali wrażenie równie zbitych z tropu co on.

Czyżby naprawdę żyli? Jak to możliwe? A może życie po śmierci niewiele różni się od normalnego? Sheppard uniósł trzęsącą się dłoń i przyjrzał się jej wewnętrznej stronie, żeby się upewnić, że wciąż ją ma. Miał. Istniał. Czuł się dobrze, a nawet lepiej. Czuł się żywy.

Spojrzał w stronę łóżka. W stronę zegara, na którym mrugały cyfry 00:00:00.

– Co się stało? – spytał Ryan. Jego twarz pobladła, a głos brzmiał słabo.

– Nie zadziało – odpowiedziała Mandy.

Nic się nie stało. I odgłos wybuchu, i rozbłysk światła miały miejsce dokładnie w chwili, gdy odliczanie dobiegło do zera. Iluzja? Iluzja śmierci?



Sheppard podniósł się na nogi, na które miał już nigdy nie stanąć. Już samo to, że mógł wciągać powietrze do płuc, napawało go radością, było powodem do świętowania. Na to jednak przyjdzie czas później. Do eksplozji nie doszło – mężczyzna w końskiej masce nareszcie odkrył swoje karty. Żyli. Bogu dzięki. A teraz musieli stąd uciec.

Padli ofiarą oszustwa. Wszyscy, co do jednego.

– Od początku okłamywał nas co do zagrożenia – powiedział Sheppard, starając się opanować wszechogarniającą wesołość. – Mandy miała rację.

Inni wyraźnie nie nadążali. Didżejka wciąż zaciskała powieki. Constance siedziała w nienaturalnym bezruchu. Ryan wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Mandy odchrząknęła, żeby oczyścić gardło z zalegającego smutku.

– Czyli to było robione dla telewizji?

– Tak – odparł Sheppard – albo i nie. Może nie do telewizji, może do internetu. Założę się, że to była ustawka. Koles w masce wszystko nagrywał. A teraz już ma, czego chciał, więc będziemy mogli wyjść.

– Ale właściwie czego chciał?

Sheppard rozejrzył się po narożnikach pokoju w poszukiwaniu czegoś przypominającego kamerę. Był przekonany, że człowiek w masce ich obserwuje. Nie trzeba było wysilać wyobraźni, by się domyślić, że ich nagrywa.

– Chciał widzieć, jak się wiję. Pokazać światu, że nie potrafię rozwiązać zagadki morderstwa. Cóż... – Sheppard uniósł dłonie – dopadłeś mnie. Udało ci się. Mam to gdzieś. Nie zamierzam się przejmować. Kimkolwiek jesteś. A teraz już słyszać dzwonek. Czas rozejść się do domów.

Mandy wstała, a zaraz za nią Ryan. Obeszli łóżko mozolnymi krokami, jakby brodzili w melasie.

– Czyli to już koniec? – spytała Mandy.

– Już po wszystkim – odrzekł Ryan.

Sheppard odwrócił się w ich stronę.

– Osiągnął to, na czym mu zależało. Skończyło się tak, jak założył. Jedną z pierwszych rzeczy, które trzeba wiedzieć o ludziach: nikt tak naprawdę nie lubi happy endów. Historia faceta w masce skończyła się naszą śmiercią.

– Ale nie zginęliśmy – powiedziała Mandy.

– Nieważne. Nieważne od samego początku. W przedstawionym ciągu wydarzeń ponosimy porażkę i giniemy. To zarejestrowały kamery, to po prostu taka gra i tyle.

– I tak coś mi się tu nie zgadza – stwierdził Ryan, po czym cofnął się o krok i rozejrzał po pokoju.

Mandy spoglądała to na Ryana, to na Shepparda, jakby zastanawiała się, komu wierzyć. W końcu postawiła na Shepparda i się uśmiechnęła.

– To na co czekamy?

Didzejka wydostała się spod biurka i do nich dołączyła. Nawet Constance za ich plecami sprawiała wrażenie zadowolonej i śpiewała jakiś radosny hymn. Sheppard prawie się przyłączył.

Sheppard podszedł do drzwi, a pozostali podążyli za nim. Koniec. Nareszcie. I jacy głupi byli, że pozwolili się w to wciągnąć. Morderstwo w pokoju hotelowym, ciało w wannie. Groźba wysadzenia budynku. To wszystko to elementy zasadzki, składniki wymyślnego sposobu, by wodzić ich za nos. Sheppard dał się nabrać. Bał się o życie, swoje i pozostałych. O to, że zginie w ognistej eksplozji. Ileż pracy musiało pochłonąć zaaranżowanie tej gry! Kto popełnia wielokrotne zabójstwo tylko po to, by zemścić się na jednej osobie? Nie mógł w to uwierzyć, nieważne kim był człowiek w końskiej masce.

A Winter? Winter nie żył. W tej kwestii nie było wątpliwości. I zginął dla... podstępny? Dla żartu? Pewne rzeczy wciąż nie łączyły się w logiczną

całość, ale wszechogarniające poczucie ulgi sprawiało, że trudno mu było teraz o tym myśleć. Kiedy się wydostanie, będzie szukał zabójcy Wintera do upadłego, ale najpierw musiał opuścić to miejsce.

Sheppard wyciągnął dłoń w stronę klamki. Lampka świeciła na zielono. Dokładnie tak, jak przewidział. Idź do windy, zjedź do recepcji, zadzwoń na policję. Musieli się dowiedzieć, co tu się wydarzyło. A potem wyjdź na zewnątrz, odetchnij świeżym powietrzem i żyj.

– Kto chce iść do domu? – spytał. Uczucie nadziei było nieporównywalne z niczym.

Odgłosy, które słyszał za plecami, wyrażały pozytywny odzew. Wszyscy.

Sheppard nacisnął klamkę.

Wziął głęboki oddech. Wciąż żył.

I otworzył drzwi.

Za którymi znajdował się betonowy mur.

Zapanowała cisza. Nie zwykłe milczenie, tylko absolutna cisza, jakby skamienieli. Po drugiej stronie drzwi znajdowała się ściana z szarego betonu. Nic poza tym. Bezpośrednio po drugiej stronie. Nie rozumiał – nie mieściło mu się to w głowie.

*Nie.*

– Nie – powiedział, tym razem na głos, przełamując ciszę. Zbadał ścianę opuszkami palców. Była chłodna, szorstka i rzeczywista, bardzo rzeczywista. Naparł na nią z nadzieją, że ustąpi i okaże się, że coś za nią jest, ale to nic nie dało. Była solidna, niewzruszona. – Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie. – Uderzył pięścią w beton i jego dłoń przeszył okropny ból. – Aaa!...

– O co tu chodzi? – spytała Mandy. Najwyraźniej nie potrafiła wydusić z siebie nic więcej. – Jak to możliwe?

– Mówiłem wam – oznajmił Ryan. – Mówiłem wam, że coś tu nie gra.

Mandy pokręciła głową.

– Jakim cudem to się dzieje w hotelu? Przecież ktoś na pewno by zauważył fałszywe drzwi. Panie Sheppard, na litość boską, co to wszystko znaczy?

– Nie jesteśmy w hotelu – odparł Sheppard. – Wszystko, co się wydarzyło, miało za zadanie nas zmylić. Zająć nas.

– Ale widziałam korytarz. Przez wizjer – powiedziała Mandy,

kwestionując rzeczywistość, zaprzeczając temu, co miała przed oczami.

Sheppard zamknął drzwi i przyłożył oko do wizjera. Ku swojemu zaskoczeniu ujrzał hotelowy korytarz, odkształcony efektem rybiego oka. Kilkakrotnie odsuwał się i spoglądał ponownie, żeby się upewnić, że nic mu się nie przywidziało.

– To musi być zdjęcie korytarza na jakimś małym wyświetlaczu. Ten korytarz gdzieś jest, tylko po prostu nie tu.

Didżejka wydała ciche stęknienie i odsunęła się do tyłu.

– O co tu chodzi? – spytał Ryan, tym razem ze złością w głosie. – Mówił pan, że gra skończona.

– Tak myślałem. – Sheppard jeszcze raz pomacał beton, szukając czegokolwiek, najmniejszego choćby skrawka nadziei. Bezowocnie. Ściana była solidna, niewzruszona; na pewno nie kryła niespodzianki po drugiej stronie.

– Jaki cudem coś takiego dzieje się w hotelu? – powtórzyła Mandy. Zabrzmiało to tak, jakby utknęli w ogłupiającej pętli czasu.

– Nie jesteśmy w hotelu – powiedział jeszcze raz, tym razem serdeczniejszym głosem, i odwrócił się do Mandy oraz pozostałych. – Od początku nie byliśmy. Te telefony... – Mandy wyglądała na zdezorientowaną – Po to je zwrócił. Chciał nam dać wskazówkę. Nikt z nas nie miał sygnału, chociaż byliśmy... rzekomo... wysoko nad ziemią w centrum Londynu.

– I te kanały wentylacyjne. Donikąd nie prowadziły. Bo nie było dokąd. Może wszystko, co wiemy, jest nieprawdą. Daliśmy sprowadzić się na manowce. Może nawet nie jesteśmy w Londynie.

Mandy i Ryan przyglądali mu się z coraz bardziej zdesperowanymi minami.

– Odliczanie – głos za nimi. Didżejka. – Zaczyna się od nowa.

Umysł Shepparda pracował na pełnych obrotach.

– Ten dokument, który Di... To, co Rhona widziała w gabinecie Wintera. Jedyny powód, dla którego jest tu z nami. Prawo własności do ziemi. Nie jesteśmy w hotelu Great, tylko tam, gdzie...

– Panie Sheppard – przerwała mu Mandy, kładąc dłoń na jego ramieniu. Wzdrygnął się, ale odpowiedział jej smutnym uśmiechem. – Gdzie jesteśmy?

– Tam, gdzie byliśmy od samego początku – wyjaśnił. – Pod ziemią.

Pod ziemią. Zamknięci w puszcze. Z zabójcą. Może nawet z dwoma.

– Pod ziemią? – spytała Mandy. – Ale jak to? Przecież tam widać Londyn. – Wskazała okno palcem. Constance Ahearn podążyła wzrokiem za jej gestem i się roześmiała.

Sheppard też spojrział w stronę okna. Podeszedł do niego i wyjrzał na zewnątrz. Centrum Londynu w środku dnia. Wszystko na swoim miejscu. Prawie to wyczuwał – otaczające go zewsząd miasto. Dreszcz wywołany przez poczucie, że jest się częścią czegoś niewyobrażalnie wielkiego. Ale to musiała być iluzja. I owszem, im uważniej się przyglądał, tym silniej to dostrzegał – niedoskonałość, ale minimalną, nie do wychwycenia, kiedy się jej nie szukało. Obraz składał się z pikseli. Najwyższa jakość, jaką w życiu widział, ale jednak. Jak on to zrobił? Sheppard zajrzał tak daleko w dół, jak pozwalała szyba, ale ujęcie miało idealną perspektywę. Naprawdę czuł, jakby spoglądał przez okno w pokoju hotelowym.

– Powinienem być zdać sobie sprawę – stwierdził, przykładając dłoń do szyby. Sięgnął do górnej krawędzi okna i przeciągnął palcem po łączeniu pomiędzy szkłem a ramą. – Mieliśmy dość wskazówek. W niektórych miejscach nawet tego nie krył. Ale to do mnie nie docierało. Oczywiście. Od początku nie jesteśmy w pokoju hotelowym.

– Ale... – zaczęła Mandy, ale Ryan ją uciszył, kładąc dłoń na jej

ramieniu.

– On ma rację. Wcześniej tego nie rozumiałem, ale... sedes jest podłączony bezpośrednio do kanalizacji, a nie do rury zbiorczej, jak u nas w hotelu. Wtedy nie poświęciłem temu wiele uwagi... ale teraz to ma sens.

– To jest jakieś wariactwo. Obaj jesteście szaleni – stwierdziła Mandy.

– Szaleni, owszem, ale to nie znaczy, że nie mamy racji – odpowiedział Sheppard, a kiedy nie udało mu się znaleźć sposobu, by otworzyć okno, uderzył w nie płasko ułożoną dłońią. Odpowiedziało cichym brzęknięciem. – Ciekawe, czy dałoby się je zbić, skoro to nie jest okno hotelowe.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu się dzieje?! – krzyknęła Mandy.

Znajomy odgłos sprzężenia zwrotnego. Dźwięk, który już raz słyszał w tym pokoju, ale nie potrafił określić źródła. Przypomniał sobie dopiero, gdy do jego uszu dotarł ten głos.

– Witam wszystkich – powiedział mężczyzna w końskiej masce.

Sheppard błyskawicznie się odwrócił. Zaskoczona Didżejka odskoczyła, żeby na nią nie wpadł. Wszyscy wpatrywali się w ekran telewizora, na którym pojawił się ten sam obraz, co poprzednio: ujęcie mężczyzny z twarzą ukrytą za maską głowy konia.

*Kto to jest? Maska, facet w masce, C, zły człowiek. Tyle nazw, imion – ale wszystkie bez znaczenia.*

Wyglądało to tak, jakby przez ostatnie trzy godziny nie ruszał się z miejsca, pewnie cały czas ich obserwował. Z pewnością dobrze się bawił, dając im nadzieję na ucieczkę tylko po to, by ją odebrać.

*Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Większym niż wcześniej.*

Skoro zabójca dowiedział się, że nie ma jak stąd uciec, co go powstrzymywało przed zabiciem kolejnej osoby? Albo ich wszystkich? Może mężczyzna w masce przestał być głównym wrogiem?

– Gdzie jesteśmy? – spytał Sheppard, wychodząc przed pozostałych.



– Pod ziemią, tak jak mówiłeś. Gdzie konkretnie, w waszej obecnej sytuacji nie ma znaczenia, prawda? – powiedział mężczyzna w masce charakterystycznym stłumionym głosem.

– Dlaczego nas tu przetrzymujesz? Dostałeś już to, na czym ci zależało – powiedział Sheppard, wskazując palcem narożniki pokoju, gdzie zakładał, że znajdowały się kamery. – Twoja gra zakończyła się dokładnie tak, jak zakładałeś. Przegrałem.

Mandy zrobiła niepewny krok do przodu.

– Wymieniliśmy nazwiska wszystkich w pokoju. To dlaczego właściwie przegraliśmy?

Człowiek w masce przeniósł swoje niewzruszone spojrzenie z Shepparda na Mandy i z powrotem. Jego plastikowe oczy pobłyskiwały w świetle.

– Nie wystarczyło wymienić wszystkich. Jezu, przecież mogliście to zrobić od razu. Oczekiwałem, że dowiecie się, kto zabił Simona Wintera i dlaczego. Przebywanie w zamknięciu najwyraźniej odebrało wam rozum. Może powinienem był przeprowadzić ten eksperyment w jakimś bardziej przewiewnym miejscu, bardziej na widoku.

– Kto zabił Simona Wintera? – spytał Sheppard.

Maska roześmiał się.

– Ha, ha, przecież ci nie powiem. Na tym polega cała zabawa.

– Zabawa się skończyła. A ja cię mam dość. Więc po prostu mi powiedz.

Człowiek w masce wyglądał, jakby naprawdę to rozważał.

– Hmm... Nie. Widzisz, Morgan, twój obecny problem polega na tym, że nie patrzysz na jasną stronę tej sytuacji. Wciąż żyjesz, *ergo* wciąż masz czas, żeby znaleźć odpowiedź.

– O czym ty mówisz? Przecież nie wysadzisz nas pod ziemią. Wątpię, że w ogóle planowałeś coś takiego. Dlaczego mielibyśmy teraz współpracować?

– Bo chyba do tej pory nie znaleźliście wyjścia, prawda? Bo przez mniej

więcej sześć godzin pompowałem powietrze do waszej klitki, dodam, że znacznym kosztem. A teraz przestałem. Jakies dwie minuty temu.

Cisza, przetwarzali informacje.

– Moment... co? – zdziwił się Ryan.

Shepparda znów opanował niepokój, tracił panowanie nad sytuacją.

– Co ty opowiadasz?

– Dokładnie to. Przestałem. Odciąłem dopływ powietrza. Spójrz na zegar, powinien już odliczać nowy czas. Hotel Great-fejk życzy miłego pobytu!

Dokładnie tak jak mówiła Didżejka. Sheppard spojrział na stolik nocny. Zegar wyświetlał nowy zestaw liczb i znów odliczał. Dwadzieścia cztery minuty.

– Zostało wam mniej więcej dwadzieścia pięć minut, zanim w pokoju skończy się powietrze. Dodatkowe dwadzieścia pięć minut, więc powinniście mi dziękować. Inna sprawa, że po jakichś piętnastu minutach wasze mózgi zaczną szwankować w pewnych obszarach aktywności, więc...

– Kłamiesz! – krzyknął Sheppard do telewizora.

Maska przerwał.

– Nie musisz wierzyć mi na słowo. Nadstaw uszu. Przez ostatnie trzy godziny zapewniałem obieg powietrza w pokoju, co nie jest bezgłośnie. Pamiętacie ten odgłos, który waszym zdaniem pochodził z klimatyzacji? Słysząc go?

Wszyscy ucichli. Sheppard wyęczał słuch – nasłuchiwał czegokolwiek. Ale nic nie słyszał.

– Jesteście zupełnie odcięci od świata.

Mandy zapiszczała, powstrzymując się od krzyku. Ryan wyglądał, jakby miał zwymiotować. Rhona ścisnęła słuchawki zawieszony na szyi, jakby próbowała w ten sposób dodać sobie otuchy. Tylko Constance siedziała niewzruszona.

*Uduszenie. Gorsze niż spopielenie.*

To był od początku element jego planu. Kolejny krok na drodze do tego, żeby go zniszczyć psychicznie.

– Wiesz co, chyba naprawdę dam sobie spokój – powiedział Sheppard, chociaż myślał dokładnie odwrotnie. W myślach rozważał, jak się uratować. Wciąż nie wiedział, kto zabił Wintera, a zresztą, nawet gdyby rozpracował zagadkę, Maska mógł go po prostu nie wypuścić. Może wszystko, co robił, było nadaremne. – Kim jesteś?

– Wciąż się nie domyśliłeś? Miałeś tyle czasu i nadal nie wiesz. To jeden z powodów, dla których tu trafiłeś. Oczarowałeś wszystkich, ale najbardziej siebie. Właśnie dlatego cię porwałem.

– Co?

– Ty naprawdę nie wiesz. Założę się, że zachodzisz w głowę, kim jestem, ale nie masz szans, żebyś do tego doszedł. Bo nie działasz jak normalna osoba. Nie myślisz ani nie czujesz jak ktoś normalny. Jesteś obrzydliwy.

Myśli Shepparda przeskakiwały od osoby do osoby – skorupa, wewnątrz której schował swoje najczarniejsze wspomnienia, nareszcie zaczynała się kruszyć. Ale to wciąż nie wystarczało. Jego pamięć zlała się w jedną całość już lata temu. Góry narkotyków i litry alkoholu sprawiły, że wiele zapomniał. Szczególnie to, co wypierał ze świadomości. A raczej zagrzebywał na dnie pamięci z nadzieją, że ulegnie rozkładowi.

– Powiedziałem ci na samym początku, Morgan. Jestem twoim przyjacielem – powiedział koń, sięgając dłońmi do maski. Nawet to nie wystarczyło, żeby Sheppard zrozumiał. Taki już był, wyzuty z przeszłości, bo nie miał odwagi się z nią mierzyć. Ludzie tylko gościli w jego myślach, więc nic dziwnego, że zapominał o tych, którzy stracili dla niego znaczenie.

Ich porywacz sięgnął za głowę. I zdjął maskę.

Nie sądził, że wciąż go pamięta. Ale pamiętał. Bez cienia wątpliwości.

Od chwili, kiedy widzieli się po raz ostatni, upłynęło dwadzieścia pięć lat. Teraz był dorosłym mężczyzną o przenikliwym spojrzeniu, zmarszczkach i szerokim uśmiechu. To ten uśmiech był tak znajomy. Nie zmienił się. Minęło ćwierć wieku, a on nie zmienił się ani o jotę. Sheppardowi odebrało mowę, słowa ugrzęzły w zaschniętym gardle. Mężczyzna na ekranie telewizora miał na twarzy ten właśnie uśmiech.

Uśmiech Erena Carvera.

– Witaj ponownie, Morgan – powiedział Eren.

*Co? Jak...?*

Pod Sheppardem ugięły się nogi. Z rozdziawionymi ustami upadł na kolana.

*Jak to możliwe? I – co bardziej istotne – jak mogłem się nie domyślić?*

Dwadzieścia pięć lat. Minęło dwadzieścia pięć lat od kiedy ostatni raz miał go przed oczami. Jak mógł zapomnieć? Dlaczego nie rozpoznał go od razu? Czy naprawdę był aż tak naiwny? Czuł jak na powierzchnię wypływają wszystkie wspomnienia, które pogrzebał za pomocą wódki i tabletek. Pan Jefferies. Ojciec Erena ciągnięty do radiowozu. Morgan stał się sławny (czego zawsze pragnął), ale Eren został bez ojca. Eren był jedyną osobą, która mogła się kryć za maską – a on nie pomyślał o nim ani razu.

Zwracał się do niego po imieniu. To była pierwsza wskazówka. Nikt już nie mówił do niego Morgan – ani jego rzecznik, ani agent, ani liczne w jego życiu kobiety. Dla wszystkich był po prostu Sheppardem. Rozmawiał na ten temat ze swoim agentem – nie chodziło o to, że nienawidził swojego imienia, tylko raczej skłaniał się ku używaniu nazwiska. *Sheppard to porządne, solidne nazwisko, nazwisko człowieka, na którym można polegać. Do tego biblijne, jeśli przytknąć oko na różnice w zapisie.*

Okulary. To była następna rzecz. Sheppard nie nosił okularów

w miejscach publicznych, chyba już w czasach szkoły podstawowej, bo nienawidził, że je ma i wolał męczyć oczy, niż je zakładać. Cierpiał na poważną krótkowzroczność, do której się przyzwyczał. Kiedy dorósł, sprawił sobie soczewki kontaktowe, ale w mieszkaniu trzymał parę okularów, z których korzystał, kiedy nikt go nie widział. Pamiętał swoje pierwsze okulary. Matka zmuszała go, żeby zakładał je każdego dnia. Nie sprzeciwiał się, ale zawsze zdejmował je podczas pierwszej lekcji, bo miał ich dość. Wpychał je do tylnej kieszeni spodni i żartował (a w rzeczywistości miał nadzieję), że może na nich usiądzie i się połamią.

Wszystko, co sobie przypominał, połączyło się w logiczną całość, ale choć miał przed oczami ekran wyświetlający twarz Erena, nie potrafił się zmusić, żeby w to uwierzyć. Nie pomagało ani to, że miał dowody na wyciągnięcie ręki, ani to, że stał twarzą w twarz z prawdą.

– Eren? – spytał, przysuwając twarz tak blisko ekranu, że prawie go dotykał.

– Witaj, stary przyjacielu – odparł Eren, uśmiechając się – z tym że już nie Eren. Uznałem, że to zbyt przyziemne imię, a poza tym przywoływało różne przykre wspomnienia. Teraz jestem Kace. Kace Carver. Podoba ci się?

– Kace? Co to jest Kace?

– Moje imię.

– Nieprawda. Masz na imię Eren.

Eren zmarszczył brwi.

– Mamy za sobą wspólne przygody, Morgan, ale ostrzegam cię, nie próbuj zakładać, że mnie znasz. Porzuciłeś mnie wtedy, wiele lat temu, a ja przez ten czas się zmieniłem. Zresztą podobnie jak ty, chociaż w twoim wypadku zmiany były raczej na gorsze, o ile to w ogóle możliwe. Kto by pomyślał, że tak się to skończy.

– Moment... – Ryan. A przynajmniej tak mu się wydawało. Nie słyszał

nic poza słowami. Nie potrafił już rozpoznać głosu. – O czym on gada? Kto to jest?

*Jak to wyjaśnić...*

– Panie Sheppard?

– Nadeszła chwila, na którą czekałem z niecierpliwością – oznajmił Carver. – Teraz nasz bohater, nasz protagonista, wyjaśni, dlaczego znaleźliśmy się w tej sytuacji.

– Eren... – powiedział Sheppard, wyciągając dłoń w stronę telewizora. – Przestań, wypuść nas. Proszę.

– Nie. Nie zrobię tego. Bo wygląda na to, że przez cały czas trwania tej szarady nie nauczyłeś się absolutnie niczego. Nawet mnie nie rozpoznałeś.

– Ale teraz już wiem, że to ty, Eren. Znam cię. Pamiętam. I pamiętam wszystko, co razem robiliśmy. I przykro mi. Bardzo przykro. Byliśmy przyjaciółmi. Wszystko pamiętam. Tylko proszę, wypuść nas. – Po policzku Shepparda ściekła łza. Płakał; o ile dobrze pamiętał, pierwszy raz w życiu. Płkanie nie należało do reakcji, które mu się zdarzały; zostawiał je innym. – Eren, proszę.

– Nie mów do mnie Eren. Nie tak mam na imię.

– Proszę, pozwól innym wyjść, zostaw mnie. Proszę, to jest sprawa między tobą a mną. Ci ludzie nie mają z tym nic wspólnego – mówił Sheppard, wskazując zamaszystym gestem wewnątrz pokoju.

Eren zawahał się ledwo zauważalnie i nachylił się ku kamerze.

– Jak na ciebie to nietypowo bezinteresowny gest. Nic ci nie jest? Może dokucza ci żołądek? Jestem zmuszony założyć, że po prostu starasz się za wszelką cenę zachować twarz. Wciąż myślisz, że się uratujesz, prawda?

Już przestał. Nie wiedział już, co myśleć.

– Ale nie, nikogo nie wypuszczę. Na początku myślałem, że po prostu cię tu umieszczę. Wrzucę jak muchę do słoika i będę obserwował, jak bżyczysz,

nie wiedząc, co robić. Teraz jednak muszę przyznać, że zżera mnie ciekawość. Chcę zobaczyć, czy ci się uda. A przede wszystkim chcę zobaczyć, jak umierasz. Więc z przyjemnością zamknę cię tu, żebyś zgnił. Ale jeśli ci się uda, jeśli rozwiążesz zagadkę, zwrócę wolność pozostałym.

*Pozostałym...*

– Czyli jeśli to rozpracuję, pozwolisz wszystkim wyjść?

Eren zrobił sfrustrowaną minę.

– Przecież właśnie to powiedziałem. Czy twój mózg już cierpi na niedobór tlenu?

– Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu się dzieje? – Tym razem Mandy. Ale teraz nie mógł poświęcać myśli komuś innemu. Nie w tej chwili.

– A co się stanie ze mną? – spytał Sheppard.

– Myślę, że mamy zaległą pogawędkę – odpowiedział Eren. Znów się uśmiechał.

Sheppard tylko skinął głową.

– Okej.

– Znajdź mordercę, Sheppard, albo zgiń wraz ze współlokatorami. Decyzja należy do ciebie. Najpierw jednak proszę, żebyś coś dla mnie zrobił – powiedział Carver.

– O... oczywiście. – Ależ się z niego zrobił żalosny mazgaj.

Wiedział, że jego los jest w rękach Erena. Czy Eren tego nie widział? Nie rozumiał, że zrobiliby wszystko?

– Powiedz prawdę, Morgan – polecił Eren. – Ten jeden raz w życiu powiedz prawdę.

Sheppard zwałił się na ziemię, nareszcie przyznając się przed samym sobą, że płacze. Eren Carver. Chłopak, który kiedyś był jego najlepszym – jedynym – przyjacielem.

Ale zaszła w nim jakaś zmiana. Coś mu się stało.



I po chwili, czując pieczenie w oczach wypełniających się łzami, zdał sobie sprawę, że Erenowi przytrafił się Morgan Sheppard.

– Sheppard. Sheppard.

Kto to?

Powietrze wydawało się gęstsze. To było rzeczywiste wrażenie, czy wyobrażał to sobie, bo wiedział, że poziom tlenu spadał z każdą mijającą sekundą? Oddech za oddechem umierał, podobnie jak pozostała czwórka. Nie potrzebował zegara – ani odliczania – żeby wiedzieć, że byli w opałach. W większych niż dotychczas. Śmierć przez uduszenie – wślizgująca się niepostrzeżenie do ciała, owijająca się wokół serca i wyciskająca z niego życie.

– Sheppard, do cholery.

Tym, co zmusiło go do podniesienia się, był obraz siebie duszącego się w narożniku pokoju, wybałuszającego coraz bardziej czerwone oczy. Podparł się rękami, spróbował utrzymać się na nogach. Wyglądało na to, że są sprawne, więc podniósł się w górę.

Eren Carver. Cóż, Eren miał rację.

Sheppard zupełnie o nim zapomniał. Zgniótł wspomnienia o śmierci pana Jefferiesa w małą kulkę i upchnął ją na dnie umysłu. Zastąpił je własną historią o tym, co się rozegrało podczas tych kilku miesięcy 1992 roku – historią, w którą od pewnego dnia zaczął wierzyć. A to już był cięższy grzech.

Sheppard wyciągnął dłoń, żeby przytrzymać się krawędzi łóżka i odzyskać równowagę. Ryan i Mandy wciąż stali w bezruchu, Didżejka zdążyła wrócić na swoje miejsce pod biurkiem, a Constance znów kołysała się na krześle. Nie wystarczyło, że zawiódł jeden czy dwa razy. Eren zamierzał poniżyć go tak wiele razy, ile będzie w stanie.

– Sheppard? – Ryan znajdował się w stanie pomiędzy złością a paniką. Odkrycie, że Sheppard coś przed nim ukrywał, sprawiło, że znudziły mu się uprzejmości. – O co tu chodzi, do cholery? Kto to jest? I co miał na myśli, kiedy kazał ci powiedzieć prawdę?

– Panie Sheppard, prosimy – powiedziała Mandy. Kiedy na nią spojrzął, dostrzegł, że z jej oczu zniknęła wszelka nadzieja.

Didżejka wpatrywała się w zegar, który znajdował się po przeciwnej stronie pokoju. Oddychała przez rękaw swojej bluzy z kapturem, jakby sądziła, że w ten sposób zużyje mniej powietrza.

Constance zamknęła oczy i wyglądała, jakby zasnęła. Było jasne, że wszystko przestało ją obchodzić.

Sheppard przyjrzał się swoim towarzyszom. Wszystko, przed czym uciekał przez całe życie, mieli wypisane na twarzach. Przypomniawszy sobie, jaki był wtedy, dawniej. Chciał po prostu być sławny. Uśmiechnął się na myśl, że w gruncie rzeczy niewiele się zmieniło. Wciąż nie interesowało go nic poza tym, żeby był rozpoznawany.

„Czasami zależy nam tylko na tym, by nas widziano”. Coś, co dawno temu powiedział Winter. Zapamiętał to, bo rzeczywiście nie chciał od życia niczego poza tym, by ludzie go dostrzegali.

O to chodziło? Im dłużej się zastanawiał, tym większą ulgę odczuwał. I tak był najwyższy czas.

– Mówiąc krótko, jestem kłamcą. Oszustem.

– Co? – spytał Ryan.

– Jestem znany jako „małoletni detektyw”. Ale to nieprawda. To nie ja w 1993 roku rozwiązałem zagadkę zabójstwa George’a Jefferiesa, w gruncie rzeczy prawie nie miałem w tym udziału. Detektywem naprawdę był Eren Carver, syn zabójcy. Był genialny i miał wiele fantastycznych cech, o których mogłem tylko marzyć. Był moim przyjacielem. A ja go zdradziłem. A następnie właściwie przyjąłem jego tożsamość. I tak zostało przez następne dwadzieścia pięć lat. Opowiadałem wszystkim, że to ja znalazłem mordercę. A Eren nie wyjawiał prawdy, bo sprawy zaszły za daleko. Wszyscy byli przekonani, że to ja, ale w rzeczywistości Morgan Sheppard niczego nie dokonał. Dlatego się tu znaleźliśmy. Mężczyzna z ekranu to Eren czy jakkolwiek się teraz nazywa. Torturuje mnie, żeby udowodnić, że nie jestem tym, za kogo się podaję. I ma rację.

Sheppard spuścił wzrok, bo nie miał odwagi spojrzeć któremukolwiek z nich w oczy. Eren go obserwował i na tyle, na ile potrafił ocenić, pozostali też. Miał taką nadzieję. Nadszedł czas, by Morgan Sheppard, a w każdym razie człowiek, którym się stał, zszedł z tego świata. Zniknął, odrzucony niczym skóra linejącego węża. Nie z wyboru, lecz z konieczności. Sheppard nie był pewien, czy to nie unieważniało jego gestu.

Nikt się nie poruszył, ale on miał do wykonania ostatnie zadanie. Nawet jeśli nigdy w życiu nie zrobił nic dla innych, niech zrobi chociaż to. Musiał uratować trzy z czterech osób obecnych w tym pokoju – jedna z nich zabiła jego przyjaciela, pozostałe trzy zasługiwały na życie. Cała trójka, do cholery.

*Zabójca. Są zamknięci w pokoju z zabójcą.*

Sheppard był nie do uratowania – zdawał sobie z tego sprawę. Przekroczył granicę, jego sprawa dotyczyła czegoś więcej niż zabijania i oszukiwania. Był mężczyzną, który nabrał cały świat. I domyślał się, że ten akurat tytuł będzie nosił do samego końca.

Oferta odkupienia była ograniczona czasowo i uzależniona od tego, jak

płytko będą oddychać.

– Co ty pieprzysz? – zirytował się Ryan.

– Mówię prawdę. – Wciągnął powietrze do płuc i wydmuchnął powoli, napawając się wrażeniem. Obiecał sobie, że to ostatni raz. Od tej chwili będzie oddychał płytko, to może jakimś cudem się uratują.

Mandy wciąż wyglądała tak, jakby usiłowała racjonalnie wyjaśnić wszystko, co tu się stało. Pozostali jednak najwyraźniej zrozumieli. Didżejka wpatrywała się w niego podejrzliwym wzrokiem. Constance też zaczęła wykazywać nieco zainteresowania i rozglądać się dookoła. Ryan zaś sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę eksplodować. Jego twarz przybrała czerwonałą barwę.

– Serio? – zachnął się Ryan, ruszając w jego stronę długimi krokami, napuszony niczym paw. – O to tu chodzi? Zginę przez ciebie? Od samego początku chodziło tylko o ciebie? Ja, Mandy, Rhona, nawet Constance i Alan. Byliśmy nikiem. Kłódami, które ten koleś rzucił ci pod nogi.

– Przepraszam – powiedział Sheppard. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Jesteś żałosny – stwierdził Ryan. – Żałosny i psychicznie chory. Jak w ogóle mogłeś ze sobą żyć?

*Bardzo łatwo.*

– Ryan, przykro mi. Nie zakładałem, że coś takiego może się wydarzyć.

– No, wiadomo, że nie zakładałeś. Ale się stało.

– Ryan, jesteś mi potrzebny. Wszyscy jesteście. Musicie mi pomóc. Uratuję was. Uratuję ciebie, i Mandy, i Didżejka i Constance. Nawet, kurde, zwłoki Alana, żeby można go było porządnie pochować. Wiem, że dla mnie to koniec. Jestem żywym trupem. Eren nie pozwoli mi stąd wyjść.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo znam Erena i wiem, że jest stanowczy, poza tym tu chodzi o coś

więcej. Ma rację. Rozumiesz?

– Dlaczego ktokolwiek z nas miałby cię słuchać albo ci ufać?

– Bo to jeszcze nie koniec. Możesz mnie znienawidzić bez reszty, ale dopiero po wszystkim.

– On ma rację – wtrąciła otępiałym głosem Mandy.

– Dziękuję – odpowiedział jej Sheppard. Spróbował się uśmiechnąć, ale miał wrażenie, że z kącików jego ust zwisają ciężkie odważniki. Nie zdążył zrobić nic więcej, bo przerwała mu Mandy.

Uderzyła go otwartą dłonią prosto w twarz. Zaskoczyło go, jak była silna mimo drobnej postury. Jego głową zarzuciło w bok, poczuł, jak na policzku wykwita mu czerwony ślad.

Mandy, ta sama kochana dziewczyna, która od początku stała po jego stronie, pałała teraz wściekłością.

– Dlaczego zrobiłeś coś takiego? Dlaczego? – powtórzyła to kilkakrotnie, bo najwyraźniej nic innego nie przychodziło jej do głowy. – Dlaczego zrobiłeś coś takiego?

Sheppard utkwiał w niej wzrok. Na prawym policzku schły jego łzy, a lewy go piekł.

Powietrze niezaprzeczalnie zrobiło się gęstsze – prawie było widać, jak wypełnia przestrzeń między nimi. Sheppard je widział. Niczym migawki czasu, którego nie miał okazji przeżyć. Pragnienia, które trzymał na półce w piwnicy umysłu wraz z pozostałymi zyciami.

I w tej samej chwili dało o sobie znać jakieś nowe uczucie. W pierwszej chwili uznał je za nawrót mdłości.

– Tylko się napiję – powiedział Sheppard, wciąż uważnie obserwując Mandy. Wpatrywała się w niego tak, jakby był wcieleniem diabła, ale odniósł wrażenie, że dostrzega w jej wzroku ślad łagodności. – Muszę się napić. A potem zrobię coś, żebyście byli bezpieczni.

Ruszył w stronę łazienki, ale spod blatu biurka wystrzeliła dłoń, która złapała go za nogę. Spojrzał w dół. Didżejka popatrzyła mu w oczy i wskazała palcem. Zegar. Zdawało się, że odlicza szybciej niż na początku. Jakby przyśpieszał.

Piętnaście minut.

Sheppard skierował wzrok z powrotem na Didżejkę i pokiwał głową. Uśmiechnął się.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Mam na imię Rhona, fiucie. Spadaj na drzewo ze swoją Didżejką.

Sheppard zrezygnował z uśmiechu i posłusznie skinął głową. Minął Ryana, nie odzywając się ani słowem.

Kiedy zbliżał się do łazienki, Ryan zawołał za nim:

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz!

Sheppard popchnął drzwi i zaryzykował spojrzenie za siebie. Cała czwórka wbijała w niego wzrok. Nic dziwnego.

Constance, wciąż przykuta do krzesła za plecami pozostałych, przestała się uśmiechać i kołysać. Po raz pierwszy, od kiedy ją zobaczył, wyglądała na autentycznie przestraszoną.

Sheppard wszedł do łazienki na chwiejnych nogach. Wbrew temu, co przed chwilą ogłosił, wciąż był bardzo daleki od rozwiązania zagadki.

Sheppard prawie zapomniał, gdzie ułożyli Alana. Wchodząc do łazienki, poczuł pod butem coś miękkiego, a kiedy spojrział w dół, odkrył, że to dłoń starego prawnika. Odskoczył i uderzył plecami o drzwi.

Kiedy częściowo odzyskał panowanie nad sobą, wyminął ciało Alana, starając się nie wdepnąć w krew, i podszedł do umywalki. Przekręcił kran z ciepłą wodą. Zwłoki Wintera wciąż znajdowały się w wannie – widział ich odbicie w lustrze. Winter – pionek w rozgrywce Erena. Sheppard poczuł jeszcze większe współczucie dla swojego dawnego przyjaciela. Tak łatwo dał się zmanipulować.

Nabrał wody w złożone dłonie i zmoczył twarz. Przyjemne uczucie. Musiał zwalczyć senność i zachować czujność. Przeciwwstawić się pokusie swoich podłych uzależnień. Musiał uratować wszystkich poza sobą – nic więcej się nie liczyło.

Nachylił się nad umywalką i zamknął oczy. Unosząca się para rozpuściła warstwę zimnego, śliskiego potu, która pokrywała jego skórę.

Otworzył oczy.

Lustro zaparowało. Jakby wszystko, co znajdowało się za plecami Shepparda, przestało istnieć. Mimo to wyczuwał obecność Wintera.

Od kiedy się poznali, Simon był jedną z silniejszych osobowości w jego życiu. Pamiętał, że w każde sobotnie popołudnie przychodził do jego domu



na terapię. Początkowo protestował przeciw udziałowi w sesjach, ale w miarę upływu czasu zaczął je doceniać.

Winter zawsze umiał tłumaczyć mu różne sprawy. Przedstawiał je tak, że wydawały się bardziej ekscytujące, niż były w rzeczywistości. Nauczył Shepparda radzić sobie z rosnącą sławą, wyjaśnił mu, które myśli były szkodliwe, a które pożyteczne. Uczył go być lepszym człowiekiem.

*Gdybym tylko słuchał.*

Sheppard sięgnął do kieszeni i wyciągnął notatnik Wintera. Wciąż nie miał pojęcia, dlaczego jego dawny terapeuta miał go przy sobie – stary notes z notatkami z dawnych sesji. Otworzył go na stronach poświęconych spotkaniom z nim i przyjrzał się podkreślonym wyrazom. Czy Winter naprawdę tak go widział? Agresywny? Maniakalny? *Poważne słowa*, pomyślał. Ale w takim razie dlaczego Winter zaznaczył też: „a na dodatek – absurdalny”, i to bez słów: „nowy sen”? Dopiero wtedy przeczytał dalej: „... nowy sen o polu kukurydzy. W pewnej odległości widać stodołę – to gospodarstwo. Pali się, cała stoi w ogniu. Morgan obserwuje ją z pola. Na jego oczach z łanu kukurydzy wyłania się strach na wróble. Morgan intuicyjnie wyczuwa, że to strach jest sprawcą pożaru. Ten uśmiecha się do niego, co sprawia, że Morgan się budzi”. Sheppard nie potrafił oderwać wzroku od kartki. Zupełnie zapomniał o tym koszmarze. Kiedyś przeżywał go każdej nocy – budził się zlany zimnym potem, kilka razy nawet zmoczył łóżko. Zaczęło się zaraz po tym, kiedy... zrobił, co zrobił.

Ale ten obraz na ścianie? Niemal co do joty przedstawiał scenę ze snu. Bardzo dziwne, że takie malowidło znalazło się w pokoju hotelowym – tak pomyślał, kiedy je zobaczył pierwszy raz. Teraz samo myślenie o nim sprawiało, że przechodziły go ciarki. Mandy też mówiła, że ma w sobie coś niepokojącego.

Czytał dalej: „Potrzebuję więcej informacji, żeby rzeczywiście zrozumieć

ten koszmar. Wygląda na klasyczny tok myślowy »dzieło niszczy twórcę«, ale nie wiem, jak to się konkretnie odnosi do Morgana. *Nota bene* – WAŻNE – Morgan twierdzi, że tym, co najbardziej przeraża go w tym śnie, jest przekonanie, że na piętrze są dzieci i palą się żywcem”.

Sheppard prawie upuścił notes. Dzieci na piętrze? Dlaczego tak go to zaskoczyło? Czyżby ktoś... Spojrzał jeszcze raz na stronę – na podkreślone słowa, wyrazy użyte przez Wintera w opisie snu. I nagle wszystkie fragmenty układanki wskoczyły na swoje miejsca.

Sheppard przyjrzał się słowom. Co znaczyły? Jak mogły w ogóle cokolwiek znaczyć? Przeciągnął po nich palcem. Zbyt ogólnikowe. Zbyt...

Wpatrywał się w pismo Wintera. I myślał.

*Nie.*

Zalały go wspomnienia. Powietrze zmieniło się w galaretę. Nie mógł oddychać.

*Nie. Tylko nie...*

Ale wszystko łączyło się w logiczną całość.

*Dawniej...*

Kurczowo ścisnęła zaproszenie, przez co przełamało się w połowie szerokości. Przyjechała o wiele za wcześnie, ale nie mogła wytrzymać w domu, a poza tym wiedziała, że będzie musiała obserwować wejście i wybrać sprzyjający moment.

Jeszcze dobrze nie zaczęła, a mózg już próbował ją przekonać, że to był zły pomysł. *Co, jeśli bramkarze znają tę kobietę? Co, jeśli wiedzą, jak wygląda? Co wtedy? Zadzwoń po policję? Co zrobi w takiej sytuacji? Uniesie dłonie, oznajmi „nakryliście mnie” i wróci do domu? Zbyt wiele zależało od tego wieczora, by mogła sobie na to pozwolić.*

Nie znają tamtej. Musi dostać się do środka.

Jej plan był prosty. Zamierzała poczekać, aż zrobi się największy ruch. Wtedy nawet osoby znające tamtą kobietę nie zwrócą na nią uwagi. Bramkarze będą pracowali w pośpiechu, jest bardziej prawdopodobne, że popełnią błąd, a ona go wykorzysta. I znajdzie się wewnątrz.

Spojrzała na zegarek. Naprawdę o wiele za wcześnie. Usiadła więc w kawiarence po drugiej stronie ulicy. Była chwila po piątej. Impreza miała się zacząć o ósmej, co zgodnie z zasadami oznaczało, że ludzie zaczną się zjeżdżać około dziesiątej. Zamówiła kawę i czekała.

Włączyła i wyłączyła dyktafon, żeby upewnić się, że działa. Bateria

naładowana. Resztę czasu spędziła, rozmyślając i oglądając bez entuzjazmu w filmiki z YouTube'a na swoim laptopie. Dotyczyły tematu, który zaprzętał jej głowę – przyglądała się jego aroganckiej twarzy w tym cholernym programie, obserwowała, jak wywyższa się nad wszystkich, jak widownia je mu z ręki – ale dość szybko zaczęła klikać bez zastanowienia w miniaturki pojawiające się w pasku bocznym: dziesięć najbardziej nawiedzonych hoteli w Anglii, remiksy Nyan Cata, najśmieszniejsze wpadki bobasów i inny chłam napędzający nieustające próby zrujnowania świata przez internet. Wiedziała, że przykłada rękę do problemu – bzdury wrzucane do sieci hipnotyzowały ją tak samo jak wszystkich. Wyrzała przez okno. Przed drzwiami do klubu wciąż było pusto.

O siódmej kawiarnię zamknięto. Zapytała, czy nie mogłaby zostać trochę dłużej, ale wiedziała, że nic nie ugra, skoro przez dwie godziny zamówiła tylko jedną małą kawę. Przeniosła się do pubu kawałek dalej na tej samej ulicy, w którym wybrała miejsce przy oknie. Wciąż widziała klub, ale nie tak dobrze.

Zamówiła colę light i znów wyjęła dyktafon z kieszeni. Włączyła go i wyłączyła. Lampka zamrugała. Wciąż działał.

To internet ponosił za niego odpowiedzialność. Mógł pozostać anomalią z porannej ramówki – osobą, z której istnienia większość populacji w ogóle nie zdawała sobie sprawy, bo o dziewiątej rano wyłączała telewizor i szła do pracy. W erze internetu każdy program można jednak było pociąć na drobne kawałki, wstawić do sieci i wydusić z niego miliony odsłon. To tam znalazł swój dom, którego zresztą nie musiał sam budować. Zrobiła to za niego dyrekcja kanału. Stworzyli stronę, na której można było oglądać wycinki z jego programu. Jego kanał na YouTube szybko wypełnił się dziesięciominutowymi epizodami – *Zdradzana gwiazda*, *Prawda o tobie*, *Sypiając z kim popadnie*. Widownię stanowiło osiem milionów

subskrybentów – rekordowo szybko powiększająca się wataha miłośników tego konkretnego stylu sherlockowskiej bufonady. Żeby przynajmniej prawdziwy Sherlock był idiotą. Żeby też przerastała go prosta dedukcja. Sheppard był detektywem, który niczego nie potrafił. Ale ponieważ przede wszystkim był osobowością – telewizyjną, internetową – jego brak talentu nie miał tak naprawdę znaczenia. Miał rację nawet wtedy, gdy się mylił.

Kiedy niebo pociemniało, schowała laptopa do torby i upewniła się, że zewnętrzny mikrofon podpięty do dyktafonu działa. Włączyła nagrywanie i przeczytała na głos ciekawostkę z podstawki pod piwo – ślepe kameleony też dopasowują ubarwienie do otoczenia. Odtworzyła nagranie. Było w porządku. Wiedziała, że w klubie będzie o wiele głośniejsze, ale uznała, że mikrofon, jeśli tylko przytrzyma go odpowiednio blisko, zarejestruje przede wszystkim ludzki głos. A tak robi. Na pewno nie pozwoli sobie na żadne głupie błędy. Zbyt wiele zależało od tego wieczora.

Minęły ledwie dwa tygodnie od... od... tego, co jej znajomi nazywali tragedią. Takie bezduszne określenie. Może uciekali się do niego, żeby zachować dystans do tego, co się stało. Ona jednak chciała czegoś innego. Chciała zrozumieć dlaczego. I była gotowa. Tym, co pchało ją do przodu, była wściekłość – to dzięki niej wstawała z łóżka, dzięki niej nie poddawała się w ciągu dnia. Brat nigdy nie lubił, kiedy się złościła, bo dostrzegał w jej oczach, że zatracala się w tym stanie, nie potrafiła trzeźwo myśleć. Od małego powtarzał jej, że nie może dopuszczać, by złość przejmowała nad nią kontrolę – że musi ją poskromić, póki jeszcze może, bo w przeciwnym razie w jej życiu przestanie być miejsce na cokolwiek innego.

Tymczasem to ona wciąż żyła, a on nie. A wszystko przez Morgana Shepparda.

I dlatego siedziała teraz w pubie, wściekła. Była niesamowicie wściekła. Ale i zaradna. Studia dziennikarskie miała już prawie za sobą. Dyktafon

z mikrofonem wypożyczyła z uczelni. Była gotowa.

Bo wciąż żyła i nie rozumiała, dlaczego musiał zginąć.

Przyglądała się przez okno rozwojowi sytuacji i około ósmej trzydzieści zwróciła uwagę, że do klubu z wolna zaczynają ściągać ludzie. Ceglarnia była dyskoteką w podziemiach, usytuowaną za narożnikiem wyjścia ze stacji metra Leicester Square. Słyszała z wysokich cen i tego, jak trudno było dostać się do środka. Jeszcze nigdy nie była w środku i dobrze wiedziała, że nie ma prawa zrobić tego nawet dziś. To była prywatna impreza dla pracowników telewizji i ich dobrze sytuowanych znajomych. Zaproszenie, które podprowadziła, należało do dziewczyny zajmującej jedno z niższych stanowisk w ekipie programu Shepparda.

Obserwowała stado kobiet, które podchodziły do drzwi i wyciągały swoje zaproszenia. Każdą po kolei zatrzymywał ubrany na czarno postawny łysy mężczyzna trzymający listę. Dziewczyny czekały, aż odhaczy ich nazwiska, po czym znikwały we wnętrzu.

O dziewiątej podjechała limuzyna i zobaczyła go, jak wysiada. Miał na sobie smoking i już się zataczał. Bramkarze nie zapytali go o nazwisko.

Zastanawiała się, czy powinna wejść, ale kolejka akurat się skończyła i nie chciała ryzykować. Poczekwała kolejne pół godziny; pod drzwiami zdążyła się już uformować kolejka licząca około trzydziestu osób. Uznała, że nie może dłużej zwlekać. Dopła cołę, zajrzała do łazienki, żeby sprawdzić fryzurę, i wyszła na ulicę. Stała w kolejce. Zwróciła uwagę, że zgięła zaproszenie, ale kiedy próbowała je rozprostować, tylko pogorszyła sprawę.

Kolejka przesuwała się powoli, więc postarała się wmieszać pomiędzy pozostałe kobiety. Zwróciła uwagę, że w kolejce czekał tylko jeden mężczyzna – wymuskany typ w koszuli button-down, który miał w sobie coś stoickiego i nie pasował do otoczenia. Nie odezwał się ani słowem do otaczających go kobiet, które śmiały się i żartowały, czasami na jego temat.

Kobiety należały do modnego, typowego dla klubów rodzaju – tak szczupłe, że praktycznie dwuwymiarowe. Jej brat nazywał takie statystkami z *Życia na fali* – głupekowatego serialu o banalnych problemach atrakcyjnych ludzi, który razem oglądali, mając po kilkanaście lat.

Kobiecie stojącej przed nią towarzyszyły dwie koleżanki. Kiedy cała ta grupa dotarła do drzwi, zrobiła się nerwowa i piskliwa. Okazało się bowiem, że ta z nich, która odpowiadała za zaproszenia, zamiast o nich myślała o alkoholu. Wszystkie zresztą były niedorzecznie pijane jak na osoby, które nie weszły jeszcze do klubu. Wyglądało jednak na to, że ich nazwiska były na liście, bo bramkarz je wpuścił. Pewnie nie miało to nic wspólnego z ich wyuzdanym wyglądem. W jej myśli wkradło się z wątpienie.

Co ona wyprawiała? Odgrywała główną rolę w swoim osobistym thrillerze szpiegowskim? Co za głupota! Odwróciła się i zobaczyła, że drogę odwrotu zagradza jej schodzący za nią po schodach ogon wyfioczonych dziewczyn. Pomacała dyktafon.

*Jesteś lepsza, niż ci się wydaje. Silna, silniejsza od niego. I czytałaś te rzeczy w gazetach – będzie w kiepskim stanie, po prostu poczekaj, a zobaczysz. On nie jest głupi, ale tobie nie dorasta do pięt.* Głos jej brata. Jej myśli często docierały do niej wypowiedane jego głosem. Zawsze miał więcej pewności siebie niż ona.

W jej umyśle na nowo rozgorzała złość.

*Dotarłaś tak daleko.*

Nie zastanawiając się dłużej, weszła do klubu. Drzwi wypluły ją na tętniący energią, skąpany w mroku parkiet. Wnętrze okazało się niewiarygodnie zatłoczone, co ją zaskoczyło, bo przecież obserwowała wszystkich, którzy wchodzili. Zewsząd otaczali ją ludzie. Przesłaniali jej widok pozostałych części klubu. Zaczęła się przepychać w kierunku, w którym sądziła, że znajdował się bar, wymijając szare sylwetki ludzi,

podświetlane okazjonalnie przez błyski wielokolorowych świateł. Ścisk sprawiał, że przesuwała się powoli, jakby próbowała przejść niemożliwie trudną odmianę *Froggera*. Od czasu do czasu musiała się cofać, żeby zrobić miejsce dla osoby nonszalancko niosącej drinka. Po dłuższej chwili udało jej się w końcu dostać do baru.

Zamówiła gin z tonikiem. Uważała, że kiedy jest się w pełni władz umysłowych, większość klubów staje się nie do zniesienia. Na trzeźwo wyraźnie dostrzegała absurd przebywania w tej pijackiej zagrodzie. Otrzymała swojego drinka i zapłaciła za niego oszłamiającą kwotę. Biada spragnionym w Londynie.

Rozejrzała się. Parkiet zajmował większą część klubu, ale po lewej i prawej znajdowały się ustronne miejsca siedzące. Po chwili wypatrzyła to, czego szukała – jeden z sektorów, najbliższy jej, po lewej stronie, był odgrodzony parawanem. Strefa dla VIP-ów. A za sznurem wyglądającym jak te zabezpieczające wejście na premierę – był on. Obserwowała, jak się uśmiecha i rozmawia, kołysząc się, mimo że siedział. Miał na twarzy charakterystyczny wyraz radosnego odurzenia. Pijany w sztok. Pozostałych w strefie dla VIP-ów nie rozpoznawała, może poza jedną osobą, która przypominała jej jednego z prowadzących *Poranną kawę*. Pozostali mężczyźni mieli na sobie biznesowe garnitury i kuso ubrane kobiety wyglądające tak, jakby sama obecność tutaj była dla nich wygraną na loterii. Zero szacunku dla samych siebie.

Obserwowała go, opierając się o blat. Nienawidziła go. Uczucie, które nosiła w sobie, było ogniste, zwierzęce, nieokiełznane. Nigdy wcześniej nie czuła czegoś takiego. Zaczęła rozumieć, dlaczego ludzie przyrównują nienawiść do miłości. Odczuwa się ją tak samo. Towarzyszy człowiekowi, gdziekolwiek się udaje, cokolwiek robi. Przyciąga do znienawidzonej osoby, podobnie jak miłość do obiektu uczuć, ale z zupełnie odwrotnych przyczyn.



Spoglądając na ukochaną osobę, widzi się cały potencjał życia – przyszłość, która może się zdarzyć. Obiekt nienawiści przywodzi na myśl wizje zniszczenia – życia, które przeminęło. Tym, co łączyło oba te uczucia, była zdolność popychania ludzi do straszliwych czynów.

*Złość do ciebie nie pasuje.* Brat dostrzegł ją u niej, zanim zauważyła ją sama. Rozumiał też zagrożenie, które z niej wynikało.

Trzy dziny z tonikiem później jej świat zaczął falować niczym morskie fale, muskające nieznaną jej plażę. On wciąż siedział w strefie dla VIP-ów, pijąc alkohol w absurdalnych ilościach, a ona nie odrywała od niego wzroku. Chyba nikt nie zwrócił na to uwagi. Muzyka była ogłuszająca, a oświetlenie na tyle słabe, że prawdopodobnie nikt jej nawet nie zauważył. Zastanawiała się, czy jej się uda. Jeśli nie wyjdzie poza lożę dla VIP-ów, pozostanie jej spędzić całą noc, wpatrując się w niego... i cały jej wysiłek pójdzie na marne.

W połowie czwartego drinka ktoś się do niej odezwał. Młody mężczyzna wyglądający na przesadnie pewnego siebie. Potencjalny problem.

– Wow, świetnie wyglądasz – zagaił z entuzjazmem godnym mówcy motywacyjnego. – Zwróciłem uwagę, że nie odezwałaś się do nikogo przez cały wieczór. Jesteś tu sama?

Na dźwięk tych słów przeszedł ją lekki dreszcz. Świadomość, że jakiś koleś obserwował ją cały wieczór, była mało budująca.

– Jestem umówiona z kilkoma znajomymi – odpowiedziała. – Po prostu na nich czekam.

– Jak masz na imię?

– Zoe – odpowiedziała bez wahania.

– Ja jestem Tim – przedstawił się. Nudne imię, nawet jeśli je zmyślił. – Mam w pracy jedną Zoe. Ale tu jej nie ma. – Rozejrzał się, udając zdziwienie.

Nie zwróciła na to uwagi. Obserwowała, jak on – ten on, nie Tim – podniósł się niepewnie na nogi. Wyszeptał coś do ucha jednej z kobiet, która zareagowała nienaturalnie entuzjastycznym śmiechem. Spróbował przejść nad sznurem, ale stracił równowagę, przekładając prawą nogę, co spowodowało wybuch śmiechu ze strony łoży. Odwrócił się w ich stronę i pokazał uniesiony kciuk, po czym ruszył przed siebie, zataczając się. Po chwili pochłonął go roztańczony tłum.

– Mogę postawić ci drinka? – spytał Tim w tej samej chwili, w której zsunęła się z taboretu i odeszła od baru.

Szczerze mówiąc, nie obchodziło ją, czy Tim poczuje się urażony – niech się tym przejmie druga Zoe.

Podążyła za czarną sylwetką w poprzek parkietu. Sądziła, że to on. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, czy miała rację, bo wiedziała, dokąd zmierza. Mężczyznę, który spędził ostatnią godzinę, pijąc bez opamiętania, mogło interesować tylko jedno miejsce. Toaleta.

Oderwała oczy od sylwetki, żeby przyjrzeć się ścianom. Dwa neony: „John”, czego w pierwszej chwili nie zrozumiała, i po drugiej stronie sali: „Yoko”. Ruszyła w stronę strzałki z podpisem „John”, ale zagroziła jej drogę jakaś ciemna postać. W następnym rozbłysku stroboskopów rozpoznała w niej kolesia, który przyczepił się do niej przy barze. Był obleśnym natrętem, a ona niestety go zlekceważyła.

– Naprawdę chciałbym postawić ci drinka.

– Nie jestem zainteresowana – odpowiedziała ostro. Spróbowała go ominąć, ale też zrobił krok w bok. Nie miała na to czasu; Sheppard szybko załatwi sprawę, w końcu jest mężczyzną, a ona straci swoją okazję.

– Wiesz, Zoe, to trochę dziwne. Na planie mamy tylko jedną Zoe i ja ją znam. – Tim mówił niewyraźnie. Był pijany.

– Jestem nowa – wysyczała i przepchnęła się obok niego. Zrewanżował

się, chwytając ją za rękę. Odwróciła się. – Puść. Mnie.

– Puszczę, jeśli pójdziesz ze mną na drinka – oznajmił Tim radosnym głosem. Pewnie sądził, że dotychczas zaczęli flirtowali.

– Nie odbierz tego źle, ale prędzej się zabiję.

– Nie bądź taka – Tim chwycił ją za drugą rękę. Nie mogła się ruszyć. Kiepsko. Okazja, na którą czekała, powoli przelatywała jej przez palce. Nagle coś w niej wybuchło, przez chwilę miała wrażenie, że mogłaby zatłuc tę płotkę, żeby dobrać się do grubej ryby. – Przecież przyszliśmy się tu bawić, prawda?

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem? – nie zdążyła się powstrzymać. – Przyszłam, żeby się rozmówić z twoim panem i zbawicielem, Morganem Sheppardem. Jesteście żałosnymi, skończonymi idiotami, żeby imprezować z tym potworem, żeby trzymać się go kurczowo tylko dlatego, że może was wciągnąć na szczyt. Nie obchodzi cię, co zrobił, prawda? W gruncie rzeczy pewnie mu w tym pomogłeś.

Tim ewidentnie nie rozumiał, co do niego mówi, i chwyt dłoni, którymi trzymał jej ramiona, zelżał. Wszystko, co chciała powiedzieć – powód, dla którego tu była – zaczęło się z niej wylewać i było za późno, żeby to powstrzymać. To, że Tim nie był jej zamierzonym celem, przestało mieć znaczenie.

Rozpłakała się.

– Morgan Sheppard rujnuje ludziom życie. A wy wszyscy tylko się przyglądacie i nagrywacie to dla telewizji. Po co? Dla zysku. Pamiętasz go? Czy ktokolwiek z was pamięta mojego brata? Seana Phillipsa? Był w programie Shepparda, w twoim programie. Trzy lata temu. Z dziewczyną, matką jego dziecka. Morgan Sheppard udowodnił, że Sean miał romans. A nie miał. Mogę tego dowieść, mam niepodważalny dowód, że nie sypiał z inną. A Morgan Sheppard zrujnował mu życie!

Tim wyglądał na zaniepokojonego. Z każdym słowem zaczynała na niego głośniej krzyczeć, ale muzyka była tak ogłuszająca, że otaczający ich ludzie nie mieli o tym pojęcia.

– On się zabił! – wykrzyczała. – Mój brat się zabił!

Tim ją puścił.

– On się zabił – powtórzyła spokojniejszym głosem. Zatopiała twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Nienawidziła się za to, jak łatwo wyprowadził ją z równowagi. Nienawidziła swoich łez.

W jej myślach Sean milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Naprawdę? Czyżby została sama?

Tim wciąż się w nią wpatrywał.

– Okej, w porządku – powiedział. – Wiesz co, wolę dziewczyny, które są trochę mniej... no, wiesz... stuknięte. Więc pójdę wypić drinka sam, a tobie życzę miłego wieczoru.

Zniknął, zlał się z tłumem czarnych sylwetek wypełniających pomieszczenie.

Otarła oczy i uznała, że wciąż ma szansę złapać Shepparda. Odwróciła się w stronę łazienek i zamarła.

Miała go przed sobą. Arogancki gnój. Szedł przez tłum, nawalony i uśmiechnięty. Nie zdążyła odezwać się do niego pod toaletą, ale teraz zmierzał w jej stronę. Miała okazję. Dlaczego więc nie mogła wydobyć z siebie głosu? Zostało jej kilka sekund. Zrównał się z nią – znaleźli się kilka centymetrów od siebie – a potem ją minął. Aura arogancji, która go otaczała, była niemal fizycznie wyczuwalna.

Obróciła się za nim. Zniknął już pomiędzy anonimowymi sylwetkami. Ostatnia szansa.

– Sheppard – zawołała, zaskakując samą siebie.

Sheppard zatrzymał się i odwrócił – musiał ją usłyszeć. Nie wiedział,

rzecz jasna, że to ona. Wodził wzrokiem po pomieszczeniu, starając się znaleźć osobę, która wołała.

Kiedy w końcu jego spojrzenie padło na nią, wstrzymała oddech. Na jak długo? To nie mogła być więcej niż sekunda, ale miała wrażenie, jakby minęła godzina. Przez cały ten czas wystarczyło, że otworzyłaby usta – otworzyła i powiedziała to, po co tu przyszła. Ale nie potrafiła się zmusić. Nie wiedziała, czy chodzi o zmęczenie, Tima czy widok twarzy Shepparda, ale po prostu nie potrafiła. Rzeczywistość ją przerosła.

Chwilę później było już po wszystkim. Sheppard poświęcił jeszcze moment na rozglądanie się, po czym odwrócił się i pochłonęła go ciemność. Zmarnowała szansę. Nagle zakręciło jej się w głowie. Na chwiejnych nogach dopadła do ściany, po której osunęła się na ziemię. Przyciągnęła kolana tak mocno do brzucha, jak potrafiła, i schowała w nich twarz. Z oczu popłynęły jej łzy. Przez długi czas nie przestawały.

Kilka minut później uniosła głowę i zobaczyła dwóch mężczyzn, którzy się z niej śmiali. Zignorowała ich i wstała, przepychając się między nimi z siłą, która sprawiła, że przestali chichotać. Przedostała się na drugą stronę parkietu. Nie spoglądała w stronę strefy dla VIP-ów, w jego stronę. Nie miała siły.

Dotarła do baru i zamówiła kolejny gin z tonikiem. Jeszcze jeden do kolekcji. Sean lubił powtarzać, że członkowie ich rodziny mieli niezniszczalne wątroby.

Wzniosła toast za nic i za wszystko. Wypiła całość w dwóch łykach. Wpatrzyła się w pustą szklanekę, rozmyślając nad poniesioną porażką. Może po prostu powinna się upić – to brzmiało jak dobry sposób, żeby zapomnieć. Sprawdzał się w przypadku jego ekscelencji Morgana Shepparda.

– Mogę postawić ci następnego? – usłyszała głos.

Czyżby Timowi nie powiodło się z żadną z pozostałych kobiet i doszedł

do wniosku, że ostatecznie może być wariatka? Jednak kiedy podniosła wzrok, zobaczyła kogoś innego. Schludnie ubranego mężczyznę, którego widziała, stojąc w kolejce do wejścia.

– Gin z tonikiem – powiedziała. Szorstko.

Mężczyzna najwyraźniej nie poczuł się urażony. Przywołał barmana gestem dłoni i zamówił. Przyjrzała mu się dokładnie. Był młody, ale nie aż tak jak ona. Trzydzieści lat, może trzydzieści pięć. Nosił okulary w kwadratowych oprawkach, garnitur i czerwony krawat. Wyglądał poważnie, ale i zapraszająco. Zwyczajnie – do tego stopnia, że większość ludzi nie zwróciłaby na niego uwagi. W jego prezencji było jednak coś szczególnego. Dostrzegła to już wtedy, przed klubem.

Podsunał jej drinka. Sam zamówił piwo.

– Wyglądasz, jakby spotkało cię coś przykrego – powiedział.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała.

– Te imprezy zawsze są nie do zniesienia – oznajmił, wskazując otoczenie zamaszystym gestem rąk. – Jeden wielki pomnik egocentryzmu.

– To dlaczego tu jesteś? – popiła drinka.

– Bo warto mieć oko na innych. W przeciwnym razie zostaje się za nimi – odpowiedział. Doskonale go rozumiała. Wszystko, co mówił, zdawało się idealnie logiczne. – A co ty tu robisz?

Uśmiechnęła się smutno.

– Potrzebowałam odpowiedzi na kilka pytań.

– I dostałaś je?

– Miałam okazję, ale jej nie wykorzystałam.

Najwyraźniej odczytał jej smutną minę, bo powiedział:

– Wiesz, nie możesz sobie tego wyrzucać. Czasami odpowiedzi to nie wszystko. Czasami zwyczajnie nie warto na nie czekać. Dobrym ludziom zdarzają się przykre rzeczy. Świat taki już jest.

Miał rację. Dotknęła jego szklanki swoją. Nie dość mocno, by brzęknęły, ale wystarczająco, by wyrazić, że się z nim zgadza.

Ze strefy dla VIP-ów dobiegł zgiełk. Jednemu z kolegów Shepparda urwał się film i bohater wieczoru robił wokół tego niezłe zamieszanie. Wykonał gest dłonią do DJ-a i muzyka ucichła.

Wspiął się na stół, zauważalnie rozchlapując kałużę płynu pokrywającego blat, i wyciągnął mikrofon.

– Za biednego Rogersa.

Nie wiedziała, o kogo chodzi, ale założyła, że o nieprzytomnego kolegę. Przez cały klub przetoczyły się trzy fale okrzyków „hip, hip, hurra!”. Nie przyłączyła się, podobnie jak jej nowy towarzysz.

Kiedy było po wszystkim i huknęła z powrotem muzyka, mężczyzna w garniturze powiedział:

– Ktoś powinien pokazać Sheppardowi, gdzie jego miejsce.

Spojrzała mu w oczy. Odwzajemnił gest.

– Kace Carver – powiedział, wyciągając dłoń.

Zacząła mówić „Zoe”, ale się powstrzymała. Odchrząknęła, przedstawiła się:

– Mandy – i podała mu rękę.

Uśmiechnęła się, pierwszy raz tego wieczora.

Umysł Shepparda pracował na pełnych obrotach, łącząc czerwonym sznurkiem poszlaki zawieszane w pamięci. Winter zrobił wszystko, żeby ułatwić mu sprawę, a on mimo to pozostał ślepy na prawdę. Teraz jednak wszystko połączyło się w logiczną całość. Winter zastawił pułapkę – może dostrzegł, że sytuacja zmierza w złym kierunku i zdecydował się podsunąć Sheppardowi trop. Gdyby Sheppard był mądrzejszy, dostrzegłby to wcześniej.

Wytoczył się z łazienki i uniósł wzrok na pozostałą czwórkę. W dłoni miał notes. Jego palec wciąż zaznaczał stronę, na której znajdowały się podkreślone słowa – te poprzedzające opis koszmaru. „Agresywny”, „maniakalny”, „a na dodatek – absurdalny”. Odpowiedź, której szukał. Na wypadek, gdyby Sheppard nie zrozumiał, o co chodziło, Winter przeliterował odpowiedź. Rebus, na dodatek niesamowicie prosty.

– To ty go zabiłaś – powiedział cicho, nie chcąc, żeby to była prawda.

Ryan się rozejrzył.

Pierwsze litery... układały się w słowo... AMANDA. Pułapka, którą Winter niewątpliwie zastawił na Mandy, mówiąc jej o śnie – bo miał nadzieję, że coś się jej wymysknie. I tak się stało.

Didżejka się zerwała. Niestety za późno. Mandy zdała sobie sprawę, co się dzieje, i ją chwyciła, a następnie ku zaskoczeniu Shepparda, przyłożyła jej



nóż do szyi. Najwyraźniej niepostrzeżenie wyciągnęła go z tylnej kieszeni jego spodni. Rhona nie wydała z siebie żadnego dźwięku – skierowała tylko na Shepparda oczy pełne zdziwienia.

– Zostańcie, gdzie jesteście – poleciała Mandy, mierząc obu po kolei wzrokiem. – Jeden ruch i podetnę jej gardło.

Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby się poruszyć. Jego umysł był zbyt zajęty przetwarzaniem tego, co się stało. Mandy – usługna dziewczyna, która od początku trzymała jego stronę.

Ryan sprawiał wrażenie równie skołowanego i uniósł dłonie w geście kapitulacji.

Mandy wycofywała się w stronę Ahearn, która zaczęła wrzeszczeć bez opamiętania. Nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi i prześlizgnęła się tuż obok niej na drugą stronę pokoju, żeby oprzeć się plecami o okno i mieć pewność, że ani Sheppard, ani Ryan nie podejdzie jej od tyłu.

– Mandy, co robisz? – spytał Ryan.

– No, dalej, Sheppard – powiedziała Mandy. Brzmiała jak zupełnie inna osoba. Chłodno, szorstko, nieludzko. – Wyjaśnij mi. – Wykonała nerwowy gest nożem przy gardle Didzejki, jakby nie mogła się doczekać przelewu krwi.

– Co? Ty? – wydukał Ryan do Mandy.

– Pomyliłem się – powiedział Sheppard, zastanawiając się, jak powstrzymać Mandy, zanim zrobi coś szalonego. Dla testu zrobił drobny krok w przód, unosząc dłonie podobnie jak Ryan. Mandy chyba nie zauważyła, zbyt uporczywie wpatrywała się w jego oczy. – To było od początku zaplanowane tak, żeby mnie nabrać. Chodzi o rany w podbrzuszu Wintera; są głębokie. Nie sądziłem, że mogła je zrobić Mandy. Ale przegapiłem kilka rzeczy, różnych szczegółów, przez które nie dostrzegłem wcześniej, że ona jak najbardziej ma dość siły, żeby wbić nóż głęboko

w ciało.

*Pomogła mi wstać, na samym początku. Pamiętam, że zwróciłem wtedy uwagę na to, jaka jest silna.*

– Na samym początku pomogłaś mi wstać z podłogi. Gdybym był prawdziwym detektywem, nie umknęłoby mi to.

Kolejny krok w jej stronę.

*Spoliczkowała mnie. Tak mocno, że moją głowę zarzuciło w bok. Złość. Wściekłość w oczach, kiedy to zrobiła. Taka, którą musiała dusić w sobie całymi dniami, miesiącami, może nawet latami. Sprawiająca, że jej oczy pałały.*

*Najgorsze jest to, co się dzieje z rodziną w tej stodole, dzieci płonące żywcem na strychu. Najważniejsza wpadka, z której w dodatku nie zdawała sobie sprawy. Winter był sprytny – naprawdę bardzo sprytny – a Sheppard praktycznie zupełnie przeoczył jego podpowiedź.*

Ryan nie mógł pomóc. Wciąż nic z tego nie rozumiał. Stał się wolny i niezdecydowany. Słowem: bezużyteczny. Didżejka wiała się w uchwycie Mandy, śledząc wzrokiem ostrze noża na wysokości swojej szyi. Sheppard nie miał pewności, że Mandy tego nie robi. Nie znał jej, w każdym razie już nie. Kolejny drobny krok.

– Jesteś silna, ale to nie czyni z nikogo mordercy, prawda? Ale było więcej poszlak. Więcej powodów, żeby cię podejrzewać – powiedział, przysuwając się bliżej. – Na przykład to, że obudziłaś się pierwsza i wiedziałaś coś o każdym z nas. Gdybym pytał, pewnie powiedziałaabyś mi więcej, tymczasem usłyszałem od ciebie akurat tyle, że nie wzbudziło to moich podejrzeń.

Wiedziała dużo o Constance. Znała jej nazwisko, miejsce pracy. Nie było w tym nic dziwnego, Constance była sławna. Założyłby się jednak, że dysponowała informacjami na temat wszystkich zamkniętych w pokoju.

Krok, płytki oddech. Mandy oderwała od niego wzrok, żeby zerknąć na Ryana, uśmiechnęła się do siebie, jakby odczuwała zadowolenie z tego, co osiągnęła. Sheppard nigdy w życiu nie spodziewałby się, że zobaczy taką minę na jej twarzy.

Znalazł się na wysokości telewizora. Didżejka przyglądała się, co robi – wszystko widziała, jak zwykle. Była milczącym obserwatorem. Podczas ostatnich trzech godzin wypowiedziała może dziesięć zdań. Ale był pewien, że dostrzegała rzeczy, które umykały pozostałym. Sheppard zasygnalizował jej swój zamiar delikatnym, prawie niezauważalnym skinieniem.

Rhona patrzyła na niego przez chwilę, po czym odwzajemniła gest.

Mandy była zbyt pochłonięta sobą, żeby to zauważyć. Wyglądała, jakby nie posiadała się z dumy.

– Nie rozumiem – przyznał Ryan. – To nie wyjaśnia, co właściwie zrobiła...

– Nastawiała nas przeciwko sobie. Kiedy Alan otrzymał cios nożem, za jego plecami stała Constance, prawda? A kto stał obok niej?

Ryan nie odpowiedział. Nie było potrzeby.

– Nasza Constance zabiła Alana w zasadzie niczym niesprowokowana. A przynajmniej tak się wydawało.

Zaryzykował spojrzenie w stronę Ryana. Nareszcie, jego oczy zmieniły wyraz.

– Cały ten szalony bełkot Constance miał, okazuje się, sens. Ona naprawdę usłyszała głos. Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem, że głęboko w to wierzy, ale uznałem, że jest po prostu szalona. Przykro mi, pani Ahearn, ale okłamano panią. Tak jak nas wszystkich.

– Jak Mandy mogła ją nakłonić, żeby kogoś zabiła? Widziałem, co się stało, Ahearn go po prostu pchnęła.

– Chcesz odpowiedzieć? – spytał Sheppard Mandy, a kiedy ta pokręciła

głową, kontynuował: – Pomyśl, Ryan, czy odezwałeś się choćby słowem do Constance? Nie, od samego początku rozmawiała z nią tylko jedna osoba, i to szeptem.

Sheppard złapał spojrzenie Mandy, żeby się upewnić, że ma rację. Wyglądało na to, że tak.

– Zdawałaś sobie sprawę z jej przekonań religijnych i wykorzystałaś je przeciw niej. Maria Magdalena?

Na twarzy Mandy pojawił się obrzydliwie radosny uśmiech.

– Trochę to podkoloryzowałam.

– Wykorzystałaś bezbronną kobietę. Zrobiłaś z niej morderczynię – oskarżył ją Sheppard.

Mandy przekrzywiła głowę i wydeła policzki.

– Lepiej przyznaj, że ci zaimponowałam.

– Czym? Że posunęłaś się do czegoś takiego, żeby zrobiło się bardziej interesująco?

– Wiesz co, nie udawaj – westchnęła Mandy. – Hughes był nudny nie do zniesienia. Nadymał się tak, jakby świata poza sobą nie widział. Musiałam zrobić z nim porządek.

Sheppard zignorował nonszalancję, z którą mówiła o odebraniu człowiekowi życia.

– Zorganizowaliście to wszystko, prawda? Ty, Eren i Winter. Zwabiliście go tu i zabiliście. Wykorzystaliście tak jak nas. Jesteście chorzy.

Mandy się roześmiała.

– Winter pomagał nam od samego początku, Sheppard. Dobrze wiedział, co robi. Nienawdził cię tak samo, jak my. Zrujnowałeś mu życie, zupełnie jak nam, pamiętasz?

– Ciebie nie znam. Nigdy wcześniej cię nie widziałem.

– Nie, ale widziałeś mojego brata. Pewnie go nie pamiętasz, co? Pewnie

w ogóle nie pamiętasz Seana Phillipa? Ani tego, jak doprowadziłeś go do samobójstwa?

Sheppard stracił rezon i mimowolnie cofnął się o krok. Na dźwięk nazwiska, które wypowiedziała Mandy, coś zaświtało mu w głowie – miał wrażenie, że ktoś kiedyś poinformował go o tej sytuacji na jakimś zebraniu, może z producentami. Ale Mandy nie pamiętał, zresztą nic dziwnego, skoro zwykle nie pamiętał nawet tego, co robił poprzedniego dnia.

– Cokolwiek zrobiłem, to nie był powód, żeby zabijać niewinnego człowieka.

– Sean Phillips był niewinny. Winter nie. Miał w sobie coś mrocznego, widać nosił pragnienie zemsty. Zupełnie jak ja i Kace. Winter zszedł tu z własnego wyboru. Tak bardzo mu zależało, żeby zobaczyć twoją twarz, kiedy się obudzisz. Kiedy zdasz sobie sprawę, co zrobiliśmy. Niestety, jego czas nadszedł wcześniej.

– Wykorzystaliście go.

– Tak – potwierdziła Mandy. – Okazał się trochę naiwny jak na psychologa, prawda?

– Moim zdaniem był inteligentniejszy, niż sądzisz. Rozgryzł wasz plan, niestety za późno. Ale zostawił mi wiadomość. Przekazał mi, kto go zabił.

– Fantastycznie, cudownie – odparła Mandy. – Tyle że wszystko odkryłeś po czasie. Naprawdę jesteś żałosny, Sheppard, i teraz cały świat to wie. Jesteś oszustem i masz na rękach krew, której nigdy nie zmyjesz. Pokonaliśmy cię.

– Eren wiedział, jak to rozegrać – powiedział Sheppard. – Zdawał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie podejrzewałbym młodej blondynki. Wiedział, że jesteś idealnie w moim typie.

Słyszając to, Mandy zmarszczyła brwi.

– Co? Nie bądź obrzydliwy. Kace i ja się kochamy. Na pewno nie posłużyłby się mną w ten sposób. Nienawidzę cię z tak samo uzasadnionego

powodu co on. Dlaczego nie wierzysz, że to wszystko jest moim planem?

– Bo jesteś tu zamknięta z nami. Prawie mi ciebie żal. – Sheppard zamilkł. Mandy z pewnością zdążyła zauważyć, że się przemieścił. Miał ją prawie na wyciągnięcie ręki. Prawdopodobnie mógłby już teraz złapać i odciągnąć Didżejkę. W każdym razie taką miał nadzieję.

Mandy nie dawała jednak oznak, że dostrzegła jego zakusy.

– Nie masz prawa mi współczuć. Przestań. – Dłoń, w której trzymała nóż przy gardle Didżejki, zaczęła drżeć z wściekłości.

Sheppard zebrał się w sobie. Był gotów.

– Jest mi ciebie żal, bo dałaś się omamić. – Spojrzał Rhonie w oczy i dał jej znak takim samym skinieniem głowy, co chwilę wcześniej. – Zupełnie tak samo jak my.

Rhona bez wahania wbiła zęby w nadgarstek Mandy.

Mandy zawyła z bólu i wyswobodziła rękę. Sheppard rzucił się do przodu, szczęśliwie dość mocno nachylając głowę, by uniknąć wyprowadzonego na ślepo ciosu nożem, i pociągnął Didżejkę w stronę łóżka, bo wiedział, że tam będzie bezpieczna. Ryan zauważył, co się dzieje, przeskoczył łóżko i też ruszył w stronę Mandy.

Dziewczyna ścisnęła nadgarstek, który pokrywał się czerwienią, ale nie zamierzała się poddawać. Ze zwierzęcym wrzaskiem rzuciła się na Shepparda, który nie dość szybko zareagował i dał się przepchnąć do przedpokoju, gdzie oboje przewrócili się na ziemię.

Mandy znalazła się na górze. Sheppard chwycił ją za ranny nadgarstek, co sprawiło, że warknęła z bólu. Upuściła nóż, który z brzękiem upadł na podłogę obok nich, a kiedy Sheppard podążył za nim wzrokiem, dostrzegł Ryana, który na drugim końcu pokoju zdejmował kajdanki Constance. Didżejka wciąż leżała na łóżku oszołomiona.

Sekundę później Mandy ponowiła atak, zaciskając dłonie na jego szyi. Jej chwyt był mocny; z trudem wciągał gęste powietrze, które wypełniło pokój. Na szczęście Mandy była lekka. Zrzucił ją z siebie i popchnął w stronę otwartej garderoby. Uderzyła plecami o ścianę. Doskoczył do niej, biorąc zamach ręką, ale zrobiła unik i wbiła paznokcie w jego nogę. Przeleciał obok i łupnął pięścią w ścianę, która prawie nie stawiała oporu. Płyta gipsowo-

kartonowa, cienka i licha, słaby punkt w konstrukcji pokoju. Wyhamował dopiero wtedy, gdy jego nadgarstek zaklinował się o poszarpany brzeg nowo powstałego otworu.

Usłyszał, jak Mandy dyszy za jego plecami. Sięgnęła za siebie, z pewnością po nóż. Sheppard próbował wyszarpnąć rękę, ale miał wrażenie, że z każdą próbą unieruchamia ją coraz bardziej. Kiedy zerknął przez ramię na Mandy, zobaczył, że zmierza w jego stronę z nożem.

– Mandy... – powiedział, bezskutecznie walcząc ze swoją ręką.

– Nawet nie wiesz, jak długo czekałam, żeby usłyszeć, jak błagasz, jak krzyczysz – odparła, unosząc nóż.

– Nie! – krzyknął Ryan i rzucił się na nią.

Dźwięk jego głosu zaskoczył Mandy, która odwróciła się akurat w chwili, gdy wpadł na nią Ryan. Sheppard wiedział, co się wydarzy, zanim usłyszał krzyk. Widział, jak nóż zatacza łuk i wbija się w brzuch Ryana, kiedy ten chwycił Mandy.

Chłopak zawył.

Mandy nie posiadała się z zaskoczenia.

– Ja nie... ja nie...

Ryan objął brzuch dłońmi. Spomiędzy palców popłynęła krew. Osunął się na kolana.

Mandy uniosła nóż – świeżo przyozdobiony krwią Ryana – na wysokość oczu i znieruchomiała, jakby przetwarzała, co się stało.

Sheppard wykorzystał okazję i z całej siły szarpnął ręką. Wyswobodził się, pozostawiając otwór na pół ściany. Doskoczył do Mandy, przy okazji schylając się po leżące na ziemi kajdanki, i wpadł na nią całym ciężarem ciała. Mandy zakwiliła i ponownie uniosła nóż, ale Sheppard go zignorował i trzymając ją za obie ręce, skupił się w pierwszej kolejności na jej pustej dłoni. Z wyraźnym kliknięciem obręcz kajdanek zatrzasnęła się na



nadgarstku.

Mandy chrapliwie krzyknęła. Nie miała dość siły, by dosięgnąć go ręką trzymającą nóż, ale mimo to udało jej się płytko ranić go w ramię. Wykorzystując moment pomiędzy próbami ataku, Sheppard wykręcił uzbrojoną rękę Mandy za jej plecy, zbliżając ją do drugiej. Dziewczyna miotła się, usiłując go ciąć, aż do chwili, gdy zatrzasnął drugą obręcz; dopiero gdy stal dotknęła jej ugryzionego nadgarstka, z bólu upuściła nóż. Wpadł jej, odbił się z brzękiem od ściany i upadł na ziemię.

– Nie! – ryknęła, zagłuszając stękanie Ryana.

– Co z nim? – spytał Sheppard, spoglądając na rannego chłopaka. Leżał z głową opartą o materac łóżka i spoglądał na swój brzuch. Didżejka przyciskała krawędź kołdry do rany. Materiał, mimo że gruby, już zauważalnie nasiąkał czerwienią.

– Wykrwawia się – oznajmiła.

Mandy porzuciła ludzki język i piekliła się na Shepparda, wydając niemal zwierzęce odgłosy.

*Co teraz? No, co?*

Sheppard otworzył drzwi do łazienki i spróbował wepchnąć za nie Mandy. Ani drgnęła, wyraźnie sparaliżowana przez widok martwych ciał Simona Wintera i Alana Hughesa. Popchnął ją mocniej i wpadła do środka z dłońmi skrępowanymi za plecami.

– Sheppard! – krzyknęła za nim nieludzkim, żądnym krwi głosem, którego miał nigdy nie zapomnieć. Naprawdę pragnęła go zabić. Zawsze taka była, czy to Eren tak wpływał na ludzi? – Może i mi się nie udało, ale wiesz przecież, że on to zrobi! Kace cię zabije! A potem mnie uwolni!

Sheppard zatrzasnął drzwi do łazienki i niemal w tym samym momencie z drugiej strony zaczął dobiegać łomot. Docisnął dolną krawędź drzwi stopą, ignorując krzyki. Poczekał, aż ustaną. Zabrał nogę. Nastął spokój, Mandy

była uwięziona.

Podszedł do Ryana.

– Jak się trzymasz?

Chłopak uniósł wzrok i poruszył ustami, z których jednak nie wydostał się żaden dźwięk.

– Sheppard, on umiera – oznajmiła Didżejka, której dłonie były oblepione czerwoną krwią. – Musimy powstrzymać krwawienie. Musimy sprowadzić pomoc.

Sheppard pomógł jej uciskać ranę.

– Nie mamy jak. Nie wiemy, jak stąd wyjść.

– Wiemy, kto zamordował Wintera. Czy to nie oznacza, że gra się skończyła? – powiedziała Didżejka.

– Nie wiem.

Wypowiadając te słowa, coś usłyszał. Ciszę, która dotychczas ich otaczała, zastąpił cichy szum.

Sheppard powoli odjął dłonie od rany i wstał. Obszedł Ryana i Didżejkę, żeby spojrzeć na zegar.

Trzy minuty. Dwanaście sekund.

Obserwował.

Cyfry się nie zmieniały. Odliczanie ustało.

Sheppard wziął głęboki oddech, po czym energicznie wydmuchnął powietrze, żeby rozładować panikę.

– Zegar chyba stanął. I wydaje mi się, że włączyły się wentylatory. – Spojrzał w dół na Didżejkę i Ryana. Głowa chłopaka kołysała się na boki, a spomiędzy jego ust wydobywały się ciche jęki. Didżejka nie patrzyła jednak na niego, tylko do wnętrza garderoby.

Sheppard stanął naprzeciw niej i spytał:

– O co chodzi?

Wewnątrz garderoby, za zniszczonym fragmentem fałszywej ściany z płyty gipsowo-kartonowej, widać było ceglany mur. Jedna z cegieł się obluzowała i za powstałą szczeliną Sheppard dostrzegł pustą przestrzeń.

– Chyba jest luźna – powiedział, wpatrując się w nią. Uniósł nogę i kopnął w mur. Ze starych cegieł posypał się pył, ale nic się nie poruszyło.

Sheppard zignorował lekkie ukłucie bólu w stopie i ponowił atak. Nadał nic.

Jęki Ryana popychały go do działania, więc uparcie kopał, aż wreszcie – z satysfakcjonującym tąpnięciem – ściana ustąpiła.

Okazało się, że znajduje się za nią niewielka przestrzeń. A w niej – drabina. Sheppard wsunął głowę w otwór, który wybił, i spojrzał w górę. Było ciemno, ale drabina pięła się w górę, w mrok. Odwrócił się do Didzejki.

– Drabina. Myślę, że prowadzi do wyjścia.

Dziewczyna znajdowała się w stanie, który nie pozwalał na uśmiech, ale Sheppard dostrzegł, że na jej twarzy pojawił się prawie niezauważalny cień ulgi. Częściowo ściągnęła kołdrę na ziemię, żeby przycisnąć jej suchy fragment do rany Ryana.

– Musisz iść – poleciała. – Ściągnij pomoc. Ryan już długo nie wytrzyma.

– Ale nie mogę cię tu zostawić...

– Sheppard – warknęła Rhona. Wyglądała o wiele doroślej niż jeszcze chwilę temu. – Musisz iść. Chciałeś nas uratować. Więc nas uratuj.

Sheppard niechętnie pokiwał głową. Jeszcze raz przyjrzał się Ryanowi, ten jednak ledwo odwzajemnił jego spojrzenie. Odniósł wrażenie, że chłopak też skinął głową, ale mógł to być wytwór wyobraźni Shepparda.

– Postaram się wrócić jak najszybciej – oznajmił.

– Idź – poleciała niecierpliwie Rhona.

Sheppard wszedł do garderoby i precyzyjnie przesunął się przez otwór w ścianie. Chwycił pierwsze szczeble drabiny, były chłodne i mocne. Nareszcie, koniec.

Dlaczego więc nie odczuwał większej ulgi?

Głównym uczuciem, które go przepełniało, kiedy zaczął się wspinać, był strach.

*Dawniej...*

Była dziewiąta rano, kiedy Kace Carver pojawił się w holu Zakładu Karnego Pentonville. Za bardzo oswoił się z tym miejscem. W jego białych ścianach, wśród poplamionych dywanów i wytartej tapicerki czuł się prawie jak w domu. Hol był nieduży i ciasny, a biurko recepcjonistki stało za grubą plastikową płytą. Kace podszedł do okienka i w wąską szczelinę nad blatem wsunął dokument potwierdzający zgodę na odwiedzin.

– Do Iana Carvera – powiedział, nie zaszczycając spojrzeniem osoby siedzącej przy biurku za szybą.

Za każdym razem odbywało się to tak samo. Nie bawił się w uprzejmości. Musiał odczekać chwilę, aż system potwierdzi autentyczność przepustki i rozpocznie się wielka farsa. Strażnik przeszuka go, prześwietli mu rzeczy, a na koniec wprowadzi do pokoju jeszcze bardziej zaniedbanego niż ten, w którym stał teraz. Wypełnionego stołami, krzesłami i więźniami wypatrującymi swoich bliskich. Nienawidził tego pomieszczenia. To, co się tu działo, było żalosne, słabe. Brak nadziei zamykał ich wszystkich w próżni.

– Hmm... – powiedziała kobieta za szybą.

Coś nowego. Zwykle odbywała się inaczej. Kace spojrzał na nią. Gruby plastik trochę zniekształcał jej rysy. Starsza kobieta w szarawym mundurze. Nad lewą piersią broszka w kształcie pawia. Zapewne w konflikcie

z regulaminem.

– Przepraszam, panie Carver, mógłby pan chwilę poczekać?

Wskazała dłonią w stronę siedzeń, a Carver podążył za jej gestem. Nie usiadł. Zastanawiał się, co mogło się kryć za tym „hmm...”.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę telefonu, wybrała numer i zakryła usta wolną dłonią. Kace nie słyszał, o czym rozmawia.

Stał nieruchomo, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z kobiety. Po pewnym czasie recepcjonistka zakończyła niesłyszalną konwersację i uśmiechnęła się do niego.

– Proszę poczekać kilka minut, panie Carver.

– Mogę wejść?

– Przyjdzie do pana oficer dyżurny, panie Carver. Proszę usiąść.

Kace został na nogach. Wpatrywał się prosto w recepcjonistkę, aż kilka minut później zza narożnika wyłonił się niski szczupły mężczyzna w garniturze. Sprawiał wrażenie bardzo zakłopotanego, jakby miał za chwilę ulec samozapłonowi. Na pewno nie był strażnikiem – na pierwszy rzut oka widać było, że nie potrafiłby upilnować nawet własnego dziecka.

– Panie Carver... – przywitał się mężczyzna, wyciągając drżącą dłoń.

Kace ją ujął. Zimna i lepka. Działo się coś złego.

– Nazywam się Evan Wright i zajmuję się w Pentonville kontaktem z rodzinami. Zapraszam do mojego gabinetu.

– Wolałbym zobaczyć się z ojcem.

Evan Wright odpowiedział nerwowym uśmiechem i wskazał gestem dłoni na korytarz.

– Proszę.

Kace nie miał większego wyboru, więc podążył za urzędnikiem do niewielkiego biura pełnego szafek z szufladami i stert dokumentów.

Mężczyzna wślizgnął się na krzesło za biurkiem i natychmiast się

uspokoił. Błat oddzielający go od drugiego człowieka sprawił, że wszystko wróciło do normy. Kace usiadł.

– Kiedy ostatni raz widział się pan z ojcem, Ianem Carverem? – spytał Wright.

– Tydzień temu. Podczas weekendowej wizyty. Czy coś się stało?

– I jak by pan określił jego zachowanie? – spytał Wright, ignorując pytanie Kace’a.

– Jako normalne. Jest w więzieniu. Zachowywał się normalnie. Może mi pan powiedzieć, o co chodzi? – Kace zaczynał się irytować, a wiedział, co się z nim dzieje, kiedy się wścieka. W jego głowie rozbrzmiały słowa doktora Wintera: „Wykorzystaj tę złość. Nie daj się kontrolować. To ty kontrolujesz ją”.

Wright uniósł dłoń, jakby przewidział wybuch złości Kace’a. Po chwili ją opuścił i ułożył usta w ten sam przelotny, smutny uśmiech, co przed chwilą.

– Przez ostatni tydzień pański ojciec zachowywał się bardzo dziwnie. Dawniej zwykle wykonywał polecenia. Trzymał się też z dala od... jak by to ująć... barwniejszych postaci Pentonville. W ostatnim tygodniu jednak zaczął wchodzić w konflikty z tymi ludźmi... Więzienia to dziwne miejsca. Upływ czasu nie do końca podlega tu zwykłym prawom. Obrót spraw może się zmienić z minuty na minutę. Pański ojciec zaczął robić sobie wrogów. Groźnych wrogów.

– Dlaczego?

– Mieliśmy nadzieję, że dowiemy się od pana.

– Nie. On... Jemu... – Kace szukał odpowiednich słów, ale mu umykały. – Jemu nic nie dolegało.

– O ile dobrze rozumiemy, miał kryzys psychiczny.

– O ile dobrze rozumiecie? To wy prowadzicie to więzienie. Po prostu go spytajcie! – odpowiedział.

Znów ten uśmiech. I to był ten moment, w którym Kace zrozumiał. Nie spytali Iana Carvera, co się z nim dzieje, bo Iana Carver już nie było.

Wright odchrząknął i po raz kolejny przeskoczył wzrokiem z Kace'a w przestrzeń, jakby spoglądał na niewidoczną listę pytań do zadania.

– Z tego, co wiemy, niedawno była rocznica śmierci pańskiej matki? Może dlatego pan Carver zaczął się zachowywać w sposób tak... nieprzewidywalny...? Przykro mi, ale pański ojciec posprzeczał się...

– Posprzeczał się? – Kace prawie się roześmiał.

Jezu, jakim ten Wright był tchórzem. Nawet nie potrafił spojrzeć mu w oczy, nie mówiąc już o nazwaniu po imieniu tego, co się stało jego ojcu.

– Tak – potwierdził Wright. – Pański ojciec pobił się z kilkoma innymi więźniami i...

– Nie żyje – Kace dokończył za niego, błagając w myślach, żeby mu zaprzeczył. Zamiast tego Wright po prostu spojrział mu w oczy.

– Bardzo mi przykro.

– Przykro? – spytał Kace, zdziwiony, że zamiast krzyku z jego gardła wydobył się szept. – Jest panu przykro? A gdzie byli w tym czasie strażnicy?

– Przeprowadzimy pełne dochodzenie w celu odkrycia, dlaczego do tego doszło.

– Kto to zrobił?

– Słucham?

– Kto zabił mojego ojca?

– Przykro mi, ale nie mogę panu tego powiedzieć.

– Żądam, żeby powiedział mi pan, kto zabił mojego ojca.

Coś uprzednio zwiniętego w kłębek rozprostowało się wewnątrz Kace'a, jakieś stworzenie, które od bardzo dawna pozostawało uśpione. Niepohamowana wściekłość. Sprawiała, że miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Miał ochotę wyć. Jego ojciec nie żyje.



– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby dowiedzieć się, jak doszło do tej sytuacji. Proszę przyjąć najszczerze kondolencje ze strony zakładu karnego w Pentonville. Może pan liczyć na wszelką pomoc z naszej strony.

Kace wstał.

– Mój ojciec nie żyje – oznajmił, przysuwając krzesło do biurka. – Nic mnie już z państwem nie łączy.

Wymaszerował z biura, ignorując Wrighta, który krzyczał za nim coś o szczegółach sprawy, dalszych pytaniach i dochodzeniu. Wyszedł z recepcji, nie reagując na błagania recepcjonistki, która chciała, żeby podpisał jakieś formularze i się wypisał. Przeszedł przez całą szerokość parkingu do swojego samochodu, mijając po drodze innych odwiedzających, którzy szli zobaczyć się ze swoimi wciąż żyjącymi bliskimi.

Przez dłuższy czas siedział nieruchomo w samochodzie. Nic nie mówił, prawie nie oddychał. Był chłodny dzień, a po tym, co usłyszał, zrobiło mu się jeszcze zimniej. Jego ojciec nie żył. Osierocił Kace'a w wieku trzydziestu czterech lat. Dlaczego tak bardzo go to dotknęło? Został sam. Przez dłuższy czas siedział nieruchomo w samochodzie.

Po prostu siedział.

I w pewnej chwili się roześmiał.

Ciągnęła się w nieskończoność. Jakby usiłował wydostać się z piekła. Za każdym razem, kiedy stawiał stopę na kolejnym stalowym szczeblu drabiny, jego łydka odzywała się tępym bólem w miejscu, gdzie Mandy wbiła w nią paznokcie. Z dołu dobiegały go głosy Ryana i Didżejki. Nie podobało mu się, że ich zostawił, ale nie miał innego wyjścia.

Czuł się tak, jakby znalazł się na powrót w kanale wentylacyjnym. Powietrze było tu rzadsze niż w pokoju. Wspinanie się po drabinie wymagało wiele wysiłku.

Kiedy tylko popadł w rutynę – wysiłek, ból, wysiłek, ból – prawie uderzył głową we właz. W ciemności był zasadniczo niewidzialny – pozbawiona cech rozpoznawczych pokrywa zasłaniająca koszmary, które odbywały się poniżej.

Wyczuł ją w ostatniej chwili i się zatrzymał, po czym wyciągnął rękę nad głowę. Wymacał coś chłodnego i twardego. Przeciągnął po przeszkodzie palcami i odkrył, że pośrodku znajduje się stalowy okrąg. Chwycił go obiema dłońmi i rozłożył ciężar ciała tak, żeby nie spaść. Naparł na koło, które początkowo stawiało opór, ale po kilku sekundach zaczęło się obracać. Kręcił, aż poczuł, że właz się odblokowuje, po czym popchnął go do góry.

Poczuł, jak pokrywa się porusza – zaczyna się otwierać nad jego głową – ale była cięższa, niż się spodziewał i musiał włożyć całą siłę w to, by

przepchnąć ją na drugą stronę. Otworzyła się do końca i oparła o coś, tępo zgrzytając.

Odetchnął głęboko zimnym świeżym powietrzem i wystawił głowę na zewnątrz. Na oko znajdował się w wąskim, klaustrofobicznym pomieszczeniu gospodarczym o kamiennych ścianach. Wyglądało na wybudowane w pośpiechu. Przez szczeliny pomiędzy niedokładnie spasowanymi kamieniami prześwitywało światło.

Sheppard wydostał się z włazu, podciągając się na łokciach, i mimowolnie westchnął, stawiając stopy na twardej ziemi. Przeciągnął dłonią po kamieniach tworzących jedną ze ścian. Były chłodne i szorstkie w dotyku. Wywoływały w nim uczucie realności, silnie kontrastujące ze wszystkim innym, z czym miał dziś do czynienia.

Drzwi były drewniane i zbutwiałe, lekko przekrzywione. Na tylnej ścianie wisiał zapleśniały plakat przedstawiający rozmawiającego żołnierza.

„Nie trzymał języka za zębami... i stało się. Nierozważne rozmowy kosztują życie”.

Druga wojna światowa. Schron z czasów drugiej wojny. Najwyraźniej to miejsce to schron przerobiony na atrapę hotelowego pokoju. Dał się nabrać, ale do licha, nawet facet, który pracował w tym hotelu, nie wyłapał różnic. Staranność odwzorowania była niewiarygodna. Idealna kopia pokoju hotelowego w centrum Londynu, gdzie powinny ich otaczać tysiące ludzi. A tymczasem byli zamknięci pod ziemią w jakimś bezpostaciowym schronie. Sheppard zaczął się zastanawiać, ile czasu Eren potrzebował na realizację tego planu i nie mógł uwierzyć, że ktoś włożyłby w to tyle wysiłku. Przebudowanie wnętrza schronu, zaaranżowanie szeregu porwań, utrzymanie ich pod narkozą do chwili, gdy powinni się obudzić, rozmieszczenie tropów...

Naszła go przerażająca myśl.

*Eren musi go naprawdę nienawidzić.*

Sheppard podszedł do drzwi i delikatnie je otworzył. Wnętrze budynku zalało światło dnia. Tak jasne, że oślepiło go na kilka sekund. Osłonił oczy i wyjrzał na zewnątrz. Bujna, zielona łąka. Letni dzień, lecz nie tak jasny i wietrzny jak ten wyświetlany na ich potrzeby na ekranach w schronie. Chłodniejszy, bledszy. Kiedy przestąpił próg, poczuł na twarzy powitalne smagnięcie wiatru. Usłyszał skrzek mew i wyczuł w powietrzu zapach soli. Spojrzał w stronę, z której dochodziły dźwięki i zobaczył, jak para mew wyłania się zza wyniesionej krawędzi łąki, gdzie trawa sięgała wyżej i rosła w kępach. Czyżby byli nad morzem?

Spojrzał w drugą stronę. Same łąki. Postanowił, że najrozsądniej będzie wejść na wzniesienie i ruszył przed siebie. Kierował się intuicją. Wiedział jednak, że jego intuicja jest niewiele warta. Był idiotą i wszyscy to wiedzieli. W szczególności Eren.

Gdzie był?

Wiedział, że w Wielkiej Brytanii. To było wrażenie podobne do tego, które miało się we własnym domu: specyficzny zapach, charakterystyczne doznania nie pozostawiały wątpliwości. Gdzie jednak konkretnie się znajdował, nie miał pojęcia.

Wspinając się na wzniesienie, usłyszał więcej mew, a kiedy spojrzał w górę, dostrzegł, jak przecinają niebo z ciemnymi chmurami. Dwa ptaki na zmianę nurkowały i wykonywały akrobacje, dotrzymując sobie tempa. Wolne. Ale nie samotne.

Zanim się zorientował, dotarł na szczyt wzniesienia. Ziemia pod jego stopami zrobiła się jeszcze bardziej nierówna i niestabilna. Spojrzał w dół i zobaczył, że stoi na piasku.

Tak, jak się spodziewał, teren schodził ku plaży, która ciągnęła się po horyzont. Nadchodzący przypyływ sprawiał, że pas piachu szybko się zwężał,

znikał pochłaniany przez morze. Słabe światło odbierało scenie uroku, ale Sheppard i tak miał wrażenie, że nigdy nie widział nic piękniejszego ani nie czuł się bardziej żywy.

Idealny widok.

Aż do chwili, gdy...

Dojrzał kogoś. Małą sylwetkę człowieka stojącego na plaży. W odległości może półtora kilometra. Wiedział, kim jest ta postać.

I wiedział, że czeka na niego.

*Dawniej...*

Winterowi nie podobało się, że są u niego w domu. Nie chodziło o Erena, bo, rzecz jasna, bywał tu wcześniej, ale o to, jak się zachowywali razem z tą dziewczyną. Siedzieli przy stole w kuchni, którego blat pokrywały różne papierzyska. Na wprost Erena spoczywał duży, odręcznie narysowany plan pokoju hotelowego, który przygotował Winter, przebywając w hotelu Great.

Naprzeciw niego i Phillips leżały rozłożone w wachlarz profile kandydatów – prawdziwych osób, spośród których kilkoro miało lada dzień wziąć udział w grze, której nie mieli szans zrozumieć. Winter spędził ostatnie pięć godzin, przeglądając ich życiorysy.

– Wszystko gotowe? – spytała Phillips znudzonym głosem.

Eren się uśmiechnął.

– Chyba tak. Simon, przedstawisz nam listę szczęśliwców?

Winter poczuł w ustach smak obrzydzenia.

– Odstąpię ci ten zaszczyt – powiedział i podsunął Erenowi plik dokumentów.

– Miałem nadzieję, że to powiesz. – Eren się roześmiał i podniósł pierwszą kartkę. Obrócił ją i pokazał pozostałym, jakby przedstawiał coś klasie. Było do niej przypięte zdjęcie Phillips. Tekst opisywał jej pochodzenie i historię niczym karta postaci w jakiejś grze RPG.

Phillips się uśmiechnęła.

– A oto nasza Amanda Phillips, podwójny agent. Jej zadaniem będzie dbać o to, by gra toczyła się założonym torem. Ty, Mandy, jesteś najważniejszym elementem układanki. Musisz zostać sprzymierzeńcem Morgana, przekonać go, że może ci ufać. Spodobasz mu się, jesteś młoda i ładna. A on głupi. W życiu nie będzie cię podejrzewał, chyba że zrobisz coś, co zdradzi twoją uprzywilejowaną pozycję.

– Nie zawiodę cię – oznajmiła Phillips i położyła dłoń na ramieniu Erena.

Winter zwrócił uwagę, że ten gest pojawiał się coraz częściej. Starali się to przed nim ukryć, ale widział. Ich znajomość nabrała romantycznego charakteru, całkiem możliwe, że już wiele tygodni temu. Był przekonany, że początkowo oboje po prostu wykorzystywali się nawzajem. Teraz jednak widać było jak na dłoni, że Phillips naprawdę się zadurzyła. Eren też to dostrzegał.

– Następny – powiedział Eren, podnosząc drugą kartkę. – Ryan Quinn. Chłopak, który pracuje w hotelu Great, więc będzie go najtrudniej zwieść. Ale jego obecność jest ważna, podtrzyma iluzję, jeśli ktokolwiek inny zacznie podejrzewać, że nie są w hotelu. Jeśli nabierzemy Ryana Quinna, nabierzemy i pozostałych.

– Następna jest Constance Ahearn. Szukaliśmy z Simonem kogoś, kto mógłby przysporzyć trochę kłopotów. Być może kontakt z chorobą psychiczną wyciągnie na światło dzienne ciemną stronę Morgana. Ahearn będzie postępować w desperacki sposób i pociągnie za sobą pozostałych. Tu jest największe wyzwanie dla ciebie, Mandy. Ahearn jest kompletnie niestabilna, co oznacza, że będziesz mogła posłużyć się nią, jeśli sprawy przybiorą zbyt spokojny obrót. Jednym z twoich głównych zadań będzie nie odstępować jej na krok, stać się jej aniołem na ramieniu i podszeptywać jej różne rzeczy. Cokolwiek. Sheppard nie toleruje wariatów, ale jeszcze

bardziej nie lubi sam radzić sobie z problemami. Jeśli ci zaufa, na pewno przekaże Ahearn pod twoją opiekę.

Eren i Phillips się roześmiali. Winter też spróbował się uśmiechnąć. Ale nie potrafił. To stawało się zbyt rzeczywiste.

– Następny w kolejce: Alan Hughes.

Winter wstrzymał oddech – dodanie Hughesa do listy było jego próbą wepchnięcia kija pomiędzy szprychy. Hughes był prawnikiem mocno oddanym swojej pracy, czego Winter się dowiedział, analizując jego udział w sprawie MacArthura. Istniała możliwość, że odkryje zabójcę, jeśli Sheppardowi się nie uda. *Bo tego zacząłeś chcieć, prawda? Chcesz, żeby Sheppard wygrał?* Sam już nie wiedział. Ale to wszystko działo się za szybko i zaczynał podejrzewać, że sprawy wymkną się spod kontroli. Jasne, wyglądało na to, że Eren nad wszystkim panuje. Ale...

*No, dalej. Przyznaj to.*

Ale Eren był psychicznie chory.

Dostrzegł to zbyt późno. Eren doskonale odgrywał swoją rolę, może nawet lepiej niż Morgan. Wintera przestało dziwić, że przyjaźnili się w szkole. Byli przeciwnymi stronami tej samej monety.

– Hughes będzie ostoją dla pozostałych i na pewno stanie w opozycji do Shepparda. Myślę, że dostarczy nam sporo zabawy. – Eren spojrzał na Wintera i uśmiechnął się szeroko. – Dobra propozycja, Simon.

Winter zaszurał krzesłem do tyłu i wstał.

– Muszę pójść na górę po akt własności ziemi.

Beznadziejne kłamstwo. Pozostali i tak wiedzieli, dlaczego musiał wyjść z pokoju. Następną kartkę, którą Eren podniósł już ze stołu. *Rhona Michel... to twoja wina, to twoja wina.* Dlaczego powiedział Erenowi?

– Nie ma sprawy – powiedział Eren. – Ale wiesz, że nie mamy wyjścia. Widziała z nich wszystkich najwięcej. Szkoda, że nie zamknąłeś drzwi...



Biedna Rhona...

– Nie wymawiaj jej imienia – powiedział szybko Winter. – Nie chcę tego słuchać.

Obszedł stół i wyszedł z kuchni najszybciej, jak potrafił. Kiedy znalazł się w korytarzu, zatrzasnął drzwi do kuchni i oparł się o nie plecami, a po jego policzkach zaczęły spływać łzy.

W co on się wpackował? W co on ich wszystkich wpackował? Zgotował piekło tym Bogu ducha winnym ludziom. Czy mógł cokolwiek zaradzić? Czy naprawdę mógł to powstrzymać? Był za mocno uwikłany. Udając się na policję, żeby ujawnić plan Erena, musiałby się przyznać do własnego udziału. A nie mógł pójść do więzienia.

– Poszedł sobie? – głos Phillips. Bardzo cichy. Zza drzwi. – Chyba słyszałam, jak idzie na górę.

– Trochę tam zostanie. – Eren. – Wszystko przez tę dziewczynę, Michel. Nie może znieść konsekwencji swoich działań. Wydaje mi się, że jest bliski załamania. Musimy coś z nim zrobić.

– Chodzi o to, żeby przypomnieć mu, dlaczego tu jest? – Phillips.

Eren odchrząknął i odezwał się tak cicho, że Winter musiał wyteńczyć słuch.

– Nie. On teraz działa przeciwko nam. Nie rozumiem, dlaczego wybrał tego Hughesa.

– To po prostu pozbadźmy się Hughesa z pokoju.

– Obawiam się, że na tym etapie to już niemożliwie. Poza tym możemy obrócić kwestię Hughesa na naszą korzyść. Tak sądzę. Jest jednak coś, na co nie mamy wpływu... nastawienie Simona.

– Czyli co robimy? – spytała Phillips.

– Myślę, że tak naprawdę, to wiesz – odparł Eren, a Winter wiedział, że się uśmiecha. – W końcu nie wybraliśmy jeszcze, kto będzie ciałem.

Winter zaczął się trząść w niekontrolowany sposób, tak mocno, że musiał się odsunąć od drzwi. Planowali go zabić. Jego rola w grze uległa zmianie. Musiał się wydostać, uciec, znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tu. Miał umrzeć.

Ale dokąd mógł się udać? Wiedzieli, gdzie mieszka; Boże, przecież siedzieli w jego kuchni. Gniew Erena... Czy naprawdę sądził, że w całości skupi się na Morganie? Przecież Winter pracował z nim od lat, znał jego najgłębsze, najczarniejsze sekrety. Mógł wyjechać na drugi koniec świata, a Eren i tak by go znalazł. A gdyby nie – jakimś cudem – wiedziałby, gdzie szukać Abby. Ba, już ją znalazł. Wcześniej podsłuchał, że Phillips zdobyła pracę w tej samej kawiarni, co ona.

Eren miał go w garści.

Bezgłośny płacz Wintera miał teraz nowe źródło – strach. Co mógł zrobić, żeby się uratować? Żeby uniemożliwić Erenowi skrzywdzenie wszystkich tych ludzi? A potem naszała go myśl tak dziwaczna, że prawie chora. Nie mógł uratować i siebie, i innych, ale mógł pomóc Morganowi. Tak, bo nieważne jak dobrze znał Erena, Morgana znał lepiej. Musiał istnieć sposób, by przekazać mu wiadomość.

*Ale to znaczy...* Tak. *To znaczy, że musisz zginąć.* Może to była cena... nie, nie cena. Może to była jego nagroda. Za to, że do tego stopnia dał się opanować złości. Za to, że przeistoczył się w coś odrażającego. W potwora. Eren i ta idiotka Mandy Phillips. Chciał sobie wmówić, że go wykorzystali, ale w rzeczywistości im pomagał. Biegł przed siebie tak szybko, że nie nadążało za nim sumienie. Może to był naturalny koniec.

Abby będzie bezpieczna. To było najważniejsze. A on nareszcie, po raz pierwszy, zrobi nie to, na co ma ochotę, tylko co powinien.

*Ale czy jesteś w stanie? Będziesz potrafił tam zejść, mając świadomość, że idziesz do grobu?* Nie. Ale będzie potrafił, mając świadomość, że robi

dobrze.

Winter otarł oczy chusteczką i poczuł, jak opada na niego niczym cienkie prześcieradło w letnią noc aksamitne poczucie ostateczności. To był początek końca.

Pozostało opracować plan.

Zanim zebrał dość siły woli, by wrócić do kuchni i dołączyć do ludzi, którzy mieli go zabić, wiedział już, co zrobi.

Carver przysunął notatnik z podkładką bliżej lampki na stoliku nocnym. Pierwsze wrażenia były najważniejsze, najdrobniejszy błędny szczegół mógł wszystko zepsuć. Dlatego właśnie zachował wyjątkową staranność. Wiele razy wynajmował pokój w hotelu Great i zrobił tysiące zdjęć, które zanudziłyby nawet najbardziej entuzjastycznego fotografa. Nawet wszystko wymierzył: odległość pomiędzy notatnikiem a lampą, pomiędzy telewizorem a menu śniadaniowym, inne banalne szczegóły, które w oderwaniu od pozostałych nie przyciągnęłyby niczyjej uwagi. Jako element większej całości mogły jednak mieć znaczenie – mogły popsuć iluzję.

Amanda pracowała „na zewnątrz” i ustawiała jeden z ekranów, które miały wyświetlać centrum Londynu widoczne z za okna. Nie wierzyła, że to podziała, ale Carver ją przekonał, przygotowując miniaturowy model. Teraz znów podchodziła do tego sceptycznie. Duży wklęsły ekran umiejscowiony za oknem dawał wrażenie głębi. Amanda ustawiała kolejny, sąsiadujący, który miał wyświetlać ten sam obraz. Przypominało to dawną scenografię telewizyjną – powiedzmy, kuchnię z oknem wychodzącym na ogród. Trzeba było przewidzieć każdy kąt, z którego członek widowni mógł spojrzeć przez okno, i stworzyć odpowiednio dużą połąć ogrodu. Konstrukcja z ekranów dawała iluzję przebywania wśród londyńskich wieżowców. Wyświetlany obraz był transmitowany na żywo w połączeniu z wysokiej jakości nagraniem audio z prawdziwego pokoju w hotelu Great, dzięki czemu

Sheppard i spółka będą słyszeli wszystkie przytłumione dźwięki ruchu ulicznego, samolotów i miasta. Wszystko to był pic na wodę, ale wyglądało to zaskakująco dobrze – bardziej niż przekonująco.

– Jesteś pewien, że to podziała? – spytała Mandy, przerzucając nogi przez „okno” i przyglądając się owocom swojej pracy. – Ja tu widzę kilka ekranów pokazujących Londyn. Tak, łączą się i wyglądają i brzmią okej. Ale to wciąż tylko ekrany.

– Widzisz ekrany, bo wiesz, że nimi są – powiedział Carver. – Nasi goście będą w stresie, największym, jaki dotychczas przeżyli. Ich mózgi będą działać przeciwko nim, wypełniać luki. A ty będziesz musiała udawać. – Carver podszedł do Mandy i delikatnie zakrył jej oczy dłońmi. Roześmiała się jak uczennica (wzdrygnął się z obrzydzenia). – Zastanów się teraz – powiedział, po czym zabrał dłonie. – Co widzisz?

– Londyn – odparła z przesadnym tryumfem.

Podskoczyła i pocałowała Carvera w policzek.

Zmusił się do uśmiechu. Wiadomo, że nie był pewien – ani tego, ani niczego innego. Każdy element ich planu mógł zaszwankować w dowolnym momencie. Ekrany. Ciało. Nóż. Telefony. Nawet Mandy. Z trudem ją znosił, ale jej ufał – był zdania, że sobie poradzi. Już tamtej nocy, kiedy spotkali się pierwszy raz w klubie, wiedział, że znalazł odpowiednią osobę. Ale mimo wszystko trochę się niepokoił.

Winter wbijał gwóźdź w ścianę. Kiedy skończył, zawiesił na nim obraz, który sam zaproponował. Carver się zgodził, rzecz jasna – trafiał w jego makabryczny gust. Winter twierdził, że w prawdziwym pokoju, który odwiedził, wisiał obraz przedstawiający spokojny strumień w letni dzień. Ten dużo lepiej pasował do sytuacji.

Mandy przyjrzała mu się.

– Jezu, gdzie to znalazłeś?

– Sąsiad wyprzedawał starocie – Winter wzruszył ramionami. – Przyciągnął moje oko.

Mandy uniosła dłoń i przeciągnęła po zaschniętej farbie.

– Nie dziwię się.

Winter się roześmiał.

– Nie mogę przestać na niego patrzeć. Nie wiem, co mnie bardziej przeraża: uśmiech stracha na wróble, czy to, że na piętrze tego domu pewnie są dzieci i palą się żywcem, podczas gdy strach przygląda się, jakby nigdy nic.

Carver uniósł brew. Mandy też sprawiała wrażenie, jakby jego słowa na nią podziały.

– Wiesz co, chyba ci ukradnę tę historię – powiedziała.

– Ależ proszę – uśmiechnął się Winter.

Carver odchrząknął.

– Simon, zajrzysz do łazienki i upewnisz się jeszcze raz, że wszystko jest w porządku?

– Sprawdzalem już trzy razy. Wszystko jest jak należy. Wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Po prostu zrób to, proszę.

Winter zmarszczył brwi, ale podreptał do łazienki. Kace słyszał, jak drzwi otwierają się i zamykają. Winter miał rację – spędził w tej maleńkiej łazience mniej więcej sześć godzin. Okazał się zaskakująco umiejętnym hydraulikiem. Carver od początku wiedział, że będzie potrzebował działającej toalety i umywalki. Wanną nie musiał się przejmować, bo na pewno nikt nie będzie chciał brać prysznic, ale pozostałe elementy wyposażenia musiały być podłączone. Nawet jeśli pozostali nie będą mieli potrzeby z niej korzystać, trzeba było wziąć pod uwagę Shepparda, który będzie przechodził objawy odstawienia alkoholu i narkotyków. Pewnie

zwymiotuje, i to nie raz.

Carver wyrównał plik kartek przypiętych klipsem do podkładki i ułożył obok notatnika długopis, który wyjął z kieszeni. Obok Biblii stanowiącej podstawowe wyposażenie pokoi hotelowych niezależnie od standardu. Każdy hotel zakładał, że gość jest chrześcijaninem. Carverowi zawsze wydawało się to urągające, tym razem jednak liczył, że może Biblia pomoże sprowokować szaleństwo Constance Ahearn i popchnąć sprawy do przodu.

– Wygląda na to, że jesteście gotowi – oznajmiła Mandy, rozglądając się po pokoju i potwierdzając, że wszystko jest na miejscu.

– Tak – odparł Carver. – Została ostatnia rzecz.

Po cichu wyciągnął nóż spod jednej z poduszek leżących na łóżku. Podał go Mandy, rękojeścią do przodu.

– Czyli zaczynamy – stwierdziła Mandy. Carver odniósł wrażenie, że słyszy w jej głosie ślad podniecenia. – Tyle się naplanowaliśmy. – Ujęła nóż i przyjrzała mu się w świetle pokojowej lampy.

– Wiesz, że mogę zająć się tym za ciebie, prawda? I sprawić, żeby wyglądało, jakbyś ty to zrobiła?

Spojrzała mu w oczy; zobaczył, że pomyliła jego troskę, by wszystko potoczyło się zgodnie z planem, z chęcią oszczędzenia jej trudnego przeżycia.

– Poradzę sobie – odparła Mandy. – Wierzysz we mnie, prawda?

– Oczywiście – potwierdził Carver i ją pocałował.

– Tutaj wszystko w porządku – zza ściany dobiegł stłumiony głos Wintera.

Mandy i Carver tylko wymienili spojrzenia. Kace skinął głową. Mandy odpowiedziała tym samym.

Słowa były zbędne.

Sheppard rozważał, czy nie zawrócić, nie pójść w przeciwną stronę. Wiedział jednak, że to nic nie da. Że musi stawić czoła mężczyźnie czekającemu na plaży – że tak kończy się ta historia.

Zszedł po wydmach. Prawie się przewrócił, kiedy luźny piasek rozstał się pod jego stopami. Przyśpieszył kroku, żeby jak najszybciej znaleźć się na pewniejszym gruncie. Piasek przy linii wody był twardszy i łatwiej się po nim szło. Mimo to najchętniej po prostu osunąłby się na niego. Fale wyczerpania przetaczały się po nim, ale był przekonany, że ma dość sił, by dotrzeć do czekającej na niego postaci.

Sheppard wyciągnął z kieszeni komórkę Wintera. Brak zasięgu. Zaklął pod nosem; wreszcie wy dostał się z tej dziury, ale nadal nie mógł zadzwonić. Mimo wszystko wybrał 999. Nic. Gdzie był? Musiał szybko znaleźć jakiś działający telefon, inaczej Ryan umrze. A skoro wedle wszelkiego prawdopodobieństwa najbliższym posiadaczem działającego telefonu był Eren, Sheppard kontynuował marsz w jego stronę. Wiedział, że w pewnym sensie zasłużył na to. Nikt więcej nie ucierpi z jego powodu.

Tak długo nie dopuszczał Erena do myśli. Zamiótł to, co zrobił, pod dywan przyjemnych wspomnień, nałogów, późnych nocy i późniejszych poranków, niezliczonych odcinków programu. Eren był tylko duchem nawiedzającym mechanizmy jego umysłu.

Czy będzie w stanie wrócić do siebie, jeśli to przeżyje? Pogrzebać w myślach podrabiany pokój hotelowy tak samo, jak pogrzebał Erena? Wszystko, co zdarzyło się dzisiejszego dnia, było koszmarem, który wrył się głęboko w jego psychikę. Ludzie z bunkra... Sprawiali wrażenie wytworów wyobraźni, pęknięć podświadomości. Czyżby myślał, że w miarę upływu czasu zdoła sobie wmówić, że rzeczywiście nimi są? Podobnie, jak nabrał dogłębnego przekonania, że to on rozwiązał zagadkę zabójstwa pana Jefferiesia? Co się po tym wszystkim stanie z życiem Morgana Shepparda?

Może śmierć tu, na piasku, byłaby stosownym jego zakończeniem. Dopiskiem na ostatniej stronie. Ociągał się. Nogi zdawały się namawiać go, żeby się zatrzymał, położył na piasku. Położył się i umarł. To był koniec, konsekwencje można było przewidzieć już dawno.

Cieszył się, że udało mu się wydostać ze schronu. Wyjść na zewnątrz i raz jeszcze zobaczyć niebo. Zawsze lubił przebywać na świeżym powietrzu – potrzebował swobody – pewnie dlatego, że uwielbiał zostawiać sobie drogę ucieczki. Teraz jednak nie zamierzał uciekać. Wręcz przeciwnie.

Pomyślał o wszystkich błędach, które popełnił. O imprezach, środkach przeciwbólowych, drinkach i tym, co pomiędzy. Każdy dzień pamiętał jak przez mgłę. Ostatnich kilka lat zwyczajnie zlewało się w jeden ciąg – w kółko powtarzał te same przeżycia. Wszystkie bez najmniejszego znaczenia. Nie miał prawie żadnych wspomnień. A wszystko zaczęło się dnia, w którym poszedł na policję z informacją na temat taty Erena.

Z kolei to, co działo się teraz, zapamiętają wszyscy. Słynny detektyw – kłamcą. Niezły nagłówek, na pewno rozejdzie się dzięki niemu kilka dodatkowych egzemplarzy. Brukowce nareszcie się do niego dobiorą.

Postać znalazła się trochę bliżej, ale wciąż była na tyle daleko, że nie dostrzegał sylwetki ani ubrania. Czarna drzazga na tle bladożółtego piachu. Jedyne, czego Sheppard był pewien, to że tamten go obserwuje i pewnie



czeka na niego od dłuższego czasu.

*Po prostu idź przed siebie.*

Co będzie się działo w studio? Będą go opłakiwać czy płakać tak po prostu, nie do końca wiedząc dlaczego, myśląc żałobę po utraconej pracy z żałobą po nim? Ktoś pewnie zorganizuje kosztowny pogrzeb i stypę. Na pewno zrobią wokół tego szum – to dobry PR dla stacji. Otwarta trumna, kawior i grzanki z homarem, szampan, żeby wznieść ostatni toast na pożegnanie słynnego gnojka.

Program zapewne znajdzie nową gwiazdę. Byłoby głupotą zmarnować taki potencjał. Nakręciliby odcinek upamiętniający jego zasługi, a potem zadbali o zmianę gwardii, wprowadzili jakąś losowo wybraną nową twarz, kogoś bez rozpoznawalnego nazwiska. Kurde, może nawet samego Erena albo kogoś w tym typie, kto na to zasługiwał. Show-biznes musiał się kręcić – nie miało znaczenia, kim byłeś, liczyły się tylko pieniądze. Zapomnieliby o nim w tydzień.

Nie miał wielu przyjaciół. W gruncie rzeczy nie nazwałby tak chyba nikogo. Był blisko z Douglasem, ale Douglas wiedział, że utrzymywanie z nim dobrych stosunków leży w jego własnym interesie – w końcu dostawał za to tonę pieniędzy. W całym studio rozmawiał tylko z kilkoma osobami, o których zasadniczo nie miał pojęcia. Im dłużej o tym myślał, tym mocniej był przekonany, że pewnie nawet imiona, pod którymi je znał, wymyślił sam.

Do tego dochodziło kilka byłych dziewczyn. Michelle, ze studiów, była zaradną anglistką. Sheppard ją rzucił, kiedy tylko podpisał kontrakt ze stacją telewizyjną. Kiedy ostatni raz ją wygooglował, odkrył, że szczęśliwie wyszła za męża i jest w ciąży, a jej profil na Facebooku wypełniają radosne, beztrudne zdjęcia. Uśmiechała się na nich w sposób, który był Sheppardowi zupełnie nieznanym. Wyobraził sobie, jak je śniadanie, siedząc przy stole z mężem i dzieckiem w foteliku, i czyta gazetę. „O, zobacz, chodziłam

z nim”. I na tym by się skończyło. Następna była Suzie, kobieta, która nie miała szacunku do niczego, a najmniej do samej siebie. Nie interesowała się światem, a świat nie był szczególnie zainteresowany nią. Zajmowała się uganianiem za celebrytami, z czego Sheppard nie zdawał sobie sprawy, póki nie nakrył jej w łóżku z boysbandem – z całą piątką. Kiedy ją zostawił, zniknęła z jego życia wraz z resztkami swojego poczucia własnej wartości. Sheppard wpadł w wir związków z dziewczynami, których imion nie potrafił sobie przypomnieć, chyba że kojarzyły mu się z czymś szczególnie obrzydliwym spowodowanym przez picie, narkotyki bądź obie te rzeczy naraz. Było ich tak wiele. Wystarczyło zamrużyć powiekami, żeby przegapić chwilę, w której wymieniał poprzednią na nowszy model. Wszystkie miały imiona w rodzaju Crystal, Saffron, Rouge – wszystko słowa, które mogły być przymiotnikami. Żadna nie będzie po nim płakać, chyba że będzie mogła przez to zdobyć trochę rozgłosu.

Osobą, która prawdopodobnie zatęskni za nim najbardziej, był jego diler. Sheppard władował sporo kapitału w działalność pewnego młodego narkomana ze smykałką do kontaktów biznesowych (który zupełnie przypadkiem był również kiepskim studentem medycyny). Kiedy Sheppardowi skończyły się recepty, musiał znaleźć inny sposób. Nie wiedział ile tabletek kupił na przestrzeni lat – pewnie dość, by powalić pułk wojska – ale był przekonany, że to dzięki niemu jego diler miał z czego żyć. Jak miał na imię? Sheppard pamiętał jego twarz, ale imię mu umykało. Zawsze zachowywał się, jakby miał ADHD, ewidentnie dał sobie spokój ze studiami lekarskimi, i namawiał Shepparda, żeby został i pograł z nim w *Call of Duty*. Sheppard doceniał, że przez cały ten czas chłopak nie wydał go dziennikarzom. On sam nie przepuściłby takiej okazji.

Sheppard uniósł wzrok i odkrył, że przemierzył już znaczną odległość. Mężczyzna, który stał na wprost niego, miał na sobie garnitur i czerwony

krawat. Widząc to, Sheppard zdał sobie sprawę, że – oczywiście – nie mógł być ubrany w nic innego. Tajemniczy mężczyzna w czerwonym krawacie z opowieści Constance. Ten zły.

Mężczyzna trzymał parę błyszczących czarnych butów ze zwężanymi czubkami – jego bose stopy zapadły się w piasek. Patrzył w morze.

Sheppard podszedł do niego, powłócząc nogami i nie przyśpieszając tempa. Dopiero kiedy stanął bezpośrednio obok, mężczyzna obrócił głowę.

Kace Carver uśmiechnął się – nie przerażająco czy okrutnie – lecz szczerze, jakby naprawdę się cieszył ze spotkania z dawnym przyjacielem.

– Cześć, Morgan – odezwał się.

Wymówił to takim tonem, jakby nic się nie zdarzyło – jakby wpadli na siebie na ulicy po wielu latach od ostatniego spotkania.

Sheppard otworzył usta i poczuł, jak wdziera się przez nie świeże powietrze. Zaszło mu w gardle.

– Eren... – przywitał go cichym, chrapliwym głosem.

Eren nie odpowiedział – w każdym razie nie od razu. Jego uśmiech nieco zbladł. Spojrzenie zrobiło się mniej serdeczne. Zerwał kontakt wzrokowy i skierował oczy z powrotem ku morzu.

– Od dłuższego czasu nikt się tak do mnie nie zwraca. Naprawdę wolałbym, żebyś też tego nie robił. Mam teraz na imię Kace.

– Dlaczego? – spytał Sheppard.

– Bo chłopak, którego znałeś, nie istnieje. To, co widzisz, to nowy ja. Carver, którego stworzyłeś. I jak? Co sądzisz? – Carver uniósł ręce i zakręcił się w miejscu, jak ktoś, kto przymierza ubrania w sklepie i chce, żeby go ocenić.

Sheppard miał ochotę go pobić, rozkwasić jego atrakcyjną twarz, tłuc ją pięścią tak długo, aż zmieni się w krwawą masę.

– Jesteś potworem – powiedział w końcu.

Carver zachichotał.

– Wiesz, sam też robisz kiepskie wrażenie. – Carver przyjrzał mu się od

stóp do głów. – Twój stan mnie powala. Wiedziałem, że jest z tobą źle, ale to, jak wyglądasz teraz? Jezu. Żal słów.

– Zamknąłeś mnie w bunkrze, żebym umarł – powiedział Sheppard, wyrzucając sobie, że zabrzmiało to tak, jakby się z czegoś tłumaczył.

– Tak, ale proszę, wydostałeś się. Czyż to nie wspaniałe? Ten ludzki upór, potrzeba przetrwania. Oczywiście, jest możliwe, że to od początku było częścią planu. – Carver puścił do niego oko.

Sheppard spojrzał na morze. Nie miał już siły patrzeć na tę twarz.

– Gdzie jesteśmy?

Carver rozejrzał się dookoła.

– Jesteśmy na plaży w Lusentyre, na Hebrydach Zewnętrznych. Jesteś w Szkocji, Morgan.

– Jak to możliwe? Byłem w Paryżu, a teraz jestem w Szkocji? A pozostali przenieśli się tu z Londynu?

– Nie miały w tym udziału żadne siły nadprzyrodzone, Morgan. Żadnych czarów. To po prostu kwestia nauki. Nauki i prywatnego odrzutowca.

Słyszając to, Sheppard szczerze się roześmiał, ale kiedy spojrzał na Carvera, szybko zdał sobie sprawę, że nie żartował.

– Prywatnego odrzutowca?

Carver odchrząknął.

– Jak masz mi zadawać tyle pytań, to po prostu ci powiem. Chyba jestem ci winien wyjaśnienie, zanim odejdiesz.

*Zanim odejdiesz.*

Sheppard nie miał w sobie więcej woli walki. Ani siły, żeby uciekać z wrzaskiem. Po prostu pokiwał głową. Chciał się dowiedzieć.

– Okej – Carver też pokiwał głową. – Nie wiesz, jak długo czekałem na tę chwilę. Od dawna mam do ciebie wyjątkowy żal, Morgan, i jeśli wciąż nie rozumiesz dlaczego, to znaczy, że tak naprawdę nie słuchałeś.

Obserwowałem cię, twoje liche związki, twój bezwartościowy program, twoje nałogi. Nieraz znajdowałem się dosłownie za twoimi plecami – tak blisko, że mógłbym wyszeptać ci coś do ucha – ale ani razu mnie nie zauważyłeś. A potem stało się coś, po czym przestała mi wystarczać rola obserwatora. Trzy lata temu mój ojciec zginął w więzieniu. Odwiedzałem go co tydzień, od kiedy ciocia mi pozwoliła. Nie opuściłem ani jednej okazji, aż pewnego dnia przyjechałem na miejsce, a jego już nie było. Nie był stworzony do życia za kratami. W pewnym sensie zaskoczyło mnie, że tak długo wytrzymał. Dwóch kolesi wydłubało mu oczy plastikowymi sztuczkami, a potem poderżnęli mu gardło. Kiedy go znaleziono, leżał z połową wnętrzości wywleczoną na podłogę. Dotarły do mnie pogłoski, że byli w to zamieszani strażnicy. Widzisz, jestem zdania, że mój ojciec zginął, bo był zbyt miły. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z ogromu mojej nienawiści. To był dzień, w którym dawne się skończyło, a zaczęło nowe. Wiedziałem, że człowiek, który zrujnował mi życie, bawił się w najlepsze, robiąc to samo innym i łykając znieczulacze, jakby to były tic taki. Wiedziałem, że muszę cię powstrzymać. Że to mój obowiązek. Ojciec zostawił mi całkiem pokaźny majątek. Ale zdawałem sobie sprawę, że mi nie wystarczy. Sprzedałem wszystko. Nawet... nie, w szczególności nasz dom. Dzięki temu miałem dość, żeby zacząć od nowa. Kupiłem mieszkanie w Milton Keynes. Niezbyt okazałe, ale wystarczające. Resztę pieniędzy zainwestowałem w akcje. Dużo ryzykowałem, powiesz pewnie. Owszem, ale dla mnie to nie było nic trudnego. Jak pamiętasz, albo i nie, dysponuję dość błyskotliwym umysłem. Potraktowałem giełdę tak, jak – powiedzmy – detektyw traktuje morderstwo. Przeanalizowałem każdy cal, każdą potencjalną możliwość, każdy wynik. To było prawie przyjemne. Ale też o wiele za łatwe. Wciąż się tym zajmuję, ale już bez specjalnego zainteresowania. Kiedy ma się tyle pieniędzy... cóż, nawet bogactwo może

się znudzić. Potrzebowałem więc nowego zajęcia. I wtedy wpadłem na ten pomysł. W końcu cię znaleźć i pokazać, co zrobiłeś. Miałem kapitał, potrzebowałem jeszcze tylko planu.

– A pozostali? Mandy i Winter? – spytał Sheppard.

– Bardzo szybko zrozumiałem, że to nie będzie przedsięwzięcie dla jednej osoby. Miałem przed sobą mnóstwo pracy. Znalazłem swoją pomagierkę na jednej z twoich koszmarnych imprez. Wkradła się, żeby wyciągnąć od ciebie wyznanie, że zabiłeś jej brata. Nie bezpośrednio, rzecz jasna. Nigdy nie robisz nic, co mogłoby cię autentycznie wpędzić w kłopoty, prawda? Wolisz okrężne metody. Amanda Phillips tryskała zapalem; odniosłem wrażenie, że pragnie zemsty prawie tak bardzo jak ja. Pewnie miałaś okazję to dostrzec, ten ogień w oczach. Miałaś pojęcie, że doprowadzasz ludzi do takiego stanu? W każdym razie Amanda prawie od razu zgodziła się mi pomóc, ale wciąż istniała możliwość, że pewnego dnia się rozmyśli i zniknie. Żeby tego uniknąć, pozwoliłem, by się we mnie zakochała. Nie wymagało to wiele, była akurat podatna na wpływy, a mnie los pobłogosławił sporym urokiem osobistym. Zbliżyliśmy się, w dużej mierze dzięki tobie. Niedługo później jadła mi z ręki. Była gotowa dla mnie zabić albo nawet umrzeć. Rzecz jasna, w życiu nie podejrzewałaby, że pozwoliłbym jej zginąć w tym bunkrze. Nawet kiedy instalowaliśmy materiały wybuchowe, wyobrażała sobie, że gdyby pokój musiał wylecieć w powietrze, jakimś cudem nadciągnę i ją uratuję. Była bardzo przebiegła, ale... w miłości każdy traci głowę. Okazuje się, że wbrew temu, co zawsze myślałem, to jednak prawda. Wintera trudniej było omamić. I to mimo że schrzaniłeś życie jego córce i znał prawdę...

– To ty – przerwał mu Sheppard. – To ty mu powiedziałeś. O tym mówił tamtej nocy.

– Zdradzę ci pewną tajemnicę, Morgan. Ja tam wtedy byłem. – Roześmiał

się. – W kuchni. Dałeś niezły popis.

Shepparda przeszył dreszcz. Eren tam był – naprawdę był o krok za jego plecami.

– W każdym razie nawet po tamtej awanturze Winter nie był przekonany. Miał swoje zasady. Z zasadami jest jednak ten koszmarne problem, że trzeba je ująć w słowa, a nikt nie potrafi przewidzieć, co wytrzyma jego psychika. Winter miał wrażliwą duszę. W końcu stracił panowanie nad sobą. To było tamtej nocy, pamiętasz. Bardzo mi pomógł, na przykład udzielając informacji na temat lekarstw, które mogły pozbawić kogoś przytomności na długi czas. I dobrze radził sobie z rzeczami, których sam wolałem nie robić. Jak wynajmowanie pokoju w hotelu i zakup ziemi, na której znajduje się ten schron. Czego by nie mówić, naprawdę warto mieć partnera. A w każdym razie partnera, który może posłużyć za kozła ofiarnego. Widzisz, musiałem mieć pewność, że wszystko pójdzie tak, jak zaplanowałem. Musieliśmy rozprawić się ze wszystkimi, którzy mogli pokrzyżować nam szyki. Na szczęście nasz plan wymagał, by ktoś znalazł się w środku, więc problem rozwiązał się sam. Nie musieliśmy wybierać losowych ludzi. W pewnym sensie wybrali się sami. A Mandy idealnie pasowała jako jeden z „gości” – mogła bez trudu odegrać rolę ślicznej dziewczyny. I to jeszcze dokładnie w twoim typie. Perfekcyjnie się złożyło, zupełnie jakby zadziałało przeznaczenie. Pojawiła się jednak jedna osoba, której nie było w moim planie. Która w ogóle nie miała znaleźć się w pokoju. Alan Hughes. Winter wykazał inicjatywę, wykorzystał mój scenariusz do własnych celów. Musiałem więc wprowadzić zmiany.

Widzisz, zakładaliśmy, że Mandy znajdzie się w pokoju jako kusicielka, ale Winter wcale nie miał być trupem. Chciałem mieć go przy sobie, żeby przyglądał się wszystkiemu okiem profesjonalisty. Zaczął jednak podchodzić do tego osobiście, robić rzeczy, o których nam nie mówił. Pod koniec co rusz



się wściekał, nie tylko na ciebie, ale na cały świat. Chodziło o jego córkę. Dowiedział się, że kazałem Mandy zdobyć pracę w tej samej kawiarni, co ona, żeby mieć na nią oko. Wiedziałem, że nie jestem w stanie przewidzieć momentu, w którym spróbuje się na mnie odegrać, więc musiałem się z nim rozprawić. No i tak się składało, że potrzebowaliśmy zwłok do wanny. Oczywiście stary biedak nic o tym nie wiedział.

Oj, pomyślał Sheppard, *nie doceniłeś Wintera. Z miejsca cię przejrzał. Wiedział, że idzie na śmierć, i podjął decyzję, że przekaze mi wiadomość.* Chciał mu to powiedzieć, ale odkrył, że wciąż nie potrafi.

– Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że jeśli Winter znajdzie się w wannie, zupełnie zmieni się kształt twojego dochodzenia. Ludzie go rozpoznają i zaczniesz układać sobie w głowie jakiś obraz rzeczywistości. Długo się nad tym zastanawiałem, ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że nie będziesz miał dość faktów, by wziąć mnie pod uwagę, a nawet jeśli odkryjesz prawdę, to nie zdołasz nic zrobić. W pewnym sensie Winter był lepszą ofiarą. Wyobraziłem sobie twój wyraz twarzy, kiedy go znajdziesz.

Carver się uśmiechnął. Sheppard poczuł mdłości. Starszy człowiek zginął, a jego dawny przyjaciel mówił o jego śmierci tak, jakby nie miała znaczenia poza tym, że stanowiła trybik w jego maszynie.

– Planowałem zabić losowo wybraną osobę, żeby utrudnić ci zadanie. Czyli tak naprawdę grałeś na niższym poziomie trudności. A mimo to nie udało ci się.

Silniejszy podmuch wiatru spowodował, że prawie stracił równowagę. Carver stał niewzruszony.

– O wiele trudniejszym zadaniem było sprowadzenie wszystkich do pokoju. Przygotowaliśmy scenę, ale brakowało nam aktorów. Większość ekstrakcji przebiegła bezproblemowo, obezwładnialiśmy was za pomocą gazu i przenosiliśmy do furgonetki. Tam aplikowaliśmy znieczulenie ogólne,

które potem dostawaliście w regularnych odstępach czasu do końca podróży. Żeby dostać się na wyspę, wykorzystaliśmy mój prywatny odrzutowiec. Najpierw przewieźliśmy ciebie, a potem całą grupę z Londynu. Mandy została tu z tobą, żebyś nie obudził się przed pozostałymi. Myślisz pewnie, że minęło kilka godzin, od kiedy straciłeś przytomność w Paryżu. W rzeczywistości jednak spałeś dwa dni.

– Dwa dni? – zdziwił się Sheppard. – Jak to możliwe?

Carver się uśmiechnął.

– Ludzi zawsze to zdumiewa, ale szpitale utrzymują pacjentów pod narkozą wiele godzin, czasami całe dni. Wiesz, że najdłuższa operacja w historii trwała cztery doby? Ludzkie ciało jest niesamowite, Morgan. Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę. Ile alkoholu wlałeś w swoją biedną wątrobę? A wciąż żyjesz. Ciało się dostosowuje, reperuje, wybacza i zapomina.

Milczeli przez chwilę. Sheppard miał wrażenie, że wszystko, co mogło, zostało powiedziane.

Carver najwyraźniej podzielał jego zdanie.

– To by było na tyle – stwierdził. – Wiem, że pewnie nie tak to sobie wyobrażałeś, ale co ja na to poradzę. Brutalna prawda, którą odkryłem w ciągu ostatnich trzech lat, jest taka, że kiedy ma się dość pieniędzy, naprawdę można kupić wszystko. Mnie jednak nie zaspokajają byle co. Nie, mnie zależy na czymś bardzo konkretnym. – Carver sięgnął za pas spodni od garnituru i wyciągnął kompaktowy pistolet. Sheppard nigdy w życiu nie miał do czynienia z prawdziwą bronią i sam ten widok wprowadził go w mimowolne drżenie. – Masz jeszcze jakieś pytania? – Carver odbezpieczył pistolet i zwiesił dłoń, w której go trzymał. – Czy możemy zaczynać?

Sheppard z trudem wydusił słowa.

– Zaczynać? A dotychczas co robiliśmy?

– Bawiliśmy się.

– Bawiliśmy się? Zginęły dwie osoby, Eren. – Strach w jego głosie, niemożliwy do zamaskowania. – Czego jeszcze chcesz? Usłyszeć, jak to przyznaję? Powiedziałem już. Zasługuję na wszystko, co mi się przytrafiło. Przyznaję. Jestem nikim. Stałem się kimś wyłącznie dzięki tobie.

Twarz Carvera nagle przybrała czerwony kolor. Jednak kiedy się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie.

– Wiesz dobrze, że jesteś tu wyłącznie z własnej winy. Przebrnąłeś przez całe życie, ani razu nie ocierając się o jakiejkolwiek konsekwencje. A teraz dotarłeś do końca drogi. Czekałem tu na ciebie. To jest po prostu wypadkowa tego, co zapoczątkowałeś dwadzieścia pięć lat temu, Morgan. Musisz odpowiedzieć za to, co zrobiłeś.

Sheppard otworzył usta i odkrył, że odzyskał głos, albo dostał pozwolenie, żeby mówić.

– Byłem dzieckiem. Miałem jedenaście lat.

– I wygląda na to, że wciąż nim jesteś. Chociaż pewnie powinienem cię trochę pochwalić. Niewielu jedenastoletków potrafi zwieść cały świat. Ale przez te wszystkie lata mogłeś się przyznać, wyjawić prawdę. A nie zrobiłeś tego. Jesteś żalosny. Otuliłeś się w kokon kłamstw i zacząłeś sam wierzyć w te swoje bzdury. Ty... jako detektyw? Nie potrafisz nawet uratować sam siebie. I ty miałbyś chronić innych?

– Uratowałem kilka osób...

Carver się roześmiał.

– Mówisz o tych w bunkrze? O Ahearn, o Quinnie, o Michel? Przed czym ich uratowałeś, tak konkretnie? Przed sobą?

– Nie, przed tobą.

– Nie uratowałeś Hughesa. Nie uratowałeś Wintera. Ahearn spędzi resztę życia w więzieniu. Tak samo Amanda, moja mała pomocnica. A Quinn

właśnie tam umiera. Bo nie potrafiłeś ich ochronić.

– Jak mogłem cokolwiek powstrzymać? Byłem zamknięty...

– Jezu, weź przestań! Hughes i Winter. Nie żyją. Przez ciebie. Ahearn i Amanda zostały morderczyniami. Też przez ciebie. Czego nie rozumiesz? To wszystko się stało przez ciebie.

Sheppard był osłabiony, a oskarżenia Erena uderzały go silniej niż powiewy wiatru. Mimowolnie spuścił głowę. Przez niego – tego nie mógł podważyć. Ale Eren, jego dawny przyjaciel, też ponosił odpowiedzialność za to, co się stało, a z jakiegoś powodu tego nie widział.

– Czyli na tym kończy się twój plan? To jest zakończenie historii, którą wymyśliłeś? Zabijesz mnie? – spytał Sheppard, spoglądając Erenowi w oczy.

Carver spojrzał na broń, którą trzymał w dłoni, i machnął nią w stronę Shepparda.

– Ta. To dość poetyckie. Myślałem, żeby cię utopić, ale nawet ja mam pewne granice.

Z jakiegoś powodu Sheppard się uśmiechnął. Czy to się działo naprawdę? Delirium, objawy odstawienia, wyczerpanie. Wszystko to sprawiało, że czuł się jak we śnie. Może wciąż tkwił na dole, w bunkrze, walcząc o oddech, podczas gdy odliczanie dobiegało do zera. Czyżby jego ucieczka była ostatnim wytworem umysłu umierającego człowieka? Nie był pewien, która opcja podoba mu się bardziej, ale wyglądało na to, że obie zmierzają do tego samego zakończenia.

Może nawet tak było lepiej.

Zginęli ludzie. Alan Hughes. Simon Winter. Brat Mandy. Córka Wintera miała zmarnowane życie. Wciąż tylko brał ze świata – brał i brał, i brał. Może nadszedł czas, żeby się odwdzięczyć, spłacić dług.

– I jak, mój stary przyjacielu? – spytał Carver. – Gotowy?

Przyłożył pistolet do głowy Shepparda.

– Na kolana – poleciał, odkładając buty na piasek, żeby chwycić pistolet w dwie ręce.

Sheppard wykonał polecenie.

*Po co się opierać?*

– Dlaczego po prostu mnie nie zabiłeś? Dlaczego nie od razu? Po co to wszystko? Całe to przedstawienie...?

Carver się roześmiał. Stał nad nim, trzymając lufę pistoletu. Śmierć, milimetr od jego czoła.

– Pamiętasz, jak było w szkole? Zawsze byłeś taki pewny siebie. Tak jak potem w życiu. Zupełnie odwrotnie niż teraz. Widzisz, przez wszystkie te lata byłeś świnią, więc musiałem ci pokazać, jakie to uczucie ponieść porażkę – mówił Carver. – Powinienem był wiedzieć, że zrobisz coś takiego. Jak to wszystko tutaj. Twoje życie to był jeden wielki żart. Zależało mi, żebyś to zrozumiał.

– Co ci się stało, Eren?

– Ty. I nie nazywaj mnie tak.

– Twój ojciec był winny, Eren.

– Nigdy więcej tak do mnie nie mów. A mój ojciec był winny wyłącznie tego, że chciał chronić rodzinę.

Wbrew wszystkiemu, Sheppard prawie się roześmiał.

– Chronić rodzinę? Serio? Zadałeś sobie kiedykolwiek pytanie, dlaczego twój ojciec tak długo czekał, żeby zabić Jefferies? Nikogo nie chronił, był po prostu bombą zegarową, która w końcu wybuchła. Robiąc to, myślał wyłącznie o sobie.

– To nie ma znaczenia – wysyczał Carver.

– Nie, Eren, to właśnie ma kapitalne znaczenie. To nie było zabójstwo w afekcie, tylko dobrze przemyślany i zorganizowany plan. Twój ojciec po prostu pewnego dnia zebrał się na odwagę. Żałosne. I wygląda na to, że wdałeś się w niego.

– Tego wieczora, kiedy moja matka zginęła, jechała rznąć się z Jefferiesem. Mój ojciec się załamał. Podjął akceptowalne kroki.

– Podjął kroki sześć lat po fakcie – odparł Sheppard. – Żal mi go.

– Zamknij się! – krzyknął Carver.

Sheppard spojrział na niego, w jego oczy i zrozumiał, że Eren Carver faktycznie przestał istnieć. W jego miejscu pojawiło się ktoś inny. Człowiek stojący przed nim był do tego stopnia przekonany o własnej racji, że nie brał w ogóle pod uwagę, co sam zrobił. I owszem, może Morgan Sheppard sprowadził go na złą ścieżkę, ale o tym, by nią podążać przez wszystkie te lata, zdecydował on sam – już nie Eren, tylko Kace.

Może Carver dostrzegł tę myśl w wyrazie twarzy Shepparda, bo splunął na niego.

– Ty to zrobiłeś – powiedział, stojąc nad nim i wymachując pistoletem niczym dyrygent batutą. – To. Przez. Ciebie. I kiedy będziesz umierał, leżąc i czując, jak twoja krew wypływa na piasek, pamiętaj, że tego właśnie chciałeś. To jest koniec drogi, którą dla nas wybrałeś. To twoja wina.

Sheppard wciągnął powietrze i wycharczał:

– Nie, Kace, wina jest po obu stronach.

Carver zamilkł, oparł wylot lufy o środek czoła Shepparda.

– Morgan, to koniec.

– Myślisz... – prychnął Sheppard – ...myślisz, że odebrałem ci szansę, by zostać bohaterem? Myślisz, że zrujnowałem ci życie? Nie mogłem zrobić obu tych rzeczy. Nie miałeś w sobie nic z bohatera. Zawsze byłeś potworem. Albo zrujnowałbyś własną rodzinę, albo stanął po stronie mordercy, nie wiem tylko, co byś wybrał. Jesteś zły.

– Powiedz to jeszcze raz, a przysięgam, że...

– Jesteś zły. A ja, owszem, jestem żalostną karykaturą człowieka. Niszczyłem ludziom życie i nic mnie to nie obchodziło. Mam na sumieniu kilka... właściwie to wiele spraw, których bardzo się wstydzę. Ale mogę się zmienić. Za to ty, ty już zawsze będziesz potworem.

Rękojeść pistoletu zamigotała Sheppardowi przed oczami. Zmiażdżony nos eksplodował krwią i bólem. Zawył.

Carver się śmiał.

– Jesteś pasożytem. Myślisz, że świat będzie za tobą tęsknił?

– Nie – odparł Sheppard nosowo, wypluwając krew. – Ani trochę.

Wyobraził sobie swoich rodziców, byłe dziewczyny, kolegów z pracy. Wszystkich ludzi, których do siebie zniechęcił. Jedyna osoba, którą kiedykolwiek uważał za przyjaciela, miała za moment umieścić pocisk w jego mózgu.

*To jeszcze nie koniec.*

Sheppard zebrał w sobie ostatki sił i rzucił się do przodu. Zderzył się z nogami zaskoczonego Carvera dokładnie w chwili, gdy rozległ się huk wystrzału. Pocisk przeleciał milimetry od prawego ucha Shepparda, rozrywając jego górną krawędź, a Carver zwałił się na plecy. Broń wyślizgnęła mu się z ręki i upadła metr dalej.

Sheppard wyciągnął dłoń po pistolet. Carver uderzył go pięścią w twarz. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale mimo to próbował wymacać broń,

drugą ręką dociskając głowę Carvera do piasku.

Kace zawył, kiedy Sheppard zgniótł mu nos.

Sheppard zamrugał, żeby odzyskać dobre widzenie, i chwycił pistolet. Przygwoździł Carvera, który wydał z siebie nienawistny ryk, i nie zastanawiając się wiele, cisnął broń do morza. Poszybowała ku wodzie i wpadła do niej z chlupnięciem. Carver wykorzystał, że Sheppard się temu przygląda, i posłał pięść prosto w jego podbródek.

Sheppard opadł ogłuszony na piach, a Carver wstał, podszedł do niego i chwycił go od tyłu za kołnierz. Zaciągnął go w miejsce, gdzie morze spotykało się z plażą, po czym złapał go za kark.

– Nie potrzebuję broni, żeby cię zabić.

Sheppard za późno zdał sobie sprawę, co się stanie. Carver uniósł jego głowę, po czym wcisnął ją pod wodę. Była bardzo, bardzo zimna. Sheppard nie miał czasu wziąć oddechu, zanim woda dostała się do jego płuc. Szarpał się, czując, jak opuszcza go życie. Ile sekund wytrzyma? Ile mu zostało?

Carver wyszarpnął go z wody.

– Trzeba ponosić konsekwencje, Morgan.

Sheppard wymachiwał rękami na oślep. Żaden z jego ciosów nie trafił we wrażliwe miejsce, ale mimo to udało mu się spowodować, że dłonie Carvera ześlizgnęły się z jego szyi. Jego twarz opadła na piach i w tym samym momencie wyrzucił nogi do tyłu, trafiając w łydki swojego dawnego przyjaciela. Carver stęknął.

*Wstawaj. Natychmiast wstawaj.*

Sheppard rzucił się na nadciągającą falę, po czym zebrał się z ziemi i stanął na nogi. Carver zatoczył się w przeciwnym kierunku i opadł na czworaki. Sheppard dopadł go, przytrzymał za ramiona i chwycił jego krawat. Pociągnął w tył. Carver się zachłysnął i warknął na niego przez zaciśnięte zęby, brocząc krwią z rozciętej wargi.



– Dziękuję, Kace, za uzmysłowienie mi, że mogę się zmienić – powiedział Sheppard, spluwając na niego morską wodą. – Może jednak jest dla mnie nadzieja.

Carver spojrzał na niego. Jego wzrok był niewzruszony.

– To nie koniec, Morgan. Jeśli nie dziś, to kiedy indziej. Gdziekolwiek się schowasz, znajdę cię. Choćbyś się czuł nie wiem jak bezpieczny. Puszczę z dymem cały świat, ale cię dopadnę. Więc lepiej mnie zabij. – Głos dzikiej bestii, zupełnie nieludzki.

Sheppard się uśmiechnął.

– Nie, raczej tego nie zrobię. To nie w moim stylu – powiedział.

Zamachnął się głową i z całej siły uderzył Carvera w czoło.

*Zanim wszystko się stało...*

– Wiesz, myślałem, że namawiasz mnie na wagary, bo masz jakiś plan – oznajmił Eren. Od mniej więcej dwóch godzin spacerowali z Morganem po centrum Londynu. Była druga trzydzieści w piątek i Eren właśnie opuszczał matematykę z panem Jefferiesem. Lubił pana Jefferiesa i już zaczynało mu ciążyć sumienie.

Mieli jedenaście lat i biegali sami po Londynie. Morgan załatwił im zwolnienie ze szkoły, opowiadając, że jego mama zabiera ich na wystawę naukową. Oczywiście niczego takiego nie było w planach, a Eren zgodził się towarzyszyć Morganowi tylko dlatego, że nie wróżył temu planowi powodzenia. Wbrew temu, co zakładał, podstęp się udał i znaleźli się tu.

Morgan mknął po chodniku skocznym krokiem między tłumem turystów. W pewnej chwili minęli Leicester Square i Eren zaczął odnosić wrażenie, że Sheppard nie zmierza do żadnego celu.

– Czujesz to, Eren? – stwierdził Morgan, odwracając się do niego. – To się nazywa wolność!

Erenowi wciąż ciążyła opuszczona lekcja matematyki.

– A co jeśli... nie wiem... dostaniemy zadanie domowe? Będziemy mieli zaległości i w ogóle. Może powinniśmy po prostu wrócić.

Morgan przystanął.

– Wyluzuj, Eren, okej? To jest tylko jedna lekcja matmy. Szkoła to nie wszystko.

– Trochę jednak tak – odparł Eren.

Morgan westchnął i odwrócił się do Erena, który chwycił go za ramiona.

– Wszystko będzie okej. Mam niezawodny plan na sukces.

– Jaki tym razem? Zostaniesz gimnastykiem olimpijskim? Pisarzem? Będziesz zapowiadał pogodę?

– Jeszcze nie wiem, ale możesz być pewien, że pewnego dnia będziemy sławni.

– Yhyyy.

– Zobacz – Morgan odwrócił Erena. – Tylko spójrz.

Stali przed hotelem. Wyglądał na drogi. Miał duże szklane drzwi, przy których stali odźwierni. Jeden z nich otworzył je mężczyźnie w biznesowym garniturze, na chwilę odsłaniając przed Erenem wnętrze holu. Piękne czyste marmurowe podłogi i pracownicy w nieskazitelnych uniformach.

– I co ty na to? Niezłe luksusy. Kiedyś będziemy się zatrzymywać w takich miejscach.

Eren spojrzał na swojego przyjaciela.

– Okej, tylko jak?

– Bo będzie nas stać. Będziemy mogli wynajmować pokoje w odlotowych miejscach, korzystać z minibarów, pić piwo o dziesiątej rano i mówić rzeczy w rodzaju: „Gdzieś na pewno jest piąta po południu”.

– Nie znosisz piwa. Wypiłeś to, które podprowadziłeś mamie z lodówki, i się porzygałeś.

– No tak... ale będę je pił, aż polubię.

Eren westchnął.

– Trochę nie rozumiem, co tu robimy.

– Żyjemy chwilą – stwierdził Morgan. – Ciągłe zachowujesz się tak...

dorośle. Za dużo nad wszystkim rozmyślasz. Nie możemy raz tak po prostu zrobić czegoś zajebistego, zamiast planować całą przyszłość? Ten wyjazd był... tak po prostu... jak to nazwała pani Rain?

– Spontaniczny? – odpowiedział Eren.

Morgan klasnął w dłonie i uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie. To była spontaniczna decyzja.

– Okej – Eren też się uśmiechnął. – Pójdę z tobą na układ. Ty wykorzystasz swoją spontaniczność, a ja moje myślenie i zobaczymy, gdzie nas to doprowadzi. Ten, który zajdzie dalej, wygrywa. Przegrany musi wynająć zwycięzcy pokój w tym głupim hotelu. – Wskazał gestem głowy wejście do budynku.

– Umowa stoi, chłopie. – Morgan się roześmiał. – A teraz chodź, wydaje mi się, że tutaj niedaleko sprzedają dobry chiński makaron. – Ruszył przed siebie tak szybkim krokiem, że Eren musiał truchtać, żeby za nim nadążyć. – Mama mnie tam kiedyś zabrała, bo zostawiła mnie w supermarkecie i było jej głupio.

– I po to poszliśmy na wagary? Żeby zjeść u Chińczyka?

– Nie – odparł Morgan, dając Erenowi lekkiego kuksańca – tak się po prostu złożyło, że tu jesteśmy. Widzisz, to właśnie ta spontaniczność.

– Spontaniczność. Zresztą, wiesz co? Nieważne. – Eren wyminął dość liczną grupkę turystów zgromadzonych wokół mapy. – Nadal mi nie powiedziałeś, na czym polega ten twój nowy super pomysł na sukces.

Morgan podskoczył i się roześmiał.

– Co myślisz o tym, żeby założyć zespół?

– To chyba najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem – odpowiedział Eren i obaj wybuchnęli śmiechem.

Kiedy skończyli chichotać, Morgan przemknął na drugą stronę ulicy, nie czekając na zielone światło, i zachęcił Erena gestem ręki do tego samego.

– To jest na drugim końcu tej uliczki.

Eren przeszedł bezpiecznie przez jezdnię, a kiedy Morgan zniknął za rogiem, odwrócił się i spojrzął na hotel, przed którym wcześniej stali. Z odległości wyglądał jeszcze bardziej imponująco – opływowy prostokątny budynek sięgający ku niebu. Nad frontowymi drzwiami widniał bladezłoty szyld: THE GREAT HOTEL.

Eren odnotował ten widok w pamięci i podążył za Morganem do baru z chińszczyzną.

*Jak by to ujął Morgan?*

A, tak... Podążył za nim w przyszłość.

Sheppard zawył z bólu, a Carver zwałił się na piach i zastygł nieruchomo z rozpostartymi rękami. Nieprzytomny.

Bolało o wiele bardziej, niż się spodziewał po filmach. Zanurzył dłoń w morzu i otarł nią czoło, po czym ugięły się pod nim nogi i przewrócił się plecami w nadciągającą falę.

Wypełzając z wody, zwymiotował tą samą fioletową mazią, co poprzednio.

To koniec? Koniec tego koszmaru? Nie miał odwagi tak myśleć. Może to był kolejny etap planu. Może Carver udawał.

Ale nie. Jego dawny przyjaciel leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami, płytko oddychając. Z rozcięcia na czole w równych odstępach czasu wysączała się krew. Teraz, kiedy się nie ruszał ani nie odzywał, Sheppard dostrzegł w nim pierwiastek Erena. Chłopaka, który grał na nintendo i wykradał się z domu, żeby oglądać z nim filmy – chłopaka, który był kiedyś najserdeczniejszą i najmądrzejszą osobą, jaką znał.

Jak to się stało? Jak dotarli do tego punktu?

Mrugnął oczami. Był z powrotem w pokoju Erena. Cofnął się w czasie. Dzieci – oni – siedziały w środku. Chciał im powiedzieć.

Tylko nie idźcie na strych.

Kolejne mrugnięcie. Był z powrotem na plaży. Niebo zaczęło pluć

deszczem. Krople lądowały na jego twarzy.

*Ryan i Didzejka. Potrzebują pomocy.*

Wsparł się na łokciach i zerknął na Carvera. Z pewną obawą przeszukał kieszenie jego spodni. Nic. Ale w prawej kieszeni marynarki natknął się na smartfona.

Wyciągnął go i odblokował. Opadł z powrotem na plecy. Musiał się przespać. Odpocząć. Ale najpierw...

Wcisnął trzykrotnie przycisk z cyfrą dziewięć i przycisnął aparat do ucha.

Telefon potrzebował dłuższej chwili, żeby nawiązać połączenie. Sheppard zaczął sobie wyobrazać, że nie zadziała tak samo jak ten, który zabrał z pokoju. W końcu jednak usłyszał sygnał oczekiwania na odbiór połączenia.

Leżący obok niego Carver odetchnął głęboko, ale wciąż był nieprzytomny. Przez niebo przetoczył się głośny grzmot.

Wysłuchując się w sygnał połączenia, Sheppard zwrócił uwagę na samotną mewę, przecinającą niebo w pewnej odległości za pozostałymi. Pewnie wracała do domu. Sheppard wciągnął powietrze i poczuł ból w przeponie. Jeszcze nigdy nie czuł się gorzej. Ani lepiej.

Sygnał się urwał. Usłyszał głos.

– Halo? – powiedział i zamknął oczy.

*Trzy miesiące później...*

W Paryżu latem panował upał, ale dało się go znieść. Sheppard spacerował po mieście, przyglądając się tłumom turystów mieszających się z miejscowymi. Tym razem darował sobie słynne atrakcje. Z przyjemnością spędzał czas, krążąc po alejkach i bocznych ulicach, odkrywając mało znane kawiarnie i sklepiki. Do jego uszu docierały niesione wiatrem strzępy rozmów po francusku i angielsku. Część nawet rozumiał.

Jego noga była w dużo lepszym stanie. Wciąż kulał, ale na tyle nieznacznie, że prawie nie zwracał na to uwagi. Ludzie nie rozpoznawali go tu tak często, jak w Londynie, z czego był zadowolony. Inna sprawa, że wyglądał inaczej niż dawniej.

Zmienił się.

Około dwunastej dotarł do La Maison. Była już na miejscu, siedziała przy barze. Rozpoznał ją natychmiast. Jego wspomnienia z nią związane były zamazane, równie fragmentaryczne co rozmowy, które mimowolnie podsłuchiwał. Kiedy próbował cofnąć się pamięcią, nie potrafił jej zobaczyć, w każdym razie nie całej. Mimo to spędził wiele czasu, rozmyślając na jej temat. Tak wiele, że teraz, kiedy miał ją przed sobą, wydawała mu się bardzo znajoma. Brązowe włosy założone za uszy, serdeczna, dziewczęca twarz. Dokładnie to, co przyciągnęło jego uwagę za pierwszym razem.



– *Bonjour* – przywitała się z uśmiechem.

– *Bonjour*. – Usiadł na taborecie obok niej.

Praktycznie to samo miejsce, w którym się poznali.

– Wyglądasz inaczej – stwierdziła, bardzo skrupulatnie mierząc go spojrzeniem swoich tęsknych oczu.

– Tak – odparł. – A ty wyglądasz zniewalająco.

– Masz ochotę na drinka? – spytała, wskazując na swój koktajl.

Wyczuwał jego zapach. Alkoholowy – słodki i drażniący zarazem. Niczego nie pragnął bardziej.

– Poproszę wodę gazowaną – odpowiedział, a kiedy spojrzała na niego pytająco, dodał: – Staram się przestać pić. – Dzień po dniu.

– *Vous allez faire une boisson de femme seule?*

– *Je le crains* – odparł po chwili zastanowienia.

Zaskoczył ją.

– *Tu parle francais?*

– Tylko trochę. Zapisalem się na kurs.

Przywołała gestem dłoni barmana; podszedł natychmiast. Nie należała do kobiet, którym pozwalało się czekać.

– *L'eau pétillante s'il vous plait.* – Krótką chwilę później barman postawił przed nim butelkę schłodzonej wody z bąbelkami i szklankę. Zbył propozycję zapłaty machnięciem ręki. Wyglądało na to, że uległ urokowi jego towarzyszki. Nie dziwiło go to.

– Dlaczego uczysz się francuskiego?

– Mój lekarz twierdzi, że to dobre zajęcie dla umysłu. Poza tym podoba mi się pewna dziewczyna, która w nieoczekiwanych momentach zaczyna mówić po francusku, więc pomyślałem, że mi się przyda.

– Ależ rycerski gest. Ta dziewczyna ma wielkie szczęście. – Pociągnęła łyk koktajlu. – Zaskoczyło mnie, że mnie odnalazłeś. Nie zdążyliśmy się

dowiedzieć wiele o sobie, zanim... no wiesz...

Zachichotał.

– A... kilka osób z mojego programu było mi winne przysługę.

– Szukałam cię w internecie... Dowiedziałam się, że zrezygnowałeś.

Nalał sobie szklankę wody.

– No, na to wychodzi. Po prostu miałem wrażenie, że nie byłoby w porządku, gdybym to ciągnął. Rozumiesz. Chcieli, żebym został, bo okazuje się, że na popularność faktycznie nie ma wpływu to, z jakiego powodu o tobie mówią. Ale po prostu nie mogłem. Wiesz już wszystko?

– Tak.

– I nie przeszkadza ci to?

– Moja babcia lubiła powtarzać: *Un homme sans demons est pas un homme du tout*. Człowiek bez demonów przeszłości nie jest prawdziwym człowiekiem.

– To prawda. Serio, zrozumiałem od razu. To było dość łatwe.

Roześmiała się.

– No dobrze, to co zamierzasz teraz robić?

– Po raz pierwszy w życiu nie mam pojęcia.

– Brzmi strasznie – odparła, uśmiechając się do niego.

– Owszem.

Odchrząknął, popił wody. Bar zaczął się wypełniać popołudniowymi turystami, którzy podnosili temperaturę powietrza.

– Muszę cię o coś zapytać. To dlatego musiałem cię znaleźć.

– Dobrze.

Utkwił w niej wzrok; wpatrzył się w jej przepastne błękitne oczy i zaczął się zastanawiać, czy chciałby poznać tajemnice, które się w nich kryją.

– Wiedziałaś, co się stanie? Znałaś Erena... Kace'a Carvera? – Wciąż wzdrygał się przed wypowiedzeniem jego imienia. Wrócił myślami na plażę,

do słonej wody zraszającej jego zarost. Do krwi, którą wycierał z koszuli. – Nadal się zastanawiam, czy wykorzystał kogoś, żeby ściągnąć mnie z powrotem do pokoju.

– *Non*. Nie widziałam cię po tym, jak wyszłam po lód. Wróciłam, zapukałam do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Poczekalam jakieś trzydzieści minut, pukając od czasu do czasu. Uznałam, że sobie poszedłeś albo zasnąłeś. Chcę, żebyś wiedział, że to nie był pierwszy raz, kiedy ktoś wystawił mnie do wiatru. Ale nie mogłam już nic więcej zrobić, więc...

– Wyrzuciłaś to z pamięci.

– Tak. Do dnia, w którym zobaczyłam cię w wiadomościach. Wtedy zrozumiałam.

– Mogłaś zgłosić się do prasy, wiesz? Sprzedać historię.

– Mogłam, ale tego nie zrobiłam.

Skinął głową. Mówiła prawdę, nie wyglądała na osobę, która ma w zwyczaju kłamać.

– A jak się mają pozostali? – spytała. – Ludzie, z którymi byłeś zamknięty?

Zastanowił się chwilę. Nie widział się z żadnym z nich od dłuższego czasu. Próbował odwiedzać Ryana w szpitalu, ale za każdym razem czuł się dziwnie, jakby ich wspólny rozdział się skończył.

To, co stało się w pokoju, związało ich na całe życie. Ale należało do przeszłości.

– Z tego, co wiem, wszystko z nimi w porządku – powiedział w końcu. – Pogrzeb Hughesa jest za tydzień. Ale nie wiem, czy pójde.

– Powinieneś – odpowiedziała. – Jesteś mu to dłużny.

Myśl, z którą się siłował. Wypowiedziana na głos. Wiedział, że musi pójść.

– A on? Jest w więzieniu? – spytała. Wiadomo, o kogo jej chodzi.

– Niedługo zacznie się jego proces. Amanda, to znaczy Phillips... – w gazetach wszyscy byli wymienieni wyłącznie z nazwiska – dostała już wyrok. Ahearn trafiła do Broadmoor. Okazało się, że nie zażywała leków, które powinna.

– Czyli *mechants* są za kratami. *Une fin heureuse*?

– Nie, mój *fin* raczej nie będzie zbyt *heureuse*.

– To było zupełnie bez sensu.

Pociągnął kolejny łyk wody. Z jakiegoś powodu był nerwowy. Może to jakiś zespół stresu pourazowego. Jego lekarz twierdził, że to efekt uboczny odbudowy zdrowej psychiki i trzeźwości. Postanowił zaryzykować.

– Masz ochotę coś zjeść? Znam fajne miejsce.

– Dobrze rozumiem, że zapraszasz mnie na randkę?

– Na to wychodzi.

Zadumała się na chwilę.

– Okej. *J'adoreais*.

– Dobrze. Super – odparł, a po chwili zachichotał. – Zdałem sobie sprawę, że wciąż nie wiem, jak masz na imię.

Roześmiała się i wyciągnęła dłoń.

– Jestem Audrey.

Ujął ją w swoją i potrząsnął.

– Morgan Sheppard.

Zaśmiała się.

– Wiem.

# Podziękowania

Przede wszystkim nie zostałem pisarzem, gdyby nie dziadek, który wspierał mnie w mojej miłości do książek i zachęcił mnie, żebym sam zaczął pisać. Ponieważ powieść ta powstała w ramach mojej pracy magisterskiej z pisarstwa na City, University of London, była w nią zaangażowana kosmiczna liczba osób. Przede wszystkim chciałbym podziękować Claire McGowan, prowadzącej mój kurs, która zawsze znajdowała czas, by służyć mi pomocą, oraz mojej osobistej mentorce, „wizytującej gwiazdce”, A.K. Benedict, która wierzyła we mnie od samego początku, nawet gdy mnie ogarniało zwątpienie. Gdyby nie wsparcie tej dwójki, gdyby nie ich pomocne dłonie, które wyciągały, kiedy upadałem (w jednej sytuacji dosłownie), ta książka nie znajdowałaby się dziś w twoich dłoniach. Chciałem też podziękować Williamowi Ryanowi, który służył mi pomocą na początkowym etapie powstawania tej powieści, jak również, co oczywiste, wszystkim cudownym osobom, które poznałem przy okazji studiów magisterskich, i które pomogły mi w taki czy inny sposób. Miałem wymarzoną grupę. Dziękuję ekipie #SauvLife (jakby ktoś nie rozumiał – trzymamy ze sobą i lubimy sauvignon blanc) – Fran Dorricott, Jenny Lewin i Lizzie Curle. To jedne z najbardziej utalentowanych i serdecznych osób, jakie znam. Dziękuję też mojej cudownej agentce Hannie Sheppard, która wykazała się wielkim oddaniem i cierpliwie tłumaczyła mi różne podstawowe kwestie związane

z rynkiem wydawniczym. Dziękuję mojej wspaniałej redaktorce Francesce Pathak, która została fanką tej książki, kiedy tylko ją przeczytała, i w rekordowym tempie zdobyła maskę w kształcie głowy konia, żeby zrobić na mnie wrażenie (skutecznie). A na koniec dziękuję wszystkim pracownikom wydawnictwa Orion, którzy zadbali, bym poczuł się wśród nich jak w domu. Jestem wam wszystkim niezwykle wdzięczny.

## O autorze

Chris mieszka w Durham i jest świeżo upieczonym absolwentem studiów twórczego pisania na City, University of London. *Zgadnij kto* to jego debiutancka powieść. Uwielbia filmy i udziela się w amatorskiej trupie teatralnej. Można go znaleźć na Twitterze jako [@crmccgeorge](https://twitter.com/crmcgeorge).

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Postaci

Zgadnij kto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22



23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

Podziękowania

O autorze